

**Catherynne M. Valente**

# **PALIMPSEST**

**Przełożył: Wojciech Szypuła**



**2010**

**Tytuł oryginału:**

*Palimpsest*

Wydanie I

ISBN 978-83-7480-176-8

**Redakcja:**

Joanna Figlewska

**Projekt graficzny serii:**

Piotr Chyliński

**Przełożył:**

Wojciech Szypuła

**Wydawca:**

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

<http://www.mag.com.pl>

*Dmitrijowi – mapie,  
dzięki której  
znalazłam to miejsce*

*Spójrz, jak strop niebieski  
Upstrzyły gęsto złote lampy gwiazd.  
Najmniejsza, nawet z tych, które dostrzegasz,  
Śpiewa jak anioł w swym okrężnym biegu,  
Wtórując bystrookim cherubinom;  
Taka harmonia jest i w nieśmiertelnej  
Duszy, i tylko gruba warstwa gliny,  
Jaką jest nasza cielesna powłoka  
Tłumi jej dźwięki.*

William Shakespeare, „Kupiec wenecki”  
(przeł. S. Barańczak)

*Frontysepis*

Kołyaska stawania się i rozpadania

## Róg Szesnastej i Hieratycznej

Na rogu Szesnastej i Hieratycznej fabryka śpiewa i wzdycha. Spójrz: jej cienkie wieże błyskają zielono i plują w noc długimi jęzorami białego ognia. Casimira włada tym miejscem, tak jak przedtem władał nim jej ojciec, wcześniej babka, a przed nią zapewne jej najdalszy przodek. Miło jest ich sobie wyobrazić, jak na przemian kurcząc i prostując trąboksztatne palce, muskają nimi maszynierię z patyków i kości. Jakaś Casimira zawsze tu była – poza tymi rzadkimi okresami, kiedy był Casimir.

Robotnicy przynoszą sobie lunch w muszlach. Mają niezwykle uniformy: zachodzące na siebie białe i zielone łuski, obrzydliwie klejące się do skóry, połyskujące w blasku wież. Nie noszą innych ubrań; widać każdą krzywiznę i każdą zmarszczkę. Tanecznym krokiem wchodzi do fabryki, mijają tych schodzących z poprzedniej zmiany, ich węzowe ciała prężą się, wiją i falują pod zegarem, który przy odbijaniu kart wygrywa wesoly, rytmiczny kurant. Mają rybie oczy; trzecia powieka jest na wpół przymknięta w wyrazie sennej rozkoszy, gdy brykają i wirują w wyznaczonym przez maszyny rytmie.

A cóż takiego produkuje ta fabryka? Jak to co: wszelkie robactwo Palimpsestu. Jest w niej prasa, która nabija karaluchom lśniące zielono pancerzyki; znak producenta zostaje sprytnie ukryty pod lewym skrzydłem. Jest sztanca do bicia nowych szcurów; kiedy spod niej wychodzą, ich szara sierść jest sztywna i błyszcząca. Są osobne formy do wiewiórek i przegowców, jest też maszyna, która wytwarza zwykłe myszy. Jest wirówka do produkcji pajaków; jest odlewnia jaszczurek; jest wiekowa i delikatna machina, która wypuszcza na przemian muchy i komary – tak wyczelowane, tak doskonałe, jakby składały się tylko z cieniutkiego drutu miedzianego, waty cukrowej i światła. Prasa drukarska produkuje graffiti: tętniące blaskiem litery w kolorach szkarłatu, czerni, jaskrawej żółci i charakterystycznej dla Casimiry zieleni. Litery wyfruwają przez wysoko umieszczone okna i rozplaszczają się na murach, filarach wiaduktów i wagonach kolejowych.

Kiedy w fabryce rozlega się wieszczący koniec zmiany dźwięk rogu – trąbki wykonanej z jeleniego poroża, przekazanej Casimirze przez jedyne z wujów, który zaprzeczył rodzinnej tradycji i został zwykłym myśliwym, wprawiając tym cały klan w hałaśliwą, choć sytą konsternację – z otworów produkcyjnych wypływa fala życia: krety, żuki, szpaki, nietoperze, mrówki, larwy, émy i modliszki lśnią świeżą warstwą szczeliwa i drżą, słysząc dźwięk

płynący z prawie niewidocznych urządzeń szepczących wprost do ich atawistycznych umysłów, że ich pani je kocha, stale o nich myśli i tuli je do piersi.

Siedząca w swoim gabinecie Casimira przymyka oczy i wsłuchuje się w mowę skłębionych mas, szepczących do swojej matki. Na koniec dnia opowiadają jej wszystko, czego dowiedziały się o życiu.

To konieczność. Żadnej innej rodzinie miasto nie składa tak często oficjalnych podziękowań.

\* \* \*

Po jednej stronie ulicy: salonik wróżki. Pióropusze palm krzyżują się nad wejściem. W środku stoją cztery czerwone krzesła, a przed nimi cztery zwierciadlane misy wypełnione atramentem, czarnym, skłębionym. Do pokoju wchodzi ciężkim krokiem Orlande, kobieta w złachmanionym futrze z lisów. Jej zakutana w kilka warstw szali głowa jest głową żaby – zieloną, plamiastą, wyłupiastooką. W szerokich ustach porusza się różowy język; nerwowo oblizuje wargi. W błoniastych łapach niesie kubki z lurowatą herbatą, w której pływają żółte liście. Nie roni ani kropli. Herbata jest słodka. Najśłodsza.

Orlande nie przyjmuje samotnych klientów.

Dlatego na czerwonych krzesłach zasiada czworo przybyszów. Pod płazim okiem Orlande zdejmują skarpetki, zanurzają stopy w atramentowej łaźni i biorą się za ręce. Tak wygląda wstęp do każdej wizyty w Palimpseście. Kiedy tam traficie, Orlande odbierze od Was płaszcz, posadzi Was na krzesłach i stworzy z Was rodzinę; złoży Was jak arkusz formatu *quarto*. Dla każdego wyciągnie kartę – widzisz? Tobie przypadł Dziurawy Statek, odwrócony; symbolizuje Zniekształcenie, Długą Podróż bez Oświecenia, Podagrę – i czerwoną przędzą przewiąże Wam ręce. Gdziekolwiek zbłądzisz w Palimpseście, zawsze będziesz związany z obcymi, którzy trafili do saloniku Orlande w tym samym czasie, co Ty. Nigdzie bez nich nie pójdziesz; nie zjesz kapłona ani orzesznicy, których i oni by nie zjedli; nie napijesz się przesłodzonego portwajnu, którego i oni by nie posmakowali; nie odwiedzisz dziwki, której i oni nie poczuliby pod sobą. Dopóki atrament nie zmyje się z Waszych nóg (a to, biorąc pod uwagę, że Orlande jest istotą bagienną i zna się na blocku jak mało kto, musi trochę potrwać), nie zdołasz nawet odetchnąć, jeśli i oni nie będą oddychać.

\* \* \*

Jest ich teraz czworo. Zajrzemy tam? Zmącimy im tę sakramentalną chwilę prywatności? Czy jesteśmy takimi zatwardziałymi podglądaczami? Mnie się wydaje, że tak. Po co w przeciwnym razie podchodzilibyśmy tak blisko drzwi z cynamonowego drewna, tak blisko okien z popękkanymi szybami? Zajrzyjmy. Zmącmy. Taką mamy naturę.

Dziewczyna o niebieskich włosach pólleży bezwładnie na krześle. Jej nieruchoma dłoń jest przywiązana do nadgarstka łysiejącego blondyna, który ma zaniedbane paznokcie i palce poplamione fioleto-woczar-nym atramentem. Siedzi skoncentrowany, nie odrywa wzroku od Orlande, która jest dla niego cudem, objawieniem – on dla niej zaś tylko kolejnym klientem, o którym szybko i łatwo zapomni. Jest tam jeszcze jedna kobieta. Woal ciemnych włosów nieokreślonej barwy opada jej na ramiona. Na jej policzku znak po użądleniu pszczoły rozkwita jak ślad po pocałunku. Palce jej dłoni są splecione z palcami młodego chudzielca w szarych roboczych spodniach, z pękiem kluczy przy pasku. Chudzielec próbuje jej spojrzeć w oczy, lecz bez powodzenia. Ona nie jest dla ciebie, nieszczęsny chłopcze!

Są tacy młodzi – młodzi, senni, nic niewiedzący... i niepoznawalni, prawdę mówiąc. Gęsty atrament Orlande wsiąka im w podeszwy stóp. Dziewczyna o niebieskich włosach ziewa – szczerze, bez zahamowań, jak noworodek w beciku.



# JEDEN

## Sic transit Tokio

Sei przycisnęła policzek do zimnej szyby. Za szerokim oknem, pod niebieskimi jak światło latarń chmurami, przemykały czarne pasma gór. Wiedziała, że przygląda się jej mężczyzna – w taki sposób, w jaki zawsze przyglądali się jej mężczyźni w pociągu. Wagon chygotał się łagodnie na boki, kołysząc pasażerów jak stroskana matka dziecko. Przygryzła koniuszki ciemnoniebieskich włosów – głupi dziecinny nawyk, którego nie umiała się pozbyć. Wilgotne pasemko opadło jej na odsłoniętą łopatkę. Poglądziła szybę opuszkami palców i poruszyła biodrami, ocierając się o biel wnętrza wagonu. Zawsze odczuwała taką pokusę w dalekobieżnych pociągach, które niczym fiszbiny gorsetu przecinały wyspę we wszystkich kierunkach. Shinkanseny były takie jasne, czyste i niewiarygodnie szybkie, jak mknące ku morzu świetliste węże. Nieskazitelne. Doskonałe. Niechybne.

Ciarki przeszły jej po plecach, gdy spojrzenie mężczyzny prześliznęło się po jej ciele. Czuła na sobie zimne, czarne brzemie tego wzroku; wyprostowała ramiona, żeby się pod nim nie ugiąć. Teraz wpatrywał się w okolice jej krzyża, gdzie srebrno-czarna koszula rozplywała się kaskadą starannie upiętych jedwabnych sznurków i cynowych łańcuszków. Obserwował jej ciało pod sznurkami, zagięcie nóg pod nieskromną spódnicą, odbicie poruszających się ust w szybie. Mgiełkę oddechu na szkle. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, jak najprawdopodobniej wygląda: trochę za niski, w schludnym czarnym garniturze, ściska aktówkę jak talizman, ma pewnie początki siwizny na skroniach, jest bez obrączki. Oni wszyscy tak wyglądają.

Odwróciła się. Koniuszki niebieskich włosów prześliznęły się po jej kościach biodrowych. Trochę za niski, w schludnym czarnym garniturze, aktówka przy piersi, zaczątki siwizny. Bez obrączki. Nie był zaskoczony ani zgięty w pół z pożądania, co często zdarzało się takim jak on. Patrzył na nią nieporuszony, z wyważonym, słodkim uśmiechem, jak

żołnierz ze starego zdjęcia, zaginiony w jakiejś dawnej wojnie. Spokojnie, nie odrywając od niej wzroku, odwrócił lewą rękę i oparł ją, dłonią do góry, o krawędź jasnobrązowej aktówki.

Zamiast bruzd i linii, wewnątrz jego dłoni było wypełnione znamieniem, które w pierwszym odruchu uznała za obrzydliwe – czarne i obrzmiate, wiło się i pulsowało przy każdym ruchu. Przywodziło na myśl pająka na pajęczynie: okrągłe, usadowione w środku dłoni, wypuszczało na boki odnóża, które sięgały nasady palców i rozpląwały się w fałdach skóry między nimi. Podeszła do niego, z wprawą utrzymując równowagę w pędzącym pociągu, i spojrzała z bliska. Znamię przypominało malutką mapę, nakreśloną dziką, niewprawną ręką. Wzdłuż atramentowych linii biegły maleńkie litery – nazwy ulic, prawie nieczytelne. Przy nasadzie kciuka zauważyła nawet coś, co przypominało dziwny kompas. Kiedy nachyliła się nad mapą, mężczyzna zacisnął pięść.

– Sato Kenji – powiedział. Mówił nie za głośno, nie za cicho, uprzejmie, spokojnie, oszczędnie.

– Amaya Sei.

Uniół brew, ale minimalnie i bardzo szybko, tak że później nikt nie mógłby mu zarzucić, że naprawdę to zrobił. Sei znała ten wyraz twarzy. Imiona nic nie znaczą – ot, zwykłe zbitki głosek – ale tym, którym podobał się zarys jej talii, jej imię (oznaczające czystość i wyrazistość) często wydawały się znaczące, tak jakby miały nieosiągalną dla innych głębię. Zastanawiali się, czy naprawdę jest czysta, tak czysta, jak sugeruje to jej imię, cała w bieli, pełna dziewiczej gracji.

Oparła przystrojona licznymi pierścionkami dłoń na biodrze i przekrzywiła głowę jak lis węszący za pieczenią.

– Co ci się stało w rękę?

– Nic. – Kenji posłał jej kolejny staroświecki uśmiech.

Tym razem to ona uniosła brew – równie niebieską jak włosy i przebitą delikatnym kolczykiem z matowego metalu. Wskazał jej wolne siedzenie obok siebie i Sei, chociaż wiedziała, że to nierozważne, usiadła – zdenerwowana, spięta, gotowa w każdej chwili krzyknąć lub rzucić się do ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba. Ich uda się zetknęły. Na taką bliskość nie pozwoliła sobie nigdy przedtem, z żadnym innym pasażerem.

– Wydaje mi się, że odrobinę za bardzo lubisz pociągi, Sei.

Pachniał drzewem sandałowym i specyficzną, rzadką wonią czystych wagonów kolejowych.

– To chyba nie powinno pana interesować, prawda?

– Naturalnie, że nie. Zresztą sam też je lubię. Mam samochód, nie muszę jeździć shinkansenem z Tokio do Kioto i z powrotem jak jakiś Beduin. To kosztowny nawyk, lecz miłość to miłość. A prawdziwa miłość to przymus. Muszę, więc jeździć.

Delikatnie nacisnął mosiężną zapinkę aktówki i wyjął ze środka cienką książkę w czarnej oprawie, z tytułem wytłoczonym srebrnymi literami:

## HISTORIA KOLEJNICTWA NA WYSPACH JAPONSKICH

Sato Kenji.

Sei pogładziła okładkę, tak jak wcześniej szybę w oknie. Własna skóra wydawała się jej gorąca, rozpalona, zbyt ciasna, żeby pomieścić kości. Sato otworzył książkę. Miała grube, kosztowne kartki; prasa drukarska odcisnęła w kremowym papierze malutkie wąwozy znaków *kanji*, odrobinę głębsze niż powierzchnia stronic. Kenji wziął Sei za rękę. Miał bardzo czyste paznokcie. Czytał niskim, wibrującym głosem wspólnej obsesji:

*Tuż po wojnie, wśród maszynistów na Hokkaido krążyła legenda, wedle której dno Niebios miało być wyłożone srebrnymi torami kolejowymi, w których trzecia szyna miała być zrobiona z litej macicy perłowej. Jeżdżące po nich pociągi miały się prezentować bajecznie nawet przy współczesnych japońskich shinkansenach: wagony, w których rosną lasy sosen o gałęziach obwieszonych złotymi lampionami; wagony pełne tarasowych poletek ryżowych; wagony tapicerowane czerwonym jedwabiem, gdzie kucharze podają zupę, kulki ryżowe i herbatę z persymony w kruchych czarkach, w których tonie zgrabna grudka opium. Te pociągi mijają się w wielkim pędzie i absolutnej ciszy, przewożąc duchy, które trzymają się gałęzi drzew jak pasażerowie uchwytywów, zrywają zielony ryż i jedzą go na surowo, a potem osuwają się bez przytomności w ramiona kobiet, które mają twarze, od podbródka po czoło, pomalowane na czerwono. Pociągi nigdy się nie zatrzymują ani nie zwalniają i trzeba wielkiej odwagi, by, przechodząc z wagonu do wagonu, dotrzeć do kabiny maszynisty. Na tym jednak kończą się wszelkie relacje i opowieści i nikt nie wie, co się w niej znajduje.*

*Na Hokkaido, gdzie śnieg i lód są tak białe, że wpadają w błękit, mówi się, że tylko najwyższej rangi inżynierowie Kolei Japońskich znają rozkład torów na dnie Nieba. Ich kolejne pokolenia pracują ponoć na Ziemi, powoli, lecz wytrwale, kładąc nowe tory w taki sposób, by dokładnie odzwierciedlały układ tych niebiańskich. Kiedy dokończą dzieła, cudowne wagony spadną z nieba i wszyscy mieszkańcy ziemi poznają – nie płacąc za bilet okrutnej ceny, jaką byłaby śmierć – spojrzenie czerwonych kobiet, światło lampionowych lasów i smak herbaty z persymony.*

Sato Kenji uniósł wzrok znad książki i spojrzał Sei w oczy. Wiedziała, że jest zaczerwieniona, i wcale się tym nie przejmowała. Ręce jej się trzęsły, nogi ją bolały, nie mogła okiełznać przyspieszonego oddechu. Ona również nie dlatego jeździła pociągami, że potrzebowała ich jako środka transportu: tęskniła do nich, tęskniła do zimnego powiewu

powietrza na smaganym wiatrem peronie, do dyskretnego szeptu drzwi zamykających się za jej plecami, gdy pociąg przyjmował ją jak swoją. To pragnienie narodziło się w niej na długo przed tym, jak Kenji wsiadł do jej wagonu. Ich ręce – udrećzone pociągami – zetknęły się. Sei wyjęła książkę z rąk Kenjiego i przycisnęła do piersi. Serce waliło jej jak młotem, jakby chciało odczytać treść książki przez kości, ciało i skórę, bez pośredników, zachłannie, tuląc komory wprost do stronic. Połączyło ich porozumienie: ona już nie odda mu książki, a on nie poprosi o jej zwrot.

Zamiast tego (później będzie się zastanawiać, dlaczego to zrobiła, dlaczego coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy, i nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie) wzięła Kenji Sato za rękę i zaciągnęła go w telepiące się, rozdygotane miejsce między wagonami, gdzie wiatr wylł i świszczwał w szczelinach podłogi, a białe ściany przechodziły w chrom. Pocałowała jego siwe włosy. Dziеляca ich przestrzeń stała się gęsta i skwiercząca, i choć Sei powtarzała sobie w duchu, że to nierozważne i nierozsądne, zagłębiła się w tym rozgorączkowanym, obłąkańczym powietrzu, żeby się w niego zagłębić, wnikać w jego usta i pod skórę.

Wtulił twarz w jej szyję, dźwignął ją, jakby nic nie ważyła, i oparł plecami o drzwi wagonu; niebieskie włosy rozsypały się na szybie. Cichy okrzyk Sei zabrzmiał jak wizg silnika, kiedy przywarła do niego, przemieściła się, żeby ułatwić mu wejście. Czowała na obojczyku jego ciepły, miarowy oddech. Położył jej dłoń na plecach; gorący dotyk czarnego znamienia był jak oparzenie, jak piętno. Przycisnęła książkę do jego pleców i zamknęła oczy. Czowała każdy wstrząs, każde szarpnięcie wagonów. Wydawało jej się, że jest olbrzymia – i rozpęknięta, jakby przyjęła w siebie cały ten ogromny pociąg, jakby rozedrgane pchnięcia intelektualisty Kenjiego były miłosnymi ruchami jej ukochanego shinkansena, dla których człowiek z aktówką był zaledwie przewodnikiem i pośrednikiem, a one przesywały go na wylot i wnikały w nią, prowadzone srebrną siecią niebiańskich torowisk.

# DWA

## Miasta pszczół

Jest na autostradzie międzystanowej takie miejsce, w którym kończą się czarne szpony Los Angeles i przed podróżnym otwiera się rozciągnięta u stóp gór dolina San Joaquin, niewiarygodnie złota, poszatkowana zielonymi polami pszenicy i truskawek, sadami pomarańczowymi i ciągnącymi się bez końca zagonami rzodkiewki, gdzie ziemia jest wolna od grzechów spętanej palmami, sprytnej i podstępnej południowej Kalifornii.

November знаła to miejsce, знаła je tak dobrze, że jej bosa stopa na pedale gazu zaczęła pulsować, gdy się do niego zbliżała. Jej wyładowany płodami ziemi zielony samochodziłk wspiął się na ostatnie wzgórze splątanej sieci autostrad Grapevine i światło zaczęło się zmieniać, przechodząc z ostrego, sinego oparu w błogi, złoty odcień krwi świętych. Ścisnęło ją w gardle, gdy w dole rozpostarły się bezkresne, miękkie pola, ciągnące się aż do San Francisco, a nawet dalej, wyżej, do oregońskich lasów sekwojowych.

Często sobie wyobrażała – w dzieciństwie, kiedy jej matka kursowała w tę i z powrotem między dwoma wielkimi miastami Zachodu – że międzystanowa piątka nigdy się nie kończy, że przecina Kanadę i dociera do bieguna północnego, gdzie pas zieleni między jezdniami jest skutym lodem, a mosty są wyrzeźbione w arktycznym kamieniu. Nawet teraz, kiedy na własną rękę przemierzała wybrzeże, kusiło ją czasem, żeby minąć wszystkie zjazdy i popędzić przed siebie, coraz dalej i dalej, wprost do zimnych gwiazd i nawiedzanych przez lisy lodowców. Zawsze jednak kończyło się na tym, że na drodze wyrastało jej miasto Świętego Franciszka i reszta świata rozplywała się we mgle, wśród powykręcanych drzew.

Nie umiała uciec przed dziwnym klimatem hiszpańskiej świętości, jaką narzucała jej Kalifornia: miasta nazywane na cześć świętych, aniołów, błogosławieństw, stolica jak sakrament... Smakowała te miejsca językiem jak hostie; dachówki tętniły czerwienią krwi. Ślad jej krwi przecinał stan na wskroś: matka na emeryturze wygrzewała stare kości nad ciepłym południowym morzem, a nieżyjący od dziesięciu lat ojciec spoczywał na północy,

pod wilgotnym mchem.

Poznali się na południu, na pomoście portowym wysuniętym daleko w głąb spienionego Pacyfiku. Młoda przyszła matka November, w podkasanych oliwkowych ogrodniczkach, z ogromnym, długim nożem w ręce, zarzynała właśnie małego żarłacza błękitnego, którego złapała przez przypadek, zasadziwszy się na łososia. Była unurzana we krwi po łokcie, miała ubranie całe w rdzawych plamach i ślad krwawej fontanny na policzku. Kiedy ojciec przycumował żaglówkę do pomostu, spojrzała nań ponad srebro-szkarłatnym truchłem rekina i oboje się roześmiali.

Ojciec już na długo przed śmiercią przepadł gdzieś na północy, daleko od żony i morza. Pod koniec mieli po prostu serdecznie dość siebie nawzajem; może wszystko, co zostało poczęte z krwi, soli i śmierci musi mieć taki koniec. Musiały ich dzielić co najmniej trzy górskie pasma, inaczej nie mogli żyć. I przeciągali między sobą córkę, jak błyszczący czarny paciorek odliczający kolejne porażki miłości: wolniutko prześlizgiwała się między nimi tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż w końcu osiadła w kraju ojca, porzuciwszy głośnie błękitny i złocistości południa. Nie potrafiła ich już znieść.

Oczywiście nie mieszkała w San Francisco. Nie było jej na to stać. Ale to miasto ją przyciągało, wznosiło się nad zatoką jak wschodząca nad morzem gwiazda złożona w muszli, błękitno żółkowane i kuszące obietnicami rozgrzeszenia. Nocą stawało się masą świateł, u kresu mostów i autostrad. Jego ogromne czarne ślepia patrzyły na wschód.

November opiekowała się grobem ojca w Benicii, utrzymując w ten sposób symboliczne związki z miasteczkiem i jego głośno zachwalanymi dobrodziejstwami. Przy okazji grobu opiekowała się także szesnastoma sześciokątnymi ulami pszczelimi. Nadała imiona wszystkim królowym.

Specjalnie dla pszczoł utrzymywała w idealnym stanie misternie skomponowany ogród, którego aromat zbierały na odnóża i przenosiły do miodu. Ta właśnie złocista nauka wypełniała małe, pilnie strzeżone terytorium jej wnętrza, kiedy długą drogą niespiesznie wyjeżdżała z pustyni, z bagażnikiem pełnym cebulek juki i sadzonek jakarandy z korzonkami oblepionymi ziemią i zawiniętymi w płótno, kiedy skręcała z ostatniego skrawka autostrady w bezkresną kolumnę samochodów pełną po żelaznej masie Bay Bridge.

Jesteśmy gotowi czekać w nieskończoność, jak kolejka skruszonych cudzołóżników przed białym ołtarzem, pomyślała. Byle tylko wpuścili nas do miasta. Gromadzimy się przy tej matowoszarej bramie, wiedząc że ta złota jest oszustwem. Że Golden Gate jest tylko na pokaz. Prawdziwi wierni wiedzą, że Bóg nie mieszka w złotej dzielnicy. Turyści gapią się z rozdziawionymi ustami na pomarańczową katedrę, a wiedzący spotykają się tutaj, przy wejściu, niskim i długim, cierpliwie wyczekując chwili, w której będzie im dane zapłacić za przywilej chwilowego oglądania – ale już nie dotykania – obfitości klejnotów i darów ofiarnych, w których pławi się San Francisco.

Wjechała powoli na most. Woda była czarna. Odruchowo poszukała wzrokiem

Chinatown i sklepiku, w którym student biologii, w okularach, sprzedawał anyż gwiazdkowy i szalotki. Uwielbiała Chinatown o trzeciej nad ranem: przygaszone czerwienie i zieleń, w cieniach między latarniami zepchnięte w czerń, okolica tajemnicza i opustoszała; każdy różowy neonowy ideogram wydawał się w mroku bohaterem.

Znalezienie o tej porze otwartej restauracji, która nie wyrzuciłaby samotnej kobiety (komu opłacałoby się uprzętać stół, przy którym zamówi co najwyżej filiżankę kawy i zupę *won ton?*), wymagało nie lada talentu, nie byle jakich kartograficznych umiejętności. W tę noc wystarczyły zaledwie półgodzinne poszukiwania, żeby November odkryła gościnną knajpę, a w niej zasobne w skrobię dobrodziejstwo parującej zupy z pierożkami, duszonej wołowiny i pikantnych ostryg.

Boks w restauracji był wyłożony twardym spękany winylem w kolorze tapicerki chevroleta, który dwadzieścia lat stał na słońcu. Podwieszony w kącie pod sufitem telewizor pokazywał wiadomości z Pekinu, bez podpisów, November zbłądziła więc wzrokiem na młodą kobietę w sąsiednim boksie, której niebieskie oczy klóciły się z orientalnymi rysami twarzy. Małymi łykami jadła zupę. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, jedyne klientki restauracyjki, aż w końcu ta druga przytknęła palec do źrenicy oka i zręcznym ruchem odsunęła soczewkę kontaktową w bok, jak kurtynę, uśmiechając się przelotnie, gdy pomarszczona soczewka odsłoniła czarną tęczówkę.

Kiedy za rok November spróbuje sobie przypomnieć tę noc, dojdzie do wniosku, że kobieta miała na imię Xiaohui. Będzie przekonana, że brzmienie tego imienia dobrze zapadło jej w pamięć, że dźwięczało w uszach jak maleńki miedziany dzwoneczek. Przypomni sobie, że podzieliły się pierożkami i że Xiaohui studiowała w Berkeley historię, znała imiona wszystkich wnucząt Mahometa i potrafiła z pamięci wyrecytować wyniki spisu powszechnego mieszkańców prastarego miasta Karakorum, w którym stały czerwone namioty chanów.

A November miała tylko swoje pszczoły. Nagle wydały się jej blade, nijakie, ubogie.

– Opowiedz mi o miastach pszczoł – zaproponowała Xiaohui, podparłszy głowę ręką. – Powiedz, jaki obwód ma odwłok królowej. Jak smakuje ich miód.

November parsknęła śmiechem. Żona właściciela restauracji spiorunowała ją wzrokiem znad tacy przygotowanych na jutrzejszy dzień ciasteczek.

– W tym roku dałam im orchidee – zaczęła nieśmiało. – Orchidee, belladonnę i maki. Niewielki ma się wpływ na smak miodu, naprawdę. Zawsze smakuje jak miód i tylko czasem ma jakiś lekki aromat, jakby z najwyższym trudem zapamiętywał białe i fioletowe płatki, gęstą zieleń, zdrewniałe łądyżki. Rok temu puszczałam je na poletko czerwonych lilii i lawendy. Lubię... lubię wykorzystywać w tym celu jaskrawe kwiaty, chociaż wydaje mi się, że to nie ma znaczenia.

Xiaohui uniosła brwi. November się zarumieniła i sięgnęła do torebki po słoiczek ze stempelkiem przedstawiającym lilię na pokrywce. Podała go dyskretnie nad stołem, jak

szpieg, który z ulgą pozbywa się tajnej informacji. Niebieskooka kobieta zanurzyła kciuk w słoiczku i pospiesznie zlizwała mętny miód ze skóry, zaciskając usta, żeby nie uронić ani kropli, i przymykając oczy. Drugą ręką sięgnęła po rękę November i splotła swoje palce z jej palcami.

Dostały ciasteczka z wróżbą – nie były zawinięte w celofan, ale świeżutkie, prosto z pieca, brudzące tłuszczem rachunek. Przełamały ciasteczka i Xiaohui wskazała skinieniem głowy żonę właściciela.

– Mama codziennie je piecze – szepnęła. – Wkłada do nich bzdurne przepowiednie, związane z tym, o czym myśli przy pieczeniu. „Ach, jaka gęsta jest ta dzisiejsza mgła! W prowincji Jiangxi mgły są rzadsze”. Albo: „Mam uczulenie na mleko”. I tym podobne. Ludzie mają ją za wariatkę, ale kupują ciasteczka tuzinami.

– A ty co o niej myślisz?

Xiaohui wzruszyła ramionami.

– Jest moją matką. A w Jiangxi naprawdę była ładna pogoda.

November zerknęła na trzymany w ręce skrawek papieru.

„Czyż moja córka nie jest słodka?” – przeczytała.

Nie była, jak przekonała się November, całując ją przed restauracją, pod blaknącymi konstelacjami gwiazd. Smakowała mąką i solą. Przycisnęły się do siebie, uciskając piersi pod wilgotnymi od mgły płaszczami; wrażenie było w połowie bolesne, w połowie przyjemne. Xiaohui zaprowadziła November do mieszkania nad sklepem spożywczym. Rzuciły się na siebie tuż za progiem, niezdarnie, jak zwierzęta, zbyt rozpalone, żeby się bawić w subtelności. Xiaohui przygryzła dolną wargę November. Połączyła je krew.

– Potrzebujesz mnie – wyszeptała bez tchu Xiaohui. Wciągnęła November na siebie i wcisnęła jej ręce pod pasek spodni, żeby tam ugniatać i drapać pewne miejsca. – Potrzebujesz mnie.

– Chciałaś chyba powiedzieć „Potrzebuję cię”? – szepnęła jej do ucha November.

– Nie... – sapnęła Xiaohui. Wygięła plecy w łuk i zadarła brodę, podstawiając się do pocałunku, do zapadnięcia się w nią, do pożarcia. – Zobaczysz. Zobaczysz.

\* \* \*

Xiaohui odpływała w sen (jedną dłonią zakryła sobie oczy, teraz już czarne i uczciwe, drugą, otwartą i miękką, położyła na cienkiej studenckiej pościeli), a November wpatrywała się w mrok. Nie spała. Nie była to żadna nowina w jej uporządkowanym świecie: związki międzyludzkie wymagają wiele czujności i uwagi. Trzeba je podtrzymywać, świadomie umacniać. A inni ludzie zajmują tyle przestrzeni, pochłaniają tyle czasu... To męczące. Tak było lepiej: od czasu do czasu wypad do Chinatown, do miasta Świętego Franciszka, który jest opiekunem dzikich i zbłąkanych zwierząt. Tak było lepiej, ale później miała niespokojne



sny.

Delikatnie pogładziła wewnętrzną stronę uda Xiaohui, na której widniało znamię – okrutnie wyraziste, jak tatuaż: pajęcza sieć niebiesko-czarnych linii, przecinających się nawzajem, zakrywających pory jej skóry, ostro łamanych lub łagodnymi łukami wybiegających na gładką, czystą skórę. Można by pomyśleć, że to stwardniały jej żyły, szcerniały i stały się czymś więcej niż żyłami, jakby uparły się wymknąć poza granice ciała właścicielki. Wtulona w szyję kochanki Xiaohui mruknęła coś przez sen – coś o zbiorach zbóż w czternastowiecznym Awinionie.

– To wygląda jak plan miasta – szepnęła November i przykryła znamię dłonią. Jasna skóra Xiaohui wydawała się wtedy nienaruszona.

# TRZY

## Senny żywot zamka i klucza

W mieszkaniu Olega nie było niczego, co nie byłoby schowane i zamknięte na klucz, ukryte bezpieczniej niż niejeden skarb, niejedno serce. Nawet słabe światło wysokiej, przykurzonej lampy, zbrązowiełej na brzegach jak stare jabłko, było spętane i zamknięte na zamek, łańcuch i zasuwkę. Nie mogło opuścić pokoju. Świeciło tylko tutaj i tylko dla Olega. Dla nikogo innego.

Oleg był ślusarzem. Oficjalnie specjalizował się w dorabianiu kluczy, prywatnie zaś był zapalonym kolekcjonerem wszelkiego rodzaju zamków.

Nieco mniej pasjonował się kluczami, chociaż również je kolekcjonował. Dobierał je jednak nie do zamków, do których zostały stworzone – nowy do nowego, stary do starego, mosiądz do mosiądzu, karta do czytnika, jak mógłby to robić przeciętny ślusarz – lecz do tych, do których, jak czuł, tęsknią w głębi swych metalowych serc. Zardzewiały żelazny klucz z główką przyozdobioną łbem ryczącego lwa powiesił obok lśniącego zamka hotelowego na kartę magnetyczną, którego dwie lampki – czerwona i zielona – dawno zgasły. Pospolity stalowy klucz do pierwszych lepszych drzwi wejściowych trzymał razem z najpiękniejszym z zamków, szczerozłotym, z wypukłym deseniem lilii na powierzchni i złożonym systemem bolców i zapadek w środku. Tylko Oleg słyszał ich płaczliwe nawoływania; tylko on wiedział, jak cierpią, nie mogąc się połączyć.

Słabo pamiętał Nowogród, w którym się urodził i przeżył krótkie dzieciństwo. Wydawało mu się, że w ogóle niezbyt długo pozostawał dzieckiem; z pewnością, gdyby to był ważny okres w jego życiu, lepiej by go zapamiętał, prawda? A zostały mu tylko pojedyncze obrazy, jakby kiedyś spędził wakacje w Nowogrodzie – jak zdjęcia, pocztówki, pamiątki. Naprawdę urodził się dopiero po tym, jak się wyprowadzili i niczym para unosząca się nad filiżanki z herbatą popłynęli do Wiednia, Neapolu i wreszcie Nowego Jorku. Ulatniali się z kolejnych miast cicho, dyskretnie, jakby nie chcieli wzburzyć powietrza. Szukał w pamięci choćby

jednego słowa, które usłyszał od matki w pociągach lub na statkach łączących dwa niedopasowane bloki jego życia, ale przypominał sobie tylko jej zimne, białe ręce i akwamaryn na złotym łańcuszku, który nosiła na szyi, twardy, przezroczysty, kolebiący się w rytm kołysania pociągu. Zdjęcia. Pamiątki.

Mimo to Nowogród wciąż tkwił w jego sercu – obcy twór, ukryty jak klucz. Jak przez mgłę pamiętał ręciovny nurt Wołchowa i białe kopuły, przykryte śniegiem jak pękate cebulki czosnku. Wszystkie te cerkwie były jednak dla niego bezimienne – nie umiał znaleźć imion ich świętych patronów w swoim zapominalskim sercu i za ten grzech pokutował życiem wśród zamków. W Nowogrodzie w jego głowie wszystko było białe i szare, nawet skrzypkowie na Orłowskiej: ludzie bez krwi, grający na instrumentach z popiołu. Białe wahadło Nowogrodu kołysało się w nim, kiedy z narzędziami w rękach ślęczał nad zamkami piękniejszymi i bardziej złożonymi niż wspomnienia.

Mieszkał w Nowym Jorku, lecz Nowy Jork Olega Sadakowa nie był tym samym Nowym Jorkiem, w którym mieszkali inni ludzie. Sam doglądał tego sekretnego miejsca, odbitego na rewersie miasta jak sygnatura rzemieślnika, który je stworzył. Czołgał się i skradał przez nie na czworakach – i nasłuchiwał, bo słuch miał Oleg wyśmienity, lepszy niż króliki, konie i kasiarze.

Problem polegał na tym, że Nowy Jork był sławny. Oleg widział go już w Nowogrodzie; tak często go fotografowano, filmowano i rejestrowano, że wszyscy znali jego nazwę, zarys, kształt jego ciała. Napisano o nim tak wiele książek; tak wielu ludzi pokochało go i w nim mieszkało, a ich ubrania przesiąkły wonią jego piżma; tak wielu jadło jego pokarm i piło jego wodę; tak wielu wychwalało jego cnoty, głosząc je jak ewangelię nowego świata – że miasto z nieskończoną powolnością rozpląnęło się, rozwiało w pył, przestało istnieć. To, co wznosiło się obecnie na Manhattanie, było już tylko srebrno-białym echem milionów wszystkich tych próżnych słów, powidokiem nieskończonej liczby fotografii i filmów objawiających jego istnienie wszystkim, którzy mogliby jeszcze nie doceniać jego wspaniałości. Było potworem, odbiciem w baśniowym zwierciadle (błyszczącym, lecz fałszywym), sobowtórem, golemem z topornie wrytym na czole napisem „Nowy Jork”.

Nikt tego nie zauważył.

Oleg wycofał się z rozłożystych ramion tego miejskiego olbrzyma i skoncentrował wyłącznie na zamkach. Wpuszczał ludzi do miejsc ukrytych i oczywistych, takich, które były ich własnością, i takich, w których nie mieli prawa przebywać, do domów kochanków, do sklepów, pokojów hotelowych i porzuconych budynków. Było mu to obojętne; chciał tylko dotykać zamków i wyszukiwać klucze, za którymi płakały. Widział nieskończone miasto zamków, ze wszystkich stron oplatające i przenikające czarno-białego molocha. Późną nocą wyobrażał sobie czasem, że mógłby zajrzeć w głąb jednego zamka i zobaczyć wszystkie inne, ustawione w nieskończonym rzędzie i otwierające drogę do stu tysięcy domów, do Hudsonu, do Atlantyku. Prawie widział wtedy spienione fale oceanu.

\* \* \*

Tylko raz przyznał się komuś, że wie, co się stało z Nowym Jorkiem. Później zrobiło mu się głupio, ale nie mógł nic na to poradzić: miała na imię Ludmiła. To nie jego wina, że ów prosty fakt obudził w nim takie pokłady zaufania, tak wielką instynktowną poufałość. Ludmile zatrzasnęły się drzwi do jej wysokiego, wąskiego domu, w którym przestraszone koty miauczały sopranem.

– Tak miała na imię moja siostra – powiedział półgłosem, oglądając zamek w drzwiach kamienicy z elewacją z piaskowca. Przysunął się tak blisko, że rzęsami szorował o wiekowy metal.

Kobieta, pełna nadziei, zagadnęła go po rosyjsku. To się czasem zdarzało; takie chwile napawały go lękiem. Pamiętał dosłownie kilka słów; chrzęszczące śniegiem spółgłoski i połykane samogłoski rozplynęły się w tej samej lodowatej mgle co reszta Nowogrodu. Przerwał jej, zaczerwienił się, przeprosił, przyznał, że mało pamięta. Uśmiechnęła się. Miała białe zimne ręce i szesane na bok blond włosy, które rozsypywały się ciężko na kołnierzu granatowego płaszcza.

– Nic nie szkodzi – odparła. – Pamiętanie to żmudna robota. Nikt nie jest do niej stworzony. Pytałam, czy pańska siostra też mieszka w Nowym Jorku?

Oleg pokręcił głową. Otworzył skrzynkę z narzędziami.

– Utonęła, zanim się urodziłem. W Wołchowie. Miała na sobie czerwoną sukienkę i czarne pończoszki, to był zimny dzień. Matka była w ciąży ze mną. Na chwilę przymknęła oczy, dosłownie na minutę, żeby odpocząć. Zawsze potem mówiła, że usłyszała plusk najpierw w kościach, a dopiero potem w uszach.

– Przykro mi – powiedziała Ludmiła. Postawiła kołnierz, jakby chciała się nim odgradzić od lodowatych rzecznych wód na innym kontynencie.

– Zdarza się – westchnął Oleg.

Z głośnym szcękaniem zamek uwolnił dom ze swojego uścisku. Oleg miał wrażenie, że jego serce odpowiedziało echem na ten szcęk, jakby też się otworzyło i zaczęło wykrwawiać na próg. Czoło miał rozpalone, pierś pulsowała mu bólem. To był dopiero trzeci zamek w tym dniu, praca jeszcze nie rozkręciła się na dobre. Spojrzał na Ludmiłę – Ludmiłę, która nie była jego siostrą, nosiła pierścionek z topazem i miała niesamowicie długie rzęsy.

– Zaproś mnie do środka, Miła – powiedział, dzielny odwagą zamka.

W pierwszej chwili się zaniepokoiła, ale skinęła z namysłem głową i skierowała go do małej kuchni. Oleg czuł się jak u siebie w domu (podobnie jak w wielu innych domach, które nie należały do niego, dopóki nie odkrył szlachetnego zastosowania dla swojej pasji), smarując grubą pajdę chleba masłem i ikrą łososia, krojąc soloną rybę i nalewając schłodzone wino do kieliszków. Ludmiła nie wchodziła mu w paradę. Przysiadła spokojnie na krześle i

kilka razy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zawsze kończyło się na tym, że tylko patrzyła, jak się porusza, jak dotyka chleba i ryby.

Jedli w milczeniu. W małym niebieskim pokoju Ludmiła płonęła jak małe słońce. Dopiero kiedy zjedli, zdjęła płaszcz i Oleg zobaczył, że ma na szyi plamę w kształcie pająka, pałające czernią znamię – którego macki, ukryte pod włosami, sięgały aż pod szczękę, szeroko rozcapierzone jak miniaturowe ulice i aleje – tak intensywnie czarne, że zdawało się, że pulsuje w rytmie jej serca.

– To znamię. – Roześmiała się. – Albo coś w tym rodzaju. Bo znamię powinnam mieć od urodzenia, a nie urodziłam się w zeszłym roku.

– Nie przeszkadza mi – zapewnił ją półgłosem.

– Nigdy nie byłam w Nowogrodzie. Urodziłam się w Odessie. Tam jest ciepło, tak ciepło, a domy są takie białe... Kiedy wracam do niej pamięcią, widzę tylko tę biel. I morskie ptaki. Tutaj stale marznę. Czasem budzę się i wydaje mi się, że czuję zapach Morza Czarnego. Jesteś szczęściarzem, że tak niewiele pamiętasz.

Oleg przykrył jej dłoń swoją. To pewnie przez ten zamek, przez to, z jaką łatwością go otworzył, jak się przy tym zarumienił, jak westchnął z ulgą, cichutko, tak że nikt inny nie słyszał tego westchnienia – tylko to mogło wyjaśnić, że jakimś cudem zebrał się na odwagę, żeby dotknąć jej w taki sposób, bez pozwolenia. Serce biło mu zbyt mocno, zbyt szybko. Był nieśmiały i małomówny, jak matka. W Ludmile usłyszał jednak wołanie klucza, który płakał starymi rdzawymi łzami.

– To jest zwykle trudniejsze – powiedziała cicho, patrząc na ich złączone dłonie.

– Co?

Zamknęła oczy i usta, zacisnęła kurczowo powieki i wargi, jakby chciała za wszelką cenę zatrzymać w sobie całą swoją istotę.

– Dotknięcie drugiego człowieka, przespanie się z nim... ma w sobie coś z pionierstwa – wyszeptła. – Pionier zakrada się na granicę czyjegoś prywatnego świata, dziwnego, niepojętego świata wewnętrznego, pełnego niepowtarzalnych zwyczajów, dźwięczącego językiem, który brzmi podobnie do jego języka, ale w rzeczywistości jest zupełnie obcy. Wiele razy byłam w takich obcych krajach. Nauczyłam się, jak parzyć kawę wedle obyczaju ich mieszkańców, jak dzielić się jedzeniem, jak pocieszać, jak tańczyć miejscowe tańce. Zwykle znacznie trudniej jest znaleźć kogoś, kto chciałby razem ze mną spacerować po ulicach, próbować herbaty z mojego kraju, kogoś, kto chciałby... imigrować, jeśli można tak powiedzieć. Zwłaszcza... z tym. – Wskazała znamię.

Dotknął jej szyi i wyrysowanych na niej czarnych linii, gorących, drżących lekko w rytmie pulsu.

– Myślę, że spodobałby mi się twój kraj – powiedział nieśmiało.

Nie dodał nic od siebie, przepełniony tym co martwe, i tym co zamknięte.

Wziął ją w ramiona i przytulił jej złocistą głowę do piersi. Jakaż ona była zimna! Skórę

miała suchą i jakby zmrożoną; miał wrażenie, że słyszy w niej morskie ptaki, trzepoczące skrzydłami na wysokości skutych lodem stawów barkowych.

Ludmiła, która nie była jego siostrą, objęła go jak dziecko za szyję. Nie śmiał odetchnąć. Pocałował jej oszpeconą żuchwę.

– Jestem mężatką – powiedziała bez ogródek, mimochodem, jakby podawała swój adres albo wzrost. Nie odsunęła się.

– To bez znaczenia – wychrypiał. Głos spływał mu z gardła jak skórka z obranego czarnego owocu. Wziął głęboki wdech i wyszeptał w jej włosy: – To miejsce nie jest rzeczywiste. Nie wiedziałas? Nie domyśliłaś się? Wszyscy na nie patrzyli i patrzyli, otwierali szeroko oczy, usilnie starali się zapamiętać, sfotografować, zapisać w powieściach, bez chwili przerwy. Kiedy tak na coś patrzymy, zabijamy to. To jak z mrówką pod lupą. Nie ma już Manhattanu. Unosimy się w czarnych odmętach i widzimy Empire State Building tam, gdzie jest tylko ziejąca pustka. Jakie to ma znaczenie, co robimy w takim miejscu? Z kim bierzemy ślub? Czy kłamiemy?

Wtedy go pocałowała. W jej ustach i w jego gardle była pustka. W mrokach martwego Manhattanu dźwignął ją i oparł plecami o drzwi spiżarni. W środku grzechotały słoiki z dżemem: malinowym, porzeczkowym, śliwkowym.

\* \* \*

Kiedy wrócił do domu (zamek z ulgą przyjął jego powrót), jego siostra siedziała w kuchni z rękami złożonymi na kolanach i wpatrywała się w niego ogromnymi czarnymi oczami. Starał się na nią nie patrzeć.

– Stęskniłam się za tobą, Oleżka – powiedziały martwe usta tej drugiej Ludmiły, w czerwonej, teraz o wiele za małej sukience, z szyją wciąż oplecioną dławiącym zielskiem z Wołchowa.

# CZTERY

## Żona introligatora

Ślady po cięciach papierem na opuszkach palców Ludovica przypominały siatkę południków i równoleżników. Palce dawno już przybrały matowozłoty odcień drogiego kleju – z rodzaju tych, co, do których można mieć całkowitą pewność, że pochodzą z przetworzonego ciała jakiegoś zwierzęcia; przy odrobinie szczęścia i dużych nakładach finansowych w grę wchodziły zwierzęta tak egzotyczne jak ryś lub wielbłąd. Ludo używał prawie wyłącznie takich właśnie zmętniałych, złowieszczych klejów; interesowały go, ciekawiło go ich pochodzenie. Lubił sobie wyobrazać, że pęta książkę ścięgnem chińskiego tygrysa; że kiedy śpi, niezliczone grzbiety ksiąg przeciągają się, warczą i szerokimi jęzorami liżą litery na kartach.

Jego żona, Lucia, nie słyszała pomruków drapieżnych kotów w ciemnościach. Miała mocny sen; zielona koszula nocna ledwo, ledwo unosiła się i opadała w oddechu. Jej ciało przywodziło na myśl mały pagórek na łóżku, stały element domowego krajobrazu, do tego stopnia zespolony z jego głębą, że Ludovico spodziewał się czasem, że kwiat zakwitnie na jej ramionach albo wciśnie im łodyżkę między usta przy porannym pocałunku – równie zwyczajnym i niezbędnym jak filiżanka kawy. Uważał się za człowieka skłonnego do głębokiej zadumy i takie myśli utwierdzały go w tym przekonaniu. Kwiaty, które bez światła rozkwitały w jego głowie, były liczne i blade.

Lucia nie była katoliczką, lecz raczej hybrydą ateistki i humanistki. Z tego powodu dawniej Ludovico traktował ją z rezerwą – kiedy jako przykładowy młody rzymianin z jednakową beztróską i czcią odwiedzał Bazylikę Świętego Piotra i Forum Trajana. Ona zaś pogardliwie wypowiadała się o medaliku ze świętym Izydorem, który zawsze wiernie nosił na piersi. „Jakim trzeba być człowiekiem, żeby oddawać cześć świętemu, o którym nikt nie pamięta?” – mawiała. „Przecież on nawet nie był Włochem!”. On zaś, mimo że ją kochał, nie umiał jej wyjaśnić, że święty Izydor, chociaż oficjalnie nijak nie był patronem przedstawicielei

jego profesji, wydawał mu się najwłaściwszym świętym od ksiąg – otoczony aureolą trzmieli, których analizie socjologicznej poświęcił bite dwie kolumny w *Etymologiae*, pierwszej w dziejach encyklopedii, obszernym kompendium wiedzy średniowiecznej, w którego kartach zawierał się cały świat.

Kiedy Lucia popadała w taki przekorny nastrój, Ludo po prostu całował to miejsce na jej skroni, gdzie miękkie czarne włosy wtapiały się w skórę, i cytował jej przemyślenia Izydora o sprzecznościach natury chimery. Tym właśnie była Lucia – jego chimera, jego złożonym potworem, jego ryczącą, kąsającą i całującą bestią.

A jakie skomplikowane i prześliczne rysunki kreśliła na marginesach ksiąg! Jakimż byłby intrologatorem, gdyby nie ona, jej nieskończona zmienność i obsesyjna znajomość wszystkich sekretów atramentu? Nie słyszała zaklętych w książkach tygrysów, ale umiała wyczuć woń indyjskiego drewna i grozę mątwy w miseczkach pełnych czerni, fioletu i brązu, równie intensywnych jak farby olejne. Rozumieli się bez słów, gdy Ludovico przycinał stronice, oklejał okładki miedzianej barwy jedwabiem i układał czcionki w wiekowej prasie drukarskiej, która niczym stary, hardy bazyliśzek stała w kącie w kuchni (musieli przenieść piec, żeby zrobić jej miejsce), pożerała papier i wydalała książki. Ludovico ją kochał, Lucia zaś, oparłszy ręce na biodrach, pozostawała głucha na jej jęki i protesty, aż ta, zawstydzona, godziła się służyć im wiernie przez kolejny rok.

Byli szczęśliwi – szczęściem tego rodzaju, jakie rodzi się z wygodnego bałaganu butelek po *sauvignon* i kubków po kawie w zlewie, tanich kryminalów z rozpękniętymi grzbietami na nocnej szafce, szlafroków przerzuconych przez oparcia wysokich, tapicerowanych brokatem foteli, okiennic otwartych na oścież na całą noc i przedpokoju, który nie może się doczekać malowania.

W drugą zimę po ślubie, kiedy Ludo pojechał w odwiedzinach do mieszkających w Umbrii braci i zostawił Lucię samą, opętał ją irytujący, węzoogoniasty duch chimery, który do tej pory siedział niechętnie spętany w jej wnętrzu. Spaliła wszystkie meble w przedpokoju (stolik pod telefon i cztery japońskie lampy z papierowymi kloszami), nagromadzone przez rok nieprzeczytane listy i ukochany fotel do czytania Ludovica. Bez snu, bez jedzenia, pracując dniem i nocą, pokryła powierzchnię żółtawych ścian kompletnym tekstem *Etymologiae*, spisany drobnym, zwichrowanym pismem, którego nigdy przedtem – i nigdy potem – nie użyła. Kiedy wrócił Ludovico, leżała skulona na podłodze jak zgoniony lis i spała, otoczona słowami świętego Izydora.

Na ten widok Ludo padł przy niej na kolana i zapłakał. Od tamtej pory przestał bywać w bazylice. Zamiast tego sam odprawiał milczące msze w pustym, jasno oświetlonym przedpokoju, całując słowa Hiszpana jak paciorki różańca. Wybaczył Lucii fotel, rzecz jasna, a ona wybaczyła mu świętego, kiedy własnym cierpieniem potwierdziła jego świętość.

I tak sobie żyli – dwie nieustępliwe, milczące bestie, rozkochane w sobie nawzajem. Zamiast kwiatów, które zachwyciłyby inną kobietę, przynosił jej znalezione na ulicach



odłamki marmuru, a ona przyciskała je do policzka, nagrzewając do temperatury ciała, sama zaś znosiła mu najdziwniejsze cudzoziemskie kleje, niczym czarodziejskie maści – i doskonale się rozumieli. Dopóki nie zasiadł do oprawiania książki wydrukowanej na florenckiej prasie do drukowania miniatur.

Była dziełem pewnego japońskiego dżentelmena i zawierała mnóstwo dziwacznych, odrażających ilustracji, sporządzonych, jak się domyślał, przez samego autora; nie pochwałał takich praktyk, lecz introligatorstwo jest rzemiosłem luksusowym i nie mógł przebierać w ofertach. Wszędzie w domu walały się papiery, jedwabie i deski – poza uświęconym przedpokojem, który pozostał pusty jak kredens w domu biedaka.

Lucia, nie mając zajęcia przy najnowszym zamówieniu, spędzała wesoło czas w mieście, przez co rzadko się widywali. Kiedy rankiem cicho wymykała się za drzwi, oczami wyobraźni widział znikającą za nimi złotą łapę i szmaragdowy ogon zamiast smukłych czarnych pantofelków i szeleszczącej kremowej sukienki. Uśmiechał się wtedy, a w jego rzednących blond włosach migotało słońce wielu dni.

Nie zauważył go więc, dopóki któregoś dnia nie zajęła się konserwacją prasy drukarskiej, z plamą atramentu na policzku do złudzenia przypominającą zabłąkane krucze pióro. Stała odwrócona tyłem do niego, tak że widział zgięcia jej kolan. W pierwszej chwili po prostu prześliznął się po nim wzrokiem; była przecież cała pochlapana atramentem, tworzącym na jej ciele przypadkowe, skomplikowane wzory, typowe dla każdego nowicjusza zgłębiającego sekrety prasy drukarskiej. To coś jednak przyciągnęło jego wzrok ponownie: pulsujący spłot cienkich, sinych linii, jak niepospolicie rozgałęziony krwiak, tajemne znamię. Niczym stara mapa, rysunek był otoczony symbolizującymi wiatr cherubinami dmuchającymi na łydkę Lucii, u dołu zaś wił się wąż, kreśląc południowy skraj planu – był to bowiem plan miasta, nieregularny, zdeformowany ułożeniem na skórze, ale z wyraźnie widocznymi ulicami, skrzyżowaniami i pomnikami opisanymi tym samym drobnym charakterem pisma, który pokrywał ściany korytarza. Ludovico nie potrafił odczytać nazw, był jednak pewien, że są po łacinie – w ulubionym języku Lucii, klarownym i (o czym doskonale wiedział) jedynym właściwym do opisywania map.

– Co ci się stało w nogę? – zapytał łagodnym tonem.

Lucia spojrzała przez ramię i lekko się odchyliła, prostując nogę w tył jak Dafne wtapiająca się w drzewo.

– Ach, to... – Westchnęła. – Nie wiem. Ale byłam już z tym u lekarza i nie ma się czym przejmować. Nic mi nie będzie. To brzydkie, ale... niezłośliwe, tak to się chyba mówi. – Odstawiła talerz, podeszła do Ludovica i czule pocałowała go w skroń. – Może książki mnie polubiły i odważają się na pierwsze pocałunki?

– Nigdy nie wydrukowałem takiej książki.

– Cóż, nie powiem ci, co to jest, bo sama tego nie wiem. Udaj, że twoja dzika żona-chimera zrobiła sobie tatuaż, i staraj się o nim nie myśleć.

On jednak nie mógł zapomnieć. Książka Japończyka stała się równie nieciekawa jak woda wylana przez okno. Zamiast tego rysował wzór spod kolana żony na marginesach książek w korekcie, pstrząc wiatrami i węzami schludne wiersze o prawdziwej naturze pociągów i ich maszynistów. Kiedy wieczorem Lucia zaczęła się szykować do wyjścia, ubłagał ją, żeby została, odsłoniła przed nim zgięcie kolana i pozwoliła mu dotknąć plamy, znamienia, mapy.

Zgodziła się i położyła na brzuchu, żeby mógł ją obejrzyć jak wymagający pilnej konserwacji rękopis. Wtuliła twarz w poduszkę, a on przytknął usta do jej skóry, smakując szorstkie, słone ulice, naniesione tam przez tajemniczą prasę, która wytropiła i napadła Lucię po ciemku. Zamknął oczy; przesunął drżącymi rzesmami po drogach i zaułkach. Jego język był jak prasa drukarska, odciskająca na skórze wzór pożądania. Lucia próbowała odwrócić się na plecy, ale powstrzymał ją; nie zniósłby zniknięcia mapy. Całując jej uda, wsunął ręce pod brzuch Lucii i wyszeptał jej imię z gorliwością katolika-odstępcy. Przycisnął policzek do boku jej szyi, która zawsze wydawała mu się nieco zbyt długa jak na właściwe ludzkie proporcje. Jedną ręką odgarnął na bok jej włosy i wszedł w nią. Zamknęła oczy, cicha i miękka jak stronicie książki. Pchnął mocno, chcąc ją zmusić do krzyku, a nawet skrzywdzić, byle tylko wypowiedziała jego imię, jęknęła, cokolwiek. Ona jednak milczała, a on nie umiał jej zmusić do tego, by wydała z siebie jakiś dźwięk.

Kiedy się poruszali w starym, dawno wypracowanym rytmie, namacał zgięcie jej kolana i poczuł, jak ulice jakiegoś nienazwanego miasta drżą mu pod palcami.

# Hieratyczna

Śnią w domu Orlande, wtuleni w ciepłą pierś i puste łóżka czterech czarnych mis w jej domu. Patrzą przed siebie, prosto w jej różowe, szaro nakrapiane usta. Czerwona przędza wrzyna im się w nadgarstki. Żabia wyrocznia składa na ich kolanach cztery karty, ale oni na nie nie patrzą. Jeszcze nie teraz.

My jednak możemy spojrzeć. My, którzy mącimy.

Na jej odsłoniętych kolanach spoczywa Koń Bez Skóry, symbolizujący Próżne Poświęcenie, Pogoń Bez Miłości, Nieoczekiwaną Płodność. Jej niebieskie włosy muskają twarde, pogięte krawędzie starej karty.

Na przetartym materiale okrywającym jego nogi leży Trójka Kamienic, zapowiedź Halucynacji Słuchowych, Marskości Wątroby, Człowieka Oddalającego Się Od Zbawienia. Bawi się kluczami. Mamy wrażenie, że ich brzęk go uspokaja.

Na jej obleczonych w dzins udach widzimy Nieszczęśliwą Wieżę, zwiastunkę Bezimiennego Żalu, Symetrii Doświadczenia i Pustej Spizarni. Tylko ona jedna podnosi kartę i przykłada do policzka. Ponurym rysunkiem pękniętej figury szachowej zasłania ślad po uządleniu.

Na jego płóciennych spodniach ląduje Archipelag, znak Plagi Węgorzy, Pogoni Bez Miłości i Ciemnowłosej Kobiety Bez Dwóch Palców. Zaciska pięści, wbija poplamione atramentem palce w miękkie wnętrza dłoni.

Odruchowo łapią się za ręce, gdy Orlande płacze przędzę w węzły: liczne palce wyciągają się na oślep, wątłe i spragnione. Przed ich oczami unosi się olbrzymi, zielony łeb Orlande, obramowany srebrem, jak na ikonie. Żabia kobieta pokazuje im żółtą karteczkę z równo nadrukowanymi czerwonymi słowami:

„Odejdźcie. Zostaliście połączeni. Tworzycie *quarto*”.

Węzły się rozluźniają, przędza spada. Wszyscy czworo wychodzą za osłonięty palmami próg, w noc pachnącą sasafrasem i rumem, na szeroką Hieratyczną, która ma kolor cynamonu. Potykają się w usłanym łądygami trzciny mroku. Mają brudne stopy, w głowach kręci im się od wiatru znad morza.

Tę chwilę lubię najbardziej. Kiedy są tacy nowi. Nawet nowo narodzone źrebięta nie są

tak niewinne.

Żaba wypycha ich za drzwi saloniku jak matka ponaglająca dzieci w pierwszym dniu szkoły, żeby biegły do autobusu: „Nie lękajcie się, kochaniutcy! Wszystkie te potworności nie mogą się doczekać chwili, kiedy je przeżyjecie!”.

Czy to kaprys zegara sprawia, że wytaczają się we czworo na szeroką ulicę w tej samej chwili, gdy od strony fabryki falą nadciągają skaczące świerszcze, tańcząc złożonego binarnego menueta na platynowych odnóżach? A może to czysta poezja? Casimira bije swoich podopiecznych w porcelanowych i chitynowych formach, Orlande wypuszcza swoich spod czerwonej przędzy i razem ruszają w miasto, świeży, surowi i puści jak rondel. Symetria godna podziwu.

Stoją we czworo na ulicy szrafowanej suchymi liśćmi lilii, jakby nieświadomi, że coś może ich tam rozjechać. Patrzą tępo po sobie, jak stado skretyniałych gazeli. Nadal trzymają się za ręce, nie są w stanie znieść myśli, że mogliby się rozdzielić – jeszcze nie teraz! Jeszcze nie! Po ich pozbawionych czucia stopach przepływa rój świerszczy o szklanych skrzydłach.

Są pewne oczywistości, które można by wypowiedzieć na głos, lecz żadne z nich nie potrafi dobrać pogrzebanego pod żebrami głosu. Długo zamierzacie tak stać? Chcecie się zmienić w grupę posągów, po których będą się pięć dzieci i bluszcz?

Ale nie... Oto nadjeżdża złożony powóz zaprzężony w parę czapli; ich długie czarne nogi roztrącają szeleszczące liście. Z przysłoniętego zielonymi firankami okna wychyla się głowa trzeciej czapli, efektownie turkusowa, z oczami po ptasiemu zwężonymi w szparki.

– Z drogi! Z drogi, bo rozjadę!

Czaple w zaprzęgu skrzeczą chrapliwie, gwałtownym manewrem wymijają czwórkę przybyszów i wyciągniętym, wdzięcznym krokiem pędzą Szesnastą przed siebie. Osiem rąk się rozdziela. Podenerwowani mężczyźni chwytają się za łokcie. Dziewczyna o niebieskich włosach wpatruje się w nich ciemnymi oczami.

– Którędy do pociągu? – pyta szeptem.

To złe pytanie, moje dziecko! Chciałaś powiedzieć „Gdzie jestem? Kim jesteście? Co się z nami stało?” ale nikt nigdy nie zadaje sensownych pytań. Tamci kręcą głowami; nie umieją jej pomóc. Zaczyna więc biec w kierunku, który wydaje jej się najlepszy. Skręca ostro, jak czaple, i wypada na lśniącą aleję, która jak złamana gałąź odchodzi w bok od Hieratycznej.

\* \* \*

Porzucona trójka rozprasza się jak rozwiany popiół. Droga ciągnie się w przód i w tył, oświetlona latarniami z pękatymi kłoszami w kształcie dyń. Rynsztokami spływa nagły, obfity deszcz.

Część I

*Incipit liber de naturis bestiarum*

# JEDEN

## Koń Bez Skóry

Sei obudziła się z twarzą moką od łez i nozdrzami wypełnionymi trawiastą, gnilną wonią *ryokan-tatami*. Próbowwała znów zasnąć, dogonić rozplywające się na jawie czaple, ale niestety! Nie sposób odzyskać utracone sny. Poczowała jakieś brzemie na nadgarstkach, jakby wspomnienie ciężkich bransolet. Przyszło jej do głowy, żeby odszukać Sato Kenjiego, potrząsnąć nim, ukąsić go w wargę i zapytać, czy napisał także książkę o mieście i czy mogłaby ją dorzucić do tamtej, czarnej i zimnej, spoczywającej u niej w plecaku. Kiedy będzie leciał do Tokio na grzbiecie ich smukłego białego węża? Jutro? Nigdy? W którym wagonie mógłby na nią czekać? Uznała, że nie ma sensu zadawanie takich pytań.

Ubrała się bez specjalnego namysłu, zabrała ze sobą dwie kulki ryżowe (jedną z soloną śliwką, drugą z łososiem) i książkę Sato Kenjiego i uciekła z zatłoczonego, hałaśliwego schroniska do miasta. Plan Kioto – dzieło figlarnych i pełnych polotu urbanistów, zapewne obficie zakrapiane alkoholem – był wzorowany na planszy do gry w go. Podążając z placu na plac i prześlizgując się wzrokiem po krytych grubą cyprysową korą dachach i szczyrzących zęby psach *fu*, miała dziwne wrażenie szybowania w powietrzu. Była gładkim białym krążkiem, bezradnie odbijającym niebo i zewsząd otoczonym przez śliskie czarne kamienie. Z jednej strony miała linię shinkansena, z drugiej niekończące się szeregi pawilonów.

Ze wszystkich świątyń wybrała Srebrny Pawilon. Był ulubionym pawilonem jej matki i odziedziczyła go po niej niczym spadek. Stał w cieniu jesiennych liści, tak jaskrawych, że można było odnieść wrażenie, że drzewa krwawią. Złoto persymon aż biło w oczy, przenikające owoce słońce oślepiało. W ustach, miała paskudny, suchy posmak, jakby za dużo wypila, mimo że od Tokio piła wyłącznie wodę.

Na terenie świątyni nikogo nie było. Usiadła na trawie z dala od pawilonu i patrzyła na jego srebrne ściany pokryte czarnymi plamami, wiekowym nalotem, którego mnisi w swych niezbadanych wędrówkach nigdy nie próbowali zetrzeć, zadowolając się świętością

spatynowanego metalu. Przypominał jej groźnie przycupnięty dom sukuba z jednej z należących do matki książek. Miała wrażenie, że niewiele brakuje, by jakiś żółtooki potwór o skrzydłach utkanych z grzechu otworzył z impetem drzwi i wyskrzeczwał jakiś piekielny koan. Lubiła jednak tę omszałą, przesadnie wrażliwą świątynię; wydawała się jej szczerą i niewzruszoną, jak stary, zgarbiony słoń.

Otworzyła trzymaną na kolanach książkę Kenjiego i zaczęła ją kartkować. Nie chciała jej czytać od deski do deski; książka mogłaby tego nie chcieć. Postanowiła więc spróbować sztuki bibliomancji i zdać się na książkę, żeby ta sama udzieliła jej odpowiedzi.

*W Osace usłyszałem niezwykłą opowieść o prastarym rytuale inicjacyjnym wśród maszynistów. Pewien emerytowany pracownik kolei (nalegał, abym pod żadnym pozorem nie podawał jego nazwiska) mówił mi, że przed wojną, kiedy nowemu maszyniście przydzielano pierwszy pociąg, wprowadzano go do lokomotywy w lodowatą zimową noc, kiedy pociąg stał i nikt nie kręcił się po pustych wagonach. W ciasnej kabinie zbierali się wszyscy starsi maszyniści. Kazali młodemu kandydatowi położyć ręce na pulpicie sterowniczym, smarowali mu je lepkiem olejem silnikowym, a następnie wrywali kilka przewodów z pulpitu i obwiązywali mu nimi palce. Wtedy zdradzali mu tajemne imię pociągu, którego nikomu nie wolno było mu powtórzyć. Nacinali mu również palec środkowy lewej dłoni i mieszały jego krew z olejem, który następnie wracał do obiegu w silniku. W ten sposób pociąg stawał się wybranką maszynisty. Człowiek, który mi o tym opowiadał, twierdził, że ceremonia do złudzenia przypominała uroczystość zaślubin.*

Sei zadrzała, czując fantomowy dotyk gołych, umazanych olejem przewodów i ożywającego pod jej dłońmi pulpitu. Wiatr się wzmógł; tarosił jej niebieskie włosy i zwiewał je na policzki. Pewnie trwałaby w tej samej, niezmienionej pozie, z rękami znieruchomiałymi na książce, do chwili, gdy słońce osunie się poniżej poziomu blaszanych dachów, gdyby nagle obok niej nie usiadła młoda kobieta w szkolnym mundurku, z długim, luźno splecionym warkoczem. Sei drgnęła i zmarszczyła brwi, ale – jak wymagały tego dobre maniere – nic nie powiedziała.

– Zabawne... – odezwała się młoda uczennica autorytatywnym, zapalczywym tonem miejscowej dziewczyny zagadującej turystkę. Mówiła z typowym dla Kioto akcentem. Spojrzała na Sei ze szczerym zainteresowaniem, jak kot. – To Złoty Pawilon jest tym sławnym, ale mnie zawsze wydawał się po prostu żółty. I brzydki, taki... krzykliwy. Tyle złota, a wygląda po prostu jak żółta farba. Tymczasem Srebrny Pawilon... Nikogo nie interesuje. Nie jest wielką atrakcją turystyczną i w ogóle nie wygląda na srebrny: czarna patyna jest tak gruba, że upodabnia ściany do pokrytego korą dachu. Czy przez to nie wydaje

się smutny i zaniedbany? Dla mnie jednak jest rzeczywisty, podczas gdy Złoty... Jest taki agresywny, kiedy uważa się za piękny. Jak stara, arogancka zdzira.

Sei zamruwała ze zdziwienia.

– Jestem Yumiko – powiedziała nieznajoma.

Sei jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

– Nie byłam dotąd w Złotym Pawilonie – powiedziała, przekazując odpowiedź niechętnie jak opłatę za bilet w autobusie.

– Kiedy tam pójdziesz, przekonasz się, o co mi chodzi.

I Yumiko umilkła. Długą chwilę wpatrywała się w Sei, zanim w końcu uśmiechnęła się szeroko, wytarła ręce w kraciastą niebieską spódniczkę i wystawiła język – najdalej jak się dało, aż koniuszkiem prawie dotknęła podbródka.

Sei zamurowało. Oblała się rumieńcem, kiedy zobaczyła je na czerwonym, smaganym wiatrem języku dziewczyny: znamię Kenjiego, jaskrawoniebieska siatka linii, plan miasta.

– Co to jest?! – wykrzyknęła, zrywając się na równe nogi. Czarna książka spadła na ziemię. – Powiedz mi, co to jest?!

Yumiko zamknęła z cichym mlaśnięciem usta. Jej czoło zmarszczyło się jak zmięty papier.

– Nie wiesz?

– Oczywiście, że nie wiem! Skąd mam wiedzieć?

Yumiko wstała i poszła do Sei tak blisko, że mogłyby się pocałować. Jej warkocz do reszty się rozplótł. Wyciągnawszy ręce, zaczęła po kolei odpinać guziki bluzki Sei, wyłuskując je z obszytych dziurek. Uśmiechnęła się, kiedy Sei próbowała ją odepchnąć.

– Proszę... – mruknęła.

Rozchyliła poły czarnej, szeleszczącej bluzki jak kurtynę w teatrze. Na skórze Sei widniały te same ciemne linie. Przecinały jej mostek, spływały na zaokrąglone piersi. Można by pomyśleć, że jakiś olbrzymi insekt przywarł do jej ciała, żeby wysysać z niego pokarm i rosnąć. Zamiast się cofnąć, Yumiko ujęła twarz Sei jedną wypielegnowaną dłonią i przeciągnęła się jak kotka.

– Chciałabym tu być nowicjuską – powiedziała beztrąsko. – Chciałabym mieszkać w świątyni, codziennie pić herbatę bambusową i zjadać tylko siedem ziaren ryżu, aż byłabym chudsza od Buddy i dwa razy piękniejsza. Wystawiałabym miseczki z czystą wodą dla świętych kotów, a jesienią zmiatała sitowie i czerwone liście. Zimą czułabym aromat świeżo warzonego sake, a raz w roku, z okazji urodzin cesarza, zjadałabym persymonę. Codziennie rano i wieczorem wycinałabym kwadratowy kawałek materiału z jednego ze swoich kimon i polerowałabym nim ściany, aż patyna opadłaby z nich jak włosy starej kobiety i srebro lśniłoby jak woda. Po roku byłabym naga i czyściłabym ściany własnymi włosami. Wypielegnowany moim ciałem pawilon wyglądałby jak wydrążony w księżycowym gruncie.

Sei patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.



– Co się ze mną stało? – spytała. – Kim jesteś?

– A co dzieje się z nami wszystkimi? Wszyscy jesteście nowicjuszami.

– To nie jest odpowiedź! Skąd wiedziałaś? Podchodzisz do obcej osoby na terenie świątyni... Skąd wiedziałaś, że mam taką plamę na skórze?

– Bo widzisz, to nie jest żadna „plama”. To coś w rodzaju... biletu. A kiedy już kupiłaś bilet, byłaś w cyrku i pojeździłaś czerwoną kolejką, możesz rozpoznać innych, którzy też przez to przeszli. Poruszają się w charakterystyczny sposób. Specyficznie pachną. Ciało ich zdradza, jak akcent w mowie. A znajomy akcent łatwo rozpoznać. I tak właśnie cię rozpoznałam.

Policzki Sei pały rumieńcem. Spojrzała na trawę, potem na niebo. Nie chciała prosić, zachowywać się jak głupiutka koza w nocnym klubie żebrząca o narkotyki albo jak dziecko dopominające się o cukierka, o którym wie, że dopełni jego życie.

– Jak mogę tam wrócić?

Yumiko spojrzała na nią z ukosa, zaskoczona, tak jakby Sei powinna znać odpowiedź. Jakby pytała, jak policzyć do dziesięciu. „Ależ dziecko, to przecież podstawy! Gdzieś ty się chowała?!”. Przynęła się do niej bokiem, musnęła wargami ucho Sei i zniżyła głos tak bardzo, że przypominał kaszlnięcie ważki:

– Chodź ze mną. Mam na języku róg Sto Dwudziestej Piątej i Wędrownej. Tam się spotkamy. Pojedziemy metrem na koniec świata.

I wtedy pocałowała Sei. Zmatowiały Srebrny Pawilon rysował się za ich plecami. Wsunęła rękę pod spódnicę Sei i ukradkiem, zapalczywie przycisnęła do niej palce. W pobliżu nie było nikogo, słońce świeciło białe jak szron, a one były takie nagie. Sei rozchyliła nogi, wpuszczając ją do środka, i zamknęła oczy, napawając się ciepłym powietrzem, czerwonymi liśćmi, srebrną świątynią. Nie mogła zaczerpnąć tchu, gdyż zamiast powietrza czuła w ustach rumowo-sasafrasowy smak warg Yumiko i dotyk jej ostrych, drobnych, białych zębów. Poczwała, że się przewraca, przechodzi z bieli w czern, rozplywa się, przepada bez śladu.

## Róg Sto Dwudziestej Piątej i Wędrownej

Tej nocy, kiedy Sei śpi na swojej *tatami*, śni jej się skrzyżowanie przybrane czarnymi flagami, przypiętymi do sznurka za pomocą perłowych spinaczy do bielizny. Na północnym rogu jest biuro kartografa. We wszystkich zakamarkach kryją się dzbanki z tuszem, na tuzinach stołów rozpościerają się arkusze pergaminu. Gołąb Casimiry siedzi na drążku w fiszbinowej klatce i solennie wyśpiewuje godziny. Imogen i Philomena prowadzą biuro od czasu, gdy poprzedni kartograf zwariował i zaczął jeść taśmę od telegrafu jak makaron. Philomena ze srebrnym kompasem w ręce rysuje mapy z nieomylną, świetlistą precyzją, Imogen zaś iluminuje je precyzyjnymi miniaturami tańczącymi wśród ulic. Obie noszą dziesiątki naręcznych zegarków.

To drugi – po saloniku płaziej wróżki – przystanek na drodze gości w Palimpseście, zwłaszcza nowych imigrantów, których dwie kartografki są szczególnymi patronkami. Wszyscy potrzebują map – i Philomena im ich dostarcza: plany metra i ulic, mapy historyczne i topograficzne, mapy fałszywe i dokładne co do minuty, a także plany innych, dalekich miast. Spójrz, dla tego zagubionego dziecka sporządziła rozkładaną ulotkę z ilustracjami przedstawiającymi wszystkie atrakcje miasta: fabrykę, kościoły, salon wróżki, Pomnik. Podążaj za tą mapą, dziewczyno, a będziesz bezpieczna!

Codziennie rano Philomena wyklada najnowszą mapę na parapet, jak świeżą zapiekankę. Stygnąca mapa otwiera się, rozkłada, prostuje zagniecenia, rozpościera rogi jak skrzydła i wzbija się do nierównego, chybliwego lotu, bezszelestnie unosząc się nad miastem. W powietrzu składa się z precyzją origami i przyjmuje właściwy kształt: ma papierowe oczy, atramentowe pióra i szpony z pergaminu.

W długich alejach wypatruje myszy. Taki jest cykl życia fauny Palimpsestu.

Yumiko stoi oparta o framugę drzwi i wyciąga przed siebie ręce jak do ukochanej siostry, której nie miała już nadziei zobaczyć. Zamiast szkolnego mundurka ma na sobie skrawek czerwonego materiału, uczepiony jej tali jak przędza, którą ktoś owinął ją tak ciasno, że utrudnia oddychanie. Pewna siebie, jak miejscowa, zaprasza Sei do środka. Na dźwięk muszelkowatego dzwoneczka Imogen podnosi wzrok znad pergaminów. Ma surową twarz. Czarne włosy opadają jej miękko na szyję, nieco zbyt odważnie odsłoniętą, żeby pokazywać ją publicznie.

– Pociągi... – mamrocze Sei. – Potrzebna mi sieć połączeń kolejowych i... rozkład jazdy.

Imogen sięga po małą broszurkę, niewiele większą od jej dłoni. Okładkę zdobi wzór, który wygląda jak wciśnięta w okrąg nieskończona płatanina drutów. Yumiko płaci jej pospiesznie obcięty paznokciem, który podsuwa gołębiowi do zjedzenia. Kartografka się uśmiecha, a wtedy jej twarz otwiera się, wygładza, odsłania swoje tajemnice. Jest zniewalająco piękna.

Sei przyciska plan do piersi i wybiega na ulicę; włosy ciągną się za nią jak wyciew z komina. Rozgląda się desperacko. Oddech ma urywany i chrapliwy.

Znajduje je na południowym rogu skrzyżowania: wejście do metra oświetlają kuliste lampy oplecione przełamującymi światło węzami z kutego żelaza. Co piętnaście minut u stóp schodów śmiga pędzący pociąg. Na szklanym peronie Adalgiso Apostołopalczy gra na trzymanej w sześciopalczastych dłoniach altówce. Jest łysy i nosi filcowy kapelusz, który jakoś dziwnie tkwi mu na głowie. Obok niego stoi Assia, Nimfa Fonografu. Śpiewa tenorem; jej gardłowo przydymiony głos wyciska długie pocałunki na strunach altówki. Adalgiso gra tak szybko i pięknie, że pociągi przystają, żeby go posłuchać; przechylają się na torach i otwierają drzwi, chwytając spływające z instrumentu glissanda. Przed nim leży otwarty futerał, do którego każdy pasażer Marginaliów wrzuca swoją opłatę: perlę. Zbiera się ich w futerał coraz więcej i więcej, aż zaczynają się z niego wylewać jak mleko z dzbanu. Pochowane po kątach stacji karaluchy o światłowodowych skrzydłach szorują odnóżami ściany. Ich chrobotanie nadaje rytm grze muzyka i śpiewowi tenorzystki.

Zanim Yumiko zdąży ją dogonić, Sei zbiega pędem po schodach w mrok przesycony metalicznym zapachem podziemnych pałaców transportowych. Zatrzymuje się przed alclistą i jego tenorzystką i ich oczy spotykają się jak wczepiające się w siebie magnesy ponad wibrującymi strunami instrumentu.

\* \* \*

Całe mile stamtąd, na ulicy wyłożonej cedrowymi deskami, z piersi pszczelarki wyrywa się głośny krzyk. Jej wzrok gaśnie, w powietrzu czuje tylko wilgotną woń czarnych tuneli metra.

# DWA

## Nieszczęśliwa Wieża

*Rzeczy, które znikają o poranku: sen, ciemność, żal, księżyc. Kobiety.  
Marzenia senne.*

\* \* \*

November siedziała po turecku na podłodze w swojej sypialni – pustym, białym pokoju, którego nie przyszłoby jej do głowy porównywać do jej piętrowych uli, a który mimo to był z nimi spokrewniony, był kuzynem tych szesnastu spokojnych, wielokątnych wnętrz.

Na kolanach trzymała dużą, pustą książkę z zaczytanymi rogami, której nie przyszłoby jej do głowy porównać do swoich palców, do trzykrotnie farbowanych i nierówno podciętych włosów, do spierzchniętych ust, a która mimo to była z nimi spokrewniona, była siostrą ich wszystkich – November, jej ciała, małego białego pokoju.

Jej jaźń była równie pusta i naga jak miesiąc, w którym jej rodzice się poznali i którego imię nosiła\*, miesiąc zwiastujący śnieg, miesiąc o sercu wyrzeźbionym z surowego drewna.

Z wahaniem zaczęła pisać w notatniku. Jej charakter pisma dawno stracił wdzięk. Kapryśna wypadkowa nadmiaru maszynopisania i młodzieńczego zapału do kaligrafii dawała katastrofalny efekt: za mocno przyciskane pióro i zamaszyste wielkie litery, zbyt chwiejne, żeby mogły uchodzić za majestatyczne. Bez zastanowienia sporządziła poranny spis, rozpaczliwie starając się utrwalić swoje łóżko o poranku, puste jak kubek po kawie, zużyte, suche; chciała je wcisnąć na stronicę notatnika, upchnąć w kolumnie tekstu, która nada sens zagłębieniu, w którym wcześniej leżała Xiaohui i gdzie przetrwało ciepło jej ciała.

Robienie takich spisów traktowała jak rutynowe ćwiczenie, podobne do odmawiania różańca. Nie była to żadna obsesja ani przymus, tylko po prostu rytuał, porządkowanie świata,

---

\* November (ang.) – listopad (przyp. tłum.).

układanie jego elementów w wąskich, wysokich słojach zwierających rzeczowniki doskonale. Połączone w wystarczającej liczbie rzeczowniki tworzą czasownik, a czasowniki stworzyły wszystko, ślizgając się po powierzchni pustki jak otoczaki po zamrożonym stawie. Sama November nie stworzyła jeszcze żadnego czasownika, ale do zrobionej z wiśniowego drewna szafki w przedpokoju trafiały kolejne notatniki, słoiki i dzbanki, brązowe jak gałązki drzew, a ona nie traciła wiary.

Dlatego wcale nie myślała, że jest samotna czy – jak by to powiedziała jej matka – schowana w skorupie jak żółw, tylko że absorbuje ją zadanie poważniejsze niż drobne ludzkie spory i kolekcjonowanie ogromnych domów czy samochodów. Poruszała się wśród długich rzędów notesów jak między szeregami żołnierzy – rozkazując im, kształtując je i rzeźbiąc swoimi dziarskimi, niedoskonałymi dłońmi.

Polizała atrament na piórze. Żołędzie i miedź. Popiół.

Ciężko jej się spało i sen nadal nie chciał się od niej odczepić. Zawsze miała niesamowite sny. Jej ojciec, bibliotekarz, kazał jej je spisywać; zapewne w ten sposób zapoczątkował tradycję wypełniania cienkich notesów z szarego papieru, których tyle się przez lata namnożyło. Śniła kolorowo, nawet więcej niż kolorowo – śniła w odcieniach złota i szkarłatu, które na jawie nie istniały; śniła w językach znanych i obcych; śniła o dziwnych, cudownych twarzach; śniła piętrowo złożone fabuły, które zapamiętywała ze wszystkimi szczegółami, precyzyjnie, doskonale. Jak spisy.

Miejsce, o którym śniła, przenikał zapach sasafrasu i morza, liści laurowych i niesionych wiatrem nasion dmuchawca, drzewek kawowych i potu. Wgryzł się w nią, a ona podążyła za nim – bezskutecznie, jak to we śnie – aż usłyszała szum gwiazdzistego przyboju na świetlistym brzegu.

*Następujące rzeczy są niezbędne dla miasta*, napisała. Skreśliła *niezbędne* i powyżej drobnym pismem wpisała *konieczne*. Niczego nie wymazywała, nie zaczynała od nowa; pomyłki były dla spiętrzanych w stos rzeczowników równie niezbędne jak przemysł dla miasta. Dowodziły, że stos nie jest przypadkowy, że niektóre słowa zostały odrzucone i zastąpione innymi, że ktoś dokonał wyboru i przeliczył ofiary.

*Przemysł*, napisała poniżej. *Handel. Komunikacja, budownictwo, czyszówki. Domostwa. Przedmieścia. Cyrki. Demonstracja siły i zapachu. – Religia. Rytuał.*

*Ciemność, żal, księżyc. Kobiety. ~~Marzenia~~ senne.*

\* \* \*

Skóra jej policzka pamiętała dotyk ud utraconej Xiaohui. Opłakiwała ją najbardziej ze wszystkich tych, które straciła o poranku, w kuchni, przy czerwonym stole, z białą filiżanką mlecznej kawy w ręce. Przyłożyła dłoń do twarzy. Nie było jej przykro, że historyczka zniknęła, ale jej ciało płakało. Wpatrywała się w kawę, ubrana w cienką niebieską sukienkę

plączącą się jej wokół łydek. Często miała wrażenie, że w myślach goni za idealną filiżanką; że pędzi od stolika do stolika w poszukiwaniu intensywnej, gęstej, kremowej kawy, korzennej, słodko-gorzkiej, mocnej, bez sztucznych aromatów, doskonałej, kompletnej, bezgranicznie kawowej. Codziennie rano zdejmowała delikatną filiżankę z mosiężnego haczyka i kiedy ją napełniała, miała nadzieję, że kawa będzie ciemna, głęboka i tajemnicza jak las – a ona zawsze zbyt szybko stygła, zawierała za dużo mleka, brudziła filiżankę i wprawiała November w rozdrażnienie.

Nosiła miedziane pierścionki, od których zieleniały jej palce. Postukała nimi bezmyślnie o filiżankę. Księga spisów leżała przed nią na stole, zamknięta. Pomyślała, że mogłaby spisać atrybuty kawowego świętego Graala, którego bez skutku poszukiwała, ale ostatecznie doszła do wniosku, że nie jest tego wart. Pszczoły też by jej nie pomogły; potykałyby się o siebie nawzajem jak złote niemowlęta i buczały bez słów o królowych, seksie i lepkich od pyłku nóżkach.

November – niczym królowa z bajki, która ma czarne włosy i całą baśń przed sobą – miała piękne lustro, które w przeszłości należało do jej matki, oprawione w lśniące żelazo, zdobione połówkami lilii i poskręcany liśćmi. Trzymała je blisko wyjścia ze swojego małego domku, bo tylko kiedy zamierzała pokazać się światu, interesowała się tym, jaką ją świat zobaczy.

Tego ranka wiernie odzwierciedliło jej twarz w obwódce barokowego listowia: skłębiony supeł włosów, spokojne piwne oczy i czarne znamię na policzku, jak ślad po uderzeniu, eksplozja kresk i kątów, dzieło wściekłego pająka albo pijanego architekta. Linie rozchodziły się od punktu na wysokości ucha, sięgały w górę do prawego oka i w dół do kącika ust, długie i pofalowane jak brzegi czarnej rzeki. Przytknęła do niego drżące palce, potarła, ale nie chciało zejść. Przypominało znamię na udzie utraconej Xiaohui, gorące, jakby świeżo wypalone.

\* \* \*

*Rzeczy, które zostają o poranku: wspomnienie, myśl, śnieg. Światło. Praca.  
Choroba. Marzenia senne.*

\* \* \*

Wróciła do restauracyjki w Chinatown, do zupy, pikantnych ostryg i tłustych, miękkich ciasteczek z wróżbą, ale nie zastała tam Xiaohui. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby zostać pustelniczką, zakonnica, pszczelą przeoryszą. Prawdę mówiąc, już była w połowie drogi do swojej pustelni. Nie mogła ukryć twarzy, tak jak Xiaohui ukrywała nogę, i facet w punkcie poboru opłat na środku ponurego, szarego mostu tak długo się na nią gapił, aż roztrąbiły się

oburzone samochody w kolejce. Ale zasuszona staruszka za kontuarem – matka Xiaohui, z pomarszczonymi dłońmi okutymi poczerniałymi ze starości pierścionkami – wcale jej się nie przyglądała. Zerknęła na nią spod siwobłękitnych włosów i pozwoliła sobie na leciuteńki uśmiech ogólnego, wszechogarniającego współczucia; tak samo uśmiecha się Maria, gwiazda morza. November się zarumieniła. Jej czyn płonął oślepiającym blaskiem, oczywisty jak ciąża. Nie próbowała się tłumaczyć, a starowina bez słowa wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „Tak to już jest, jak się sypia z obcymi kobietami”.

Zgarbiona nad talerzami, przetykała szczęśliwy aromat cebuli, pasty z krewetek, sosu śliwkowego. Dwa stoliki dzieliły ją od jedynego poza nią klienta restauracji – młodego mężczyzny w okularach i połyskliwej eleganckiej koszuli koloru wierzbowych liści. Zgrabnie jadł, poruszając rękami z wdziękiem kobiety lub pszczelarza. Czytał książkę w czarnych okładkach, z tłoczonym srebrnymi literami tytułem. Kiedy uniósł rękę, żeby przewrócić cienką jak skórka cebuli kartkę, zobaczyła, że palec wskazujący ma prawie czarny, od paznokcia aż po nasadę opleciony znajomymi krętymi liniami, przypadkowo poszarpanymi, jakby nakreślonymi drżąca ręką i paskudnie ciekącym piórem.

Prędzej czy później na nią spojrzy, nie ma wyjścia. A ona cierpliwie czekała. Cokolwiek by powiedziała, nie mogłoby się to równać z krzykiem rozpacz, jakim stała się jej oszpecona twarz. Krew pulsowała w niej jak w rozkwitającym sińcu. Próbowała siłą woli zmusić go, żeby oderwał się od książki i podniósł wzrok. Kiedy tak czekała, podano jej złożone ciasteczko. Ostrożnie je rozwinęła. Krew dudniła jej w uszach; było jej tak dużo i wydawała się taka gęsta, że chyba w całym ciele nie mogło jej tyle być. Na cienkim arkusiku lukrowanego papieru widniały słowa: „Przykro mi. Moja córka jest także niefrasobliwa”.

Mężczyzna w wierzbowej zieleni uniósł głowę, zupełnie jakby w uchu zadzwonił mu dzwoneczek – i uśmiechnął się anielskim uśmiechem; światło rozpromieniło jego twarz jak otwarte w samo południe okno. W ciemnych oczach błysnął ognik rozpoznania. Dwoma szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą ich stoliki; rzucił zielony cień. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta, mocno, niezdarnie, w kataklizmie zębów i skóry.

## **Skrzyżowanie Dwieście Dwunastej, Złorzecznej, Serafinów i Alfabetu**

Na środku ronda stoi Pomnik – wysoka, cienka, barokowo ozdobna iglica, chroniąca w swym cieniu czarną postać; zakneblowaną dziewczynkę na elastycznych i wężlastych strusich odnóżach wykonanych z żelaznych ogniów. Przez dziury w kolanach widać płomienie kwitnące chwasty. Siedzi na trawie, z wyciągniętymi błagalnie rękami. Rydwany ze spiżu i tytanu zakreślają koła na rondzie i mijają ją z turkotem, ciągnięte po ułożonych na ulicy torach; tykają przy tym jak lśniące zegary. Między jej iksowato wygiętymi kolanami znajduje się tabliczka z białego kamienia, pusta i gładka jak policzek. Kiedyś w tym miejscu tysiąc dwanaście serc zatrzymało się bez tchu. Armia natarła bez krzyków, bez jednego dźwięku. Strusia dziewczynka zmarła, nie uroniwszy łzy; jej ojciec zginął od bagnetu z kości słoniowej, który rozorał mu długą szyję. Sławna powojenna rzeźbiarka Lydia Weckweert, której dziełem są prześliczne wizerunki mieszkańców, uśmiechające się lub marszczące brwi na rozlicznych narożnikach i gzymsach w całym mieście, uwieczniła drobną buzię dziecka, znieruchomiła, stwardniała i postarzoną przez śmierć. Dzięki temu pamięta dziś o niej cały Palimpsest, wszyscy, którzy mijają ją w drodze na nocny post i palisady.

\* \* \*

November chwiejnie idzie po torach, na oślep, potykając się o lśniące szyny. Powietrze pachnie kolejowymi katakumbami, rzeczami, które pełzają, ale także rzeczami, które pędzą bez końca. Wpada w ramiona strusiokształtnej sieroty, uwiesza się na jej ześrubowanej szyi i drży, wsłuchana w nieskończony tumult pojazdów, rytmiczny jak oddech, tętniący jak krew. Czuje w dłoniach ciężar i kształt dziwacznych olbrzymich nożyc z wilgotnym uchwytem, ale ręce ma puste. W ustach czuje smak gorzkiej kobiety, która wbija jej paznokcie w język, lecz nikogo przy niej nie ma. Kuca w półkołu uniesionych rąk sieroty, kołysze się na piętach, przyciska pięści do oczu.

Coś miękkiego opada jej na stopy. Znajomo miękkiego. Znikomy ruch, złoty ciężar. Poprzez natłok wrażeń, który każe jej wgnieść kulaki w oczy, słyszy przytłumione, lecz miłe dla ucha brzęczenie, dudnienie przypominające bicie serca – i wybucha śmiechem wśród



pędzących samochodów i dobiegających z daleka wrzasków oburzonych kierowców, których nie widzi. Odszukuje maleńki ciężar i zgarnia go na dłoń, a kiedy to robi, czuje, jak jednocześnie wskakuje z długiej łodzi do wody, nurkuje, łapie kobietę za włosy – co za włosy! – lśniące i nastroszone, i wie, że maleńka istota w jej dłoni też takie ma, mimo że nadal widzi tylko czerni, niekończące się tunele i kostropate, niezmierzone cienie.

Podnosi pszczołę do ust. Skrzydełka nieruchomieją. Powoli, jakby dla podkreślenia celowości swojego maleńkiego czynu, pszczoła wsuwa żądło w usta November. Na chwilę zamiera, napotkawszy czubek języka, opiera się na jego napiętej powierzchni – a potem wślizguje się w nią łagodnym, zwinnym ruchem i ginie w paroksyzmie jadu i religijnej ekstazy.

W odpowiedzi na jej krzyk przybywa następna, a za nią trzecia. Krążą wokół palców November jak obietnice obrączek. November odzyskuje wzrok, gdy pszczeli jad podąża rozwidlającą się trajektorią w głąb języka. Mrok katakumb cofa się, drapie obrzeża pola widzenia, okala je jak migawka w starym aparacie fotograficznym. November widzi Pomnik, pustą tabliczkę, nocne niebo z rozkołysanymi pióropuszcami palm, splątane gałęzie czerwonych mącznic na poboczu. Pojazdy są plamami szkarłatu i srebra, zamkniętymi przed nią małymi światłami z firankami w oknach. Za to pszczoły obsiadają jej opuszki palców; jest ich już dziesięć, co rusz to podrywają się do lotu, to znów przysiadają, bzyząc zachęcająco, a November z pewnością umie rozpoznać, kiedy ktoś próbuje ją gdzieś zaprowadzić.

Schodzi z Pomnika. Pszczoły kłębią się jej także pod nogami. Pojazdy rozstępują się przed nią. Gdzieś bardzo daleko czuje łzy spływające po policzkach, które jednocześnie należą i nie należą do niej.

\* \* \*

Pszczoły prowadzą ją mahoniową ulicą Serafinów; są ich setki, za jej plecami rozbrzmiewa buczący marsz triumfalny. Wzdłuż nieskazitelnie czystej, wypolerowanej ulicy ciągną się sklepy odzieżowe. W witrynie jednego z nich wisi sukienka – ostatni krzyk mody: oszałamiająco granatowa, zwiesza się powłóczyście z ramion złotego manekina, w rozcięciu odsłania lśniący brzuch. Ma zapinkę w formie skupiska maleńkich błękitnych oczek, które mrugają leniwie, po kolei; mają białka z brylantów i źrenice z hebanu. Spódnica sukni opada głębokimi, sztywnymi plisami, które wylewają się z witryny starannie udrapowanym trenem z lamówką z kruczych piór. Właściciel sklepu, Aloysius, trzyma na smyczy z paciorków jasnozielonego konika polnego Casimiry, który pociera łapki, gdy jego pan pracuje w stercie czarnych piór: Aloysius szyje trzy identyczne suknie jak ta na wystawie dla siostr-trojaczek, które zażyczyły ich sobie nie w kolorze granatowym, lecz fioletowym.

Na noc przywiązuje smycz do kolumnienki łóżka, a maleńki insekt kładzie się obok jego szerokiej, pobrużdżonej twarzy i wybrzękuje binarną kołysankę w głąb jego brody.

Aloysiusowi śnią się ciała – stoją w nieskończonym szeregu, nagie, nieodziane i piękne.

\* \* \*

Pszczoły wpadają spiralnym lotem przez drzwi. Przy wejściu nie ma dzwonka; takie stojące na uboczu sklepiki są równie staroświeckie jak mleczone koktajle. Pszczoły nurkują w otchłań lawendowego garnituru z wysoko wiązonym fularem, uformowanym z zielonych, połyskliwych liści bananowca i spiętym garścią gruszkowych pestek. Mankiety marynarki są czarne i szerokie, pierś przecina suto marszczona liściasta szarfą. Rój wypełnia garnitur, wylewa się jak stopy z nogawek, wyrasta dostojną, bzyzącą głową z kołnierza. Głowa na chwilę się rozplywa, zaraz jednak odzyskuje kształt. Pojawiają się w niej zagłębienia oczodołów i zarys ust. Aloysius, który trzyma w zębach pęk kościanych igieł, chwije się na stołku i wybałusza oczy. Konik polny tańczy z uciechy na końcu smyczy.

– Proszę... – wyrzuca z siebie zasuszony krawiec. – Nie chcę ich tutaj. Nie wiesz, że imigranci mają się trzymać sklepów z odzieżą używaną?!

Pszczeli manekin zgrzyta namiastką zębów, aż Aloysius się kuli. November chce przeproszać, ale lawendowy garnitur chwyta ją w ramiona tak szybko, że nie zdąża wypowiedzieć ani słowa. Obejmuje ją jak brat; November czuje ruch niezliczonych małych ciałek pod materiałem. Opiera mu głowę na ramieniu, nie jak królowa, ale jak partnerka, jak dwórka, jak dziwka w królestwie pszczół, wywabiając robotnice z osobliwie wydętego brzucha i drzemiących w nim obietnic złota. Manekin mdleje.

– Gdzie jestem? – szepcze November.

Nareszcie: to pierwsze, ostatnie i najbardziej oczywiste z pytań. Aloysius marszczy z niesmakiem czerwony, dziobaty nos.

– Nie zgadzam się – syczy do pszczół. – Jakież to nudne, aż trudno wyrazić to słowami. Jest nowa jak świeża rana. Nie muszę.

Zaciska pokryte żyłkami knykcie na górnej krawędzi grubej szarfy w turecki wzorek i pluje na November. Ślina pryska deszczem szklanych paciorków.

Wśród pszczół podnosi się huczące bzyczenie, ale November unosi rękę w geście, który w jej mniemaniu ma być władczy. Desperacko odwołuje się do ich miłości i swojego miejsca na długiej, wspaniałej liście rzeczy, które pszczoły ubóstwiają: królowa, róże, hiacynty, plastry miodu, powietrze, jabłonie, pszczele mleczo, czerwień, i ona, ona sama, opiekunka, kochanka i oblubienica w dziewiczej bieli.

Nieruchomieją, milkną, patrzą na nią wyczekująco pustymi, pełnymi pszczół oczodołami w rojowej głowie, która przekrzywia się na czubku zaprasowanego fularu. November przykładła dłoń do twarzy krawca, do suchych jak gniazdo os policzków. Patrzy na niego z powagą, szeroko otwartymi oczami. Jej dotyk jest delikatny.

– Oszczędź mi tych tanich sztuczek, dziewczyno. Miałem więcej kobiet niż ty poznałaś

przez całe życie.

Ona jednak milczy. To tylko sen, myśli. A w snach nic nie jest zakazane.

– Rękawy... – Wzdycha. Jej głos jest chrapliwy od jadu i ciepła. – Spódnice, szwy, nogawki. Kołnierze, mankiety, paski, turniury. – Gładzi go po gęstych siwych włosach i przyciska twarz do jego twarzy. – Wszystkie te rzeczy w zastępstwie twoich rąk dotykały tysiąca ciał; w zastępstwie twoich pocałunków i twojej czci gładziły ich brzuchy i szyje i kładły się obok nich w ciemności.

Pszczeli golem uśmiecha się złowieszczo i ciężko podskakuje z zachwytu. Zwycięskie pszczoły szarpią pawie pióra wszyte w sukienkę z wystawy. Aloysius po prostu patrzy na November, ona zaś czuje jego werdykt. Zbyt szorstkie włosy, pasemka zgaszonego, wyblakłego fioletu na farbowanej czerni. Oczy – całe w szaro-zielone cętki – też nie pasują do sukni. On jednak chce okazać posłuszeństwo, choć nie umiałaby powiedzieć, czy wobec niej, czy raczej wobec pszczół, i po chwili jej miękki biały brzuch prześwituje spod granatowej materii, jej ciało porusza się pod jedwabnym przedłużeniem rąk Aloysiusa, a pszczeli kontyngent czułym dotykiem odnóży rozczesuje i gładzi jej włosy.

November wychodzi na ulicę Serafinów i bierze pod rękę swojego odzianego w lawendę towarzysza. Kilka zbłąkanych istot buczy leniwie za jej plecami. Śpiewają bezgłośnie, długą, skomplikowaną pieśń, którą chcą powiedzieć swojej królowej, matce, Casimirze, że do niej idą, już idą, o, Pani, o, Matko nasza, idziemy i mamy dla ciebie cudowny dar!

# TRZY

## Trójka Kamienic

Herbata na stoliku Olega była gorzka i czerwona. Nie przypominał sobie, żeby ją kupował, ale pewnie tak właśnie było. Musiał ją kiedyś kupić. Hibiskus z czymś tam. Z czerwoną pomarańczą? Nie był pewien. Wytrząsnął na dłoń dwie pastylki z pomarańczowej fiolki, połknął je i splukał urojoną herbatą. Smakowała jak stare skórki pomarańczy, zasuszone i obkurczone jak łuska.

– Oleżka... – odezwała się jego siostra. Woda popłynęła jej z ust, tak troszeczkę. Kiedy był małym chłopcem, to był rwący potok. Dziś została z niego zaledwie łąza. – Herbata ci wystygła.

Zamiast odpowiedzi wytrząsnął jeszcze dwie pastylki. Podrapał się po szorstkim od zarostu policzku. W nocy śnił, śnił tak długo, że pot uciekał od niego i przesiąkał pościel. Sen był taki żywy, bolesny jak świeży siniak. Był w nim smak trzciny cukrowej, dziewczyna o niebieskich włosach i coś w rodzaju wielkiego żelaznego ptaka...

– Pachniesz mosiężnymi kluczami, braciszku. I perfumami. Ja nie używam perfum.

– Wolałabyś wiedzieć, że ma na imię Ludmiła, czy nie? – spytał półgłosem.

Kobieta w czerwonej dziecięcej sukience wyczesła z włosów długi brązowy wodorost. Była zakłopotana, ale nie sobą – nigdy nie wiedziała co to wstyd, była ponad to – lecz nim, który nadal czuł na ustach smak warg tamtej blondynki.

– Nie przestałem być mężczyzną, Miła. W moich żyłach nadal płynie krew.

We wpatrzonych w niego niebieskich oczach nie było śladu podstępni ani okrucieństwa. Nigdy nie była okrutna; nazwała się jego zwierzęciem domowym, jego biednym, starym kotem, ale nie prosiła o mleko ani nie darła mu zasłon pazurami. Siedziała przy stole, czekała, aż wróci ze szkoły (a potem z pracy), a lata płynęły z chrzęstem obracających się zębatek.

– Nie jestem głodna. Czy kiedyś byłam głodna? Napij się herbaty.

Napił się i skrzywił. Nie miał w domu miodu. Zawsze zapominał kupić coś na bazarze.

– Myślisz, że duch powinien się złościć? – zapytała, rozmaczając słowa wilgotnymi ustami. – Mogę spróbować, jeśli uważasz, że powinnam. Wydaje mi się, że pamiętam „złość”. Miała żółty kolor, prawda? Jak budyń waniliowy.

Oleg pochwycił jej spojrzenie, tak jak ryba chwytła haczyk – jakby z góry wiedziała, że to nieuniknione. Uśmiechnął się. Wysuszone koronki poskręcały się wokół jej szyi. Miała szczerą, słodką twarz, szerokie policzki, ociekające wodą włosy.

– Kocham cię, Miła.

Pokiwała z roztargnieniem głową.

– Żółty?

– Tak, żółty.

\* \* \*

Zanim wyszedł z wanny, Ludmiła zniknęła. Tak to już z nią było. Przyzwyczyił się, że przychodzi i znika, tak jak człowiek przyzwyczaja się do niestałej żony albo do kota, który tylko częściowo zamieszkuje dom, w którym sypia. Kiedy miał siedem lat, pewnej nocy obudził się z jakiegoś bezimiennego koszmaru sennego, a ona siedziała na jesionowym wezgłowie łóżka. Woda z jej sukienki ściekała mokrym półksiężycem na przykrycie.

– To moje łóżko – powiedziała i weszła do niego pod koc, przemoczona, zasmarkana i zimna.

Objęła go za szyję i w tej pozycji zasnęła, wtuliwszy mu twarz w kark. Rano ojciec wściekł się na niego, że zmoczył się w łóżko, a on, chociaż wiedział, że to nieprawda, nie miał jak wytłumaczyć przemoczonej pościeli.

I tak to szło. Właściwie nie była ani jego siostrą, ani przyjaciółką. Nie robiła żadnych rzeczy, których spodziewałby się po duchach: nie próbowała go dusić, nie domagała się słodczy z kredensu, nie wysyłała go na niebezpieczne wędrówki po lesie. Nie doprowadzała go do szaleństwa. Nie dopominała się o historie z życia żywych. Nie licząc zalewania łóżka wodami Wołchowa, niczego nie niszczyła i nie przysparzała mu kłopotów. Uważał się za szczęściarza, że trafił mu się taki uprzejmy duch. Ona sama również zdawała sobie sprawę, że jest duchem, a przynajmniej, że nie żyje, co jego zdaniem również było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ wolałby jej nie opowiadać o tamtym dniu nad rzeką i o tym, jak jego matka płakała tak głośno, że słyszał ten krzyk, będąc u niej w brzuchu, i sam też płakał.

W wieku czternastu lat zdarzyło mu się, że koleżanka z klasy nabijała się z jego śmiesznego akcentu. Pół nocy tłukł chudymi rączynami w poduszkę i wypłakiwał sobie oczy pełne kwaśnych, oleistych łez, zanim Ludmiła znów weszła do niego pod koc; przy tej czynności przykrótka sukienka nie pozwalała zachować nawet pozorów skromności. Objęła go i przysunęła usta tak blisko jego ucha, że później musiał skakać na jednej nodze jak

pływak, żeby wytrząsnąć z niego wodę.

– W krainie umarłych... – wychrypiała spętany przez rzeczne zielsko językiem – ...chłopiec przejechany przez czarny samochód zakochał się w księżnej cholery, która miała jaskrawożółtą sukienkę, żółte włosy i błyszczące żółte trzewiki. Gonił ją ulicami, mijając sklepy i pracownie kapelusznicze, papiernie i parki miejskie. Księżna nie ustawała jednak w biegu; nic tak nie pędzi jak zaraza. W końcu dopadł ją w slumsach martwych noworodków, gdzie mieszkają ci, którzy za życia nie dostali nic, z czego mogliby po śmierci zbudować sobie dom. Powiedziała mu tak: „Nigdy cię nie pokocham, ponieważ nie należysz do mojego ludu”. Chłopiec pomalował więc sobie twarz na biało-szaro, specjalnie dla niej włożył żółty płaszcz przeciwdeszczowy i krwawił z ust, żeby tylko go pokochała. Ona jednak nadal nie chciała spojrzeć nań łaskawym okiem. Nie pozostało mu nic innego, jak udać się do miejskiej studni i zaczerpnąć z niej zatrutej wody, żeby zapomnieć o księżniczce, o sobie, o wszystkim poza hospicjum, w którym śpią tacy jak on nieszczęśnicy, niezdolni zaznać spokoju nawet po drugiej stronie drzwi do świata.

Pocałowała go w policzek. Od tamtej pory zawsze czuł dotyk tego pocałunku.

– Widzisz? Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie widzę. To straszna historia.

– Chłopiec nie należał do jej rodziny. Nie może być prawdziwej miłości między dwojgiem obcych. Ja cię kocham. To wystarczy.

On też ją pokochał, pokochał ciemnooką dziewczynę, chociaż nigdy jej nie dotknął, ani razu. Tłumaczyła mu, że tak już jest urządzony świat, ale tylko odwracał się do niej plecami w maleńkim łóżku z cienkim siennikiem, a ona nic nie mogła na to poradzić. Była tym, kim była, i nikim innym.

Powiedział o niej tylko lekarzowi, na co ten przepisał mu tabletki, które wcale jej nie przepędziły. Zapewniła go, że ona również nie wspomniała o nim swoim przyjacielom. Miał wrażenie, że dorasta razem z nim, w podobnym tempie, chociaż przecież powinna być od niego starsza. Mimo to nie odpędzała od niego dziewczyn, nie krzywiła się na chłopców, nie urządziła scen zazdrości na schodach pożarowych. Po prostu, jak zwykle siadała na wezgielcu i jeśli był w łóżku sam i nie mógł zasnąć, wślizgiwała się do niego pod koc. Rano budził się na mokrej poduszce, z palcami pomarszczonymi od wilgoci.

– Kocham cię, Miła – powiedział do pustego pokoju.

Nie pytał, gdzie zniknęła. To by zakrawało na złe wychowanie, a dla ludzi, którzy są ze sobą tak długo jak Oleg i Ludmiła, dobre maniery są bezcenne.

\* \* \*

– Masz coś na brzuchu – powiedziała.

Myl zęby po posiłku, który trudno byłoby nazwać śniadaniem. Ciagle miał w ustach smak

wystygłej herbaty. Ludmiła przysiadła łobuzersko na umywalce, do której mogła dyskretnie odpluwać wodę z ust, zamiast pozwalać jej spływać po brodzie.

Spojrzał w dół: rzeczywiście, coś tam było, pod włosami. Naciągnął skórę. Wokół pępka, jak rozchodzące się promienie róży wiatrów, rozciągały się długie czarne wiotkie linie, koślawe i pozbawione celu. Niewiele brakowało, żeby udało mu się odcyfrować litery, którymi były opisane, ale oczy bolały go od oglądania ich z tak bliska, w dodatku do góry nogami. Taki sam znak miała na szyi ta druga Ludmiła; mógłby udać, że pochlapał się atramentem, ale rozpoznał go natychmiast. Całował go przecież. Znał jego smak.

– Może nie powinieneś obcałowywać obcych dziewczyn? – zauważyła wyniośle. – Jeszcze coś złapiesz...

Potań z nami, które – oczywiście – nie zamierzało zniknąć. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że uda mu się je zetrzeć. Był na nie skazany, tak jak na Miłę.

Wzruszył ramionami. Jakie to miało znaczenie? Człowiek, który nauczył się żyć z duchem, nauczy się żyć i z bliźnią.

– Miła... – Westchnął znużony. – Zgiń, przepadnij.

Uśmiechnęła się z wyższością i splunęła do umywalki. On również.

\* \* \*

To było dziewięć dni później. Musiał policzyć na palcach, żeby uzyskać ten wynik; mógł się pomylić o dzień, może dwa, nie więcej. Został wezwany na obrzeża miasta przy ostrym mrozie, który warczy groźnie na silniki samochodów i chłoszcze je bez litości. Młody mężczyzna przed kamienicą przytupywał z zimna, dmuchał w szczupłe dłonie i naciągał wełnianą czapkę na uszy. Oleg przyklęknął przed drzwiami i wziął się do roboty. Jego oddech unosił się obłoczkami w powietrzu.

Ofiary zatrzaśnięcia się drzwi: małe, słodkie, niezawodne duszyczki, zapominalskie i nieuważne, dzięki którym jego interes się kręcił. Darzył je wszystkie ojcowskim uczuciem – nawet jeśli miał do czynienia z siedemdziesięciolatkiem w szlafroku i z wygasłą fajką. Biedne kociątka, rzucone w szeroki świat.

Zajrzał do zamka, głęboko, jak to miał w zwyczaju, tak jak zaglądał w oczy siostry, przez nakładające się teleskopowo zamki w jego duszy. Zaraz za progiem była kuchnia, dalej białe, odrapane drzwi do sypialni, potem ściana, następna kamienica, i następna, aż do Brooklynu i dalej, aż do poszturchującego nosem plażę spienionego Atlantyku. Przystawił do zamka ucho jak do szumiącej muszli; czekał, aż wyszłocha swoje tajone żale. Zamek zapłakał. Oleg go ukoił.

– Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał – powiedział młody człowiek.

Wcisnął dłonie głęboko w kieszenie czarnej kurtki. Był wysoki i szczupły, miał oczy czarne jak Hiszpan; stanowił przeciwieństwo miękkiej, obfitej Ludmiły z grzywą blond

włosów.

– Mam warsztat niedaleko stąd. – Oleg wzruszył ramionami. – Nie możemy pozwolić, żeby błąkał się pan bezdomny po okolicy i drapał w drzwi sąsiadów, żebrząc o kęs ryby.

Młody mężczyzna parsknął śmiechem. Rozmawiali z takim samym zaangażowaniem, z jakim mogliby zerkać na zegarek na peronie w oczekiwaniu na pociąg albo pstrykać palcami: ot, żeby mieć jakieś zajęcie, by nie marznąć. Mężczyzna miał na imię Gabriel, studiował architekturę i budował wielkie, skąpe konstrukcje, które ostrożnie i zachłannie przytrzymywały zamki.

Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się z wdzięcznością. Gabriel zaskomlił z ulgą, prawie jak szczeniak cieszący się z powrotu właściciela, cudownie ocalonego przed śmiercią w tym przerażającym świecie na zewnątrz. Kiedy wiatr rozwał poły jego czarnej kurtki, Oleg dostrzegł wyczelowane na obojczyku znamię, delikatne, jak namalowane przez kaligrafa, czarne, patykowate, rozpościerające się jakby w poszukiwaniu nowych obszarów ciała do podbicia.

Doskoczył do Gabriela, zanim zdążył się powstrzymać, i chwycił go za koszulę na piersi. Gabriel nie zaprotestował, nawet się nie zdziwił – tylko uśmiechnął się przyjaznym, koślawym uśmiechem, w niczym nieprzypominającym makabrycznych, znaczących spojrzeń, które Oleg musiał znosić przez całe życie.

– Dalej – szepnął. – Śmiało.

Drżącymi, czerwonymi od mrozu rękami Oleg rozpiął guziki odprasowanej roboczej koszuli i rozchylił ją, odsłaniając znamię: ciemnosine, żywe, mroczniejsze niż sny.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

Gabriel pochylił głowę, spojrzał mu w oczy i dwoma brązowymi palcami uniósł jego podbródek.

– A ty nie?

– Nie, ja... Po prostu znalazłem je...

– Po przebudzeniu? No tak.

– Powiedz mi, proszę.

– Mam lepszy pomysł.

Architekt pocałował Olega, bardzo delikatnie, tak jak wdowa całuje stopy świętej figury. Jego język smakował cukierkami pomarańczowymi. Oleg pomyślał, że powinien być zaskoczony, nawet oburzony, ale dwadzieścia lat surowej szkoły siostry skutecznie wyrugowało z niego wszelkie „powinien”. Zesztywniał, niepewny, jak się zachować. Uderzyła go niezwykłość dotyku nieogolonego policzka na jego tradycyjnie wymizerowanej skórze, dziwnie niewinnego, choć bardziej nagiego niż pachnąca twarz Ludmiły. Nadal trzymał rękę na piersi Gabriela i wydało mu się – choć przecież to było niemożliwe – że czarne linie pod jego palcami zrobiły się gorące.

Westchnął, przygarnięty w ramiona architekta. Oczami wyobraźni widział Gabriela jako



olbrzymi dom – te łokcie odchylone pod idealnym kątem, żeby go zagarnąć, okryć krokwiemi i płytą gipsową, ochronić go przed deszczem i wygnąć ziąb z jego kości. Stojąc tak na progu, w rzadkim, mroźnym powietrzu niosącym zapowiedź bliskich śniegów, pocałowali się drugi raz, zanim Gabriel zaprosił Olega do środka i poprowadził najpierw do kuchni, potem przez odrapane białe drzwi sypialni, przez wysoką, cienką ścianę kamienicy i dalej.

\* \* \*

Kiedy Gabriel w niego wszedł, Oleg przestraszył się, że z bólu rozpęknie się na dwoje, ale oczywiście nic takiego się nie stało. Otworzył się, odsłonił przed drugim człowiekiem. Pojękiwał cicho do białych ścian, nie chcąc dać po sobie poznać, że nie był przygotowany na tak intensywne doznanie. Gabriel gładził go po włosach, całował w kark i szeptał:

– Już dobrze, Oleg, już dobrze. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

## Róg Czterysta Trzynastej i Sarsaparilli

Ulica Sarsaparilli jest wybrukowana starymi płaszczami, warstwami delikatnego sztruksu, filcu i wełny w kolorach kawy i atramentu. Ci, którzy mają tu coś do załatwienia, poruszają się popychanymi drągiem gondolami, ostrożnie rozgarniając rękawy, klapy i rachityczne krawaty, trzepoczące jak wodorosty i rozkołysane, jakby szarpał je jakiś pozaksiężycowy przyływ. Obszyte aksamitem i nasmarowane balsamem gondole bezszelestnie przemierzają bezdenną otchłań. Na wypadek katastrofy są wyposażone w potężne nożyce o zakrzywionych ostrzach, wetknięte dyskretnie za fotel pilota.

Nad brzegami ubraniewego kanału ciągną się małe domki, w których dorosły mężczyzna, stojąc, prawie dotykałby głową dachu. To domy wstydu, które kurczą się i kulą, jak tylko mogą. Od czasu do czasu wiatr, pachnący jałowcem i jeżynowym winem fermentującym w ogromnej perłowej kadzi gdzieś w głębi krętych jak korkociągi ulic, otwiera na oścież drzwi takiego domku i zza progu wygląda wielgachne oko – niebieskie, brązowe albo cholerycznie żółte. Wyczulony na kaprysy tych ślepi wiatr przy pierwszej okazji zatrząskuje drzwi z powrotem.

To dzielnica bankowa Palimpsestu, gdzie należy zachować pełną szacunku ciszę. W przygarbionych domach trwa wielkie, święte przeliczanie, którego nawet słońce nie waży się przerywać. Minęło wiele lat, odkąd niebo oglądało zamieszkujących te domki żebraków. Znalazłszy sobie dom, nie umieją się oni oderwać od jego drogocennych ścian i cudownych kominów, które rosły tak długo, aż całkowicie wypełniły wnętrza, i dziś nie da się przeciąć ich nawet nożycami gondolierów. Chmury jednak sądzą, że żebracy nie płaczą przez sen, a zatem muszą być adeptami jakiejś szkoły szczęścia.

Almudena, Królowa Żebraków! Najmniejszy, najuboższy, najskromniejszy dom z pewnością należy właśnie do niej. W tym miejscu złamały się jej nożyce i tu wyblagała od moźnych Palimpsestu każdą szczapę budulca. Jaka istota podarowała jej ten kryty dachówką dach? Ten dębowy ganek? To jej pomruk słycać pod wysokimi, zielonymi latarniami o złotych kloszach. Podobno w ciepłe dni zapuszcza ogon na skraj ulicy, żeby wygrzewać łuski na chodniku.

Zanieś jej wszystkie monety, które masz; nagryzie je, żeby ocenić ich wartość i zapisać ją w pamięci, która jest ograniczona pojemnością jej ciała. Żebro jest warte sto, kręgi po

dwadzieścia pięć, ścięgnami odlicza dziesiętne części całości, wątroba – miliony, a jej bezcennego serca ani ja, ani ty nigdy nie zobaczymy. Pozbawiona rachunkowej maszynierii Almudena zapisuje na mapie swojego ciała wpłaty, wypłaty i inne ciekawostki. Nie może, naturalnie, zapomnieć stanu swoich stawów i maleńkiej trzustki; nikt nie ukradnie środków zdeponowanych w jej płucach. Gdybyśmy mogli ją rozkroić, nie wiadomo, czy znaleźlibyśmy w środku krew. Gondolierzy klną się na wszystkie świętości, że nocami słyszą brzęk monet przesypanych się w komorach jej serca i furkot złożonych w żurawie banknotów, które trzepoczą jej wokół głowy, usiłując wyrwać jej dom z ulicy Sarsaparilli i ponieść go daleko poza granice wszelkich snów o mamonie.

\* \* \*

Gabriel rozpycha ubrania drągiem. Wiatr, który smaga jego promienną twarz, jest tutaj ciepły, niesie zapach czerwonych kwiatów i morza. Oleg zagląda w toń, w przerwy między falami tkaniny. Zgięty w pół wisi na burcie gondoli; wzrok mu się mgli jakby z wielkiego bólu, pod zimnymi rękami czuje dotyk pleśni i metalu, w ustach ma smak mięsa ślimaków. Głowa mu drży w podwojonym, potrojonym, poczwórnym rytmie ruchu rąk i oczu. Otrząsa się i z jego włosów opada chmura mosiężnego pyłu, opiłki z tysiąca oszlifowanych kluczy.

– Co jest na dnie? – pyta chrapliwie. Niewiele brakuje, żeby wciągnął do nosa garść mosiężnych guzików.

– Nie wiem. Nie umiem pływać. Tory kolejowe? Morloki? Na pewno są tam aligatory.

Oleg prostuje się, siada wygodnie i drapie się po głowie, jak staruszek, który zapomniał, gdzie położył okulary.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś? – pyta.

Wpatruje się w zatraskujące się drzwi i lśniące oczy niskich domków. Jego gondolier... Czy jest naprawdę jego gondolierem? Pewnie nie, nie na własność. Gondolier odwraca się do niego. Światło księżyca przeszywa jego czarne, nieuczesane włosy.

– To jedyne miejsce, do którego mogłem cię zabrać. Jedyne, jakie mam. Tak to działa. Można powiedzieć, że... miasto wynajmuje od ciebie kawałek skóry. Widziałeś rysunek na mojej piersi? Dlatego tu właśnie wylądowaliśmy, chociaż musiałem się nieźle sprężyć, żeby zdążyć na spotkanie z tobą. Wyświadczam ci wielką przysługę, Oleg. Teraz muszę czekać aż do jutrzejszej nocy, żeby się dowiedzieć, jaki kawałek miasta ty masz na sobie.

– A gdybyś przespał się z kimś... nowym? Bez znamienia? Gdzie byś trafił?

Gdzie trafiła Ludmiła?

Gabriel wzrusza ramionami i pcha gondolę przez kłęb zielska.

– Nie wiem, nigdy nie byłem z kimś nowym. Strata czasu. Może nigdzie? Nie lubię o tym myśleć.

Gabriel rozchyła koszulę, podobną do tej, którą zmiętą zostawili na stercie ubrań na starej

komodzie z cedrowego drewna. Znamię nadal tam jest, chyba jeszcze bardziej wyraziste niż przedtem, linie jak cięcia mieczem, jakby ktoś zdarł mu skórę. Oleg podąża wzrokiem za długim brązowym palcem wzdłuż najbliższej z czarnych kresek i tuż nad nią... Tak, teraz to widzi: drobne, mikroskopijne litery, które mogłaby napisać ćma albo koliber: "Ulica Sarsaparilli". Pod ostrym kątem przecina Czteryście Trzynastą, Czteryście Piętnastą i Czteryście Siedemnąstą. Zupełnie nie przypomina to kojąco regularnej siatki ulic Nowego Jorku.

– Poza tym imigranci nigdy nie mają pieniędzy. – Gabriel parska śmiechem. – A to jest najlepsze miejsce, żeby zdobyć jakąś kasę. Można by chyba powiedzieć, że w ten sposób dojeżdżamy do pracy.

Pcha gondolę przez fale ubrań. Za pasek ma wetknięte ogromne nożyce z brązu; od czasu do czasu wyciąga je i wycina drogę w nieprzebytej plątaniu krnąbrnych garniturów. Mówi dalej, już cichszym, łagodniejszym głosem:

– Większość z nich... to znaczy, większość z nas nigdy się nie dowiaduje, co się właściwie stało. Zły sen, myślą. Albo dobry. Jak dziwna wysypka, która nie chce zniknąć, ale lekarz mówi, że nie ma powodów do niepokoju. Po co to rozpamiętywać? Są jednak ludzie, którzy nie potrafią tak łatwo odpuścić. – Spogląda na stojące nad kanałem domy i te ich wielkie, mrugające zza okien oczy. – Niektórzy piją na umór, żeby jeszcze raz odszukać to miejsce. Włóczą się po barach, gdzie tłuste cienie zostawiają ślady na ścianach; wszystko, żeby się przebić, żeby znaleźć drogę. Niektórzy zapominają, że nie można cały czas spać. Że trzeba żyć w słońcu.

– Czy tutaj zawsze jest ciemno?

Gabriel pociąga nosem i ociera rękawem oczy. Wydaje się taki młody – młody, zmęczony i potrzebujący.

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu nie przybywamy tu nigdy za dnia.

Oleg znów wygląda za burtę. Widzi girlandy kwiatów – chyba kalii, tak mu się wydaje. I dzwonek. Zwieszają się nad ulicą. Pachną starością, jak szczątki. Jak relikwie.

– Ale to przecież naprawdę jest sen – mówi w wełnianą toń. – A we śnie wszystko jest nieważne. To po prostu... głupstwa, które powtarzają się w kółko, aż się obudzisz.

Zapada długa i w jakimś sensie brzydka cisza.

– Jasne – potakuje Gabriel. – To tylko sen. – Lecz jego oczy są puste i płytkie, przymknięte i przymglone. – Cóż by innego?

Ręka Olega wlecze się wśród ubrań. Jest dobry w sprawach duchów, snów i wszystkiego, co efemeryczne. Wszystkiego, co zakryte i niedotykalne. Jeżeli to sen, może spać bezpiecznie. To znajome terytorium. Skoro umie wywołać ducha, znajdzie także sposób na to, żeby się obudzić.

Gabriel wprowadza gondolę do małej przystani i cumuje do pacholka. Uśmiecha się, ale przelotnie i bez przekonania.

– Czas odbić kartę – mówi.

Wchodzą do ogromnego jak katedra gmachu, który w całości, od przypór po iglice, jest wykonany z ciemnoniebieskiego szkła. Za nimi wchodzi jeszcze parę osób. Oleg idzie za Gabrielem. Odbierają fartuchy z rąk nedorzecznie wysokiego, milczącego mężczyzny o połyskliwych nogach żyrafy. Dostają również eleganckie koszule, róż na policzki i wodę kolońską. Przechodzą długim korytarzem o ścianach obwieszonych portretami różnych *maître d'hôtel* o dumnych, orlich nosach i przed nimi rozpościerają się tuziny stolików z rubinowymi obrusami i perłowymi kandelabrami... Są w restauracji, dużej i ruchliwej restauracji.

– Nie patrz na nich – szepcze Gabriel, biorąc do rąk tacę z wąskimi kieliszkami pełnymi gorącego wina truskawkowego.

– Na kogo?

Oleg ugina się pod ciężarem innego brzemienia: na jego tacy kule białego masła kolebią się w małych miseczkach z wydrążonych brylantów, obok leżą kanciaste bochenki wilgotnego, pachnącego korzeniami chleba.

Zostałem wcielony do służby w roli kelnera, myśli. Pięknie.

– Na klientów – syczy Gabriel. – Takie prawo. Nie wolno patrzeć im w oczy. Spuść głowę, jakbyś się modlił. Raczej nie będziesz musiał z nimi rozmawiać, zwłaszcza że im nie wolno się do ciebie odzywać. Chyba że nazwą cię „nowicjuszem”.

– Jak mam przyjmować zamówienia, jeśli nie mogę z nimi rozmawiać?

– Tu podają tylko jedno danie. Postaw talerze na stoliku i wracaj do kuchni po następne. Dotrważ do rana, to ci zapłacą. A lepiej jest mieć pieniądze, niż ich nie mieć.

Pracują więc. Po winie i chlebie przychodzi kolej na ślimaki w płonącej brandy z plasterkami bananów skwierczącymi w muszlach. Następne są duże kościane półmiski, na których piętrzą się nieprzyzwoicie wielkie kawały mięcha; rubinowe steki, okryte przypieczoną biało-brązową skórką, ledwo mieszczą się na półmiskach. „Słoń albinos” – Oleg słyszy, jak dziesięciu, może dwudziestu gości powtarza w ekstazie szeptem te słowa. Ze szczytu góry mięsa spływa kaskada pestek granatu nasączonych miodowo-bursztynowym winem, którego zapach jest tak słodki i intensywny, że prawie zwała go z nóg. Żołądek mu się zaciska, ale nie wolno mu nic zjeść.

– Nowicjuzu! – woła kobieta z trzema pierścieniami na prawej ręce i wężową bransoletą ze srebra i agatów na lewej. Bransoleta oplata wszystkie jej palce i wspina się w górę ręki.

Oleg pamięta, żeby na nią nie patrzeć. Stopy bołą go od pielgrzymek do kuchni, nie chce z nią rozmawiać. Kobieta ma paznokcie mokre od soku z granatów.

– Od jak dawna mieszkasz w Palimpseście, nowicjuzu? – pyta wyniośle.

– To...

– Głośniej!

– To chyba moja druga noc, jeśli dobrze zrozumiałem.

Kobieta klaszcze i piszczy triumfalnie. Głos ma wysoki i przenikliwy, jak dźwięk pękniętego dzwoneczka.

– Tak myślałam! Jesteś taki nieporadny. Imigrant! Urocze! Powiedz mi, chłopcze, czy to prawda, że nie widzicie kolorów żółtego i niebieskiego? Że uczujecie na śmietniskach, kiedy my kładziemy się spać i sączymy herbawino? Że, aby tu trafić... – pochyła się, żeby spojrzeć mu w oczy i narobić kłopotów, ale on w porę odwraca wzrok i widzi tylko jej długie rude włosy ocierające się o kieliszek. Na szkle ciągle widać ślad truskawkowego trunku – ...parzycie się jak brudne krowy w rui? Co jecie? Musisz koniecznie opowiedzieć nam o wszystkich waszych odrażających zwyczajach!

Oleg wbija wzrok w jej buty. Twarz płonie mu rumieńcem wstydu, o którym nie wiedział wcześniej, że w nim tkwi. Od dzieciństwa nie słyszał, żeby ktoś w ten sposób cisnął słowem „imigrant” – bo, oczywiście, jest imigrantem. Tam i tutaj. Ma ochotę uciec jak najdalej od tej obcej kobiety, jej imbirowej woni, triumfalnego śmiechu i pohukiwania – ale równocześnie chciałby zostać i wyróżnić ją tym kieliszkiem w gębę.

Powoli, smakując umyślność tego gestu (będzie się nim napawał aż do rana), unosi głowę i bez śladu goryczy czy złośliwości patrzy prosto w jej błyszczące, umalowane, zdobione cekinami oczy, patrzy na policzki z klejnocikami wszczepionymi w skórę, na której pojawiają się pierwsze zmarszczki, kurze łapki. Cisza przetacza się przez salę i eksploduje mu pod nogami.

– To z pewnością prawda – mówi spokojnie. – Wszystko, co do słowa. Chce pani odwiedzić takie śmietnisko razem ze mną? Moglibyśmy parzyć się w blasku księżyca. Ciekawe, gdzie by pani wylądowała.

Kobieta rozchyła fioletowe usta – może jest wstrząśnięta, a może konfrontacja z prawdziwym żywym imigrantem i jego manierami sprawia jej przyjemność. Szef kelnerów (ten z nogami żyrafy) dopada do Olega i olbrzymią, wymanikiowaną dłonią wali go pięścią w ucho, po czym łapie go za rękę, bez słowa wywleka ze szklistej kobaltowej sali i bezceremonialnie wyrzuca na Sarsaparilli.

Parę minut później niespiesznie dołącza do niego Gabriel, słodkie dziecko, dobry chłopak, wierny krajan.

– A nie mówiłem? – rzuca tylko, po czym odcumowuje gondolę i wypycha ich na środek ulicy płaszczy. Jest oschły, jakby Oleg osobiście go uraził, narobił mu wstydu, zrobił z niego dumia.

– Przecież to tylko sen! – broni się Oleg. – Zabawiliśmy się, a do rana wszystko zapomnimy.

– Ty nic nie rozumiesz.

Gabriel wzdycha i zapada długie milczenie. Wśród blednących ostatnich gwiazd zrywa się wiatr i na wschodzie pojawia się światło, cytrynowe, chłodne.

– Możesz mi dać nożyce? – prosi w końcu Oleg, uśmiechając się przy tym najpromienniejszym i najodważniejszym jak umie.

Gabriel stoi jednak odwrócony plecami i wodzi wzrokiem po dachach sympatycznych

domków i nieznanymi Olegowi zaułkami. Oddalili się od siebie – dyskretnie, subtelnie, nieodwołalnie. Podaje nożyce (ostrza są dłuższe niż jego nogi), ale nie odwraca się przy tym, a jego palce nie dotykają palców Olega.

Oleg wstaje (niewiele brakuje, żeby przewrócił przy tym gondolę), jedną ręką łapie swojego architekta (który wcale nie jest jego, nie tak naprawdę) i szepcze mu w kark najlepsze przeprosiny, jakie zna:

– Chcę ci opowiedzieć pewną historię. Będzie krótka, obiecuję. I o miłości. W krainie umarłych chłopiec przejechany przez czarny samochód zakochał się w księżnej cholery, która miała jaskrawożółtą sukienkę, żółte włosy i błyszczące żółte trzewiki...

Ale Gabriel nie słucha. Jego otulone płaszczem plecy są sztywne, spięte. Posmutniały Oleg tnie nożycami z brązu półpłynną powierzchnię ulicy pod łodzią. Przerażone nici wyslizgują się ze szwów na ramionach, guziki furkoczą w powietrzu, a on zerka głębiej, lecz widzi tam tylko kolejne rękawy i mgłę, ale jest teraz jednocześnie pływakiem i ślusarzem i wie, jak przeciskać się przez szpary zbyt wąskie dla innych. Nie może zostać we wraku dezaprobaty Gabriela, a noc i tak dobiega już końca. Bierze głęboki wdech i nurkuje, wystawiając nożyce przed siebie. Spada i spada, bardzo daleko.

\* \* \*

Na dworcu kolejowym kobieta o niebieskich włosach odczuwa nagle zawroty głowy. Na wyłożonej cedrowym drewnem ulicy pszczelarka w długiej sukni kicha, gdy wełna wypełnia jej nos.

\* \* \*

Pod ulicą z płaszczy płynie rzeka. Ma mleczny kolor. Toczy leniwe, powłóczyście fale gęstej śmietanki i zwarzonego mleka. Nad nią, w górze, rozpościera się flanelowe niebo i długi tunel o ceglanym sklepieniu, zarośnięty złocistym mchem i sflaczałymi, półprzezroczystymi grzybami, oślizłymi i srebrnymi jak mięso ostryg. W paru miejscach strop się zapadł; przez jeden z tych otworów Oleg wpadł do środka.

Idzie brzegiem rzeki po kruszącym się gzymsie ozdobionym rzeźbami lamentujących twarzy, których łzy zasilają rzekę. Mają wykrzywione usta i błagalnie patrzące oczy; mija je obojętnie. Kuleje, co go niepokoi, bo przecież w snach człowiek powinien lądować bezboleśnie jak westchnienie, prawda?

Napotyka ławkę – jedną z tych, które zawsze, gdziekolwiek się je widzi, wyglądają tak, jakby powinny stać w Paryżu, z widokiem na Sekwanę. Siedząca na niej kobieta w długiej sukni patrzy na trzepoczące w podmuchu powietrza grzyby. Oleg zbliża się i widzi, że suknia ma intensywnie granatowy kolor, jest usiana srebrnymi gwiazdami i bardzo elegancka; jej

turniura ma rozmiary bębna sporej kopuły. Włosy kobiety są swobodnie rozpuszczone, mysie, bardzo podobne do jego włosów i przetykane śniegiem, mimo że śnieg nie pada przecież pod ziemią. Kiedy kobieta odwraca się ku niemu, Oleg jęczy. Grzyby dygoczą.

– Tęskniłam za tobą, Oleżka – mówi jego siostra i wyciąga ku niemu długie ręce.



# CZTERY

## Archipelag

Lucia zniknęła.

Ludovico siedział nagi w swoim przedpokoju, po turecku, jakby czekał na spowiedź. *Etymologiae* płynęła wokół niego po ścianach – rozsypane przez Lucię okruchy, które padły łupem kruków, a on stał się zabłąkanym w lesie dzieckiem. Dotykał ich; muskał rowki w farbie, miejsca, w których była, których dotykały jej palce. Gdyby zamknął oczy, mógłby zatracić się w powietrzu, które niegdyś ją otulało, albo wstrzymać oddech i znów znaleźć się w niej, w jej ciasnym, gorącym wnętrzu... Tam stała, myła włosy w tej umywalce, pisała po tej ścianie, jadła pieczonego kurczaka przy tym stole. Nie było w domu pomieszczenia, w którym jej by nie było; echo jej obecności wisiało w powietrzu jak suszące się arkusze papieru. Nie było miejsca, które nie ropiałoby jej brakiem; którego nie otaczałyby świetliste aureole jej niegdysiejszej obecności, jak na przypalonej papierosem kliszy.

Zawsze czuł jej lwią woń w łóżku – czuł ją w dalszym ciągu, mimo że ona od tygodni już w nim nie spała. Nie mógł się zmusić, żeby spać na jej miejscu; nie chciał zatrzeć niedostrzegalnego zarysu jej ciała, który z pewnością zdążył się już stać zaledwie gorączkową nadzieją i kłamstwem nieświeżej pościeli. Jej śmiech – ostry, okrutny, krótkotrwały – zawisł nad wąskimi, wysokimi oknami jak girlandy poczerńiałych róż. Ludo prawie nie jadł, co najwyżej ogryzał kości zostawione przez nią na wyszczerbionym talerzu w kuchni. Przymierzał zęby do martwych rzeczy, które wcześniej objadła do czysta.

Przyłożył policzek do ściany i litery zaczęły się pod nim rozgrzewać jak jej ręce w zimie: *Cum leones dormierint, vigilant oculi; cum ambulat, cauda sua cooperiunt vestigial sua, ne eos venator inveniat...* Słowa pokonywały ostry załom ściany i mijały stolik pod telefon ze stojącą na nim smukłą zieloną lampką. „Kiedy lwy śpią, ich oczy pozostają czujne; kiedy idą, zacierają swój ślad ogonem, żeby żaden myśliwy ich nie wytropił...”.

Wbił paznokcie w *leones*, potem w *ambulant*, jakby chciał z nich wydobyć jej twarz, jej

chód, jej długi złocisty ogon zacierający ślady łap na pylistym gruncie buszu.

Zawsze byli parą bestii, skulonych i powarkujących w swojej jaskini, nieustępliwych i zawistnych – to oczywiste, ale czyż nie zawarli umowy? Chimera i święty – czyż nie pożarli razem swojej młodości i nie przeobrazili tych pięciu pokoiów we wspólne legowisko? Czy dawno temu nie widział jej twarzy na jakiejś tarczy? Nie leżał na tej podłodze, przyszpilony jej kamiennymi rękami? Dokąd mogłaby pójść? Jak mogłaby chociaż wyśnić miejsce, którego on już wcześniej by nie odwiedził? Znał ją przecież na wylot, znał jak nikt inny, znał jej naturę i pochodzenie.

Spojrzał na apokalipsę japońskiej książki: rozłożone na podłodze setki płóciennych stronic, srebrna farba, czarny jedwab. Wrzasnął na nie, na bezduszne, brzydkie ilustracje, pociągi jak zwiotczałe węże. Lucia lepiej by je narysowała, pod jej piórem wyglądałyby jak lewiatany z rozdziawionymi paszczami wgrzyzające się w podbrzusze Ziemi. Sufit z lekkim zakłopotaniem wchłonął jego krzyk. Termin wykonania zlecenia dawno minął, zamówienie dostał inny introligator z Parmy, ale Ludo bez żalu rozstał się z księgą. Zobojętniała mu. A to było wszystko, co zostało mu po żonie: stronice, farba, jedwab. Sikał na nie, pluł, darł je, jadł i wyrzucał przez okno, ale nie chciały się skończyć. Były nieskończonym potworem, z pewnością dobrze znajomym jego ukochanemu Hiszpanowi stojącemu gdzieś przy pulpicie w bibliotece umarłych. Ludo zaśmiał się w ciemności i zaczął pisać na ścianie, blisko listwy przypodłogowej, gdzie zostało trochę wolnego miejsca:

*18. C.I. Na dalekim zachodzie żyją istoty, których ciało ma postać ogromnej księgi o grzbiecie z drewna i kartach spojonych klejem do złudzenia przypominającym ludzką krew. Rozwścieczony potwór klapie okładkami i zgrzyta rozdzielami, a gdy człowiek pokusi się o unicestwienie go, bluźnie na niego swoimi sokami życiowymi w postaci niekończącego się strumienia stronic. W ten oto sposób – zalewając nieszczęśnika powodzią swych odchodów – chroni się bestia przed śmiercią...*

Przerwał, gdy wyczerpał mu się zasób żartów, którymi mógłby się podzielić z jej duchem.

Siedem pustych, zszytych okładek ustawiło się w nierówną jońską kolumnę, na której postawił kubek z kawą. Kałuża kleju z wołowych ścięgien stężała jak karmel pod niesprawnym kaloryferem. Czteryście dwanaście stronic pochłonęło kanapę z Ostii, którą Lucia kupiła tylko dlatego, że miała identyczny odcień jak orzechy hikory; trzy noce spała na niej sama, nago, żeby buchający z obicia kolor wsiąknął w jej niesamowitą skórę. Szczątki japońskiej księgi zasłały podłogę jak ozdobny kobierzec. Kroki Ludovica rozbrzmiewały na nich bardzo głośno, zbyt głośno.

Położył się na nich, czując pod spodem miękką, zwiotczalą kanapę, która nie pachniała już Lucią, morzem ani tamtym latem na plaży, kiedy Lucia ubierała się wyłącznie w żółcienie

i jeszcze nie marszczyła brwi w jego obecności. Przyłożył twarz do kartek i wciągnął w płuca odwodnioną woń dawno zaschniętego atramentu; przesiewał je z cierpliwością archeologa, szukając nieobecnego ciężaru kolan żony odciskających zagłębienia w obiciu.

Kiedy podobny do guzika w sukience księżyc ześliznął się z nieba, Ludo już spał, skulony w objęciach książkowego potwora, z twarzą wtuloną w rysunek wagonu restauracyjnego.

\* \* \*

– Widzieliście ją?

To jedno zdanie – sam jego kształt, leżący mu w ustach jak stara, spłaszczona figa – wyczerpało jego siły. Odbijał je na języku jak pod prasą drukarską, raz za razem, produkując kolejne egzemplarze dla wszystkich tych, z którymi się spotykał, dla przyjaciół: szylkretowe okulary, buty z klamerkami, aktówki z tłoczonym mottem, postukiwanie piórem o zęby, wydymanie oszronionych ust, drapanie się w nasadę nosa, chianti w pękatych kieliszkach w dziesiątkach kafejek, w których nie jadł podawanych mu ciastek i nie pił kawy. Nie nadawali się z Lucią na przyjaciół innych ludzi; żyli jak para żółwi, jedno wtulone w profil skorupy drugiego. Rzadko spotykali się z tymi, których znali przed stworzeniem swojego ukrytego za murem prywatnego świata, ich nietykalnej ciszy.

Kobieta, która w tej chwili siedziała naprzeciwko niego, zajmowała dość odległe miejsce na liście uniwersyteckich znajomych Lucii. Był prawie pewien, że miała na imię (i zapewne nadal ma) Nerezza... Albo jakoś podobnie, równie sztywno i poważnie. Lucia kolekcjonowała takie poważne, barokowe istoty ludzkie niczym opiekunka jakiegoś groteskowego ogrodu zoologicznego. Nerezza miała małe, wąskie oczy o cętkowanych źrenicach. Nawet kiedy się śmiała, sprawiała wrażenie rozszłoszczonej.

– Dlaczego zakładasz, że od ciebie odeszła? Może miała wypadek? Powinieneś zadzwonić na policję.

Odmierzone słowa wydobywały się z jej ust jak zaprasowany rękaw koszuli spod żelazka.

Lwy nawet przez sen zachowują czujność, pomyślał Ludo.

– Bo ją znam! Chciała odejść! Zawsze była... zdeterminowana.

Nerezza się roześmiała. Jej śmiech brzmiał jak kaszel.

– To prawda. Zabawne... Rozmawiamy o niej w taki sposób, jakby już nie żyła. No cóż, mogłabym powiedzieć, że ją widziałam, ale chyba niewiele by ci to dało.

Ludo czekał, usiłując nie tracić cierpliwości. Chciał zobaczyć, co Lucia pokochała w Nerezzy, żeby choć w ten sposób móc dotknąć żony. Oparte na kolanach dłonie przepacały mu materiał spodni. Jakież to obrzydliwe, takie wiecznie ciekące ciało.

Nerezza zmarszczyła brwi.

– Powiedz mi, Ludovico... – Zaciągnęła się głęboko cygaretką. – Miewasz ostatnio sny? Koszmarne, albo zwariowane, jakbyś był w szpitalu, skąd nie chcą cię wypuścić, ale zarazem

nie pozwalają ci się zobaczyć z rodziną?

– Naturalnie. Żona ode mnie odeszła! Jeśli w ogóle uda mi się zasnąć, dręcą mnie koszmary.

– Nie o to mi chodziło. Masz w tych snach wysypkę? Jak pokrzywka, tylko że nie swędzi. Czarna. Jak tatuaż.

– Tak... tak, na plecach. Nie przejąłem się nią. Lucia miała ją pod kolaniem, ale mówiła, że to nic poważnego. Chociaż to chyba zaraźliwe.

Nerezza przewróciła oczami i zgasiła cygaretkę. Ludovico nienawidził tego nałogu. Próbował kiedyś tłumaczyć Lucii, że palenie zaburza równowagę humorów, chciał ją ostrzec, że gorący i suchy dym wypali jej delikatne *apparti* flegmatyczne i będzie ziała ogniem. Wcale nie żartował. Kiedy pocałowała go z ustami pełnymi dymu, jego poparzone płuca zdrząły od żaru.

Nerezza podwinęła rękaw fioletowej sukienki. Jej przedramię pokrywały czarne linie. Linie Lucii. Jego linie. Jak ona śmie? Jak śmie nosić na ciele ostatnią rzecz, którą przekazała mu żona? Na krańcach ulic nie unosiły się jednak skrzydlate serafiny, a pośrodku płataniny krętych alej znajdował się owalny tor wyścigowy, jak widziany z niewiarygodnie wielkiej odległości hipodrom. Na ciele Nerezzy znamię wyglądało makabrycznie: nagie, fioletowe, jakby wydarte chropowatym szkłem w jej skórze – w jego skórze, w skórze Lucii, tak jakby Nerezza podkraśla im ich sekretną chorobę, potajemny mózół.

– Posłuchaj... – powiedziała półgłosem, kładąc rękę na stole między nimi jak talerz z jedzeniem. Jak mięso. – Mogłabym powiedzieć, że widziałam Lucię. Mogłabym również powiedzieć, że wiem, gdzie teraz jest i że jest bezpieczna, nic jej nie grozi. Mogłabym nawet powiedzieć, że nie dalej jak przed trzema dniami dotykałam jej twarzy i że podawałyśmy sobie mężczyzn z rąk do rąk jak butelkę whisky. Byłaby to prawda, lecz zarazem byłyby to kłamstwa, ponieważ nie widziałam Lucii na jawie i nie wiem, gdzie jest w tej chwili, kiedy o niej rozmawiamy, tu, w tej kawiarni, nad kawą i śmietankowo-karmelowym deserem. Sam musisz zdecydować, jak potraktujesz moje słowa.

Ludo zamknął oczy. Mówiła jak Lucia, marzycielsko, złowieszczo, słowami brzemienymi w znaczenia, które czasem wydawały mu się udawane. Słońce przytknęło palce do jego twarzy, aż zapłonął.

– Przyjmę je, Nerezzo. Powiedz mi, gdzie ją znajdę, żebym mógł ją sprowadzić do domu.

– Biedny Ludovico... Lucia nie wróci do domu. Już nigdy. Nie chce wracać. Wydaje mi się... Upłynęło sporo czasu, odkąd mogłam powiedzieć, że dobrze was znam, ale chyba najlepiej będzie, jeśli sobie wmówisz, że ona nie żyje, uwierzysz w to i zostaniesz wdowcem.

Nerezza uśmiechnęła się przelotnie. Uśmiech był zachęcający, nawet odrobinę matczyny, ale nie wyglądała z nim najlepiej. „Idź się bawić, chłopczyku”, mówił. „My jesteśmy bardzo zajęci. Bycie dorosłym to ciężka praca”.

Ludo się skrzywił.

– Gdyby na świecie było dość kiru, żeby wystarczyło go na żałobę po niej, może rzeczywiście mógłbym tak zrobić. Ale jestem, kim jestem, ona jest tym, kim jest, i żadne z nas nie jest martwe.

Wzięła go ostrożnie za rękę, gestem smukłonogiej amazonki przymierzającej się do okiełznania dzikiej bestii; aż się zdziwił, że nie ma dla niego kostki cukru. Jeżeli Lucia była chimera, która przenosiła swoje olbrzymie lwie ciało z kanapy na podłogę i dalej do łóżka, to Nerezzę należałoby porównać do węgorza, ciemnego, kłapiącego paszczą, śliskiego w dotyku i przez to niemożliwego do utrzymania w dłoni. Przypomnił sobie, co napisano o węgorzu w *Etymologiae*: „powstaje z mułu i je ziemię; muł Gangesu rodzi węgorze-olbrzymy, czarne, ślepe jak podziemne robale, gigantyczne, święte”. Może to o Nerezzie i jej niezbadanym plemienu pisał Izydor, o tym, jak woda perli im się na piersi, gdy wynurzają się z rzeki o barwie popiołu.

Bez uprzedzenia złapał ją za rękę, ale wyrwała mu się zwinnym, wyćwiczonym ruchem.

\* \* \*

Miała mieszkanie niedaleko kawiarni, ale nie wpadli tam, potykając się o własne nogi, jak targani żądzą kochankowie. Weszli przez próg powoli, bez emocji, trzymając się za ręce. Blade popołudniowe światło sączyło się do środka przez cztery długie okna.

Pokoje w jej mieszkaniu były równie surowe jak zarysy jej kości. Miała w nim czarny szeszlony i gablotkę. Nalała do kieliszka żółtego, żywicznego wina, które mu nie smakowało. Poczuli, jak jego kobieta-węgorz – ale przecież ona wcale nie należy do niego! – oplata go i wysysa z niego siłę. Usiadła mu na kolanach; była cięższa, niż się spodziewał, jakby miała kości z żelaza. Odgarnęła spódnicę sukni – kosztowną, grubą jak okładka książki. Jej nogi były jak stronice.

– Jestem drogą do niej – powiedziała.

Spojrzenie jej czarnych oczu było przeszywające i nieodparte. Ludo wszedł na tę drogę z wiarą mnicha. Otworzył usta jak wilk paszczę i wczepił się jej w szyję, jakby chciał rozerwać ją i znaleźć ukrywającą się w środku, czekającą na niego Lucię. Objęła go nogami, śliskimi, zaciskającymi się cęgami, które nie zamierzały go wypuścić; objęła go tak ciasno, że wbijał knykcie w jej uda, mocując się z paskiem od spodni. Pocałował ją jeszcze raz, głęboko, z narastającym poczuciem straty... Lucii by się to nie spodobało. Albo by jej to nie obchodziło. Co by wolał? Brutalnie rozorał jej plecy paznokciami wolnej ręki; miał nadzieję, że te ślady będą równie ciemne i okrutne jak mapy szpecące ich ciała, jak ta mapa, którą nosiła na sobie, choć nie miała do tego prawa.

Ani na chwilę nie otworzyła ust, bez względu na to, jak się w niej poruszał. Miała dzikie, rozplamione oczy, ale oddychała spokojnie przez ten swój wąski, orli nos, wczepiwszy się w Ludo spojrzeniem czarnych oczu jak zębami. Była ciasna w środku i na zewnątrz.

Otaczający go nacisk groził wyciśnięciem mu duszy przez czubek głowy. Wrzasnął w nią, nie mógł się powstrzymać. Krzyczał w ciemność pustego domu, w ciasny wewnętrzny świat Nerezy o węgorzowym sercu, potężnej, dostojnej bestii, która zadygotała, lecz, zamiast krzyżeć, ukąsiła go wściekle w policzek i przytrzymała jego skórę kłami, czekając, aż on dojdzie, jakby tłukło się szkło.

## Tor Wyścigowy

Bieżnia Toru Wyścigowego zakrzywia się długim, leniwym łukiem, zagarniając całą Troposferę w swoim okrężnym biegu. Miasto drży trzykrotnie, gdy gonitwa przetacza się po wytyczonym fiszbinami torze, czarne perły tryskają fontannami spod setki kopyt, a widzowie jak jeden mąż odrzucają w ekstazie głowy w tył i z ich piersi dobywa się krzyk, esencja ich woli. Tor ma kopulasty dach, ponieważ deszcz w Palimpseście jest jak zachłanny kochanek: wszechobecny, żarliwy, pałający żądzą. Pod kopułą fale czekoladowego jedwabiu spływają z wielobarwnego stelaża z dmuchanego szkła; każda jego belka mieni się barwami jak kościelny witraż. Olbrzymie pomarańczowe lampy przypominają miniaturowe słońca oplecione czarnymi łańcuchami. Tor – perłowy tor – zatacza wspaniałą, nieskończony owal. Trybuny rzadko są puste: śliniący się w na wpół religijnym uniesieniu tłum pochyła się jak jedno wielkie roziskrzane ciało, by śledzić gonitwę nieszczęsnych stworów.

Głos Traugotta – brzęk miedzianej patelni na wietrze – niesie się śpiewnie nad trybunami. Traugott jest hodowcą ślimaków. Mieszka w dwupiętrowym domu. Za młodu wysypał podłogi wszystkich trzech kondygnacji żyzną czarno-czerwoną ziemią, złotymi i zielonymi liśćmi, słodkim, brązowym ziarnem i płatkami fiołków, grubymi jak skrawki masła. Wspaniale *petit-gris* przemieszczają się powoli z salonu do łazienki, jedząc łapczywie w paroksyzmach spiralnej rozkoszy. Parzą się w kominie i wyśpiewują ciche ślimacze hymny na parapetach, gdy w blasku księżyca jaskrawa farba blednie do czerni.

Kiedy zbliża się czas wyścigów, zabiera najkrągłejsze i najśłodsze z nich do swojej sypialni i na zajmującym całą podłogę brokatowym łożu, tak miękkim, że nie może na nim spać, układa je jak dzieci. Następnie uczy je ascezy, dyscypliny, świętego postu, ponieważ żołądki ludzi nie mogą znieść większości tego, co zawierając żołądki ślimaków. Prowadzi je w modlitwie do samej Najwyższej Spirali, zasiadającej na ziemnym tronie. Jej opalizujące ciało okrywają słodkie trawy, oczy na szypułkach dygoczą ze współczucia i litości. Traugott drży, gdy jego skarby marnieją od oczyszczającego głodu, i płacze, polerując ich skorupy i pakując je do zielonego sakwojażu.

A potem z tym samym sakwojażem zakrada się na trybuny, z brodą ufarbowaną pod kolor maści faworytów; akurat w tym dniu są to odcienie szkarłatu. Dzieci wyciągają rączki, dotykają jego długich włosów, jasnych i miękkich jak u dziewczyny. Rozkłada ręce, w

których trzyma złote paczuszki; opalizujące ślimaki wielkości drobnej piąstki niemal przesypują się przez skraj opakowania. Połyka jednego powoli, z przyjemnością, ze smutkiem. Ich smak – jak winiak z masłem, jak słodzony gęsi smalec – roztapia mu się na udreżonym języku. Na widok skoku grdyki pod zaczerwienioną skórą grzesznego gardła tuzin widzów dopomina się o jego przysmaki.

\* \* \*

Nerezza włożyła czarny kapelusz z szerokim rondem, przybrany długimi piórami białego łabędzia oprószonymi onyksem i obsydianem. Ozdobne zakończenie szpilki stanowi lakierowana miednica rysia. Kapelusz przesłania jej twarz jak księżyc zaćmiewający słońce. Nerezza ostrożnie wygarnia językiem mięso z muszli i wsysa skurczone ciało ślimaka do wąskich ust. Spogląda na tor z wysoko umieszczonej łoży obwieszanej rzemiennymi elementami upręży. Drżącą ręką podnosi do oczu srebrną lornetkę teatralną.

– Zaraz się zaczną – mówi.

– Co się zacznie?

Ludovico siedzi sztywno wyprostowany, jak żołnierz. Lewa ręka go swędzi. Nic na niej nie ma, ale skóra go świerbi od łączących mu po skórze pszczoł; prawa opada bezwładnie, jakby była z zimnej porcelany. Słyszy łoskot pociągów i słabiotkie zawodzenie altówki w ciemności. Takie rzeczy przykuwają jego uwagę: wyczuwa je, ale nie ma ich przy nim, nie ma ich na stadionie. Zapach parujących ślimaków przerzyna cień, wśród widzów rozchodzi się pomruk. Wszyscy wstrzymują oddech.

– Nocne wyścigi, Ludo.

– Obiecałaś mi Lucię, nie konie.

– Ona tu jest. Jeszcze jej nie widziałam, ale czuwam.

Nerezza podaje Ludovicowi lornetkę.

Kiedy lwy śpią, ich oczy pozostają czujne, myśli Ludo. Sięga po lornetkę i patrzy w dół, na tor i ten niewiarygodny żwir, którym jest wysypany. Widzi konie. Tupią i prychają niecierpliwie, ale nie są to prawdziwe konie, lecz klekoczące, brzęczące metalicznie szkielety okryte skórą, przez której rozdarcia prześwitują spiżowe żebra. Sama skóra jest pomarszczona i zaplamiona jak stara tuba na mapę. Zamiast oczu mają puste jamy, w których od czasu do czasu błyskają płomienie; napędzające je silniki plują iskrami i niebieskim ogniem. Są chude. Mają wąskie klatki piersiowe, brzuchy zapadnięte jak u zagłodzonego whippeta i pajęcze nogi, którym daleko do końskich proporcji, zakończone szpikulcami z brązu przebijającymi rozsypane na torze perły. Sczesana w tył i zapleciona grzywa przechodzi bezpośrednio w ogon: gruby skórzany batog biegnie szerokim łukiem od głowy aż do zadu.

– Są takie piękne... – szepcze Nerezza. – Znam kobietę, która je produkuje. Mieszka w Srebrnorybiu, na obrzeżach, w posiadłości, przy której Neapol wyglądałby jak dziura zabita



dechami. U dołu pleców ma bliznę w kształcie wątroby: kiedy była mała, ugryzł ją żrebak.

– To sen. – Ludo wzdycha. Niecierpliwi się. – Obudzę się zlany potem.

Nerezza piorunuje go wzrokiem. Kilkoro siedzących w pobliżu widzów w cudzoziemskich strojach (jeden z nich trzyma parasol ze śpiących szarych jaszczurek) krzywi się z niesmakiem, jakby Ludo zaklął szpetnie. Od dalszego zażenowania wybawia go długi basowy dźwięk rogu, przypominający ryk tych szwajcarskich lewiatanów, które Lucia tak uwielbiała. Skórzane konie z impetem wypadają z boksów. Tłum zadziera głowy i krzyczy jak jedna istota. Krzyk Nerezzy brzmi piskliwie, przesywająco, strasznie. W odpowiedzi konie kwiczą jak tysiąc umierających sów. Ruszają mechanicznym, rwanym krokiem, szpikulce dziurawią tor, bestie rozpędzają się błyskawicznie i już jest po wszystkim, zanim Ludo znów zdąży pomyśleć, że śni. Na ostatniej prostej na prowadzenie wychodzi koń z czerwonym odciskiem dłoni na zadzie. Nikt jednak nie klaszcze. Wyrazem aprobaty jest cisza. Absolutna. Nerezza wypuszcza powietrze z płuc – powoli, z drżeniem, jak po tym, kiedy zsunęła się z niego i zasnęła na dywanie jak zgoniony kot.

Na starcie ustawiają się kolejni zawodnicy, nie konie jednak, lecz ludzie: mężczyźni i kobiety o nogach przekształconych w zwierzęce kończyny – łapy lampartów, gazeli, lwów, jaszczurek, koni i strusi. Większość stoi wyprostowana, na dwóch nieludzkich nogach, i ponurym, oskarżycielskim wzrokiem wodzi po trybunach.

– Kto to? – pyta Ludo.

– Weterani – mówi Nerezza. – To wyścig dobroczynny. Nie zwracaj na nich uwagi, goście w łóżach nie powinni się zniżać do oglądania ich.

Róg grzmi, jakby zwiastował śmierć olbrzymiego wieloryba. Ludo posłusznie odwraca wzrok i udaje, że zagląda sąsiadowi w gazetę, większą niż „La Repubblica”, wydaną w największym gazetowym formacie. Podziwia kształt liter i ozdobne narożniki, zaczepta oko na historii kochanków kobiety, której nazwisko nic mu nie mówi, oraz na filipikach dotyczących imigracji i kwarantanny. „Na południe od Sarsaparilli widziano Dworników. Korzystając z okazji, chcielibyśmy podziękować im za ciężką i niewdzięczną pracę, którą wykonują”. Gazeta ma lekki, lecz wyraźny zapach octu.

Nerezza bierze go za rękę dłonią w czarnej rękawiczce. Ludo sztywnieje, ale domyśla się, zrezygnowany, że takie zachowanie mieści się w sferze dozwolonej, zwłaszcza że sine ślady po jego kciukach wciąż pewnie znaczą jej uda. Na środkowym palcu – na rękawiczce – Nerezza ma pierścionek: żuka z turmalinu z wylupiastymi miedzianymi oczami. Ludo wpatruje się w niego i wcale nie jest pewien, czy żuk przypadkiem nie rusza czułkami. Nerezza ścisza go mocniej, opuszki jej palców są jak kleszcze. Pierścionek z żukiem wgryza mu się w knykcie.

Podąża za jej spojrzeniem, niezbadanym jak u węgorza, wzdłuż trybun ciągnących się poniżej ich szkarłatno-skórzanej łoży. Daleko w dole siedzą dwie kobiety. Jedna jest blondynką w zielonym szalu; jej włosy wyglądają jak woda spływająca po szmaragdowym

stroju jeździeckim. Ma rękawiczki. Trzyma za rękę drugą kobietę, z burzą ciemnych włosów upiętą cyrklem z brązu, z którego szponów wyrastają wdzięczne grafitowe guzki. Jest w sukience z cieleją skórki, której kolor jest identyczny z kolorem jej ciała, i jest Lucią, oczywiście, że jest Lucią. Na jej twarzy maluje się szczęście, tak oczywiste i nieskrywane, że oglądanie go wydaje się niemal nieprzyzwoite.

Ludovico woła ją po imieniu. Lucia odwraca lekko głowę, ale z pewnością go nie słyszy. Jego głos tonie w tętnie kopyt i tupocie stóp na torze, w nagłym deszczu pereł. Lucia krzyczy razem ze wszystkimi. Blondynka zamyka oczy w paroksyzmie krzyku.

– Pomogło ci? – pyta Nerezza. – Zobaczyłeś ją. Widzisz, że jest tutaj, znalazła swoje miejsce, jest szczęśliwa, ma kochankę i umie się zachować w towarzystwie. Czy ta świadomość wypełnia w tobie lukę, którą po sobie zostawiła?

Ludo wyrzaskuje imię żony, usiłuje przekrzywić głowę, ale Nerezza przytrzymuje go, przyspila żukiem na pierścionku i dłonią w rękawiczkę. Jest za daleko – jego Lucia, jego chimera, smagająca ogonem piasek, żeby zatrzeć trop.

– Nie słyszy cię. Jeśli skoczysz z balkonu, wykrwawisz się tylko na tę parę pod nami i połamiesz sobie kości na ich fotelach. Przyprowaździłam cię tutaj, żeby ci ją pokazać, Ludo. Nie obiecywałam, że będziesz mógł jej dotknąć albo ją odzyskać. Jesteś taką tańszą wersją Orfeusza. Ona już zniknęła na kamiennych schodach za twoimi plecami, nawet nie wiesz kiedy.

– Nie rozumiem. Nic nie rozumiem! Lucia! Lucia!

– Została pobłogosławiona. Być może, osiągnie jeszcze wyższy poziom łaski, taki, o którym marzymy rozpaczliwie, ale który nigdy nie jest nam dany. Mnie nie jest dany. Możemy tylko patrzeć. Wolno nam oglądać srebrny puchar, ale nie możemy go dotknąć; nie możemy się z niego napić.

Ludo płacze bez skrępowania; łzy ściekają mu z brody jak deszczówka z dachu. Nerezza nachyla się ku niemu, zasłania ich oboje rondem kapelusza i zlizuje mu łzy z twarzy.

Daleko w dole Lucia zadziera lśniąca głowę i wybucha śmiechem.

Część II

**Brama rogowa**

# JEDEN

## Łzawniki

Sei zawsze czuła się niepewnie w obecności książek. W stanie naturalnym, na półkach, pozostawały zamknięte, zatrzaśnięte na głucho; szczyrzyły stronicę, naśmiewały się z niej, tak dużo obiecywały, a w rzeczywistości okazywały się skąpe i cienkie. Pokazywały mężczyzn i kobiety o martwych oczach, uwikłanych w niezrozumiałe dla niej rytuały życia. Natomiast zamknięte książki wywoływały wrażenie doskonałości. Nie potrzebowały jej.

Matka Sei usiadła z nią kiedyś w pokoju o podłodze z trawy i oknach z papieru. Sei była wtedy malutka, jeszcze nigdy nie jechała pociągiem. W tym pokoju czuła się tak, jakby znalazła się we wnętrzu książki, zamurowana papierem ze wszystkich stron i obszyta trawą na kregosłupie. Włosy matki były długie i proste, połyskiwały jak twardy kamień oglądany przez siedmiocalową warstwę wody. Miała na imię Usagi, na cześć królika mieszkającego na księżycu. Sei myślała wówczas, że matka ukrywa przed nią srebrny tłuczek, chowa go w polach żółtej *yukaty* z pomarańczowymi żurawiami na rękawach, i kiedy Sei śpi, ubija nim ryż z cukrem w wielkiej perłowej beczce. Sei próbowała nie spać, żeby ją na tym przyłapać, ale matka była sprytna i szybka.

– Wyobraź sobie książkę na dnie jeziora – powiedziała Usagi, podszczypując paluszki Sei przez *tabi*. – Ryby ją czytają. Wślizgują się między kartki i wyjadają słowa jak ziarenka ryżu. Ale rybka Sei, która była pulchniutka, niebieska i zupełnie inna od wszystkich rybek, nie mieściła się między stronicami i cały czas była głodna. Osiem razy opłynęła książkę dookoła, aż w końcu przyplnęła do mamy.

– Czemu płaczesz, córeczko? – zapytała rybka Usagi.

– Bo nie mogę przeczytać książki leżącej na dnie jeziora – odparła rybka Sei. – A inne rybki są nią zachwycone.

– Nie płacz, dziecko. Ja przeczytałam tę książkę i nakarmię cię wszystkim, co się w niej znajduje, żebyś już nie głodowała i nie wylewała łez do jeziora.

Sei zakreśliła się w miejscu, marszcząc persymonową *obi*. Drobną rączką dotknęła buzi mamy.

– Ale, rybko Usagi, czy ja nie powinnam sama nauczyć się czytać?

– Nie ma takiej potrzeby, dyniowy kwiatuś. Ja umiem czytać i zawsze będę przy tobie.

Dlatego właśnie książki zawsze były zniewolonymi lokajami na nieznośnym dworze jej matki, posepnymi stworami, które nie chciały dopuścić Sei do siebie. Z mozołem i należyтым szacunkiem opanowała *kanji* i nauczyła się *katakany*, ale nigdy nie czytała dla przyjemności – ani beletrystyki, ani książek historycznych, ani rozpraw filozoficznych. Tylko inne rybki mogły posiadać książki na własność, kochać je i znać ich tajemnice.

W ten oto sposób Sei uchowała się jakby specjalnie dla tej książki, czysta jak oblubienica, nietknięta innymi opowieściami, naiwna, nieświadoma podstępów struktury, narracji i metaforyki.

Wyobraź sobie dziewczynkę na dnie jeziora, żyjącą pośród ryb i równie nieświadomą natury książek jak Sei. Sei miała wrażenie, że ta książka została napisana specjalnie dla niej i tylko dla niej, tak jakby Sato Kenji niczym lekarz zajrzał przez usta do jej wnętrza, po czym opisał wszystko, co zobaczył w jej sercu. Była zakonnicą w jej służbie, czystą i pustą, opanowaną desperackim pragnieniem poświęcenia. To z myślą o niej oszczędzała swoją cześć, nie trwoniła swojej miłości – wszystko po to, żeby książka (napisana w jednym jedynym celu: żeby zakraść się do jej wnętrza i tam zamieszkać, niby największa świętość) nie musiała się wstydić za jej rozwiązłość.

Yumiko dotknęła jej, myśląc, że Sei jeszcze śpi. Sei wygramoliła się z łóżka i zaczęła czytać ponad jej nagą talią:

*Mieszkańcy prowincji Aomori opowiadają legendę o patronach pociągów. Kami Wiatru i kami silników spierali się o to, kto ma pobłogosławić japońskie pociągi; komu przypadnie w udziale przywilej przygarnięcia ich w długie ramiona. W tym okresie Japończycy spędzali już w pociągach wiele godzin i wśród miejskich kamich zapanowała konsternacja: nie było wiadomo, do kogo kierować niezliczone ciche modlitwy o punktualność, szybkość i spokojną jazdę. Kami wiatru, stojąc na podeście z pomarańczowych chmur, tłumaczył, że pociągi należą do niego, ponieważ swoją ogromną prędkością wzbijają potężne prądy powietrzne, wysokie perony shinkansena sięgają jego dziedziny, a on codziennie owiewa je i porusza swym tchnieniem. Kami silników, niezbyt lubiana wśród rodaków, wspięła się na podwyższenie ze zmiżdżonych samochodów i ociekających starym olejem maszyn do szycia. Oleiste włosy opadły jej na oczy, gdy spojrzała spode łba i stwierdziła, że każda maszyna, która chlupocze paliwem i pochłania kilometry, jest jej wyłącznym poddanym i tylko jej powinna oddawać*

*cześć.*

*Spór trwał tak długo, że inni przysłuchujący mu się kami zapadli w głęboki sen; publiczne dysputy są bowiem bardziej nużące, niżby to chcieli przyznać ich uczestnicy i słuchacze. Korzystając z nieuwagi krewniaków, kami wiatru zakradł się na podwyższenie siostry, żeby ją zniszczyć i bez dalszych przeszkód zagarnąć pociągi dla siebie. Wziął głęboki wdech, zamierzając przesyć ją na wylot, ale w chwili, gdy płuca miał napelnione do granic możliwości, kami silników podeszła do niego, pocałowała go i z wielką gwałtownością wciągnęła w siebie i wessała całe jego tchnienie. Powietrze rozpalilo płonący w jej sercu żar. Razem wznieśli się ku niebu i tam kami silników pożarła kamiego wiatru. Od tej pory pociągi czczą swoją pieśnią kami silników o długich, oleistych włosach.*

Sei nie mogła patrzeć, jak Yumiko czyta jej książkę. Z najwyższym trudem znosiła widok jej kciuka na grzbiecie i opadającej na niego miękkiej okładki. Skrzywiła się, przygryzła wargę, zdławiła pokusę wyrwania jej książki. Yumiko pobrudziła rozek kartki zupą *miso*. Zniszczysz ją! – krzyknęło serce Sei. Ale czy to nie było fair? Czyż nie dopuściła ust tej dziewczyny do swojego gardła, a jej ręk w głąb swojego ciała? Czy i ona nie знаła sekretów Yumiko – na przykład, że jej najgłębsza skóra smakuje morzem? Że jej krzyk jest piskliwy i chropawy, jak czkawka u dziecka? I czy w zamian za tę wiedzę nie była jej winna paru tajemnic ze swojej strony?

Przygryzła policzek. Nie, pomyślała. Yumiko ma innych kochanków, a ja nie mam innych książek.

Yumiko zaznaczyła miejsce, do którego doszła, i uniosła wzrok.

– On był twoim pierwszym? – zapytała filuternie. – Człowiek, który ją napisał?

Sei zamrugła, zdziwiona.

– Nie był pierwszy, skądże. Mam dwadzieścia lat, nie dwanaście.

– Nie pytałam o pierwszego kochanka. Czy kiedy przyśniła ci się wróżka, to było po spotkaniu z nim?

– Tak.

– A potem byłam ja.

– Nie szukałam cię.

– Uważasz, że nazwałam cię dziwką?

Sei skubnęła nitkę wyłażącą z materaca. Kobiety są trudne w obejściu, zawsze tak uważała. Kojarzyły się jej ze starymi, posiwiątymi rybami, które trzymają się blisko dna; trudniej je złowić niż mężczyzn i trudniej przy sobie zatrzymać, one zaś obserwują cię tymi opancerzonymi rybimi ślepiami, które niczego nie wyrażają, aż odwracasz się, zawstydzony czymś, za co w żadnym razie nie możesz być odpowiedzialny.

Yumiko stanowczym ruchem pchnęła *Historię kolejnictwa...* na drugą stronę *tatami*. Sei z

wdzięcznością porwała ją z maty i przycisnęła do piersi, żeby znów się od niej ogrzać. Yumiko pokręciła głową.

– Chcę cię gdzieś dzisiaj zabrać, Sei. Pójdiesz ze mną?

Pewnie, że tak! Kioto było jak olbrzymia czerwona niecka, a ona spadała na jej dno, w sam środek, w stronę Yumiko w niebieskiej spódnicy w kratę, w stronę jej ust i marzycielskiego, urywanego sposobu mówienia. W stronę tego miejsca, które знаła Yumiko, miejsca po drugiej stronie nocy, gdzie pociągi naprawdę nie mają końca.

– A tymczasem... – Yumiko uśmiechnęła się. – Chcesz zobaczyć, jak wyrzuca się w błoto masę pieniędzy?

\* \* \*

Wyszły więc do miasta, zagłębiły się w wąskie uliczki pomiędzy wysokimi murami ogrodów, kierując się ku feniksowemu sercu Kioto.

Yumiko miała rację: Złoty Pawilon naprawdę był brzydki. Przycupnął nad wodą jak żółty spasiony szop pracz, czyhający na rybę, którą upoluje pacnięciem łapy. Staw był całkowicie nieruchomy, bez jednej zmarszczki odbijał obraz pawilonu. Sei nie dowierzała, że budynek naprawdę jest pokryty złotem, chociaż wiedziała, że tak właśnie jest: kiedy dawno temu pawilon się spalił, jej babka oddała swoją biżuterię, żeby po przetopieniu odtworzono z nich dach. Ale w tej chwili wydawał się zwyczajnie żółty, jak pomalowany farbą. Mimo to chciała go dotknąć, znów poczuć pod palcami babcine naszyjniki kołyszące się na starych miękkich piersiach. Spalił się w latach pięćdziesiątych, do cna. Pewien mnich kochał go nad życie, miał na jego punkcie obsesję i w którąś zimną noc podłożył ogień. Chciał spłonąć razem z pawilonem, ale dymu nie wystarczyło, żeby się udusił, i przeżył obiekt swojego uwielbienia. Kiedy Sei uczyła się o nim w szkole, wydawało jej się, że go rozumie, że wie, jakie to uczucie, chcieć się pozbyć jakiejś rzeczy – a zarazem krzyczeć w niej, krzyczeć razem z nią i wdychać ją, aż cię udusi. Olbrzymie *koi* pływały ciężko w otaczającym świątynię jezioru, niczym niebywale ruchliwe głazy.

\* \* \*

Kiedyś popełniła błąd i zapytała matkę, gdzie się urodziła.

Usagi upięła jej włosy grzebykiem w kształcie motyla i odparła:

– Urodziłam się na dworcu kolejowym, moja ty łodyżko orchidei. Twoja babcia była za duża, żeby podróżować, ale bardzo chciała zobaczyć kwitnące wiśnie w parku Tsukayama, gdzie bywała przed wojną, jako mała dziewczynka, zanim wyszła za mąż i ze wstążkami we włosach tanecznym krokiem przeniosła się na południe, do Kioto.

– Ale jak można się urodzić na dworcu? – zapytała rozsądnie mała Sei. – Przecież tam nie

ma lekarzy.

– A wiesz o tym, że na stacjach kolejowych, które znajdują się bardzo, bardzo głęboko pod ziemią, są takie otworki nazywane łzawnikami? Małe dziurki w ścianach, przez które wilgoć uchodzi z gruntu. Kiedy wycieka z nich woda, wygląda to, jakby cała stacja płakała, jakby opłakiwała te wszystkie dusze, które przez nią przejeżdżają, lecz nie zatrzymują się na dłużej. Na dworcu, na którym się urodziłam, łzawniki zrobiono w kształcie małych masek z teatru *kabuki*, z takimi ogromnymi oczami, które naprawdę płakały: cała ta wypływająca ze ścian woda ściekała im po policzkach. „Przyj”, przemówiły do twojej babki. „Połóż się pod nami, a my będziemy cię strzec”. Zapłakały, krzywiąc się w tragicznym grymasie, jak to często bywa z maskami. „Urodziłaś dziewczynkę”, powiedziały, kiedy było po wszystkim. Niektóre były rozczarowane, ale większość sprawiała wrażenie zadowolonych i roniła łzy szczęścia. „Przypomina małego króliczka, kiedy tak kopie tymi swoimi czerwonymi nóżkami”, dodały, i tak nazwano mnie Usagi. Potem urodziłam ciebie. Ale zawsze w Dniu Babci wracam na tamtą stację i ocieram łzy moim akuszerkom. Sei westchnęła.

– Też chciałabym się urodzić na dworcu.

– Może kiedy będziesz w ciąży, też zapragniesz zobaczyć kwitnące wiśnie – odparła Usagi i połaskotała ją pod brodą.

Matka Sei była lepsza niż książka. Była dziwna – zarazem bardziej otwarta i mocniej zamknięta. Już w dzieciństwie Sei podejrzewała, że mama jest zwariowana, ale tak odrobinę, uroczo, przez co w śmieszny sposób mówi śmieszne rzeczy, nie taka strasznie obłąkana jak te kobiety z telewizora, które wrywały sobie włosy. Ilekroć matka czytała jej książkę z dna jeziora, zawsze były to historie niewiarygodne i smutne i Sei wiedziała, że nie są prawdziwe. Zapadały jej jednak w pamięć, chłonęła je jak jedzenie i wodę. Kiedy usłyszała o nikczemnym mnichu, który w paroksyzmie żądzy spalił Złoty Pawilon, jego historia wydała jej się niezwykła, głęboka, jak jedna z matczynych opowieści. Przypomniały jej się patronujące narodzinom matki łzawniki i przecudne pociągi, które musiały być świadkiem tego wydarzenia.

Co się ze mną dzieje w tym starym, bardzo starym mieście? Mam taką gonitwę myśli, kręcą się w kółko, w kółko, w kółko. Dokąd zmierzam, mnichu, matko, króliku z księżycą?

\* \* \*

Miejsce, do którego zabrała ją Yumiko, nosiło nazwę „Dno Niebios”. To właśnie obwieszczala mała tabliczka nad drzwiami, spokojnymi znakami *hiragany* jak niespodziewanym deszczem. Yumiko – nadal ubrana w szkolny mundurek – mocno trzymała Sei za rękę.

– Dlaczego nosisz to cholerstwo? – zdziwiła się Sei. – Przecież nie chodzisz już do szkoły.



Yumiko zachichotała, zakryła usta dłonią, a potem nagle spoważniała.

– Lubię ten archetyp. Widzisz, ta spódniczka i te buty to nasz najlepszy towar eksportowy. Kiedy je noszę, upodabnam się do *kami*. Ucieleśniam ideał.

Zapukała do drzwi, a kiedy niechętnie się uchyliły, wystawiła język z tą samą kocia uciechą, którą okazywała, pokazując go wcześniej Sei. Stojący w cieniu za drzwiami mężczyzna spojrział pytająco na Sei. Spokojnie rozpięła bluzkę. Chrząknął z aprobatą.

W środku niosła się cicha muzyka *koto* i gitary. Wszędzie stały długie sofy koloru miedzi, stoliki, na nich drinki w egzotycznych barwach, jak w innych klubach, w których bywała Sei. Czarne drewno i zielone szkło; smukłe palce zaciśnięte na brzuchatym kieliszku pełnym różowej piany. W sali było pustawo, klienci skupiali się w gronach jak owoce winorośli. Nikt nie tańczył, nikt się nie śmiał.

Na ścianach – jakżeby inaczej – wisiały mapy: Londyn, Paryż, Buenos Aires. Nad drinkami niosły się ciche szepty.

– Powiedz mi... – Yumiko przycisnęła policzek do policzka Sei, kiedy wyszły na pusty parkiet. – Chcesz wrócić?

– Do Tokio?

– Nie.

– Aha... Tam?

– To miejsce ma nazwę.

Sei złapała się na tym, że ma trudności z jej wypowiedzeniem: nie dość, że było to obce słowo, to dodatkowo odrzucała ją perspektywa przyznania się, że zna nazwę miejsca, które nie ma prawa istnieć – nawet przed Yumiko, która pewnie nie widziała w jego istnieniu niczego niezwykłego.

Przyszły jej na myśl pociągi – takie doskonałe, białe, szybkie, i ten mężczyzna z altówką; włosy opadały mu na twarz jak żałobny woal, i te wagony, ach, wagony, które się przed nim otwierały, rozpościerały entuzjastycznie drzwi jak gościnne ramiona.

– To nie był sen.

– Nie. To coś lepszego od snu.

– Tak, chcę tam wrócić.

Sei zacisnęła pięści, targana żądzą poznania tego miejsca i tych pociągów – pociągów, które kiwałyby mądrze głowami na widok książki Kenjiego i mówiły: tak, takie właśnie jesteśmy. Pomyślała o Tokio czekającym na nią na północy jak krokodyl, ospały i bezwzględny. Ale co dokładnie na nią czekało? Budka z hartowanego szkła na dworcu Shinjuku, bilety dla wszystkich oprócz niej, uniform Kolei Japońskich z odprasowanymi klapami? Wszystko to było niczym, ponieważ znajdowało się tutaj, nie tam. To nie były tamte pociągi. To nie było tamto miejsce.

Yumiko położyła Sei kciuk na ustach, jakby zaznaczała wybrane miejsce w jej książce.

– Wszyscy tego chcemy, Sei. Dziś już mało kto się tu zapuszcza w poszukiwaniu takich

jak my, podobnych sobie, mimo że tak łatwo znaleźć tu drogę prowadzącą do tamtego miasta. Zbudowali „Dno Niebios” dwanaście lat temu, kiedy było nas w Kioto dostatecznie dużo, żebyśmy go potrzebowali. Żebyśmy za nim tęsknili.

– Zbudowali? Kto?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Inwestor był z północy. Wielkie pieniądze. Nie znam tych prawdziwych grubych ryb, ludzi, którzy są ważni tutaj i wiedzą, jak się ustawić, żeby w Palimpseście też być szycią. Jestem zwykłą turystką, rozumiesz? A ten klub bardzo ułatwia życie. Sama się przekonasz.

Sei rozejrzała się po sali: prawie wszystkie pary się obściskowały, mało kto patrzył sobie w oczy. Obejmowali się jak roztrzęsieni inwalidzi, beznamiętnie, z fanatycznym zapałem. Oczy jej się zaszklily. Wydawało jej się, że wie, o co chodzi, że rozumie anatomię propozycji Yumiko, że domyśla się jej muskulatury i kształtu kośćca. To jest jak wirus, pomyślała. A to miejsce to nie klub nocny, lecz szpital, zarządzany przez prefekturę dom opieki nad niepełnosprawnymi – tyle że wyposażony w bar.

Odsunęła się od Yumiko i rozpostarła ramiona jak skrzydła. Poruszała się najlepiej jak umiała, tak jak poruszała się w stu tokijskich klubach, bardziej zatłoczonych i nieprzyjaznych od tego. Kręciła biodrami, kładła ręce na brzuchu, wspinała się na palce. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że wygląda dostatecznie pięknie, by zasłużyć na to, co każdy z tutejszych bywalców mógł jej dać: bilet wstępu. Bilet na przejazd. Jej czarna sukienka, migocząca jak bezdenna woda, trzepotała i wirowała razem z nią.

Yumiko złapała zadyszana Sei w połowie długiego piruetu. Zdmuchnęła jej opadające na twarz włosy.

– Nie musisz tego robić – powiedziała z powagą. – Nikt już nie tańczy. To strata czasu. Ograniczyliśmy interakcje do niezbędnego minimum. Tak jest lepiej. Nie odmówię ci, nigdy nie odmawiają. Nie musisz dla nich tańczyć.

– Ale ja chcę. Ja chcę. – Sei złapała ją za rękę. Yumiko miała pomalowane na różowo paznokcie. – Nie chcesz się zabawić? Poczuć, że żyjesz pełnią życia?

Yumiko zamrugnęła. Nagle wydała się Sei bardzo zmęczona.

– Ja po prostu chcę tam zostać. – Westchnęła. – Tak trudno jest wrócić...

– To zostań.

– Nie wiem jak! Nikt nie wie. Umiemy tam trafić, ale tylko na krótki czas, obejrzeć kilka miejsc. Umiemy wyśnić rzecz lepszą od snu.

Yumiko pociągnęła ją do stolika. Na blacie stały dwa wysokie, lśniące kieliszki – jeden z jakimś złocistym drinkiem, drugi z jasnyniebieskim, kremowym. Przy stole siedział mężczyzna. Był młodszy od Kenjiego. W kłapie marynarki miał kwiat maku, którego płatki w przyćmionym świetle wydawały się czarne.

– Niczego nie obiecuję – szepnęła Yumiko. Wsunęła dłoń Sei pod swoją spódnicę i oparła ją na miękkim biodrze. – Nie mogę ci obiecać, że wszyscy będą równie ładni jak ja, albo

równie łatwi do oczarowania jak on; mało kto będzie miał w kieszeni książkę napisaną specjalnie dla ciebie. Ale tak to się właśnie robi: przez ciało do tamtego świata. Kto się rżnie, ten jedzie. Brzmi to wulgarnie i, prawdę powiedziawszy, zwykle tak też wygląda; często są brzydcy, grubi, spoceni, samotni... Na szczęście, zwykle nie trwa to długo. A potem... Trafiamy tam gdzie nasze miejsce.

Mężczyzna – bynajmniej nie szczupły, z szyją wylewającą się z czarnego garnituru i przetłuszczoną zaczeską na łysinie – nakrył dłonią dłoń Sei. Kiwając głową, przytakiwał słowom Yumiko; łzy spływały mu po zaokrąglonych policzkach. Palcem drugiej ręki odchylił płatek ucha, odsłaniając mapę, która ją przyzywała. Sei pochyliła się, żeby obejrzeć ją z bliska, ale Yumiko pokręciła głową.

– Jeżeli chcesz pojechać pociągiem... sama, beze mnie... musisz być ostrożniejsza. Możesz dostać się tylko w to miejsce, które mają narysowane na skórze. Dlatego przydaje się odrobina starej, dobrej sztuki kartografii, żeby wytyczyć właściwą trasę.

Razem przesłuchiwały mężczyzn i kobiety, podwijają im rękawy, zdejmowały kapelusze, zadzierały spódnice; oglądali mapy tak maleńkie, że Sei bolała z wysiłku głowa. Yumiko najwyraźniej wiedziała, czego szuka, ale dopiero o drugiej nad ranem znalazła cherlawego nerwusa z poblížnionymi policzkami, strzępiastym wąsikiem i gęstą mapą na biodrze, która przypadła jej do gustu – mimo że dla Sei niczym nie różniła się od poprzednich.

– To następna stacja na tej linii. Powinnaś tam bez przeszkód dotrzeć z miejsca, w którym zaczęłaś. Tak czy inaczej, uda się. – Yumiko uśmiechnęła się pogodnie, jak matka namawiająca dziecko na przerażającą przejażdżkę na karuzeli. – To pójdzie szybko – dodała. – Pospiesz się – poprosiła chudzielca.

Ale Sei myślała już tylko o pędzących w jej ciele pociągach. Uśmiechnęła się słabo i oparła o swoją uczennicę w mundurku.

– „Pożądanie jest źródłem wszelkiego cierpienia” – zacytowała.

– O, tak... – wydyszała Yumiko. – W rzeczy samej.

Sei osunęła się w bezimienne ramiona mężczyzny. Jego pocałunki nie były oszczędne i eleganckie jak pocałunki Sato Kenjiego, słodkie i rozedrgane jak pocałunki Yumiko, ani wściekłe i bolesne jak trojga jej wcześniejszych kochanków, lecz miękkie i przejrzyste, jak zbita deszczem gruszka. Język miał płaski i okrągły. Ściągnął z niej biały płaszcz i czarną sukienkę, głaskał po nagich plecach, a potem zabrał do alkowy przy łazience, co uznała za zbędną kiczowatość i wulgarność. Nie mogli zachować się jak wcześniej Yumiko, która po prostu ułożyła sobie nogi Sei na ramionach i zapadła się w nią z lekkością wody?

Mężczyzna uniósł ją i oparł o ścianę. Był w niej mały – mały, nagły i twardy, jak pocisk wymierzony w sam środek jej ciała. W ciemności wcisnął twarz w znamię na jej piersi, muskając je obnażonymi zębami.

Myślała o pociągach. Cień skrywał jej twarz, kiedy poblížniony mężczyzna miotał się i dygotał w niej.

Poszło szybko.

## Dworzec Kolofon

Kolofon to węzeł przesiadkowy dla wszystkich pasażerów kolei w Palimpseście. Przez okazałe przedwojenne pięciolistne maswerki widać wieczorne niebo, głębsze niż złoto i cieplejsze niż błękit. Obwód podziemnej hali dworca wytyczają olbrzymie śliwy, które niczym kolumny wspierają podłużny ochrowy dach; ich obsypane kwiatami gałęzie i zamieszkujące wśród nich gołębie tworzą żywe kapitele. Z poziomego gruntu jedenaście spiral pirytowych schodów opada w głąb, na posadzkę hali, marmurowy bezmiar ozdobiony inkrustacją z różanego drewna przedstawiającą stary krąg Palimpsestu – plan miasta z czasów, gdy było jeszcze małe i niepozorne, obwiedzione murem, zamieszkane przez garstkę astronomów i hodowców selera. Opisane surowymi łacińskimi kapitalikami wysokie ostrołuki prowadzą pod ziemię: WSCHÓD, ZACHÓD, BLISKO, DALEKO. Pośrodku różanego kręgu tryska i pluska Grynszpanowa Fontanna. Ma postać kobiety spętanej więzami szyn kolejowych, z uniesionymi w ekstazie rękami; woda spływa z jej dłoni, nastroszone włosy otaczają ją jak wieloramienna aureola. Okrywa ją zielona patyna wieku. Oczy ma wygładzone przez wodę, nos na wpół zmyty, a mimo to wciąż czuwa nad podróżnymi. Nasza Pani Bezpiecznej Podróży. Podziemna Gwiazda.

Sufit Kolofonu nie jest pomalowany: jego twórca, architekt, którego imię dawno poszło w niepamięć, zażyczył sobie, żeby dworzec w jak najbardziej wyrazisty sposób uświadamiał przechodniom, że zeszedli pod ziemię. Dlatego też dach Kolofonu obsadzono ognistymi kwiatami imbiru, których grube złote korzenie sięgają skwapliwie w dół, w głąb stacji; każdy, kto zadrze głowę, zobaczy tylko ziemię i zmagające się z nią korzenie. Cudowny zapach tych kwiatów na długie dni wsiąka w skórę podróżnych.

Miruna mieszka we wnętrzu szklanej kolumny. Kiedy śpi – na stojąco, jak koń – śpi właśnie tam. Młody tragarz w błyszczącej czapce, który kocha ją całym swoim obwieszonym kuframi sercem, raz dziennie przynosi jej suty posiłek: sześć pieczonych czyżów oraz winogrona tak okrągłe i fioletowe, że od samego patrzenia bolą oczy. Jest tak strwożony, że nie może wykrztusić ani słowa, ale przynosi jej ptaszki i z przypochebnym zachwytem patrzy, jak je zjada.

Miruna stoi zwrócona twarzą do Naszej Pani, dzięki czemu jej praca stale podnosi ją na duchu. Na siwych włosach nosi prosty lniany barbet i diadem – niepospolicie kosztowny! –

wykonany z podkładu kolejowego, który dziesiątki lat temu odpadł od Fontanny. Jest wdzięczna, że zdarzyło się to akurat za jej kadencji; dzięki temu mogła mu własnoręcznie nadać nowy kształt i dopasować go do swojej głowy. Jest przeoryszą dworca; jej wzrok, gdziekolwiek padnie, przynosi szczęście. Na szczycie szklanej kolumny znajduje się tuba mosiężnego rogu, który długą spiralą oplata kolumnę i schodzi na sam dół, gdzie na wysokości ust Miruny kończy się talerzem do złudzenia przypominającym ustnik trąbki. Miruna zamyka oczy w geście rajskiej uległości, a w jej piersi płonie światło Naszej Pani, blask kolejowych lamp, gdy matczynym, łagodnym głosem wyśpiewuje swój psalm:

„Przyjazdy, tor trzeci – Marginalia, linie Rylcowa i Sgraffito. Pociąg ze Sgraffito odjedzie do Srebrnorybia. Planowy odjazd: godzina dwudziesta zero, zero. Dziękuję i życzę miłego wieczoru”.

\* \* \*

Sei wpada pędem do przejścia z napisem PÓLNOC. Nie ma biletu i zbulwersowane serce tłucze się jej o żebra. Słyszy krzyk, jazgot zdławionych głosów, płacz tysięcy, tętent koni w galopie. Odsuwa na bok budzące się wrażenie istnienia obcych w jej wnętrzu – jedzą, wszyscy naraz, jej żołądek wypełnia się cudzoziemskimi przysmakami, jej usta drżą od dotyku gorących pucharów. W pobliżu któregoś z członków jej kwartetu ktoś pali, ale nie zwykły tytoń, lecz coś ciemniejszego i słodsze, jak suszone skórki fig. Kiedy Sei warczy na obcych, cofają się roztrzęsieni. Szykuje się do skoku przez bramkę wejściową; nie da się zatrzymać, zna swoje znamię. Jest tylko jedno miejsce, za którym tęskni w tym mieście wielu faset.

Biedne dziecko – nie zobaczysz całej reszty! Cuda są także na powierzchni ziemi... Nie, nie słucha. Nigdy nie słuchają. Pragną tylko swoich własnych, osobistych zabawek i łakoci, którymi z nikim się nie dzielą.

Mosiężne pręty rozstępują się przed nią gładko, z cichym wizgiem. Sei śmieje się piskliwie i przyspiesza. Jej bosa stopy łomoczą o marmur, kiedy skręca gwałtownie i wypada na peron.

Już nie słyszy altówki. Domyśla się, że to było gdzieś daleko, tamta wiekowa stacyjka bez fontann. Słyszy natomiast ciche brzdąkanie klawesynu i w przelocie miga jej młoda kobieta, zgarbiona nad pomalowanym kolorowo instrumentem stojącym daleko od peronu, przy torach. Pociągom się ta muzyka nie podoba – albo może po prostu zwietrzyły inny, miłszy zapach: nie zwalniając mijają klawesynistkę i pędzą na spotkanie Sei. Unikają muzyki klawesynu w ten sam słoniowaty sposób, w jaki adorowały alcistę. Kiedy pociąg zwalnia posuwiście i zatrzymuje się przy niej, otwierają się drzwi – ale tylko te najbliższe, bo drzwi naprzeciw innych pasażerów, podróżnych i dzieci z wybaluszonymi oczami i bursztynowymi lizakami w rączkach nieodmiennie pozostają zamknięte. Wnętrze wagonu jest ciemne,

pozbawione światła i dźwięków, ale Sei się nie boi, nie bardziej niż dawno temu bała się pokoju z trawy i otwartych ramion matki, jej poprutego kimona, skłonnych do płaczu oczu. Usagi miała tak samo czarne wnętrze.

Wskakuje do pociągu. Szczęśliwe drzwi zatrząskują się za jej plecami i długa srebrzysta bestia wślizguje się w przechyle w tunel. Pasażerowie na peronie kręcą głowami i smętnie nakręcają zegarki.

\* \* \*

Dudnienie powstające na styku wagonu z torem odbija się twardym, szczęśliwym rezonansem w kościach dziewczyny o imieniu Sei. Sei stoi w ciemności i po omacku szuka skórzanych uchwytów na poręczy, ale bez powodzenia. Rozlega się trzask grubej zapałki. Sei mruży oczy, oślepią światłem czerwonej latarni. Wagon chybocze się lekko, delikatnie, jakby chciał ją ukołysać do snu. Ona jednak nie chce spać jeśli zaśnie, obudzi się, a tego by nie zniosła.

Ściany są wyłożone czerwonym jedwabiem. Przy rzadko rozrzuconych stolikach kulą się niewyraźne sylwetki. Słychać głośnie siorbanie, jakby jadły supkę. Nieco dalej stoi wysoka kobieta w czarnym kimonie z nefrytowej barwy podszewką. Nie przewiązała się pasem, widać jej drobne piersi i szczupłe nogi. Jej pociągła twarz, pomalowana na czerwono od czubka brody po nasadę włosów, jest dziwnie kanciasta, jakby rozciągnięta ponad ludzkie proporcje. Jej usta rysują się zaciętą czarną krechą, włosy zachodzą na siebie falami jak opakowanie prezentu. Podchodzi, opuszcza czerwone powieki. Trzyma czarkę z herbatą. Herbata też jest czerwona i pachnie cynamonem. Kobieta kciukiem i palcem wskazującym sięga do swoich czarnych ust i spod języka wyjmuje grudkę opium, którą następnie wrzuca do czarki niczym kostkę cukru. Stawia czarkę na stole, na którym lśni już ozdobna europejska zastawa, i szybkim krokiem podchodzi do Sei. Obejmuje ją i rozpuszcza jej włosy, które okrywają je obie jak przecięty na dwoje akordeon. Szepcze jej do ucha:

– Ogromnie się cieszymy z twojego przybycia. Prosimy, przyjmij od nas strawę i napitki. Otwórz nasze drzwi, niech ci się spodobają nasze wagony. Jeśli to nie nazbyt natrętna prośba, chcielibyśmy stać ci się drodzy, ale jesteśmy cierpliwi i nie będziemy się narzucać.

Odsuwa się, pozostawiwszy czerwony ślad farby na policzku Sei. Sei kręci lekko głową. Ma półotwarte usta, nie posiada się ze zdumienia.

– Ale przecież... wiecie o tym, że jestem tu tylko dzisiaj, jestem... nocną efemerydą.

Czerwona kobieta kiwa głową.

– Jesteśmy pewni, że odszukasz nas bez względu na to, w której części miasta się przebudzisz. Gdybyśmy myśleli inaczej, równie dobrze moglibyśmy uznać, że wagon może istnieć bez swojego pociągu. Należysz do nas, nasz dyniowy kwiatuś, nasza łóżytko orchidei. Jesteśmy twoimi liśćmi, musisz na nas spojrzeć i powiedzieć, że jesteśmy zieloni. Że

jesteśmy złoci.

Sei siada przy stoliku i zaciska palce na obco wyglądających utensyliach. Kobieta siada naprzeciw niej, zasłania kimonem swoją nagość. Jej szkarłatna twarz promienieje.

– Kim jesteś? – pyta Sei.

– Jestem Trzecią Szyną.

Sei parska śmiechem; jej głos niesie się metalicznym echem po wagonie, przeszkadza innym gościom.

– A nie wyglądasz. W dotyku też jesteś inna.

Trzecia Szyna się waha, czubki jej włosów aż skwierczą z podniecenia, jak naelektryzowane.

– Chciałam mieć ciało, więc udostępniono mi elementy składowe ciała, ale nadal biegnę tu w dole, pod tobą, milcząca, nieskończona, zabójcza. I kocham cię, Amayo Sei. Dla ciebie przyoblekłam się w to czerwone ciało i nalałam ci czerwonej herbaty. Tylko dla ciebie.

Dopiero teraz Sei zauważa, że po wagonie przechadzają się inne czerwone kobiety, obsługujące zgarbionych gości; one również upięły włosy w fale, włożyły maski i uczerniły usta, a teraz wyjmują grudki opium z ust, ale żadna – poza tą, która przedstawiła się jej jako Trzecia Szyna – nie jest naga pod kimonem, żadna nie pokazuje odsłoniętego ciała tym, którzy piją jej herbatę. Wszystkie noszą cztery warstwy szat przepasane szeroką szarfą ze sztywnego jedwabiu.

Sei przysłania oczy dłonią. Chciałaby, żeby to była prawda, żeby pociąg faktycznie mógł w ten sposób odwzajemnić jej miłość, ale jest realistką.

– Dlaczego miałabyś mnie pokochać, Trzecia Szyno? Jestem nikim, zwykłą konduktorką Kolei Japońskich. Mieszkam sama. Chodzę do pracy. Jadam kulki ryżowe. Nie jestem nikim szczególnym, nikim wyjątkowym.

Trzecia Szyna miesza palcem swoją stygnącą herbatę.

– Jesteś nam potrzebna. A naszym zdaniem na tym właśnie polega miłość. Na potrzebowaniu. Na braniu.

– Ale po co?

Trzecia Szyna wierci się niespokojnie na krześle, jak dziecko, które boi się, że pozwolenie na zjedzenie lodów może zostać za chwilę cofnięte.

– Nie mogłabyś po prostu pokochać nas takich, jakimi jesteśmy? – pyta błagalnie. – Bez zadawania tych niemądrych pytań? Tak długo na ciebie czekaliśmy. Nie chcemy wszystkiego popsuć długim wypytywaniem cię, prosimy o niewiele, tak niewiele. Będziemy dla ciebie dobrzy i będziemy ci dawali ładne rzeczy. Obiecujemy.

– Mówisz jak moja matka.

– Ona też może przyjechać, jeśli chcesz.

– To niemożliwe. – Sei parska śmiechem. – Nie żyje. A bilety w świecie podziemnym są wyjątkowo drogie, wiesz?



– Przykro nam. Powinno nam być przykro?

– Nie ma takiej potrzeby. To dawne dzieje. – Sei nie chce myśleć o Usagi, nie tutaj. To jest coś, co ma tylko dla siebie. – Popelniła samobójstwo – dodaje lakonicznie i nawet Trzecia Szyna chyba rozumie, że temat został zamknięty.

– Pojedziesz ze mną, Sei? Zgódź się, proszę.

Sei wpatruje się w swoją herbatę, jasną i krwawą. Zamyka oczy i wypija ją jednym haustem; krzywi się od ostrego smaku. Czuje, jak kulka opium zatrzymuje się na zębach. Nie połyka jej.

– Tak – mówi w końcu. Odstawia czarkę. – Ja też was potrzebuję.

Bierze Trzecią Szynę za rękę. Palce czerwonej kobiety są białe i gorące.

# DWA

## Protokoły

*Rzeczy, które zaczynają się i kończą zalem: małżeństwo, żniwa, narodziny dziecka. Odjazdy. Powroty. Operacje. Miłość. Lament.*

\* \* \*

November wcisnęła się w szary ką, mocno ściskając notatnik. Mieszkanie mężczyzny w koszuli koloru wierzbowych liści okazało się wręcz niewyobrażalnie osamotnione – tylko ten jeden ką szeptał jej o żywych duszach. Wczołgała się w tę pustą przestrzeń, tuż przy jaśniejszym prostokacie przykurzonej, wyblakłej farby – duchu poprzedniego mieszkańca, nieukojonym cieniu nieistniejącego regału. Skuliła się w jego granicach, podciągając kolana pod brodę, tuląc je do swojej nagości. Przycisnęła policzek do zimnej ściany – poczerniały, palący policzek. Łza wśliznęła się pomiędzy jej skórę i tynk.

Młody mężczyzna spał spokojnie. Zielona koszula w odcieniu wierzbowych liści również spała, zapomniana, w małej kuchni. Książki leżały w stosach na cementowych ceglach. Był jeszcze płaski telewizor w imitującej kamień obudowie i para brązowych butów. November wsunęła się jeszcze głębiej w ką. Tęskniła za pszczołami – swoimi własnymi i tymi ze snu. Martwiła się o roje jak prawdziwa matka; dla niej, królowej tylu istot, noc spędzona w mieście to niewybaczalne ryzyko.

– Nie zrobię ci krzywdy – wymamrotał z głową w beżowej pościeli. – Mogłaś zostać w łóżku. Tu jest cieplej.

– Nie jestem w tym dobra.

Wynurzył się spod przykrycia: smuga rozczochranych czarnych włosów i spłaszczone od snu policzki. Po omacku sięgnął po okulary.

– W zostawaniu w łóżku?

– W tym wszystkim. W kontaktach z ludźmi. Rano.

Zacisnęła wargi, blokując cisnący się jej na usta spis. Spisy były przeznaczone dla notatników, nie należało wypowiadać ich na głos. Powietrze mogło je zniszczyć, rozerwać na kawałki, pozbawić znaczenia. Były kruche i delikatne, jak pszczoły. Jak pajęczyna. Pociągnęła nosem i otarła twarz. Zawsze uważała, że mężczyźni są trudni; stare, siwe ptaki siedzące na gałęzi, z wielkimi oczami i ostrymi ustami. Przeżuwali cię i przeżuwali tak długo, aż nie zostało nic ciekawego.

Patrzył na nią, podparłszy się na łokciu. Obserwował ją nawet wtedy, kiedy wciągnął ją na siebie, przyglądał się jej w taki sam wyrachowany sposób, w jaki sowa przygląda się normicy: ucieknie? Zacznie krzyżeć? Jak będzie smakować? Ile takich jak ona chowa się jeszcze w trawie?

– Jesteś taka nowa... – wydyszał jej w obojczyk. Oparł jej kciuki pod piersiami, pozostałe palce rozcapierzył na plecach. – Taka nowiutka.

Ona też go obserwowała. Z dystansu, z wielkiej wysokości, z ogromnego oddalenia. Poruszała się mechanicznie, zagryzłszy mocno wargi. Nie doszła; nie chciała. Nie zachwyił jej: nie miał niebieskich oczu ani rodowodu w sercu, nie pochodził od proroka, kalifa ani pomocnika nauczyciela. Nawet się nie przedstawił, tak bardzo mu się spieszyło, żeby dotknąć jej twarzy i powieść palcami po wyrysowanych na niej ulicach, żeby wrócić do tego domu jak szary bohomas, do leżącego na podłodze materaca bez stelaża. Jego długi, osnuty czernią, zwięzający się na czubku palec wsuwał się w nią i wysuwał, jakby całe miasto mogło ją tak po prostu wydymać.

Opowiedział jej o tamtym miejscu, powiedział, jak się nazywa i jak się tam dostać, zwałił ją obietnicą miasta, które zapamiętała małymi przebłyskami, jak po eksplozji supernowych. Jak sen, który nie był snem.

To wystarczyło, dla czegoś takiego warto było ścierpieć go w swoim ciele. Uwierzyła mu – uwierzyła mu z winy Xiaohui, która niczego jej nie powiedziała, lecz otworzyła ją szeroko i teraz wszyscy inni mogli wejść tam, gdzie Xiaohui, odchodząc, zapomniała ją zamknąć.

– Samotne mieszkanie to umiejętność – wyszeptła. – Taka jak bieganie na długich dystansach albo programowanie starych komputerów. Trzeba znać parametry. Protokoły. Trzeba doskonale je opanować, jak nowy język. Zawsze musi grać muzyka, bo inaczej cisza może człowieka obezwładnić. Warto jak najlepiej wykonywać swoją pracę, bo wtedy wypełnia czas. Musisz się otworzyć, rozepchnąć, żeby idealnie dostosować się wielkością do rozmiarów zamieszkiwanej przestrzeni. Jeśli przesadzisz, nie zaznasz spokoju. Jeśli zaś będziesz zbyt mały, utoniesz. Są pewne zasady, są określone algorytmy bycia i niebycia. Coś takiego... – Nieokreślonym gestem ogarnęła pokój, łóżko, mężczyznę. – Coś takiego jest zabronione. Ogranicza mnie lub rozdyma, nie jestem pewna, ponad... ustalone granice. A w tym też nie jestem dobra, w takim rozszerzaniu się i ścieśnianiu.

Jej towarzysz wydał dźwięk będący skrzyżowaniem gwałtownego westchnienia i cichego

śmiechu.

– Nie musisz być w tym dobra – powiedział z narastającym smutkiem. – To trwa już od dłuższego czasu, zdążyliśmy wypracować pewne procedury. – Przesunął ręką po przykryciu, jakby wyciągał ją do November. – Reguły. Protokoły. Nie musisz nawet ze mną rozmawiać. Ludzie dawno opracowali odpowiednie zasady. Kiedyś zdarzały się niezręczne sytuacje, bo komuś zależało tylko na transferze, nie na człowieku; na zaproszeniu, nie na osobie towarzyszącej. W różnych miejscach różnie to wygląda. Tutaj akurat sprawa jest mocno sformalizowana, jak transakcja handlowa. – Spojrzał na swoje paznokcie. – Gdyby chodziło ci tylko o mnie, odwróciłabyś pierścionek, który nosisz na środkowym palcu lewej ręki, kamieniem do wnętrza dłoni; gdybyś liczyła na więcej niż jeden raz, obróciłabyś pierścionek na małym palcu. Na wszystko jest kod. Jeżeli marzy ci się cały rytuał z uczcią i wyrafinowanym seksem, wkładasz zielone buty. Nie spodziewałem się, że rano jeszcze u mnie będziesz; nie miałaś wstążek we włosach, a wszystkie pierścionki nosisz normalnie. No i miałaś rozpięte tylko dwa guziki sukienki, nie trzy, a to oznacza czysto biznesowy układ. Skoro jednak jesteś nowa, mogłem się chyba domyślić, że nie wiesz co i jak.

– Od dawna to masz? Na palcu. Jak długo...

Napił się wody ze szklanki stojącej na prowizorycznym nocnym stoliku – stosie grubych książek w twardych oprawkach.

– Jak długo podróżuje? Przemieszczam się? Szukam nowej ojczyzny? Od pięciu lat. Mniej więcej. Trudno to dokładnie określić, bo mało kto zapamiętuje pierwszą noc. Jeden sen to tylko sen, nic więcej. Nie zastanawiasz się nad nim. Dopiero drugi czepia się człowieka, a jeśli masz szczęście, za drugim razem możesz trafić na kochanka, który to i owo już wie.

November przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Ilu jest... takich jak... my?

Spojrzał na nią z powagą sponad szklanki, przekrzywiając głowę.

– Nie tak wielu, jak by się mogło wydawać, ale wystarczająco dużo. Nie obnosimy się z tym. To nasz skarb, jak perła z dna morza. Nie dajemy ogłoszeń w gazetach, nie mamy dekadencjonalnych klubów (w każdym razie nie w tym kraju) ani witryn internetowych. Ograniczamy dostęp do informacji. Jeżeli pojawi się jakaś strona w Internecie, wszyscy staramy się ją zlikwidować, w taki czy inny sposób. Stronimy od nowych technologii, wolimy być... analogowi. Latać nisko, pod radarem, jak prawdziwe staroświeckie podziemie, rozumiesz? Czasem potrafię pół dnia spędzić w sieci, tropiąc... erraty, tak je nazywamy. Od lat żadna nie uchowała się dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Bywa to... trudne, ale zbożne dzieło nigdy nie jest łatwe. Tutaj, po tej stronie, trzymamy się razem, żeby lepiej chronić tamto miejsce. Ono jest święte. Coś mu się od nas należy. Nie można pozwolić, żeby byle kto...

– Czyli tylko odpowiedni ludzie mogą się tam przedostać? – spytała z goryczą November.  
– Dostatecznie bogaci? Wystarczająco piękni?

Młody mężczyzna zacisnął zęby, po czym powoli rozluźnił mięśnie żuchwy.

– Złotko... Wyobraź sobie człowieka, który tutaj, u nas, jest jakąś szycią. Prezesem wielkiej korporacji, powiedzmy. Albo prezydentem państwa. Wyobraź sobie dalej, że w jednym z tych przybytków, w których tacy jak oni zdradzają swoje doskonałe małe żonki, któryś z nich łapie maleńkiego wirusa. Wirus jest nieszkodliwy, nasz bohater nie choruje, a przed konferencją prasową czarne znamię zawsze można przypudrować. Może się jednak zdarzyć tak, że domyśli się, co się z nim naprawdę dzieje, kiedy śni; wzięwszy pod uwagę, że pewnie nie jest w ciemną bity, skoro jego rodzina od pokoleń wybiera Ivy League, jest to wysoce prawdopodobne. Pomyśl, co się stanie, jeśli taki człowiek odkryje praktycznie niewyczerpane źródło bogactwa i taniej siły roboczej; jeśli posiadzie moc, która nie jest wprawdzie magią, ale przypomina ją w wystarczającym stopniu, żeby mógł z jej pomocą olśnić świat i stać się królem-czarownikiem jako władca zdumiewających maszyn. – Skrzyżował ręce na piersi. – Powiedz mi, ile trzeba by wtedy czasu, żeby żołnierze zaczęli masowo odwiedzać burdele? Jak szybko wojskowe buciory zadudniłyby na ulicach Palimpsestu? Święte miejsca, November, pamiętaj. Należy im się szczególna opieka. Musisz chronić je przed światem, bo inaczej świat zrobi swoje, na swój zwykły brzydki, głupi sposób.

Skarcona November aż się zatrzęsała. Nie mogła znieść wizji tego mężczyzny w saloniku Orlande, ze stopami brudnymi od atramentu. Nie chciała wiedzieć, że to możliwe.

– Ale Xiaohui...

Roześmiał się. Zabrzmiało to jak ryk uchatki.

– Xiaohui? Mój Boże... Biedne dziecko.

Wstał i na palcach podszedł do niej. Usiadł z kończynami rozrzuconymi niedbale jak zabawki, oparty plecami o ścianę, niepomny śladu po regale.

– Xiaohui to ktoś w rodzaju... ewangelistki. Jest takich trochę wśród nas. Staramy się ograniczać ich kontakty z obcymi. Na ogół nie zaprasza się ich na imprezy. Xiaohui jest dużą dziewczynką, bardziej dorosłą, niż to okazuje. Nie znosi samotności w Palimpseście, dlatego zabiera ze sobą każdego, kto się nawinie, nawet świeżaków, takich jak ty. To... cóż, niektórzy powiedzieliby, że to niemoralne, ale ona się tym nie przejmuje. Przez rok tropiłem jej erraty w niszowych pisemkach o szydełkowaniu.

– Czy wy...

Wytrzeszczył oczy.

– To moja siostra. Nie wiedziałaś? To knajpa naszej mamy, a ty jesteś jedną z nielicznych klientek spoza rodziny.

November z całej siły przygryzła wargę, jakby chciała się dać pożreć w całości, poczynając od głosu. Spojrzała na niego ponuro; jej szczerą i poważną twarz nie miała w zanadru zbyt wielu beztróskich grymasów.

– Ale czy wy też...?

Nagle jakby przybyło mu zmarszczek, jego oczy otoczyła siateczka starych zgryzot.

Wypuścił z płuc długo wstrzymywane powietrze i w skupieniu zaczął skubać paznokcie palca u nogi.

– Nigdy się tym nie przejmowała, nie obchodziła jej ani moralność imigranta, ani żadna inna. Liczyło się tylko miasto, a reszta... To tylko ciała. Jedno albo dwa, moje albo jej. Pokazała mi nogę... Boże, jak to było dawno! Zabrała mnie do spiżarni. Wszędzie na blatach leżało ciasto na ciasteczka, rozwałkowane w takie długie złociste paski, i stopy pustych papierków na wróżby, jak konfetti. Roześmiałem się, kiedy zadarła spódnicę, ale śmiech zamarł mi w gardle, kiedy zobaczyłem to znamię, jak siniak po uderzeniu jakiegoś rozeźlonego demona. Pocałowała mnie wtedy, mocno, miała takie drobne ząbki, ugryzła mnie w wargę, krwawiłem jej do ust, ale nie przejęła się tym. Nigdy się nie przejmowała. Z nią byłem tylko raz. Potraktowała to jak eksperyment, tak sędzę. Chciała sprawdzić, czy się do tego posunie. Pchnęła mnie na papierki do wróżb. Doszedłem tak szybko i gwałtownie, że przez minutę nic nie widziałem, jakby przepaliła się żarówka. Mógłbym powiedzieć, że to była jej wina, że po prostu jej uległem, ale takie kłamstwo nie przejdzie mi przez usta.

Mocno pociągnął nosem, czekając na zaprzeczenie z jej strony, gotowy natychmiast je odeprzeć.

– Po tym, jak już tam byłaś, robisz różne rzeczy. Rzeczy, o które wcześniej byś się nie podejrzewała. No bo spójrz, to, co robimy, to właściwie nie jest wcale bezpieczne, prawda? Mogłabyś się czymś zarazić, z dziesięć razy zająć w ciążę, nawet umrzeć. Ale to wszystko jest nieważne. Godzimy się na to i na więcej, żeby tylko się tam dostać. Kazirodztwo to przy tym pikuś.

November otaksowała go wzrokiem. Zmarszczki wokół oczu zdradzały historię rozpusty i udręki, ale nade wszystko miłość, tęsknotę i brnięcie po omacku w ciemnościach. Pewnie nigdy w życiu nie nosił pierścionków kamieniami na zewnątrz. Kiedy krzyczał w niej jak spadający wróbel, myślał zapewne o Xiaohui. A ona nie.

Pogładził ją po policzku.

– Przykro mi, że u ciebie padło na twarz. To... zwykły pech. Tego się nie wybiera.

\* \* \*

*Rzeczy, których nie da się długo zachować w tajemnicy: śmierć w rodzinie, zgubienie pierścionka, duchowe zepsucie, nuda, zakazana miłość. Choroba. Uzależnienie. Cięża.*

\* \* \*

November – opatulona czystym, białym barbetem pszczelarskiego stroju, tonąca w zgielku bzyczących, zatroskanych głosów, przerażonych, że królowa się od nich oddaliła –

obiecała sobie, że brat Xiaohui był ostatni. To koniec. Więcej nie ruszy się z domu. Dwa razy w roku wyprawi się po kaktusy, a miód będzie rozsyłać przez pośredników. Odbiorców i kierowców nie zabraknie. A pszczołom nie przeszkadza, że została oszpecona. Zostanie opiekunką ula, zakonnica letniego zgromadzenia.

Tak będzie najlepiej. Dane jej było dotknąć tajemnicy, ale jedno dotknięcie wystarczy. Nie miała braci, z którymi mogłaby się poniżyć, ale też nie potrzebowała ich ani nie pragnęła. Nie podąży tą ścieżką. Jeżeli miałyby mieć tylu obcych kochanków, jeśli miałyby ich dopuścić w głąb siebie, daruje sobie Palimpsest. Odrzuci go. To było łatwe. Będzie łatwe. Wystarczy jej to, co ma tutaj. Czy nie taka właśnie była idea tego domu i tych uli, cały pomysł zamieszkania tak blisko spoczywającego pod mchem ojca? Żeby umieć poprzestać na tym, co się ma? Żeby rozrosnąć się dokładnie w takim stopniu, by wypełnić to miejsce – i ani trochę więcej? Nie po drodze było jej z gigantyzmem, który z takim zapałem obiecywało jej to miasto i nieskończone szeregi kochanków.

Tylko że takie postanowienie wcale nie chroniło jej przed snami. Jeszcze nigdy cnota nie ocaliła zakonnicy przed ekstatycznymi wizjami demonów i aniołów wyłamujących sobie nawzajem skrzydła. W snach tęskniła za aroganckim miastem i dotykała pomnika strusiej sieroty na środku ulicy. Czuła w sobie obecność trojga obcych, którzy daleko od niej poruszali się, jedli i śpiewali. Czuła pszczoły na piersi. Spędziła trzydzieści nocy w pracowni Aloysiusa, który na jej widok kręcił przybraną w białą perukę głową z takim rozczarowaniem, że przeszywał nim ją jak igłą. Raz nawet zapłakał, klęcząc przed nią, z twarzą wtuloną w jej brzuch.

– Dlaczego? Dlaczego nie chcesz być taka jak inni? Dlaczego tak mnie dręczysz? Przez to, co powiedziałem? Przez to, że byłem nieuprzejmy? Przepraszam, po stokroć przepraszam. Kiedy się przed nami ugniesz, ty okropna dziewczyno, która przeszłaś mnie wzrokiem i ujrzałaś takiego, jakim jestem, aż moje serce pękło w twoich rękach?

Kiedy jednak próbowała uciec przed jego błaganiami i napomnieniami, kiedy usiłowała się wymknąć w towarzystwie odzianego w lawendę homunkulusa, kiedy próbowała udać się nie do pracowni Aloysiusa, lecz w innym kierunku, inną wykładaną deskami ulicą, zawsze musiała zawrócić. Materializowały się przed nią ściany bursztynowych cieni, barykady ze splątanych latarni ulicznych wyrastały jak kolczaste zarośla, albo ulica po prostu rozpływała się w nicości, której November nie mogła sforsować. Świat, w którym jej obecność była dopuszczalna, ograniczał się do dwóch szerokich ulic. Jej miasto było stałe, wierne i należało tylko do niej, ale nie mogła zapuścić się poza miejsca, których dotknęła tamtej pierwszej nocy, śpiąc z twarzą wtuloną w wygolony kark brata Xiaohui.

Budziła się z płaczem. Chwytała gorączkowo notatniki i wściekłym charakterem pisma zapelniała je spisami „Rzeczy, których nie zrobię”, „Rzeczy, które mnie przerastają”, „Kobiet, którymi nie jestem”, „Miejsc, których nie odwiedzę”, „Rzeczy, które nie są prawdziwe”, „Rzeczy, które z pewnością mnie zniszczą”.

A potem ciskała notatnikami o ścianę. Zostawiały ślady na idealnej bieli – a ona te ślady również zapisywała. Wbrew sobie zamykała oczy, zagłuszyła potrzebę oglądania tamtego miejsca, tak jakby było człowiekiem, którego od lat nie widziała i za którym okrutnie tęskniła.

\* \* \*

– Wszystko ma swoje miejsce – powiedział ojciec, kiedy była jeszcze młoda, i pokazał jej długie szufladki z cedrowego drewna w katalogu ogromnej biblioteki, w której pracował. Mosiężne ramki z etykietkami lśniły jak guziki na mundurze policjanta. – Ale najważniejsze jest to, że każde takie miejsce jest opisane. Ład jest przechodni: uporządkuj jedną drogocenną rzecz, a uporządkujesz cały wszechświat.

– Ja też tam jestem? – zapytała, zerkając ponad krawędzią szufladki do środka.

– Oczywiście, skarbie – przytaknął ojciec.

Wielką, śniadą ręką, wystającą z kraciastego mankietu i pachnącą skórką cytrynową po zaparzonej przez matkę porannej herbacie, przewertował karty i wyjął jedną z nich.

*006.332. „Dziewczynka, która opłynęła Krainę Czarów na statku własnej konstrukcji”. H. F. Weckweet, 1923. Gleiss & Schafandre: Nowy Jork.*

Potraktowała jego słowa poważnie; już wtedy inaczej nie umiała. Książka znajdowała się na szóstym piętrze, na które weszła po schodach, wiedząc, że to jedyny właściwy sposób dotarcia na swoje miejsce we wszechświecie; skorzystanie z windy byłoby oszustwem. Mała książka miała skórzaną oprawę, ozdobioną słabo wytłoczonym rysunkiem nagiej dziewczynki na tratwie: stała wyprostowana jak maszt, z sukienką rozpostartą w rękach zamiast żagla. Był to wówczas najstarszy przedmiot, jaki November widziała w życiu.

Od tamtej pory przeczytała ją dokładnie dwieście siedemnaście razy, nie licząc tych prób, kiedy czytywała tylko fragmenty. Książka była właściwie tylko jednym ogniwem w długiej serii powieści dla dzieci, ale te pozostałe w ogóle jej nie interesowały: ojciec nie wygrzebał ich w ogromniastym katalogu i nie powiedział, że są o niej, a ona nie musiała się wspinać na szóste piętro, żeby je odszukać. W tym roku – z okazji trzydziestych pierwszych urodzin – przeczytała ją od deski do deski; czytała od świtu do świtu. Bohaterka miała na imię September, i November była przekonana, że w tym imieniu zawiera się sekretny przekaz dla niej od ojca i Hortense Francis Weckweet. Niewykluczone, że gdyby dziewczynka nazywała się inaczej, November nie przeczytałaby tej książki dwieście siedemnaście razy.

Pod jej powiekami obraz ojca z rękami pełnymi katalogowych fiszek, ułożonych w wachlarz jak karty pokerzysty, zmagął się z wizją płaczącego Aloysiusa, zawodzącego błagalnie:

– Daj mi spokój, proszę! Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść ciebie!



Złapała się za głowę.

Ja też nie mogę tego znieść, ale ta druga możliwość mnie przerasta. Nie mam niczego. Nie jestem odważną dziewczynką.

Mgła znad zatoki rozplýwała się nad wzgórzami jak esencja herbaty w filiżance wody.

Nie jestem odważna, pomyślała November, ale mam sukienkę. Przynajmniej tyle. Mam sukienkę jak żagiel.

Otarła oczy i wyjęła z szafy skrawek pomarańczowego jedwabiu. Sczesła włosy w bibliotekarski kok, żeby nikt nie przegapił jej twarzy. Mapa ulic pałała triumfalnym ogniem na jej policzku. Odwróciła wszystkie pierścienie kamieniami na zewnątrz. Zabłyśły jak rycerska rękawica.

\* \* \*

Trwało to dziewięć nocy. Chodziła po mieście, piła obrzydliwie słodkie napitki i czekała. Wyniośli, modni ludzie gapili się na nią bez żenady, a jej skóra płonęła wstydem i determinacją.

Wytrwam na tratwie, aż powieje Zielony Wiatr, rozmyślała, cytując Weckweert i książkę swojego dzieciństwa. Moja sukienka to mój żagiel.

I rzeczywiście, w końcu powiał Zielony Wiatr, zrazu powoli i delikatnie, choć nie nastąpiło to ani w chromowanym barze, ani w dobudowanym skrzydle biblioteki. Zdarzyło się to, gdy zmęczona przedzierała się przez armię gołębi na Union Square, szła do samochodu, zamierzała przejechać z powrotem przez most i wrócić do domu, do Hortense Weckweert i tysiąca niedokończonych spisów.

Kobieta wyglądała, jakby pochodziła z bieguna północnego: jasnorude kędzierzawe włosy okalały duże, rumiane, wysmagane chłodem policzki. Wiatr tarnosił jej długi zielony szal. Nie była ładna, ale nie była też przeciętna. Nic nie powiedziała, lecz jej twarz wprost promieniała nadzieją i życzliwością, aż November poczuła ból w piersi. Kobieta podbiegła, ale zatrzymała się kawalek od niej; jej oddech mglił się w wieczornym powietrzu, w przenikliwej sonej bryzie typowej dla Zatoki o zmierzchu. Drżącymi dłońmi bez rękawiczek rozpięła granatową kurtkę o marynarskim kroju i dziecięcym gestem podciągnęła sweter. Miała je na brzuchu, tuż pod lewą piersią: na jej skórze czaił się ciepły pająk. Zerknęła na noszone przez November pierścionki, ujęła jej twarz w delikatne palce i pocałowała ją z żarliwością nowo narodzonego niedźwiadka ssącego matkę.

## Róg Krasnozłotej i Korundowej

Na skrzyżowaniu Krasnozłotej i Korundowej stoi dom. Przez lata rozrósł się do tego stopnia, że zagarnął większą część obu deptaków, w górę aż do Dziewiętnastej i w dół do Szóstej. Przez luki, w których jego węgły nie dotykają ziemi, przynależny do niego ogród długim szmaragdowym łańcem wylewa się na ulicę. Żebracy śpią w cieniu drzewek granatu, a ślady pojazdów zakrzywiają się z wdziękiem, wymijając natrętne plamy zieleni.

Z początku dom był małą sadzonką w sosnowym kubelku, z korzeniami owiniętymi muślinem i nasączonymi wodą różaną. Kupiły go trzy kobiety. Głaskały go po korze, żeby go uspokoić. Zakopały go w tajemnicy, mając księżyc za współnika, w miękkim gruncie ówczesnej Krasnozłotej. Było to przed epoką kolei (podziemnej i naziemnej) i niebotycznych wież, zanim na ulicach rozpanoszyły się plujące wodą gargulce o mysich łbach. Kobiety nosiły szare woalki i korony ze stalowych kół zębatach. Znały się na rytuałach; wiedziały, jak się ubrać i gdzie ustawić. Później przychodziły co noc, karmiły dom i szeptały do niego. Przybywały bezszelestnie, przynosząc w kieszeniach słodkie drobiazgi: kostki cukru i jabłka, hiszpańskie dachówki i plasterki fałszywych Krzyży Południa, warkocze z własnych głów, kościane guziki, złote igły do szycia, piętki niedzielnych wypieków, wiśnie o pestkach ze stwardniałej melasy, kurki do kranów w kształcie męskich głów, mirrę i kadzidło, ług i whiskey, długie czarne pogrzebacze i dziecięce beciki, torebki i grzebienie, świąteczne ciasta, cykute, herbatę cytrynową, szklane puchary, zarżniętą owcę, oraz – najważniejszy, choć wymieniony na końcu – smutny szary kształt jednego z ich synów, który udusił się własną pepowiną.

Czyje to było dziecko, tego nikt z nas rzec nie potrafi.

Wszystkie trzy kobiety miały na imię Casimira. W niczym im to nie przeszkadzało.

Dom – wykarmiony daleko ponad najśmielsze marzenia gzymsów i zawiasów okiennych – zaczął rosnać tak szybko i z takim zapalem, że domy po obu jego stronach musiały zebrać swoje obszerne bagaże i, pociągając znacząco nosami, przeprowadzić się w inne miejsca, a on wypluwał kolejne błyszczące cedrowe ściany i okna z przydymionymi szybami; dachówki z brązu wysypywały się z klekotem z kominów jak spadające kamienie domina; z ziemi wyrastały ogrodzenia i zamasyżycie zakręcone schody; długie korytarze rozpościerały ramiona, by udzielić schronienia chowającym się w nim dzieciom. Pokój za pokojem

otwierały się jak kwiaty, każdy umeblowany w jednym kolorze, ponieważ dom był schludny z natury i lubił porządek. Na początek wypuścił osiem kondygnacji, ale co roku w porze żniw wyrastały następne. Dach wypiętrzał się, obrastał w nowe połacie, szczyty i wieżyczki. Nocami przechodnie słyszeli, jak zmieniający szaty dom nuci pod nosem niedorzeczne przyspiewki, jak mała dziewczynka, która z zapartym tchem oczekuje rozpoczęcia festiwalu.

W końcu dom otworzył pokój w najwyższej wieży, największy ze wszystkich, jakie do tej pory wyhodował. Pokój był urządony we wszystkich możliwych odcieniach szkarłatu, przez co, stając w nim, człowiek czuł się jak we wnętrzu bijącego, krwawiącego serca. A potem dom zamknął się na głucho i czekał, rosnąc powoli, jak zwykłe drzewo – jeden słój rocznie.

W następnych latach Casimiry miały zwyczaj przyprowadzać kolejne dziedziczki pod drzwi cudownego domu i przykładać ich drobne rączki do kołatki – cudnego drobiazgu w kształcie lwiej łapy. Przez wiele lat dom pozostawał cichy i uśpiony, obojętny na wdzięki młodych gości. Kiedy obecna Casimira skończyła osiem lat, również została zabrana pod dom. Jej matka wzięła jej niewzruszoną dłoń w swoją i przyłożyła ją do drzwi.

Pewnie już się domyślasz, co było dalej, bo z pewnością nie brak ci bystrości. Ja, naturalnie, wiedziałem, co się stanie, ale – jakkolwiek by na to patrzeć – przewidywanie przyszłości to jeden z moich koników.

\* \* \*

Lwia kołatka zabrzmiała czysto i donośnie. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a potem zatrzasnęły gwałtownie za plecami dziecka, zostawiając jego rodziców na śniegu.

Mała Casimira znalazła się w ogromnym westybulu, u stóp schodów wyglądających jak piętro weselnego tortu olbrzymów. Po dłuższej chwili, z braku lepszego zajęcia zasnęła na miętko tapicerowanym fotelu koloru lawendy.

Kiedy czarna noc wśliznęła się do środka przez wysokie okna, mały chłopiec zszedł bezszelestnie po schodach i wziął Casimirę za rękę. Na szyi miał zawiązaną szeroką niebieską wstążkę, jak dziewczęcą kolię, tylko szerszą i ciaśniejszą, on sam zaś był uroczy, ze ślicznym rumieńcem na białych policzkach i nadzwyczaj stosownych pantoflach na drobnych stópkach. Potrząsnął nią i obudził, delikatnie, z troską.

– Zbudź się, Casimiro – powiedział. – Zbudź się.

Uśmiechnął się do niej uśmiechem doskonałym, wyrażającym ideał technicznej precyzji, jakby od ośmiu lat ćwiczył go przed okrągłym lustrem.

– Nie mam imienia... – Zawahał się. – Nie mogę więc ci się przedstawić, ale byłbym twoim dziadkiem, gdyby nie moja niezdarność, która sprawiła, że przychodząc na świat, potknąłem się o własną matkę.

Casimira nie odpowiedziała.

– Mam dla ciebie pokój – powiedział dom i zarumienił się chyba nieco bardziej niż

chłopcom wypada.

\* \* \*

Niebo jest podziurawione gwiazdami. November wciąga do płuc pachnący zielem laurowym i zielonym kardamonem wiatr Palimpsestu. Ma na sobie wściekle granatową sukienkę od Aloysiusa; zimny powiew przyprawia ją o gęsią skórę na brzuchu. Pawie pióra ocierają się o jej ramię. Dookoła piętrzą się pająkowato chude domy przy Krasnozłotej, tak wysokie, że długie szale chmur przesłaniają ich wierzchołki. Chciałaby zadrzeć, ale nie może się na to zdobyć. Z każdego narożnika i balkonu szczyrzą zęby gargulce, przez które pryska i chłapie stara deszczówka, gromadząca się później w podłużnych zbiornikach u stóp budowli. Mają drobne pyski myszy, jeży i oposów, lisów, szczurów i ślepych, węszących kretów. Pyski te, zniekształcone jak to zwykle u gargulców bywa, wyzierają spomiędzy zawijasów kamiennych liści i oblizują ostre ząbki, ale jej wydają się takie słodkie i milutkie, że na środku ulicy wybucha śmiechem. One zaś uśmiechają się jeszcze szerzej na swoich podniebnych grzędach.

Tak, myśli sobie. Udało się. Jestem tutaj. Opłaciło się. Przybycie tu było warte i rudowłosej nieznamomej, i chłopca, który kocha swoją siostrę. Było warte ich wszystkich.

Pszczoły jednak niecierpliwiają się jej satysfakcją. Ciągną ją w stronę drzwi tak ogromnych, że nie od razu do niej dociera, że stanowią one część tylko jednego domu. Olbrzymia lwia łapa wyznacza ich środek. Kładzie na niej dłoń, jakby ostrożnie pozdrawiała bestię, do której łapa z pewnością należy. Pszczoły krzyczą. Krzyk pszczoł może wyrażać tylko jedną z dwóch emocji: radość albo gniew; w małych ciałkach nie ma miejsca na więcej odmian krzyku. Manekin w lawendowym garniturze obejmuje jej talię buczącymi rękami. Drzwi otwierają się zamasyście, jakby ćwiczyły ten ruch co najmniej od dziesięciolecia.

Zaraz przy wejściu, wśród gęstych paproci i zbyt licznych stojaków na parasole, stoi kobieta w surowej sukni jaką mogłaby nosić guwernantka – czarno-zielonej, długiej, pod szyję. Na wysokości obojczyka suknia jest spięta dużą miedzianą zapinką w kształcie osy, a w pasie przewiązana długim, błyszczącym, również miedzianym pasem, czy raczej łańcuchem maleńkich pudełek, które okalają szczupłą talię i opadają z boku na podłogę jak posupłany sznur mnisiego habitu. Kręcone włosy kobieta upięła wysoko, pomysłowo; mają bardzo spokojny zielony odcień, głębszy niż morska woda czy szmaragdy, stonowany, stosowny i idealnie dopasowany do koloru jej oczu. Trzyma za rękę chłopca w stroju francuskiego książątka, z niebieską wstążką na szyi. Chłopiec chowa się za jej obszerną spódnicą i stamtąd zerka z zaciekawieniem na gościa.

Pszczeli manekin podchodzi z entuzjazmem do kobiety, ujmuje ją pod brodę i zwraca jej twarz ku sobie. Kobieta składa na pszczelim obliczu gorący pocałunek, przekrzywiwszy głowę w klasycznej pozie kobiety uwiedzionej. Znaczącym gestem manekin daje znać

November, po czym rozplywa się rojem pszczoł, który rozprasza się po domu. Z garnituru od Aloysiusa zostaje zmięta kupka materiału na nieskazitelnie czystej podłodze.

– Podoba mi się twoja sukienka – rzuca kokieteryjnie kobieta.

– Aloysius ją uszył – odpowiada November. Nie przychodzi jej do głowy nic lepszego, nic mądrzejszego, nic bardziej pasującego do stojącej przed nią nieznanym. Coś ściska ją w gardle.

– Ach, wiem, wiem o tym. Mam kilka jego sukien. Ma niepowtarzalny styl.

Długo milczą. Odległy zegar oznajmia szeptem godzinę.

– Wiem także dlatego, że to ja ci ją kupiłam – odzywa się w końcu zielonowłosa. – Na prezent.

Rumieniec na jej policzkach jest tak intensywny, że stojąca przy samych drzwiach November czuje bijące od niego ciepło.

– Czym sobie na niego zasłużyłam?

– Cóż... – Kobieta wbija wzrok w podłogę. – Jakiś czas temu moje pszczoły ogromnie się ożywiły. Zaczęły tańczyć i wyśpiewywać czyjeś imię, powtarzały je w kółko, nie mogłam przez nie spać. Królowa poprosiła o audiencję, pozwoliłam więc jej usiąść na płatku mojego ucha. Pocierając odnóżami o siebie wyjaśniła mi, że pszczoły zakochały się w pewnej imigrantce pachnącej kolcolistem i pyłkiem hibiskusa. Były przy tym przekonane, że owa nieznaną potrafi odwzajemnić ich uczucie. Zarazem wierzyły niezachwianie, jak wszystkie dzieci, że ich matka także pokocha obiekt ich pszczelich westchnień.

– Jesteś ich matką?

– Jestem Casimirą. Równie dobrze mogłabym odpowiedzieć po prostu: tak.

– Cieszę się, że tak usilnie wzbraniałam się przed powrotem tutaj, Casimiro. Mogłabym nie trafić na dziewczynę z wyrysowanym na brzuchu twoim domem.

Taksujące spojrzenie Casimiry prześlizguje się po November, która w przepysznym stroju sama czuje się jak dziecko.

– Suknia na razie ujdzie. Następnym razem będę lepiej wiedziała, w czym ci do twarzy.

– Jak to ujdzie?

– Zabieram cię do opery. Jak inaczej miałybyśmy się lepiej poznać? Musisz być stosownie ubrana. Moda niezbyt mnie interesuje, ale suknia jest jak żagiel: jeśli chcesz się gdziekolwiek dostać, musisz nieść ją przed sobą: olbrzymią, oślepiającą, wydętą.

Łzy napływają November do oczu.

Moja suknia, myśli. Mój żagiel.

Casimira podchodzi bliżej po poprzecinanej żyłkami kwarcu posadzce, bierze szczupłe dłonie November w swoje i nachyla się ku niej, żeby otrzeć się policzkiem o jej policzek: niczym dwie niedorzeczne wiktoriańskie damy, zbyt przyzwoite, żeby się pocałować. Stoją tak dłuższą chwilę i dopiero gdy ta chwila się ulatnia, chłopiec ostrożnie, nieśmiało dotyka długiej granatowej sukni November.

Casimira cofa się i podciąga luźny koniec paska, jak rybaczka wyciągająca łup z wody. Otwiera trzecie pudełeczko od końca i wyjmuje z niego pierścionek z misternie wykonanym oczkiem z móldawitu. Oczko ma kształt pszczoły. Wsuwa go na palec spierzchniętej ręki November, po czym – wstrzymując oddech z wahaniem i podnieceniem, którego nie jest w stanie ukryć – odwraca go kamieniem do wnętrza dłoni. Kiedy się rumieni, znów bije od niej żar jak z pękniętego pieca.

\* \* \*

Palce Casimiry muskają dłoń November, gdy wiozący je terkoczący powóz sunie po gładkim torze z brązu. Pojazd nie wymaga zaprzęgu (jak wyjaśnia Casimira, pociągowe czaple i lamparty z przyciętymi ogonami są dobre dla tych, których nie stać na szynową taryfę przewozową), ale lejce i tak sterczą sztywno w przód z ozdobionego nefrytem powozu – ot, taki ukłon w stronę tradycji. Latarnie uliczne zlewają się w oczach November w ognistą wstęgę, gdy powóz oddala się od ogromnego domu i ulicy Krasnozłotej, omijając bursztynowe cienie, które wyznaczają dozwolone dla niej rejony Palimpsestu. Pojazd przechyla się, gdy skręcają w pobliże bulgotliwego ujścia spienionej, białej rzeki, pomiędzy stłoczone na jej brzegach rozpadające się domki, a potem zatrzymuje się przed jakąś podupadającą budowlą o jedenastu wybitych oknach i jedenastu wciąż jeszcze oszklonych. W środku jest ciemno.

Rękawiczki Casimiry mają taki sam kolor jak jej włosy; są o numer za małe, przez co palce zakrzywiają się lekko do wnętrza dłoni. Tak podkulonymi palcami bierze November za rękę i prowadzi ją przez ogromne strzaskane drzwi do gmachu, i dalej długim korytarzem, po zdeptanych dywanach, do małego pokoju, w którym ledwie wystarcza miejsca dla nich dwóch. Kucają w ciemnościach, stykając się kolanami i szorując włosami o strop. Skóra Casimiry ma zapach piżma pręgowanego kota.

– Specjalnie cię tu przyprowadziłam – szepcze Casimira. – To Dom Tulu. Pewnie o nim nie słyszałaś, ale to najlepsza opera, jaką znam.

– Od jak dawna tu mieszkasz, że znasz takie miejsca? Masz dom, dziecko...

Casimira parska śmiechem i patrzy na November dziwnym wzrokiem.

W oczach November nakładają się dwa obrazy: zdziwionej Casimiry i innej kobiety, stojącej nad białą rzeką w sukni obsypanej srebrnymi gwiazdami.

– Tu się urodziłam – wyjaśnia Casimira. – Jestem inna niż ty. A ten chłopiec nie jest moim dzieckiem.

– To tutaj rodzą się ludzie? – dziwi się November. Wszystko jest dla niej takie nowe; czuje się jak najgłupsze dziecko w klasie. – Jak?

– Całkiem zwyczajnie. Tak przypuszczam. Czy tam, skąd pochodzisz, znacie jakieś nowe, ekscytujące sposoby?

– Nie... Ale skoro nigdy nie byłeś w moim świecie, skąd wiedziałas o pierścionku?

– Ja słucham. Mam miliard uszu, które szepczą mi o bilionach drobiazgów. Opisują wszystkie wasze małe protokoły; pszczoły bardzo się interesują wszelkimi egzotycznymi modelami zachowań. To one są moimi dziećmi. Właściwie najlepiej byłoby powiedzieć, że jestem córką chłopca, który czepia się mojej spódnicy. Jeśli wystarczy ci cierpliwości, może oprowadzę cię po fabryce, w której powstają moje uszy.

– Co to za miejsce, Casimiro? Na pewno to wiesz, skoro tak wiele słyszysz.

– Nie rozumiem twojego pytania, moja droga. To jest świat.

– Właśnie, że nie! Kiedy zasypiam, budzę się tutaj. Nie zabieram niczego ze sobą. To rzeczywiste miejsce, w pewnym sensie, ale nie prawdziwy świat. Ja żyję w prawdziwym świecie. Znam jego kształt i zapach.

Rozlega się ciche pukanie do drzwi pokoiku. Casimira kręci głową.

– Później – mówi. – Już czas.

Bierze do ręki długą opaskę na oczy. November cofa się przed nią, nieufna.

– Nic ci się nie stanie, November, obiecuję. Nie dam cię skrzywdzić. Nigdy bym na to nie pozwoliła.

Wciąż niepewna, z zaciśniętymi zębami i drżącymi mięśniami szczęki, November daje sobie zawiązać oczy. Kiedy matrona pochyla się nad nią, November widzi, że ma nagie plecy; gładka skóra jest odsłonięta aż po kość ogonową. Casimira wiąże jej przepaskę z tyłu głowy, po czym prowadzi jej dłonie, by mogła odwzajemnić tę dziwnie rytualną przysługę. Oddychają w jednym rytmie, tak samo oślepienie.

– Słyszałam, jak wiele osób takich jak ty poruszało się po mieście – mówi łagodnym tonem Casimira. – Żuki was dobrze znają. Mrówki również. W swojej niewiedzy rozgniatacie je pod stopami; czuję ich mikroskopijne śmierci w moim najmniejszym palcu. Widziałam wielu podążających tą samą drogą, którą ty teraz podążasz, w głupiotkiej pielgrzymce przez miasto, które jest moim domem, równie znajomym jak codzienne mleko przy śniadaniu. A wy jesteście tacy zdezorientowani, tacy młodzi. Tyle razy słyszałam wasze durne pytania, że robi mi się od nich niedobrze, chociaż nikt jeszcze nie zbliżył się do mnie tak jak ty, żeby zadać mi je wprost, z ustami przy moim uchu. Pytają nieba, ciemności, ikon, gwiazd, żebraków i księżycy. Pająki słyszą te ich pytania i śmieją się z nich. Trudno wyrazić słowami, jakie to nudne: rzesza ludzi postępująca od niewinności przez zalążki wiedzy aż do nieuniknionej apoteozy rozpaczy. Obserwowanie ich jest w najwyższym stopniu nużące. Nic się nigdy nie zmienia. Nikomu się nie udaje: jedni się poddają, inni zatracają w nihilizmie, jeszcze inni popełniają samobójstwo. Nikt nie rozwiązuje równania, nikomu nie udaje się skraść więcej niż paru przypadkowych nocy w Palimpseście. Jesteście tacy do siebie podobni... Jak rodzina.

Przerywa jej stłumiony szmer. November czuje powiew powietrza i wie, że jedna ze ścian pokoiku uniosła się jak kurtyna. Dostaje gęsiej skórki na policzku. Jej puls łomocze jak oszalały.

Głos narasta stopniowo, z początku dźwięczy tylko jedną cichą, ponurą, okrutnie przeciągniętą nutą. November przeszywa dreszcz; czuje tchnienie śpiewaczki na szyi i elektryzujące muśnięcie warg na uchu. Pieśń – ballada, aria – rozbrzmiewa tak blisko, że wyczuwa każde poruszenie niewidzialnych warg. Kobieta śpiewa o dziecku z głową żaby, o dziewczynce, która walczyła na wojnie i na polu bitwy śpiewała elegie wszystkim ofiarom swoich małych pistolecików. Pokochała chłopca z wilczymi łapami zamiast rąk, który zawsze zjawiał się na dźwięk jej pieśni, by udzieliła mu się niezwykła łaska tych, którzy uniknęli spotkania z wielką czernią. Lecz generałowie, którzy również słyszeli jej treny, przybyli ze swoimi wysokimi chirurgami, żeby wyciąć jej krtań, obawiali się bowiem, że śpiewaniem zdradzi ich pozycję nieprzyjacielowi. Stała na środku poboju i śpiewała, aż poczerwieniała z wysiłku i zaczęła płakać, a w końcu umilkła. Bez jej pieśni chłopiec z wilczymi łapami zabłądził na tyłach wojska, gdzie żołnierze – sprzymierzeńcy zabij dziewczynki – pojмали go i triumfalnie zamordowali.

Pieśń jest skomplikowana, okropna i tak piękna, że gdy November pomyśli, że mogłaby się skończyć, żołądek zaciska się jej w supeł. Kiedyś jednak musi się skończyć – i się kończy; lzy śpiewaczki skapują do ucha November. Po omacku unosi rękę i dotyka wilgotnej od łez twarzy, bliskiej jak przy pocałunku. Twarz się odsuwa, niewidzialny sopran cichnie, ściana wraca na swoje miejsce. Casimira zdejmuje jej opaskę z oczu; November robi to samo z jej opaską.

– Teraz pójdzie do następnej komnaty. – Casimira wzdycha. – Potem do następnej i tak dalej. Opera to rzecz bardzo intymna i ascetyczna, nie znosi nadmiaru światła. Przed świtem będzie śpiewać do setki uszu: o wojnie, o jej żalonych pozostałościach i o miłości w czasach, gdy Hieratyczna była piekłem. – Przykłada drobną dłoń do mostka November. – To jest prawdziwy świat – mówi stanowczo. – Najprawdziwszy. – Jej przymknięte oczy błyszczą w półmroku. – Wszystkim przytrafiają się tu straszne rzeczy, dzieciom i dorosłym. Mamy swoją historię, tak jak wy swoją. Kiedy, siedząc u siebie w domu, zadasz sobie pytanie, gdzie jesteś, co odpowiesz? Jestem w domu, w takim a takim mieście, takiej a takiej prowincji, takim a takim kraju, w świecie. A tu jesteś w Palimpseście, mieście jak każde inne. Palimpsest nie jest tworem magicznym, a ja nie jestem mityczną bestią ani sylfidą. Ja po prostu żyję. Wszyscy po prostu żyjemy. Jemy i głodujemy, gromadzimy majątek i otwieramy swoje skarbcze, popadamy w niełaskę, tracimy wiarę. – Obejmuje November w pasie. – Wbrew dobrym radom dajemy się opętywać przedmiotom.

– Skoro to wszystko prawda, dlaczego muszę się budzić z tego snu? I dlaczego muszę sypiać z obcymi, żeby w ogóle tu trafić?

– Czy w waszym kraju są granice? Straż graniczna? Paszporty? Dokumenty?

– Naturalnie.

Casimira uśmiecha się lekko. Jej zęby lśnią. Dotyka oszpeconego policzka November.

– No widzisz. U nas jest tak samo.



Spod sukni Casimira wyjmuję coś, co dźwięczy śpiewnie, oddalając się od jej ciała. Mimo ciemności November rozpoznaje długi nóż, tak srebrny i lśniący, że wydaje się prawie biały.

– To prawdziwy świat, November. Komuś takiemu jak ty trudno to zapamiętać, ale ja chętnie pomagam ludziom. Tobie też chcę pomóc. Chcę, żebyś tu wracała. Obiecuj mi, że wrócisz. Że nie każesz mi znowu czekać.

November otwiera szeroko oczy. Wzrokiem szuka noża.

– Ja... postaram się...

– Pomogę ci dostrzec prawdziwą naturę rzeczy. Zobaczysz ją prędzej niż masy zagubionych, zbłąkanych głupców, którzy naprzykrzają się moim szczerom. Zobaczysz ją równie wyraźnie jak widzą ją moje pszczoły. Będzie ci łatwiej. Skończą się nudne kryzysy egzystencjalne. Kiedy znów zjawisz się w moim domu, nasze stosunki będą bardzo zaawansowane.

Casimira ściąga prawą rękawiczkę, palec po palcu, i zawiesza ją sobie na szyi jak stułę. Stanowczym gestem chwyta nadgarstek November i do gładkiej, zimnej podłogi przyciska jej dłoń z dwoma palcami złożonymi jak do błogosławieństwa. Niewiele brakuje, żeby pociągnięta w dół November się przewróciła, ale udaje jej się nie stracić równowagi. To sen, więc nic nie może się jej stać; jest tego pewna. Prawie pewna. Zamyka oczy i uspokaja ciało, zatapiając się w uścisku Casimiry.

– Mam dla ciebie pokój – szepcze Casimira tak cicho, że November ledwie wyławia jej słowa z powietrza, po czym bierze zamach nożem i jednym długim cięciem odcina jej dwa palce.

Troje ludzi krzyczy i osuwa się na kolana, ściskając obolałe palce – a potem ból nagle znika, a oni tylko kręcą głowami i brną dalej w noc, niczego nie rozumiejąc.

# TRZY

## Proste stwierdzenia

Oleg płynął ku jawie wbrew swojej woli, walcząc z nurtem świadomości. Głos Gabriela werznął się w jego sen jak nóż:

– Jest kawa. Pijesz czy nie?

Ciężar rzuconych zwiniętych w kłębek dżinsów do reszty otrzeźwił Olega. Gabriel patrzył na niego wilkiem znad skraju kubka, dumnie głoszącego potęgę Denham Steel.

– Tak czy inaczej, chcę, żebyś jak najszybciej sobie poszedł – dodał beznamiętnie.

– Co się stało?

Gabriel spiorunował go wzrokiem i wylał resztkę paskudnej, gęstej, czarnej brei do zlewu.

– Nic, po prostu nie lubię mieć rano towarzystwa. Idź sobie, proszę.

Oleg bez pośpiechu się ubrał. Miła często patrzyła, jak się ubiera, wiedziona jakąś niejasną antropologiczną ciekawością. Teraz też czuł się podobnie, mając na sobie lodowate spojrzenie Gabriela. Zapiął pasek przy spodniach i skrzywił się. Ręce zalatywały mu trochę kondomami i lubrykantem; ten zapach kojarzył mu się z rzeczami, których chyba nie powinien był robić. Ale co się stało, to się nie odstanie.

To było głupie. Polubili się, było im ze sobą dobrze; widział to potem w twarzy Gabriela, kiedy ten zasypiał z twarzą na jego piersi. Razem łatwiej byłoby im znieść samotność. Co takiego zrobił?

Zebrał narzędzia i gotowy do pożegnania stanął przed architektem, który z zaczerwienionymi, rozbieganymi oczami wyglądał na wstrząśniętego.

– To tylko sen, prawda? – powiedział Gabriel oskarżycielsko, bez cienia wątpliwości, kto jest winny.

Tak, tylko sen – sen, który ich połączył i zmanifestował mu się na brzuchu. Fioletowy jak krwiał. Oleg wziął głęboki wdech. Ostatni wysięk.

– Nawet gdyby to była jawa, Gabrielu, to jaka to różnica, czy odbijasz zegar tu, czy tam? Lepiej się czujesz, serwując potrawę ze słonia bogaczom, którym nie możesz nawet spojrzeć w oczy?

W nieszczęśliwych oczach Gabriela wezbrały łzy.

– Och, Oleg... Ty nie rozumiesz. Tutaj nic nie ma znaczenia, wszystko jest takie... przypadkowe. Mężczyźni, kobiety, domy, urlopy, kolacje, ulice. Wszystko jest płaskie, jakby rzeczywistości brakowało jednego wymiaru, głębszego niż głębia. Wymiaru rytualnego. A tam... tam wszystko ma sens. Nawet kolacja. Nawet zegar do odbijania godzin pracy.

Gabriel roześmiał się i zaraz potem zakaszłał chrapliwie, jakby dławił szloch. W końcu wziął się w garść. Miał ciemne sińce pod oczami i był tak wychudzony, jakby od wielu dni nie jadł w tym świecie.

– Wyjdz – powiedział półgłosem, skubiąc jakiś niewidzialny paproch na plastikowym blacie. – Proszę, po prostu wyjdz.

\* \* \*

Oleg zamknął za sobą drzwi na zamek, sumiennie przestrzegając przeznaczenia kluczy, i wyszedł na śnieg.

\* \* \*

W swoim mieszkaniu nikogo nie zastał.

Ludmiła często wychodziła w swoich – właściwych dla duchów – sprawach, toteż nie zmartwił się specjalnie, kiedy nie przywitała go w progu, nie patrzyła, jak parzy herbatę, nie moczyła stołu bosymi stopami. Odczuwał jednak zaskakującą i nieprzyjemną potrzebę płaczu, a dawno już odczytał się płakać bez Ludmiły. Wróci. Posmarował masłem zimną kromkę chleba i ugotował jajko. Miał gęsią skórkę na karku. Gabriel nie widział drugiej połowy jego snu, nie znał jej, nawet się nie domyślał. Jakaż ona była realistyczna. Jaka oschła. Jaka cielesna.

Oleg rozumiał umarłych, tak mu się przynajmniej wydawało. Został przez nich dobrze wychowany i wytrenowany. Znał ich jutrznie i nieszpory. Bywał w ich mieście, jeździł ich pociągami. Widział Manhattan takim, jaki był naprawdę, ponieważ siostra dawno nauczyła go rozpoznawania znaków szpecących ten konający świat jak wypalone plamy starą żarówkę.

Snów jednak – w przeciwieństwie do śmierci – nie posiadał na własność. Rzadko je pamiętał, rzadko się nimi przejmował. W porównaniu z jego siostrą i miastem wydawały się małe i wątle. A to drugie miasto, miasto Gabriela... Ono się nie liczyło. Ludmiła była tam, Ludmiła była tutaj. Dlaczego nie? Nic tak nie błyszczało jak ona. Co za różnica, czy będzie naprawiał zamki w mieście ze szkła i kamienia, czy spacerował wśród obłąkanych bankierów

nad brzegami mlecznej rzeki? Tu przynajmniej nie musiał kelnerować. Ludmiła była stałą. Jedyną stałą. Tło nie miało znaczenia. Gabriel tego nie rozumiał, nie mieściło mu się w głowie, że to nieważne, czy miasto jest prawdziwe, czy nie.

Ale Ludmiła nie wracała. Mijały tygodnie, minął miesiąc. Nigdy nie zniknęła na tak długo, nawet kiedy zakochał się w Polce z Brooklynu i postanowił w końcu odesłać siostrę. Czas się rozstać, myślał wtedy. Chciał się ożenić z tą Polką, która nie zrozumiałaby, dlaczego musi z nimi mieszkać martwa dziewczyna. Miła nie płakała, nie histeryzowała, w ogóle nic nie robiła – po prostu wymknęła się przez okno. Nie było jej dokładnie przez siedemnaście dni, które odliczał nacięciami na wewnętrznej stronie łydki.

Wróciła, kiedy przestał jeść, a Polka zaczęła się przymilać do jego lekarza.

– Czemu wróciłaś? – zapytał.

– Ktoś musi cię opatrzyć – odparła i wtuliła twarz w jego ramię.

Polka rzuciła go dla pracownika opieki społecznej, który codziennie przynosił jej kwiaty pomarańczy, i w końcu całkiem o nim zapomniała. Nie płakał po niej. Dostał nauczkę. Nigdy więcej nie próbował pozbyć się Ludmiły.

Teraz jednak upłynęło dwadzieścia siedem dni. Zaczął je zaznaczać w taki sam sposób jak poprzednio, brzytwą na skórze nogi – nie dlatego jednak, że czuł taki przymus, lecz dlatego, że chciał ją zwabić magią współczucia. Jeżeli wystarczająco się porani i znów będzie wymagał opatrunku, Ludmiła wróci.

Nie wracała. Czasem myślał jeszcze o Gabrielu, ale brzemień tej porażki całkowicie go przygniatało. Skupił się więc na pracy. Zaniedbał je – swoje klucze i zamki – w wirze szaleństwa dwojga bliskich i niezwykłych kochanków, ale to już zdarzało się wcześniej. Wybaczyły mu. Z frontowych drzwi przeznaczonego do rozbiórki szpitala nad Hudsonem wymontował ciężki mechanizm zamka i przeniósł go do małej sypialni, gdzie przechowywał swoje zbiory. Zamek emanował matową wrogością – nowo przybyły wśród tubylców. Oleg przynosił mu coraz to nowe klucze, z którymi mógłby się związać, zamek jednak odrzucał je wszystkie z dumnie zadartym pokrętem, aż Oleg dał sobie spokój. Najstaranniej jak umiał wsłuchiwał się w każdy naprawiany zamek, szukał jego sekretnego jęku, szczęku i zgrzytu jego pragnień, ale nade wszystko nasłuchiwał cichego, zimnego głosu nawołującego go z coraz bardziej odległych drzwi. Teraz słyszał tylko ciszę i daleki Atlantyk. Miła nigdy przedtem go tak nie dręczyła. To nie było w jej stylu.

Zaczął zaniedbywać dom. Miła nie zmyłaby mu za to głowy, ale kusiłoby ją, żeby jakoś to skomentować. „Jajko wystygło”. „Herbata zgorzkniała”. „Talerz się zakurzył”. Proste stwierdzenia, bez oskarżania, bez dobrych rad. Gdzież ona się podziała?

Przypuszczał, że zna odpowiedź na to pytanie. Widział ją tam, nad białą rzeką, w niebieskiej sukience. Jeśli nie było jej tutaj, musiała być tam; może tam właśnie się udawała, kiedy miała dość żywych. Może wyląwiała sobie płaszcz z ulicy i przechadzała się pod palmami z tym niezwykłym śniegiem we włosach. Może miała tam kochanka.

Oleg też tam był. Z siostrą. Trzymał jej zimną dłoń, gdy siedzieli na żelaznej ławce. Widział krzywiznę jej ucha. Był tam, od tamtej pory bywał tam co noc, na brzegu białej rzeki, przemoczony jej wodami. A Miła co noc spoglądała na niego spod oprószonych śniegiem włosów i z rozczarowaniem kręciła głową. Odwracała się do niego plecami pod tuzinem księżyców i zagłębiała w ceglany tunel, a on nie mógł za nią pójść, po prostu nie mógł, nie miał wstępu do miejsc, w których się pojawiała. Bursztynowe cienie gęstniały i odcinały mu drogę. To było jak łamigłówka, której nie umiał rozwiązać. Nie nadażał za nią.

Nie był jednak aż tak tępy, żeby się nie domyślać, jak to działa. Dwa razy miał w ustach ciało kochanka lub kochanki – i dwa razy we śnie przeniósł się do tamtego miejsca. Nie wiedział tylko, jak znaleźć kogoś innego niż ta druga Ludmiła z lwią grzywą i szerokimi ustami, oraz chudy, delikatny Gabriel. A przecież na pewno byli jacyś inni. Musieli być. Wirus uwielbia towarzystwo.

Nie miał pojęcia, gdzie ich szukać. To był przypadek, wpadka, jak niechciane dziecko. Nie wiedział nawet, jak o tym mówić. A w sztuce niemówienia o rzeczach, na których się znał, osiągnął niezrównane mistrzostwo: Manhattan, Ludmiła, sekretne tęsknoty zamków, przenikliwy lament przeznaczonych im kluczy. Uspokajało go kolekcjonowanie rzeczy, które znał, i niemówienie o nich. Miasto po drugiej stronie snu – teraz musiał je dodać do listy. Za bramą z rogu... Z rogu, prawda? Przypomniał sobie fragment ze starej książki, którą uwielbiała jego matka. Chyba z Wergiliusza. To było coś o dalekich podróżach i morzu. „Do krain sennych wchód dwojaki: bramą z kości słoniowej i bramą rogową<sup>\*</sup>”. W dzieciństwie przerażało go wyobrażenie olbrzymich wrót ze splątanych poroży.

To musiały być wrota Palimpsestu.

Przełknął nazwę miasta, choć na chwilę utkwiała mu w gardle, jak nieforemny cukierek przeciskający się przez wilgotną, różową przestrzeń. Wypowiadanie jej tutaj, w mieszkaniu, wśród tylu innych mieszkań, w których toczyło się życie, było trudne, niedorzeczne. Nie umiałby powiedzieć, skąd je zna, tak jak nie umiałby sobie przypomnieć chwili, w której nie wiedział, że tu jest Manhattan. Nowy Jork. Miasto po prostu było, istniało i tak właśnie się nazywało, ale nie miał pojęcia, co jest palimpsestowym odpowiednikiem Tunelu Hollanda albo Mostu Waszyngtona. Zawsze wydawało mu się to ważne, czy do miasta wjeżdża się przez most, czy tunelem; czy do góry, przez mgłę, na lśniące srebrzyście ulice, czy w dół, do podziemnego świata fioletowych cieni i eleganckich pucharów pełnych krwi.

Ale tamtemu miejscu, tamtemu drugiemu miastu, miastu Gabriela, brakowało klarownych drogowskazów. To było nieprzemysłane. Którędy należało do niego przybyć? Grzążł po kolana w rzeczonym mule, podnosząc wzrok ku światłom.

\* \* \*

---

\* Przeł. L. Siemieński.

Najłatwiejszą drogą, uznał. Siedział przy publicznym terminalu komputerowym w ogromnej, zdobnej w lwy bibliotece. Lampki z zielonymi kloszami wybrzuszały się przy biurkach, jakby na straży stały na nich żółwie. Powinien był pomyśleć o tym wcześniej. Ludzie w sposób naturalny tworzą sieci, roziskrzane pętle światła rozpostarte na całej powierzchni Ziemi. Ludzie aż się proszą, żeby ich znaleźć.

Zalogował się na strony trzech lub czterech serwisów społecznościowych, na których miał (najczęściej nieaktywne) konta, oraz do paru portali ogłoszeniowych, i wstrzymując oddech, wpisał tekst w puste, zapraszające, obiecujące powodzenie okienko:

*Poszukuję towarzyszy podróży do miasta Palimpsest. Tatuaze niewiadomego pochodzenia? Koszmary senne? Znajdź mnie. Proszę, znajdź mnie.*

Gotowe, pomyślał. Dostatecznie niejasne, żeby nie kontaktowali się z nim ludzie niewiedzący, o co chodzi, a zarazem wystarczająco oczywiste dla tych, których prześladuje czarne znamię na skórze. No i napisane z klasą. Wysłał ogłoszenie na wszystkie swoje konta i poszedł do restauracyjki na rogu na połówkę kurczaka po grecku. Spałaszował go ze smakiem i jeszcze przez chwilę ogryzał kości.

Gdyby Miła tu była, pomogłaby mi to napisać, pomyślał. Wtedy brzmiałoby to lepiej, nie jak reklama mleczka do skóry. Gdyby tu była, nawet kurczak wydałby mi się słodszy.

Na pewno nie ogryzałby przy niej kości, bo to nie jest miły zwyczaj. Ale niedługo ją znajdzie, a ona surowym tonem każe mu posprzątać w mieszkaniu.

Kiedy po kilku godzinach wrócił do terminalu z żółwiową lampą, w skrzynce odbiorczej zastał serię identycznych e-maili. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

*Post skasowany przez administratora.*

Pod spodem maleńką czcionką ktoś dopisał:

*Przykro mi, brachu.*

Oleg usiadł na skrzypiącym skórzanym fotelu. Łzy gniewu i frustracji napłynęły mu do

OCZU.

\* \* \*

Nie jest łatwo chodzić bez ubrania w grudniu. Nie w Nowym Jorku. Nie w czasie przelotnych zamieci, w których śnieg pędzi ulicami jak stare sny. Ziąb okazał się znacznie dokuczliwszy niż się spodziewał. Wgryzał się w niego maleńkimi kocimi zębami, a krew uciekała spod skóry w głąb ciała, byle dalej od wiatru. Ale on był uparty. Zdeterminowany. Jak ołowiany żołnierz. Co rano zdejmował koszulę i półnagi przechadzał się po placu, po którym spacerowało pół świata. Co wieczór wchodził do wanny wypełnionej gorącą wodą i siedział w niej tak długo, aż woda stała się zimna jak jego ręce.

Codziennie o dziesiątej rano skórę na torsie miał już białą jak ciało mięczaka, a znamię na brzuchu aż skowyczało czarnymi liniami, burząc się przeciw zmrożonemu ciału. Zachowywał się nedorzecznie, dramatycznie wyróżniał się z tłumu. Wybrał najbardziej oczywiste miejsce – Times Square, gdzie oślepiające światła były najjaskrawsze i gdzie prędzej czy później zaglądali wszyscy turyści. Prędzej czy później. Na tej monochromatycznej wyspie było to najbardziej martwe ze wszystkich miejsc ukochanych przez umarłych; jego zgnilizna odcinała się pięknym blaskiem od jej podłużnego szarego cielska jak grzyb albo ćma. Wszystko w tym miejscu miało swoją aureolę. Oleg też miał ochotę umrzeć, kiedy tak stał ze śniegiem i światłem na rzęsach, a szare dzienne niebo drwiło ze wszystkich tych neonów, stroboskopów i innych obiektów przynależnych nocy.

Wyglądał groteskowo, nieprzyzwoicie, ale na nic lepszego nie umiał się zdobyć. Tylko to potrafił: zdać się na łaskę siostry, na łaskę losu. Kimkolwiek był urażony administrator, z pewnością go nie lubił i był od niego sprytniejszy. Olegowi nie pozostało nic innego, jak tylko spacerować po mieście, przechadzać się wśród żywych, którzy stąpali także po ulicach umarłych, i pozwolić, by jego ciało samo zanosilo błagalne modły do wszystkich, którzy go zobaczą – administratorów i duchów; jedna z wielu reklam na Times Square, ogłuszająca i oślepiająca jak wszystkie inne, krzycząca: „Jestem tutaj, zabierzcie mnie, chcę tam pójść!”. W tym był dobry. Wiedział, jak iść prosto przed siebie i czekać, aż jakaś niewidzialna zjawia się o niego upomni. Przez całe życie nie szukał niczego, co nie byłoby kluczem albo zamkiem; tym mogli się zajmować inni ludzie, obdarzeni innym temperamentem. Miła sama przysiadła na jego łóżku, nie przywoływał jej żadnym mrocznym rytuałem, nie kreślił magicznego kręgu krwią, nie kupował jej obecności za astronomiczne sumy.

Teraz zaś brnął w śniegu, wiatr chłostał jego skórę, a ból przenikał go na wylot.

– Tęsknię za tobą, Miła. Idę do ciebie najszybciej, jak umiem – szeptał.

Kobieta z rękami wciśniętymi głęboko w brązowe kieszenie usunęła mu się z drogi, odskoczyła przed półnagim szaleńcem mamroczącym coś pod nosem. Nawet na nią nie spojrział. Chciał pokazać, że jest godny zaszczytu. Tak to się robi: obnażasz brzuch przed

bestią, mężnie znosisz próby i wszystko układa się jak należy. W nagrodę otrzymujesz skarb. Albo miecz. Albo kobietę. Nagroda jest twoja nie dlatego, że kogoś pokonałeś, ani nie dlatego, że twoje ciało było twarde i nieugięte, ale dlatego, że od samego początku byłeś jej godny. Próby i bestia były potrzebne tylko po to, żebyś mógł poinformować świat, że ci na niej zależy, i żeby świat na swój surowy sposób, twardy jak kości i wydrążone góry, mógł sprawdzić, czy twój zamiar jest szczerzy.

A jego zamiar był szczerzy. Oleg obserwował mijających go ludzi, widział, jak ich spojrzenia ześlizgują się na jego napiętnowany brzuch i załamujące się na nim ostro ulice, zanim znów podniosą wzrok i spojrzą mu w oczy. Przepęłniał ich strach, wielu było o włos od wezwania policji, ale on szedł dalej, z godnością, jak szlachetny rycerz. Zamierzał dostać się do miasta przez tunel. Prędzej czy później musiał go zobaczyć ktoś, kto ukrywa podobną mapę we włosach lub na podeszwie stopy. Wtedy zejdą się, tak jak wcześniej zeszli się z Gabrielem, a przed nim z Ludmiłą, i świat pokiwa w zadumie głową.

Biczował się w ten sposób przez piętnaście dni.

Tysiąc razy, zanim naprawdę się to wydarzyło, wyobrażał sobie dotyk ciepłej dłoni na plecach – wyobrażał to sobie tak często i tak intensywnie, że kiedy ktoś faktycznie go dotknął, ledwie to poczuł. Dłoń była drobna, a on przemarznięty. Spojrzał na nią z góry – na kobietę o krótkich kasztanowych włosach, chłuszczących jej twarz jak sztormowe fale. Była mało kobieca, niepozorna, niska; miała lekko skośne oczy. Futrzany kołnierz osłaniał jej wysokie kości policzkowe, boleśnie zaczerwienione od wiatru.

– Nie musisz tego robić – powiedziała, omiatając go spojrzeniem łagodnym jak pocałunek świętej. Schyliła przed nim głowę i przygładziła włosy. Było na karku. Czarne, lśniące, na gęsiej skórcie. – Oto jestem – dodała. – Przybyłam.

Nogi się pod nim ugięły. Osunął się na kolana. Łzy popłynęły szybciej niżby chciał, niepowstrzymane i nieschludne; nie mógł złapać tchu, ścigał go bez powodzenia, aż zachłysnął się zimowym powietrzem, przyciskając targaną zawrotami głowę do ciała kobiety w takim ścisku, że tłum stał się murem i zostali sami.

– Obserwowałam cię. Od dziesięciu dni cię obserwuję, od rana do wieczora, z tamtego okna. To moje biuro. Byłam ciekawa, jak długo wytrzymasz. Wypiłam chyba z tysiąc kubków herbaty. Skończył mi się cukier. Ty ciągle wracałeś, a ja nie potrafiłam ci przerwać, takie to było piękne. I takie okropne. Widziałam, jak pękają ci spierzchnięte wargi. I jak powiększa się rana na skroni. – Wsunęła mu palce we włosy. – To było jak obserwowanie narodzin. Byłeś aniołem, najprawdziwszym aniołem o groźnym imieniu, jak w Biblii. Bez piór, bez światła, tylko okrutny upadek w mrok. Ręce trzęsły mi się przy picciu herbaty przez dziesięć dni, zanim doszłam do wniosku, że jednak cię chcę. Dla ciebie chciałam powstrzymać wiatr i śnieg, osłonić ci głowę rękami. Dlatego jestem. Przybyłam. Mam na imię Hester i przyszedłam po ciebie.

Wczepił się w nią i wstał, wspiał się po niej jak po skale; pocałował ją, wgrzyzł się w jej



ciepło. Pod naciskiem jego zębów wezbrała krew w jej wardze, gorąca i czerwona pomiędzy ich ustami.

– Jestem tutaj... – wykrztusił. – Zabierz mnie. Chcę odejść. Gdziekolwiek. Jak najdalej. Proszę.

Hester zaprowadziła go, jak żebraka, do pociągu, którego później nie pamiętał. Pojechali daleko na północny skraj wyspy, do mieszkania, które ledwie widział, wciąż oddzielony od świata ścianą zimna, żalu i rozpaczliwej potrzeby. Tak bardzo jej pragnął, że przez chwilę obawiał się, że stłamszony, czerwony, wrzeszczący, uwięziony w zmrożonej skorupie łokci i kolan po prostu wyjdzie ze swojego ciała i wniknie w nią, wgryzie się w ten drugi organizm. Pocałował jej szyję w miejscu, gdzie była czarna jak po odmrożeniu, ugryzł ją, przycisnął twarz do skóry, zamknął oczy i chwycił ją za biodra, chcąc ją przyciągnąć bliżej niż dopuszcza to anatomia, wchłonąć jej ciepło, jej tchnienie słodkie jak herbata z mlekiem.

– Zaczekaj – wysapała. Dzinsy miała już rozpięte, bluzkę podwiniętą na brzuchu. – Już tak dawno... Zaczekaj. – Przyłożyła dłoń do policzka. Oczy miała dzikie, błyszczące. – Tak dawno tego nie robiłam.

– Słucham? Myślałem, że jesteś... no, nie wiem... rutyniarką. Weteranką.

– Nie chciałam tego! – burknęła Hester. Przysiadła na kanapie o przetartym brązowym obiciu. – Nadal nie chcę. Powiedziałam „nie”; pamiętasz to słowo? Odwróciłam się plecami do tego wszystkiego.

Wyciągnęła szufladę niebieskiego stolika. Była pełna buteleczek w przydymionym pomarańczowym kolorze, kolorze zgasłych słońc. Podobne buteleczki Oleg trzymał u siebie w domu.

– Mam sześć leków na receptę, które mają mi zapewnić czarny, głęboki sen bez marzeń. Rozumiesz? Nie chciałam tego. Nie chciałam nigdy więcej oglądać tamtego miejsca. Zapuściłam włosy, żeby zasłonić znamię, i tak długo łykałam pigułki, aż miasto zniknęło. Minęły lata. Przestałam to robić. Bo można przestać. Do czasu, gdy widzi się na ulicy przemarzniętego anioła. Bo wtedy się myśli: „Nie, dość tego. Nie jestem za niego odpowiedzialna. Niech ktoś inny go weźmie, otuli długim płaszczem, rozgrzeje pocałunkami! Dlaczego nikt się nie zjawia? Dlaczego nikt nie przybywa?”. Ale nikt nie przybył. Nikt inny się nie pojawia, a anioł zamarza. Jest tak piękny, że sam wiatr mógłby się o niego upomnieć, chociażby po to, żeby ulżyć mu w samotności. Tylko że człowiek, który go widzi, też jest samotny i tłumaczy sobie, że anioł z pewnością jest godny.

Hester klęczała na kanapie, przechylona na jej rozdartym podłokietniku, wczepiona paznokciami w obicie i wpatrzona w podłogę. Mówiła chrapliwym, rwanym głosem. Oleg delikatnie głaskał ją po ręce, nie wiedząc, jak jej pomóc, aż złapała jego dłoń i w nią również wbiła paznokcie. Uniosła głowę, podstawiając mu się do pocałunku w przerażająco celowym akcie rezygnacji, i Oleg po prostu niezdarnie opadł na nią. Razem runęli na kanapę. Ich języki zetknęły się jak dwa twarde, wrogie byty. Jej piersi pod bluzką były małe i chłodne. Nie

powstrzymywała go, kiedy ściągał z niej spodnie, kiedy obracał ją tyłem, żeby mogła na klęczkach oprzeć się rękami o rozłazącą się tapicerkę, ani kiedy rozsunął jej kolana i wepchnął się w nią, wciąż przemarznięty i roztrzęsiony. Nie poszło mu łatwo – była sucha, nieprzystępna; oddychała przez zaciśnięte zęby, gwałtownie, szybko. Jej wkład ograniczył się do tego, że mu nie przeszkadzała. Pigułki zagrzechotały w szufladzie, gdy wtulił twarz w jej kark. W końcu wyskoczył ze swojego ciała. Przytrzymała jego rękę opasującą jej talię.

– Nie chcę wracać – wyszeptała bezradnie.

## Róg Kolendrowej i Ultramaryny

Na skraju południowych pustkowi miasta, tuż przed tym, jak Palimpsest rozplywa się w wymarłej pustyni, rośnie bambusowy zagajnik. Jest bardzo zielony i wysoki – tak bardzo, że włókniste korony krzewów giną w granatowych chmurach. Pośród zielonych jak wierzbowe witki pni kwitną szkarłatne tulipany, statecznie wypełnione deszczówką jak – w dobrych domach – filiżanki herbatą. Bambusy, niczym żelazna krata, oddzielają pustynię od miasta; nikt nie wie, jak wysoko sięgają, a już na pewno nie ja. I nie ty. Możemy jednak przychodzić tutaj i patrzeć na pustkowie, gdyż niezwykle przyjemnie jest czuć się ciepło i bezpiecznie, gdy na naszych oczach rozgrywa się dramat, nieprawdaż?

Tu przychodzą umarli. Śpią niespokojnie. Śnią.

Gdyby dziś był pogrzeb, moglibyśmy zobaczyć... Och, a cóż to? Czy to nie piękna baronowa w gronostajowym futrze, z palcami dłoni i stóp sztywnymi od turmalinów, przywiązana do złotego pala, który jej zapłakani katamici stawiają na sztorc? Czy jej pajęcza talia nie jest przypadkiem przepasana stokrotkami? Ależ tak! Z pewnością też to widzisz.

Płacząc, wykopią jej grób, ci jej chłopcy. Wkopią się w grunt, zrobią dziurę w czarnym pyłe, z takim zapamiętaniem oddając się żalobie, że paru naje się kurzu i razem z nią trafi do łaźni umarłych. Zatopią ją w ziemi, dumną i wyprostowaną jak zawsze, i taką ją zapamiętają. Każą sobie przynieść wazę rosolu z rozmarynem, a jednemu wybrańcowi pozwolą zapuścić język pod jej wdzięcznie uniesioną suknię. Przechylą jej głowę w taki sposób, żeby patrzyła na sierpowaty księżyc, a potem, zasypując ją żywną ziemią, będą wrzeszczeć, och, jak będą wrzeszczeć, aż sowy zaczną się kulić i chować głowy pod skrzydła. Niewykluczone, że miotając się później w spazmach żalu i smutku, przeleją swoje nasienie. Postawią bambusową tyczkę pionowo, niepozorną wśród rosnących wokół olbrzymów, a klejnotami zasilą jej korzenie.

Zmarli w Palimpseście są chudzi i wysocy. Nic się nie dzieje, dopóki bambusowy słup nagrobny nie sięgnie ponad chmury i gwiazdne opary nie przesączą się nim w dół, ku ziemi. Dopiero wtedy głowa trupa wychodzi spod ziemi jak główka dziecka. Bezszelestnie, nie otwierając przegniłych oczu, umarły wynurza się na powierzchnię, zwabiony wonią gwiazd, niemy, atawistyczny, powolny jak rosnący grzyb. Jego kończyny się wydłużają, rozmiękła czaszka się kurczy, miednica składa się jak zamykana waliza i powoli wyciąga się coraz

wyżej, staje się coraz chudszy, cienki jak bambus na jego grobie. Za tysiąc lat czubek jego głowy może wyrzeć ponad liściaste zwieńczenia innych bambusów. Wtedy będzie mógł oddychać tchnieniem gwiazd.

Tak mówią. Mam nadzieję, że tak jest naprawdę.

Niektórzy wierzą, że międzygwiazdny wiatr szumi w uszach zmarłych i w świetlistej lektyce znosi ich dusze z powrotem w dół, do miasta.

\* \* \*

Leonid opiekuje się zagajnikiem. Ma wydatny brzuch; w przeszłości żartował sobie z dzieci, że kiedy skończyło mu się jedzenie w kredensie, pożarł księżyc. Ma wypiełgnowane sumiaste wąsy i gęste włosy, które wiąże w kok, jak starowinka. Nogi ma kosmate jak zebra; okrywa je poplamionymi łachmanami i nosi buty, którym z mozołem nadał kształt maskujący niehumanne stopy. Przekopuje bambusowe grządki i zgodnie z uświęconą tradycją obyczajem grabarzy dawno już nauczył się rozmawiać z umarłymi. To szczęśliwa tradycja, nie wymaga długich rytuałów, indoktrynacji, nowicjatu. Umarli uczą swoich powierników w wybranym przez siebie czasie.

Dom Leonida też jest cienki i wysoki. Leonid zbudował go z marmuru. Budując go, myślał o innym miejscu – przerażającym baśniowym świecie z babcinych opowieści, gdzie zmarłych chowa się na leżąco i stawia im nad głowami marmurowe anioły, które mają pilnować, żeby nie wyciągali rąk ku spowitym mgłą gwiazdom. Tam anioły są gorliwe. Ten dom sięga wysoko, ale blisko ziemi traci surową marmurową biel. Przy drzwiach przycupnął anioł, na wpół ukryty wśród paproci i bugenwilli. Pilnuje przychodzącego i wychodzącego Leonida. On też jest gorliwy.

Co jakiś czas, niezwykle rzadko, jesienią, kiedy nikt nie chce umierać, żeby nie tracić z oczu ognistej feerii barw jesiennych drzew i pierwszego szronu w Palimpseście, Leonid – spowity orzechowym dymem i smagany wiatrem ciężkim od jabłkowego aromatu – czuje się zapomniany i tęskni za rozmową z drugim człowiekiem. Ludzie już tacy są, nic nie można na to poradzić. Wyjmuje wtedy z obszernych spodni scyzoryk i robi nacięcie na łodydze bambusa. Jest przy tym bardzo ostrożny. Wycina tylko kawałeczek, prostokącik, mały jak wróżbiarska karta, i zdejmuje go jak odkręconą od ściany tabliczkę.

We wnętrzu łodygi leniwie porusza się szara ręka. Leonid chwyta ją delikatnie i głaszcze stare knykcie. Dłoń odpowiada uściskiem – miękkim, ledwie zauważalnym. Trzeba być grabarzem najwyższej rangi, żeby go poczuć, ale Leonid jest właśnie kimś takim. Całuje paznokcie szarej dłoni.

\* \* \*

Oleg przykłada rękę do chłodnego bambusowego pnia. Krew jeszcze pulsuje mu w palcach, gdy czuje dotyk zimnej, twardej kory i smak czerwonej herbaty na wargach. Przechodzą go od tego ciarki. Inne zmysły niesie ze sobą obojętnie, jak zamknięte w workach. Wrażenia zmysłowe słabną, zanikają. Jak wszystko, myśli.

Zagłęda pomiędzy pnie gęstego lasu. Bezkształtna mgła szturcha liście. Nieuniknioną kolejną rzeczą zauważa małe prostokąty wycięte w korze potężnych drzew; zwraca na nie uwagę jak rasowy ślusarz, ponieważ do złudzenia przypominają małe drzwi. A skoro znalazł drzwiczki, musi też znaleźć smukłe palce, zbryzgane znamieniem wąskie biodra, sękatę rzepki kolanowe. Musi je zrozumieć, po prostu musi, bo zmarli nauczyli swoich powierników w wybranym przez siebie czasie i Oleg Sadakow zna ich język, zna jego fonemy i dyftongi.

– Och... – wrywa mu się. – To tutaj trafiłaś. Znalazłaś się tutaj i zajrzałaś do wnętrza bambusa. Biedna Hester...To dlatego nie chciałaś wracać.

– Pamiętam ją – słyszy głos przy uchu, znajomy, cichy, dźwięczny jak stłumiony śpiew. – Krzyczała i krzyczała. A ja zaplanowałam dla niej takie cuda...

Oleg się odwraca – i widzi ją. Jest tutaj, wbrew wszelkiej nadziei, stoi obok niego w usianej gwiazdami sukience, której przemoczony niebieski tren ocieka wodą. Ma śnieg we włosach. Trzyma w ręce parasol, który ślicznie ocienia jej twarz. Kiedy Oleg przygląda mu się uważnie, widzi śpiące na jego powierzchni trzy białe lisy; ich sierść jest tak jasna, tak czysta, że nie różni się niczym od skromnej bieli jedwabiu pod ich łapami. Jej twarz, surowa twarz Ludmiły, wygląda zdrowo, usta są pełne i różowe (a nie sine i spękane po utonięciu), oczy łagodnie szare, skóra zaróżowiona, żywa. Ludmiła jest ciepła, prawdziwa, młoda.

Oleg ma wrażenie, że powinien przed nią przykłęknąć, tak jak przykłęknął przed tamtą kobietą na zmrożonej ulicy swojego życia na jawie, ale nie może. Jego nogi nie chcą okazać słabości.

– Gdzie byłaś?! – pyta płaczliwie, potrząsając ją za ramiona. Lisy przeciągają się, ziewają, wystawiają różowitkie języki. – Dlaczego mnie zostawiłaś?

Ludmiła robi zdziwioną minę, marszczy delikatne brwi i zimną dłonią dotyka jego twarzy.

– Cały czas tu byłam. Czekałam. A ty tak długo się nie zjawiałeś. Zaczynałam się niepokoić.

– To takie trudne, Miła! O wiele trudniejsze niż przejazdka pociągiem do centrum. Nigdy przedtem nie musiałem zadawać sobie tyle trudu, żeby się z tobą spotkać.

Ludmiła wydyma usta. W tej chwili – z drobną buzią ściągniętą w zatroskanym grymasie – do złudzenia przypomina ich matkę.

– Czasem się o ciebie martwię, Oleżka. Naprawdę.

Oleg ją obejmuje. Potrzebuje jej czułości jak młody niedźwiadek, który po omacku próbuje wywęszyć przyjazną łapę matki. Ona daje mu się przytulić, nawet lekko unieść z ziemi. Delikatnie gładzi go po głowie. Oleg czuje jej ciężar, prawdziwy, namacalny w jego

ramionach. Jest taka żywa... I ma taką gorącą skórę.

– Tęskniłem, Miła. Tak bardzo za tobą tęskniłem.

– Nie ulżyło ci, że masz mieszkanie tylko dla siebie? Że możesz zostawić herbatę, aż wystygnie? Obściskować się ze ślicznotkami na kanapie bez ciemnych, ognistych oczu wpatrzonych w was zza zasłon?

– Nie! – Oleg zapalczywie kręci głową. – Nigdy!

– Hmm... – Ludmiła wyplątuje się z jego objęć i dłonią w niebieskiej rękawiczce przygląda suknię. – Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. – I nagle łapie go za przegub dłoni, z całej siły, aż jej paznokcie wrzynają mu się w skórę. Jej uścisk jest sztywny, kościsty. – Nie każ mi więcej czekać – syczy i wypuszcza jego rękę równie gwałtownie jak przed chwilą ją chwyciła.

Prowadzi go przez las, a on słyszy, jakby z bardzo daleka, cichy szum wiatru wśród bambusów. Niewiele brakuje, żeby ułożył się w pieśń, ale dźwięk nie utrzymuje się długo, a wiatr rozprasza się na małe, burzliwe wiry, zanim wybrzmi pierwszy wers.

\* \* \*

Przy poczeriałym ze starości srebrnym pomoście stoi przycumowana rzemieniem łódka. Nie jest to gondola Gabriela, ale przypomina ją, jest podobnie smukła, a do tego obwieszona girlandami wodorostów i nagietków. Ludmiła wyciąga do Olega rękę, dając mu tym zapomnianym, dystyngowanym gestem do zrozumienia, że powinien pomóc jej wejść na pokład. Oleg podbiega do niej.

Rzeka jest gęsta i mleczna, tak jak poprzednim razem; śmietanka snuje się długą złotą wstęgą po jej powierzchni. Ludmiła siada sztywno na dziobie i spokojnie zaczynają dryfować w dół rzeki. Łódź trzyma kurs, mimo że Ludmiła nie steruje nią ani nie wiosłuje. Posyła Olegowi promienny uśmiech jak zawinięty w czerwony papier prezent.

– Zabiorę cię, dokądkolwiek zechcesz – mówi.

Oleg dotyka jej stopy swoją. Słodki jak miód wiatr nadaje jej skórze intensywny kolor; nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Jest piękna, uświadamia sobie. Wypiękniała z wiekiem.

– Zabierz mnie tam, gdzie wyciągniemy się na długim łożu, owinąwszy sobie kolana kocem. Zabierz mnie tam, gdzie zaparzę pachnącą dymem herbatę, którą z przyjemnością wypijesz; gdzie rosną cytryny, a oracze śpiewają o zmierzchu. Zabierz mnie tam, gdzie znajdziemy małe lustro, przed którym się ogolę, i miskę z wodą, w której umyjesz włosy. W takim miejscu mógłbym chyba być szczęśliwy, tak mi się wydaje. Mógłbym ci się przyglądać, jak śpisz. Mógłbym gotować dla nas jajka i piec chleb.

– Tak mało chcesz.

– Wcale nie mało.

Przez następną godzinę milczą. Lisy z parasola łapią przelatujące w pobliżu muchy i jętki,

miażdżąc w zębach ich skrzące się jak klejnoty ciała. Na jednym brzegu rzeki piętrzy się olbrzymi Palimpsest. Wieże i gigantyczne przypory skrzą się światłem wiszących latarni, a w głębokich wąwozach pomiędzy nimi polują jazgoczące sokoły. Po drugiej stronie, z zielonkawego blocka wyrastają małe miasteczka, zmętniała rzeka gęstnieje na płycznach, a wygładzone boje podwodnych sieci unoszą się sennie na żółtawej wodzie.

– Spójrz na te brzegi, Oleżka – odzywa się w końcu Ludmiła. – Spójrz, jak blask księżyca kładzie się na domach i wieżach.

Splątane białe budynki śpiące na prawym brzegu są zdeformowane jak sękate kości; wiele z nich jest na wpół zburzonych, a osypujący się z nich pył zasila rzekę. Jest wśród nich jakaś katedra; na jej dachu samotny mnich dmie w długą czarną trąbę. Księżycowa poświata jest tutaj – i tylko tutaj – jaśniejsza niż światło dnia. Rzeka kryje się w cieniu. Ze zrujnowanych domów wyczołgują się mężczyźni i kobiety. Nad głowami trzymają duże słoje, długie włosy spływają im po plecach na ziemię. Kiedy światło księżyca wypełnia słoje, muskularne kobiety zamykają je mosiężnymi pokrywkami i zakręcone odstawiają na półki, gdzie stoją ich już długie rzędy.

– Była kiedyś wojna... – mruczy Miła. – Zaczęła się tutaj, dokładnie w tym miejscu. Nie tak dawno.

– Jak w takim miejscu mogła wybuchnąć wojna?

Ludmiła wzrusza ramionami i spuszcza wzrok.

– Wojna najbardziej kocha te miasta, w których dachy porasta darń, a drzewa rodzą jabłka, zwłaszcza jeśli zamieszkują je przedsiębiorcze kobiety, biorące sobie kochanków o śniadych, mocnych grzbietach. To właśnie było takie miasto, zdrowe i jędrne, rozpostarte na brzegach Albuminy. Przed Casimirą i jej rydwanami, przed pożarami, przed pojawieniem się jadowitych ciem o ohydnych skrzydłach. Tutejszy cydr był tak mocny, że jeden jego łyk zwaliłby cię z nóg.

– Kim jest Casimira? Co tu się stało? Jaki był koniec?

Jednakże oblicze Ludmiły znika w cieniu, jakby zmagą się z jakimś osobistym zalem, którego Oleg nie jest w stanie osiągnąć. Zamiast tego jak dobry brat i kochanek kładzie głowę na jej podołku i obejmuje ją za kolana. Łódź się chwieje, ale po chwili stabilizuje się i w całkowitej ciszy mija żałobne miasto. Ostatni słoik zostaje szczelnie zakręcony. Księżyc gaśnie. Nad rzeką zapada głęboki mrok, gwiazdy zaczynają drżeć. Ludmiła z roztargnieniem gładzi go po włosach.

– W krainie umarłych... – przemawia w końcu, a jej głos, czysty i chłodny, niesie się daleko po wodzie. – W tym nieszczęsnym kraju chłopiec, który zmarł na gorączkę, chciał się zatrudnić w fabryce amunicji. Udał się więc do dzielnicy zamieszkaanej przez poległych w boju i wyblagał u nich kule, od których zginęli, a które od tej pory nosili ze sobą w blaszanych puszkach z drugim śniadaniem. Tylko jedna dziewczyna nie chciała mu oddać swojego pocisku...

– Ludmiła? – przerywa jej półgłosem Oleg. – Dlaczego teraz już woda nie kapie ci z ust, kiedy mówisz?

Ludmiła milczy. Jej dłoń na jego skroni nieruchomieje.

– Nie pytaj mnie o to, Oleżka. Na razie o tym nie myśl.

– Jak chcesz, Miła.

Chmury zakrywają gwiazdy i z długiej białej rzeki znikają ostatnie resztki światła.



# CZTERY

## Peregrynacje

Nerezza tuliła głowę Ludovica. Czyniła to niezdarnie, nie będąc z natury opiekuńczym gołąbkim; nie przywykła pomagać mężczyznom u siebie w łóżku ani w kuchni, mężczyznom spragnionym przenikliwego warkotu elektrycznego młynka do kawy, dopraszającym się o wrzątek, potrzebującym jej. Podjęła jednak odważną próbę, tak jak inna kobieta mogłaby z grzeczności przełknąć ostro przyprawioną potrawę.

– Pij, Ludo. Musisz to wypić.

Odwrócił się od niej. Bał się, że z wymiotuje.

– Lucia... – jęknął.

Nerezza przewróciła oczami.

– Tak, Lucia. Wiem. Ale i tak masz pić, kiedy każę.

Ludo wypił. Kawa była gorzka, mocna, mroczna i słodka. Lucia często mu rozkazywała, bo tego właśnie potrzebował. Jej polecenia były mu niezbędne do życia. Często zapominał, że powinien jeść, nawet kiedy spóźniał się z oprawieniem książki, której piękno w dodatku miażdżyło mu pierś. Kiedyś musiała mu siłą zacisnąć palce na łyżce, kiedy pracował nad niewybaczalnie opóźnionym nowym amerykańskim wydaniem *Bukolik*. Nie znał smaku zupy marchewkowej ani chleba; Lucia próbowała ich za nich oboje.

– Jeżeli rozplaczesz się u mnie w domu, wezwę ochronę – ostrzegła Nerezza.

– Nie rozumiem...

Otworzył oczy i zobaczył pokój zalany słonecznym blaskiem. Ze względu na skąpe umeblowanie pomieszczenie wydawało się jaśniejsze niż w rzeczywistości. Miał wrażenie, że zdezorientowane słońce – nie wiedząc, jak się zachować wobec braku sofy, której kolory mogłoby wypalić, i zasłon, przez które mogłoby przeświecać – eksplodowało bezradną supernową na środku salonu. Znowu jęknął. Głowa wibrowała mu jak dzwon po uderzeniu.

– Naprawdę? Wiem, że nie mieści ci się to w głowie, że zmagasz się z tym jak Jakub z

tym swoim aniołem, ale musisz zrozumieć, że ona tam jest. Sam widziałeś. I jest bezpieczna. Nie musisz już się o nią martwić.

– Tam? To znaczy, gdzie, do kurwy nędzy?!

Ludo rzadko przeklinał, ale tym razem czuł, że przekleństwo jest idealnie wyważone.

Nerezza spojrzała na swoje buty. Zdażyła się już ubrać – w żółcienie i brązy, jak zwykle perfekcyjnie; Ludo pomyślał, że chyba po prostu nie umie być nieperfekcyjna.

– W Palimpseście – odparła szeptem. – Nie każ mi... Nie lubię wymawiać tej nazwy. Tutaj. Nie lubię jej tu wymawiać.

Niezgrabnie odsunął się od niej i na palcach przemknął do małej kuchni. Bez słowa zaczął smarować chleb masłem i kroić ser na kanapki. Czuł, że patrzy na niego, jak nieporadnie posługuje się jej nożami, i wiedział, że ma na policzkach małe, punktowe rumieńce, które jakoś nie chcą się rozlać szerzej.

Nerezza rozłożyła ręce i znów je splotła.

– Wiem, że...

– Nie zamierzam o tym dyskutować – uciął.

– Byłeś tam, Ludo! Widziałeś konie. Zjadłeś ślimaka ze srebrnej muszli. Widziałeś ją, widziałeś Paolę... Tak ma na imię jej kochanka. Paola. Znasz ją? – paplała pospiesznie Nerezza. – Siedziałeś obok mnie. Czułam smak twoich łez.

– Śnił mi się jakiś kurewski koszmar.

Powtórne użycie przekleństwa sprawiło mu satysfakcję, jakby było odznaką, którą mógł z dumą nosić i polerować do połysku.

– Sny tak nie działają. Dwóm osobom nie może się śnić to samo.

– Nie zamierzam o tym dyskutować!

Nerezza uniosła ramiona – i je opuściła.

– Nie myśl, że czuję się za to odpowiedzialna. Wydaje mi się... – Spojrzała na idealne półksiężycy skórek przy paznokciach. Z pieczołowicie ułożonego nieschludnego koka na jej karku zaczynały się wysnuwać niesforne pasma ciemnych włosów. – Wydaje mi się, że Lucia zostawiła po sobie bałagan w życiu, a ja jako jej przyjaciółka mam obowiązek go posprzątać. Gdyby nie ona, nigdy nie zobaczyłabym tego, co zobaczyłam. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić... – Spojrzała na niego z ukosa, spod rzęs. Ludo nie był pewien, czy próbuje być zalotna, czy przerażająca. – Karmić jej zwierzątka, kiedy nie ma jej w domu.

Chwycił się krawędzi kremowego blatu. Zamknął oczy. W świetle słońca miał pod powiekami rubinową plamę. Czy naprawdę była kiedyś tutaj? Jadła ten brunatny chleb obsypany kryształkami spieczonego na miedziany brąz cukru? Strzepywała wzdychającego popiołem papierosa na prażonym słońcem tarasie?

Wciąż czuł w ustach smak tego ślimaka. W uszach dźwięczały mu echem tamte krzyki, takie głośne, takie głośne! Ale nie, to jakiś obłąd. To niemożliwe. Chociaż podobne do Lucii: znaleźć szaleństwo tak ogromne, że sama w nim zatonię i pociągnie go za sobą, oplakującego

ją gdzieś z daleka, z tyłu, jak przykuty łańcuchem potępieniec potykający się za księżym powozem.

– Jeżeli chcesz ją jeszcze kiedyś zobaczyć, musisz się z tym pogodzić – powiedziała półgłosem Nerezza. – To proste.

– Gdyby chciała mnie zostawić, mogliśmy wziąć rozwód. Zawsze lubiłem formalności. Oficjalne dokumenty wydają się takie prawdziwe. Tak by było łatwiej. Szybciej, bardziej nieodwołalnie.

– To jest bardzo nieodwołalne. A w każdym razie będzie, kiedy Lucia domknie tę sprawę.

– Ty jej nie znasz. Nie znasz nas. Ona znajdzie sposób, żeby do mnie wrócić, jeśli tylko mówisz prawdę i to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Śmiech Nerezzы zabrzmiał jak szczeknięcie psa albo trzaśnięcie ogona węgorka elektrycznego.

– Ona odeszła, Ludo. Jeśli będzie miała szczęście, zostanie w Palimpseście na zawsze, a ty będziesz ją widywał tylko wtedy, kiedy wyruchasz odpowiednią sklepikarkę.

– To znaczy, że jeszcze jej tam nie ma? Nie przeniosła się tam całkowicie i częściowo jest także gdzieś tutaj, tak? We Włoszech? W Europie? W Ameryce?

Nerezza rozłożyła ręce.

– Na miłość boską, nikt jeszcze nie przeniósł się tam na stałe, nieodwołalnie, całkowicie. Ale poza tym... Tak, masz rację. Zawiozłam ją na lotnisko. Żeby mogła spróbować. Pomogłam jej zdobyć paszport. Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co przeszłyśmy: byłam przy tym, widziałam, jak odchodzi do Paoli, Palimpsestu i całej reszty. Pomogłam jej. W zamian za taką szansę była gotowa wypłakać sobie oczy krwią. Ja zresztą też, Boże... – Uniosła wzrok na sufit. – Gdyby tylko ta podróż była taka tania; gdybym mogła po prostu wykrwawić się i mieć spokój.

Bezradna wobec głupoty Ludovica tylko wzruszyła szczupłymi ramionami. Zdawał sobie sprawę, że ją nuży. Widział to. Jak zwierzątko, które bałaganił jej w domu. Jego łzy i nasienie na jej pościeli, wieczne pranie, woda, której nieustannie się domagał i którą zwracał brzydszą i bardziej słoną niż dostał.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, jak dyskretne kasznięcie. Twarz Nerezzы zrobiła coś dziwnego – zarumieniła się. A potem się uśmiechnęła i jej uśmiech jakby wypływał ze szpiku kości, taki był surowy i czerwony. Jej ciemne oczy zalśniły. Ludo struchlał i cofnął się przed nią, cofnął się przed kobietą, która zostawiła mu na policzku ognisty ślad swoich ust.

W progu stanęli mężczyzna i kobieta, mocno trzymający się za ręce. Nerezza objęła ich oboje i przez chwilę stali tak nieruchomo, każde z pochyloną głową i rękami luźno zarzuconymi na talie sąsiadów. Ludo przygryzł wargę. Czuł się okropnie, jakby musiał drzeć na zimnie tuż poza zasięgiem ciepła z ogniska i nie mógł się do niego zbliżyć. Mężczyzna pocałował z szorstką czułością Nerezzę w czubek głowy; kobieta złożyła głowę na jej ramieniu. Kiedy w końcu się rozstąpili, Nerezza wzięła gości za rękę i zaprowadziła do

kuchni, gdzie Ludo kulił się pod ścianą, usiłując przy tym wyglądać tak, jakby wcale się nie kulił. Byli obcy, mieli oczy pełne łez i napierali na niego jak para zabójców. Miał ochotę uciec.

– To ja ich zaprosiłam, Ludo – wyjaśniła Nerezza chrapliwym głosem węgorza z głębin. Ludovico odkrył, że nienawidzi tego głosu. – Żeby ci wyjaśnić. Oni to zrobią najlepiej. Droga, którą podążamy, jest trudna, samotna, przerażająca, ale wcale nie musi taka być. To jest Anoud, a to Agostino. Moi kochankowie. – Zawiesiła głos, jakby czekała na mały wybuch dezaprobaty ze strony Ludovica. – Ale nie dlatego przyszli.

Goście pokiwali z zapalem głowami. Śniada Anoud mogła być Marokanką; jej skóra miała odcień starego kurzu. Agostino był wysoki, miał ascetyczne rysy, niezgrabny nos i lekko zasmuconą twarz. Zdaniem Ludovica wyglądał na człowieka, który często płacze.

We troje z Nerezzą zaprowadzili Ludovica na szezlong w małym saloniku. Pozwolił się posadzić, nie stawiał oporu, kiedy układali mu ręce i nogi jak lalce. Długo spoglądali po sobie, bo nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu. Anoud i Agostino cały czas trzymali Nerezzę za ręce, ściskając je tak mocno, że sfoletowiały im czubki kciuków. W końcu Nerezza zaczęła – cicho, ale pewnie, podniesiona na duchu obecnością kochanków:

– Pamiętasz pierwszą noc, Ludo? Pamiętasz dom żabiej kobiety?

Nie chciał przytaknąć – to tak, jakby kazali mu się przyznać, że trzyma w lodówce strzykawki albo nie umie czytać. Nie chciał, żeby otworzyli go na wylot, zajrzeli do środka i zaczęli mamrotać z dezaprobatą. Dlaczego Lucia nie mogła z nim zostać w ich małym domku, wśród książek i pieczonych kurczaków? Dlaczego musi teraz brać udział w tym makabrycznym przedstawieniu?

– Ta-ak – burknął, rozciągając to krótkie słowo na dwie sylaby.

– Ma na imię Orlande – powiedział Agostino. Jego słowa dudniły zbyt głośnym echem w małej, zamkniętej przestrzeni.

– Pamiętasz, że nie byłeś tam sam? – zapytała przymilnie Anoud.

Spojrzała przy tym z czułością na Nerezzę i w sercu Ludovica wezbrała gorzka fala zazdrości.

– Zastanów się dobrze, Ludo – dodała Nerezza. – Musisz sobie przypomnieć. Byli tam z tobą inni ludzie. Za pierwszym razem, i teraz też. Kiedy siedziałeś ze mną na widowni, czuleś ich obecność. Czuleś, że ktoś coś je, chociaż sam nie miałeś przed sobą talerza. Czuleś, że ktoś kogoś całuje, ale to nie byłeś ty.

Walczył; przypominanie sobie snów nigdy nie jest łatwe. Przed oczami mignęła mu ulotna wizja długich niebieskich włosów. Zadygotał. „Święty Izydorze”, modlił się, „czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażałeś. W której kolumnie byś to umieścił?”

– Było ich troje – odparł z namysłem. Poczul, jak uwalnia się od brzemienia tego wspomnienia. – Jedna kobieta miała niebieskie włosy i była bardzo młoda. Druga... Wydaje mi się, że miała na twarzy ślad po użądleniu. I był jeszcze mężczyzna z pękiem kluczy u pasa.

– Taaak... – westchnęła Nerezza. – Anoud i Agostino byli ze mną w saloniku Orlande. Razem zanurzaliśmy stopy w atramencie.

– Tylko ich dwoje?

Nerezza zacisnęła usta z taką siłą, że aż zbieleły. Jej przyjaciele nie chcieli mu spojrzeć w oczy. Nagle zgarbili się, zapadli się w sobie, jakby ktoś skradł im oddech.

– Nasz druh, Radosław, został zabity – wyjaśniła Nerezza. – Mniej więcej trzy lata temu. On był tym czwartym u Orlande. Tam... bardzo trudno jest zachować ostrożność. Łatwo zaangażować się w podejrzaną sprawkę, jeszcze łatwiej wylądować samotnie w jakimś ciemnym zaułku... Są w Palimpseście tacy ludzie, nazywają się Dwornicy... To znaczy „czyściciele ulic”. To weterani. Pamiętasz? Pokazywałam ci takich na wyścigach. Ich przywódczyni, kapłanka, czy jak ją tam zwa, ma głowę rekina. Urządzają sabaty przy różnych drzwiach i przejściach. Byle drzwi im wystarczą, ale mają takie jedne wielkie, naprawdę olbrzymie, w podziemiach ogromnego dworca kolejowego... Jeszcze tam nie byłeś. Tak czy inaczej, to jest tylko pusta, ozdobnie rzeźbiona framuga, cała czarna, bez drzwi, nawet bez zawiasów. I oni... Tak w ogóle, to Palimpsest jest cudowny, ale czasami bywa nieprzyjemny.

Anoud podjęła opowieść w miejscu, gdzie głos Nerezzy się załamał (do tej pory Ludo nie przypuszczał, że coś takiego w ogóle jest możliwe):

– Radosław oszukał pewnego Dwornika w „Walecznych”. To taka gra, w której na pokrytej białym jedwabiem planszy przesuwa się miedziane gwiazdki. Nie wiedział, że tamten jest wysoko ustosunkowany. Rado... już taki był. Nierozważny. Przyszli po niego, kiedy w hotelu popijał lukrecjowe wino. Pełna kultura, eleganckie miejsce, a Dwornicy po prostu przyszli i złapali go tymi swoimi szczypcami krabów i oślimi szczękami... Zawlekli go na ten dworzec kolejowy, pod tę olbrzymią framugę, i tam, na progu, poderżnęli mu gardło, zanosząc modły, żeby żadni imigranci nigdy nie trafili do Palimpsestu. Jego krew miała zapieczętować wszystkie przejścia i drogi.

– To takie głupie... – Agostino westchnął. – Okrutne. Prymitywny neolityczny rytuał, w dodatku nieskuteczny. Gdyby takie rytuały działały, nie byłoby wojen.

Ludo pokręcił głową.

– Przykro mi, że zginął, ale...

– Nic nie rozumiesz! – warknęła Nerezza. Węgorz elektryczny wrócił, wystrzelił snop niebieskich iskieł. – Pisywaliśmy do niego listy. Godzinami rozmawialiśmy przez telefon. W końcu go znaleźliśmy: pracował na prowincjonalnej poczcie w Iaszey, na Węgrzech. Co za idiotyczne miejsce. Tamtego lata mieliśmy się spotkać. Zarezerwowaliśmy pokoje w „Sofitelu” w Budapeszcie; zaplanowaliśmy to starannie, jak piknik. Potrzebowaliśmy czasu, rozumiesz? Czasu, żeby wszystko się ułożyło. Odkładanie przyjemności na później przychodziło nam naturalnie.

I znowu uniosła ramiona – właściwie nie wzruszyła nimi, ale tylko w taki sposób umiała wyrazić bezradność, uległość wobec konstelacji i obrotów niewidzialnych zębatek.

Żal malujący się na ich twarzach był tak ewidentny, że Ludo odwrócił wzrok z takim zakłopotaniem, jakby podejrzwał rozbierającą się dziewczynę.

– Dlaczego po prostu się nie obudził? Przecież, jeżeli to się stało tam, to tutaj powinien być cały i zdrowy, prawda? Nie tak to działa?

Anoud zaczęła płakać; jej cichutki, pomarszczony szloch był ledwo słyszalny. Agostino dwoma palcami pogładził ją po twarzy. Nerezza – niewzruszona – spojrzała na Ludovica i pokręciła głową.

– Pamiętasz, jak często Lucia wyjeżdżała z Włoch, zanim zniknęła? – zapytała, zostawiając jego pytania bez odpowiedzi. Nie uroniła ani jednej łzy.

Nie, oczywiście, że nie pamiętał. Lucia wychodziła z domu, a potem wracała. Nie próbował jej śledzić. Po co, skoro tym muskularnym ogonem i tak zatarłaby wszelkie ślady? Skąd brała pieniądze na takie wypadki? Niemożliwe, żeby coś takiego się działo, a on niczego nie zauważył, nie zwrócił uwagi, że pochłania ją coś innego niż on. Chciał, żeby Nerezza przestała mówić, po prostu się zamknęła i dała mu święty spokój.

– Szukała swojego... *quarto*. Tak to się nazywa. Tak nazywają to imigranci.

Anoud zaśmiała się przez łzy: piskliwy, mysi dźwięk.

– To my – powiedziała. – Imigranci. Tak trudno to powiedzieć na głos. Za dnia, kiedy w dzbanku jest pełno kawy, a koty miauczą pod drzwiami, żeby je wpuścić do domu, to słowo brzmi nedorzecznie i żałośnie. Ale my ją znaleźliśmy, Ludovico. Wszyscy. Nie jest nas aż tak dużo, żebyśmy nie mogli się poznać. Ona też szukała swojego *quarto* i dwoje z nich znalazła: Alistaira i Paolę. Nie poznaliśmy ich osobiście. Paola jest z Kanady. To daleko.

– Za to Al... – wtrącił się Agostino, nadal obejmując obie kobiety swoimi niezdarnymi ramionami. – Al mieszka w...

Nerezza uciszyła go gestem i przełknął nazwę miasta. Ludo miał ochotę go udusić.

– Mieszka niedaleko stąd. Poznali się całkiem niedawno. Odnaleźli się, tak jak my wcześniej, i razem zaczęli szukać pozostałych. Wydaje nam się, że... tak to się powinno robić. Żeby na stałe zostać w Palimpseście. Żeby... emigrować. Trzeba znaleźć swoje *quarto* tutaj, w tym świecie.

Ludo czuł, jak krew pulsuje mu w policzkach. Wielkie niedopowiedzenie zawisło ciężko nad nimi, jak morowe powietrze.

– Czy dobrze rozumiem, że wszyscy w tym pokoju spali z moją żoną?

Był przygotowany na ich milczenie i wystarczyło mu za odpowiedź.

Zdawał sobie sprawę, że wpadł do bestiariusza, i to głęboko, dał się zgnieść jego licznym kartkom szczerzącym zęby ze wszystkich stron. Anoud wyśliznęła się z objęć ukochanych i przysiadła obok niego. Miała zadarty nos i małe oczy. Małoduszna twarz, pomyślał Ludo: mysz, jak nic; jeśli jakaś kobieta mogła być myszą, to z pewnością właśnie ona. Szkodnik. Lęgnie się ze słomy. Jego uwagę zwróciły jej dłonie, tak szczupłe, że między skórą i kośćmi nie było miejsca na mięśnie. Na małym palcu miała pierścionek z karneolem, maleńkim,

mikroskopijnym. Plamka czerwieni na złocie.

Ludo kupił ten pierścionek pewnego lata w Ostii, dawno temu. Było to lato żółtej sukienki, kiedy wszędzie wyszukiwali z Lucią ten precudny czerwony kolor hikorowych orzechów: na pierścionkach i kanapach. Kiedy jak szaleni kupowali rzeczy, żeby później wokół nich zbudować dom, pewni, że nic, co wpadnie im w ręce, nie będzie w przyszłości wymagało wymiany ani zastąpienia.

Wyciągnął rękę. Anoud podała mu swoją dłoń w ciepłym geście. Drugą pogłaskała go po twarzy z czułym zainteresowaniem, jakby uspokajała dziecko, które się przewróciło i stłukło sobie kolano. Ale to nie jej dłoń go interesowała. Pociągnął za pierścionek. Nie chciał zejść. Anoud próbowała cofnąć rękę, lecz on złapał ją za nadgarstek i zahaczył pierścionek paznokciami. Łzy popłynęły mu z oczu w tej samej chwili, w której pod pierścionkiem wezbrała krew i wśród ich zmieszanych płynów ustrojowych w końcu go zerwał, szlochając histerycznie. Anoud uniosła palec do ust i spojrzała na Ludovica spode łba, zraniona i okradziona. Zerknęła na Nerezzę i znów na niego. Przysunęła się bliżej, ostrożnie, jak myszka dopraszająca się o audiencję u sowy, przez którą straciła już jedno okrągłe uszko. Podstawiła mu zakrwawioną dłoń do pocałunku. Znał ten gest, tak jak zna go każde katolickie dziecko. Pocałował sygnet jej krwi.

– Przepraszam – wyszeptła. – Nie wiem, czy to ma dla ciebie znaczenie, ale kochałam ją. Łatwo się zakochuję. Można by powiedzieć, że mam do tego talent. Kochałam ją i mogę pokochać ciebie. Oczyma wyobraźni widzę dzień, wcale nie taki odległy, kiedy przynosisz mi herbatę przed świtem i scałowujesz mi włosy z czoła. Nie jestem od niej gorsza.

Pocałowała go – szczerze, z oddaniem. Miała drobny, nieśmiały język; jej kręte włosy polaskotały go w policzek. Miała dziwny smak, obcy, jak czerwona przyprawa. Była słodsza i mniejsza od Nerezzy. Miększa. Bardziej oswojona, łagodniejsza, bardziej żądna miłości. Wszystkie kości Ludovica jęknęły boleśnie.

– Nie chcesz tego zobaczyć? – szeptała dalej. – Nie chcesz oglądać tych wszystkich wyścigów, uczt i oceanu? Posmakować tamtego powietrza? Zapomniałeś, jaki słodki jest tamtejszy wiatr? Czy w tamtym mieście nie ma nic, czego byś pożałował?

Jednakże przypomniał sobie, i to nie tylko Lucię. Przypomniał sobie sprzedawcę ślimaków i wiatr znad morza.

Niech będzie, pomyślał. Poddaję się. Poddaję się, skoro tego się ode mnie oczekuje. Jeżeli mam zapłacić kobietami za to miasto i wszystko, co się w nim znajduje, ukorzę się, tak jak się ukorzyłem przed Bogiem. I przed Lucią, moją morską gwiazdą, moją wieczną burzą.

Oddał pocałunek. Ściągnął białą bluzkę ze śniadych ramion Anoud i przycisnął twarz do jej piersi. Były pełniejsze niż piersi Lucii i miały sutki jak ziarenka kawy. Krzyknął w głąb jej skóry, a ona przyjęła jego krzyk w litościwym milczeniu, czekając, aż zapadnie w jej serce. Poprowadziła go na siebie, rozgarnęła poły pożyczonego od Nerezzy szlafroka, żeby go wpuścić, wygięła plecy w łuk, odsłaniając ukryte zakamarki mysiego ciała, objęła udami jego

biodra. Ludovico patrzył przez nią na wylot, kiedy kołysał się w przód i w tył w nadanym przez nią rytmie, niewiele dając z siebie. Była taka drobniutka, że ledwie wyczuwał pod sobą jej obecność, czuł tylko otulające go ciasno i delikatnie wilgotne ciepło. Milczał, porażony swoją uległością, z pierścionkiem wciąż tkwiącym w zaciśniętej pięści. Spojrzał na Nerezę – bezwstydnica! – gdy z odrzuconą w tył głową przyjmowała wpychające się w nią raz po raz kanciaste ciało Agostina, którego donośny ryk ginął, stłumiony, w jej szyi. Miała otwarte usta i twarz zalaną łzami.



## Róg Ukojenia i Grabieżnej

Palimpsest ma dwa kościoły, pod każdym względem identyczne. Stoją obok siebie, jak zawias obejmując narożnik skrzyżowania. Każdy ma siedem białych kolumn oplecionych czarnymi napisami w alfabecie, który nie jest cyrylicą, ale na pierwszy rzut oka może się nią wydawać. Mają takie same spadziste dachy pomalowane czerwonym lakierem, a po obu stronach wejścia takie same kamienne konie o głowach jaszczurek z rozwidlonym językiem. Dawni wierni użyli budulca wydobytego w tym samym kamieniołomie na wschodnich obrzeżach miasta: jasnozielonych, matowych kamieni, idealnie kulistych, jak piłki, przez co w obu budowlach więcej jest zaprawy niż kamienia, zaprawy ze zmiażdżonych ważek Casimiry, tufowego pyłu i ogonów makreli. Wyszorowane ławki są natarte olejem limonkowym. W każdy czwartek parafianie przyjmują komunię z mięsa wieloryba i zaprawionego cynamonem wina. Kościoły różnią się tylko piwnicami, olbrzymimi mauzoleami, gdzie pod ścianą stoją alabastrowe trumny z napisami wykaligrafowanymi (z wielką czułością i taktem) krwią pochowanych w nich zmarłych. W północnym narożniku znajduje się podwyższenie na ofiary z czekolady, tytoniu, łusek kukurydzy.

W jednym kościele w trumnie spoczywa ślepiec, w drugim głucha kobieta. Oboje zmarli młodo. Obojgu wyrastają z czół rogi, jak narwalom. Współcześni wierni odwiedzają piwnicznych świętych i zostawiają co mogą u stóp tego, którego bardziej ukochali.

Giustizia od dzieciństwa oddaje cześć Niesłyszącej; wszyscy w Lewym Kościele znają jej żółty welon i przybrane turkusowymi pierścieniami kciuki. Przynosi łuski kukurydzy, przybywa regularnie jak wschodzące słońce. Kiedy umrze, pochowają ją tutaj, w osobnej trumnie.

Kiedy tam wejdiesz, zatka ci uszy woskiem, a wyrazistym gestem palca wskazującego nakaże ciszę. Może zauważysz długi ogon grzechotnika, wystający jej spod spódnicy i szurający po posadzce, ale uprzejmość zabrania o nim wspominać. Kiedy Giustizia mówi „cisza”, należy jej słuchać. To najgorsze słowo, jakie zna.

\* \* \*

Ludovico wybiera Lewy Kościół. Nie umie powiedzieć, dlaczego. Właściwie nie ma

wielkiego wyboru, ale podejmuje decyzję i jest w tym stanowczy. Jeżeli przeciętny rzymianin na coś się zna, to z pewnością na tym, jak związać się z kościołem; jak wybrać jeden z wielu i pozostać mu wiernym; jak poznać jego kwiatony i przezrocza lepiej niż piersi własnej żony; jak przewidzieć zmianę w brzmieniu ludzkiego głosu niosącego się wśród tych wszystkich iglic, dźwigarów i niebosiężnych galerii.

W kościele panuje cisza, mimo że w ławkach tłoczy się tłum parafian. Ludovico skrada się przejściem między ławkami, gęsto porośniętym chryzantemami kielkującymi głęboko w glebie najtajniejszych zakamarków budynku. Kruki obsiadły przezrocza nad nawą; jest wśród nich także kilka człekopodobnych istot o długich czarnych skrzydłach, które przysiadły na górze, z nogami swobodnie zwieszonymi w powietrzu. Ludo patrzy na nie ze zgrozą, nie może oderwać od nich oczu. W kościele w ogóle nie ma ludzi! Każdy wierny jest krzyżówką człowieka i zwierzęcia: mężczyźni z głowami ogromnych węży, kobiety z żółwim i skorupami na plecach, wierzące się dzieci o długich włochatych rękach orangutanów, wredne staruchy o nogach zakończonych słoniowymi stopami, łapami gepardów albo poczeriałymi i obrosłymi brodawkami kopytami piżmowołów. Mężczyzna z szyją żyrafy siedzi grzecznie w ostatniej ławce, żeby nikomu nie zasłaniać. Całkiem sporo wiernych ma płetwy boleśnie wyrastające z pleców; ich troskliwi wujowie i ciotki stale polewają je wodą z małych, świętych kubeczków.

Przy ołtarzu kapłanka z głową starej, stroskanej lwicy rozkłada ręce w niemym błaganu. Mimo że milczy, ma otwartą paszczę i pysk zaczerwieniony z wysiłku, łzy przeciekają jej między wąsami. Niektórzy wierni też płaczą i kiwają głowami, jakby kapłanka przemówiła, a oni się z nią zgadzali. Dziewczynka w pierwszej ławce wyciąga do niej długie cętkowane ramiona, macki ośmiornicy, których przyssawki na przemian otwierają się i zamykają w bezgłośnych prośbach. Otwiera buzię i próbuje zawodzić jak wszystkie zrozpaczone dzieci, ale z jej ust dobywa się tylko zdławiony bulgot. Rodzice ją przygarniają, a ona wtula twarz w ich łuskowate piersi.

Oszołomiony Ludovico przykłęka wśród kwiatów. Dlaczego miałby się przejąć tymi żalonymi zwierzętami? Może dlatego, że siedzą w kościele? Drży. To nie Troposfera i jej dudniące mechaniczne konie. W kościele panuje taka cisza...

Oto początek księgi o naturze bestii, myśli. Wszystkie najlepsze bestiariusze tak się zaczynają. Gdybym miał pisać o tym miejscu, stworzyłbym dzieło obszerniejsze niż księga Izydora, większe niż jego *Etymologiae*. Te istoty przerastają najgorsze majaczenia Hiszpana, a przy tym są prawdziwe. Widziałem je na własne oczy. Będę mógł szczerze napisać, że klęczałem wśród nich, modliłem się razem z nimi i widziałem, jak płaczą, zupełnie jakby miały dusze. Żaden papież mi nie uwierzy, nie beatyfikuje mnie ani nie uświęci mojej encyklopedii, lecz ja będę wiedział, że jest prawdziwa.

Cisza zagarnia go w swoje ramiona. Ludovico jest do głębi poruszony. Dla tego kościoła pełnego inwalidów zniesie kobiety-myszy, kobiety-węgorze i wszystko inne. Zniesie nawet

porzucenie przez Lucię, ponieważ to jest kraj świętego Izydora. Izydor w koronie z pszczoł, autor wielkiego kompendium mądrości i magii chrześcijańskiej, ludzkich zachowań i nazw potworów, nad którym mediewiści po dziś dzień przesiadują z zachwytem, z pewnością odwiedził to miejsce i potem po prostu opisał to, co tu zobaczył. Ludo sięga po zawieszony na szyi medalik. Widok dziewczynki-ośmiornicy nie pozwala mu wstać z kolan. Przez całe życie było tak, że cokolwiek pokochał, niszczyło go. Z radością przyjmuje tę trzecią w krótkim katalogu swoich miłości, do tej pory złożonym tylko z książki i kobiety.

Wyciąga ręce – chude ludzkie ramiona – do lwiej kapłanki i woła do niej, a jego głos niesie się przerażającym echem w przepastnej katedrze, jak narzędzie zniszczenia:

– *Ave Maria, gratia plena!* – Nic innego nie przychodzi mu do głowy, tylko te najświętsze ze świętych słów. – *Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui!*

Śmieje się przez łzy. Wszyscy na niego patrzą. Dziewczynka-ośmiornica odsuwa się od rodziców, a on zaczyna jeszcze raz:

– *Ave Maria!*

Dziewczynka rusza w jego stronę jak malutka oblubienica, poważna, w białej sukience; sinoczerwone włosy opadają jej aż do kolan dwiema prostymi płaszczyznami. Idzie powoli, nie próbuje biec; rodzice na pewno ją nauczyli, że po kościele się nie biega. Oplata jego szyję zimnymi, mokrymi mackami. Ludo czuje ich ciężar na ramionach, a dziewczynka z powagą patrzy mu w oczy, nachyla się powoli i całuje go w policzek.

– *Ave Maria!* – szlocha Ludovico.

I nagle wszyscy wierni, jakby wyzwoleni gestem dziewczynki, otaczają go ze wszystkich stron, wszyscy naraz chcą położyć na nim łapy i ręce, zostawić na jego skórze włosy i śluz.

– *Ave! Ave! Ave!* – zawodzi Ludo.

Kruki podrywają się do lotu i kołują w rozrzedzonym powietrzu na wysokości górnych balkonów, wrzeszcząc ze strachu i rozkoszy.

Setka i więcej rąk zatyka mu usta, delikatnie, jak dłonie ciotek opiekujących się niesfornym smykem. Wykrzykuje swój ból w ich objęcia i ten dźwięk wypełnia cały Lewy Kościół. Ramiona nieszczęśliwych i udręczonych kołyszą Ludovica tak długo, aż się uspokoi i będzie mógł znieść ich łagodne spojrzenia i groteskowe pocałunki.

Część III

**Księżna równoległoboków**

## W drodze na zachód, 8:17

Przez Palimpsest przechodzi sześć ekspresowych tras kolejowych i dwanaście lokalnych. Sześć Wielkich Lini to Rylcowa, Sgraffito, Dekretowa, Arkuszowa, Krój i Mszał. Ci, którzy leżą krzyżem przed mosiężnymi kołowrotami przy wejściu do ich sekretnych przepysznych świątyni, w modlitwach nazywają je (wszystkie razem) Marginaliami. Pociągi nie mają ustalonego rozkładu jazdy. Pasażerowie z Palimpsestu nauczyli się ich zwyczajów, przyzwyczaili do ich sezonów godowych, poznali miejsca ich spotkań. W dawnych czasach organizowano wielkie safari, by łapać pociągi w ich nieubłaganym pędzie z miejsca na miejsce; uzbrojone w haki i trójzęby kobiety toczyły z nimi regularne walki, by na czas dotrzeć do biura w otchłani miasta.

Pociągi są z natury systematyczne i poukładane, chociaż bywają też drażliwe i lubią czasem pozzrędzić. Jak dzieci, które w dniu urodzin chcą zaimponować roztargnionemu rodzicowi, mieszkańcy Palimpsestu zaczęli budować okazałe gmachy w miejscach, gdzie pociągi chętnie się gromadziły, piły z ziemi ropę i wymieniały się ploteczkami. Kładli czarne tory na najpopularniejszych trasach migracji. W ten sposób system komunikacyjny Palimpsestu został osnuty wokół sapiących behemotów przenikających na wskroś serce miasta, i na razie pociągi nie okazują niezadowolenia z tego powodu.

Przejażdżka nimi nadal wymaga dokładności i żyłki myśliwskiej, są bowiem nieprzewidywalne i trzeba wielu tygodni obserwacji, żeby wyłowić jakieś prawidłowości w ich zachowaniu. Dlatego podróż koleją jest sportem tylko dla najdzielniejszych śmiałków. I wielu z nich do tego stopnia rozwinęło swoje umiejętności, że rankiem częściej udaje im się złapać pociąg, niż go przegapić.

Ci mądrzejsi przybywają na peron na długo przed czasem, przewiązani w pasie długim zwojem liny, żeby złapać nawet taki pociąg, który będzie mijał dworzec w wielkim pośpiechu, i zdobyć miejsce na balkoniku ostatniego wagonu z resztą tych, którzy okazali się nie dość czolobitni, szybcy lub skrupulatni w obliczeniach. Wystrzegać się jednak należy podróżowania w rzadkich okresach godów tych bestii. Nie można przecież oczekiwać, że pociąg w rui będzie przestrzegał regularnych przystanków, nieprawdaż? Pewien bankowiec utknął w ekspresie, gdy ten zwęszył przejeżdżający nieopodal pociąg lokalny. Nieszczęśnik wrócił na peron dopiero po ośmiu miesiącach, gdy dwa białe zapłakane lewiatany z zalem

wyplątały się nawzajem ze swoich uścisków.

Wielu pasażerów było świadkami słynnego już skoku niebieskowłosej dziewczyny w głąb zapraszająco otwartych drzwi pociągu na Marginaliach. Dmący z trzewi stacji gorący wiatr rozwiewał ich płaszcze. W ustach im zaschło, a puls przyspieszył jednocześnie, jakby jeden strumień krwi płynął w jednym sercu. Niektórzy się uśmiechnęli, a wszyscy zanotowali w książeczkach do modlitwy, że w tym i tym dniu, o tej i o tej godzinie, z peronu została porwana kobieta. Takie rzeczy trzeba wiedzieć. Podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej, choć z natury są jeszcze rzadsze niż gody – tym bardziej więc należy wiedzieć, kiedy się zaczynają i kiedy kończą, żeby, porównawszy notatki, móc z podobnymi sobie entuzjastami stosownie zmienić treść modłów i odnotować wprowadzenie Drugiego Rozkładu Głównego, uwzględniającego fazy księżyca i wsteczną orbitę Merkurego.

Trzech ludzi zginęło pod kołami pociągów, próbując dowieść słuszności Drugiego Rozkładu Głównego. Ich imiona są zapisane w Piśmie Świętym.

\* \* \*

Przejście między wagonami jest głośnie, wilgotne i rozdokazywane, i w niczym nie przypomina chromowanych łączników w shinkansenie. Sei wspomina przelotnie Sato Kenjiego i chyba po raz czwarty albo piąty żałuje, że kiedy go obejmowała, nie miała pojęcia, jaką jest istotą i jakie tajemnice skrywa. Gdyby wiedziała, jej serce zabiłoby szybciej i całkiem wskoczyło w jego ciało.

Trzecia Szyna patrzy na nią z powagą. Stoją blisko siebie, ściśnięte, i Sei dochodzi do wniosku, że podłużne policzki i szparki oczu w pomalowanej na czerwono twarzy nie są żywym ciałem, nie do końca. Zawsze wydają się wilgotne i twarde, jak w polakierowanej masce. Panuje półmrok, światło jest skąpe i niełaskawe. Sei nie słyszy oddechu Trzeciej Szyny, kiedy ta długimi białymi palcami muska jej obojczyk, powoli, z wahaniem, jakby nie wiedziała, czy wolno jej to zrobić. Sei łapie jej rękę i całuje wnętrze dłoni. Skóra tamtej pali jak gorzkie lekarstwo, jak lód, ale Sei się nie cofa, a Trzecia Szyna dygotuje z rozkoszy.

– Tak bardzo chcemy, żebyś nas zobaczyła – mówi i zwraca szkarłatną twarz w stronę klekoczących drzwi wagonu. – Specjalnie dla ciebie włożyliśmy nowe stroje. Musieliśmy zgadywać, co ci się spodoba.

Sei uśmiecha się bez przekonania i naciska czarny kwadratowy guzik otwierający drzwi. Marszczy nos, kiedy zalatuje ją wilgotna woń zarośniętych mokradeł, ale Trzecia Szyna pociąga ją za sobą do środka, przepelniona dziecięcym zachwytem. Z zaborczą czułością gładzi jej niebieskie włosy.

W półmroku Sei rozróżnia siedzenia, poręcze i – oczywiście – pętle uchwytów, chociaż nie widzi sufitu, z którego mogłyby się zwieszać. Ściany są rozsunięte szerzej niż powinny, a w miejscu jarzeniówek widać szerokie promienie słońca. Siedzenia piętrzą się tarasowato pod

ścianami, a to, co Sei w pierwszej chwili wzięła za jaskrawozielone obicia, okazuje się migoczącymi w słońcu poletkami ryżowymi, na których szmerze rozczesywana przez świeżutkie pędy woda. Na polach pracują wieśniacy w czerwonych kapeluszach z szerokimi rondami, obwieszonymi – jak frędzlami – maleńkimi zegarkami kieszonkowymi, złotymi jak zegarek jej babki, jak świątynny pawilon. Zrywają ryż i się nim objadają, wszędzie, jak daleko wzrok sięga, coraz wyżej, tam gdzie tarasowy stok rozplywa się we mgle. Od nadmiaru otwartej przestrzeni Sei ma zawroty głowy. Chłopczyk w podzwaniającym czerwonym kapeluszu podaje jej zieloną lodyżkę. Ma świeżą, szczęśliwą buzię.

– Dziękuję – mówi Sei.

Chłopiec ją obejmuje.

– To my dziękujemy! – woła do jej bioder. – Dziękujemy! Baliśmy się, że nie przyjdiesz!

Sei żuje gruby, nieprzetworzony ryż. Wie, że nie powinna tego robić. Dobrze pamięta dzień, w którym jej matka rozchorowała się i osłabła tak bardzo, że nie miała siły dojść do pokoju z matami z traw. Upadła, cała roztrzęsiona, na podłodze małej kuchni i ciągnąc Sei boleśnie za włosy, krzyczała:

– Nie jedz pokarmu umarłych! Zrobią wszystko, żeby cię do tego namówić, ale żadne moje dziecko nigdy tego nie zrobi!

Tamtej nocy rozpałała ogromne ognisko i spaliła w nim wszystkie pomarańcze *mikon*, twierdząc, że księżyc nasycił je trucizną i teraz taki niepozorny owoc mógłby zabić. Płakała i dygotała przy ogniu, obejmując się rękoma i kołysząc w przód i w tył. Powietrze wypełniała ostra woń palonego pomarańczowego miąższu.

Sei wiedziała, że nie powinna, ale przebyła już szmat drogi, napiła się gorzkiej herbaty i nie wyobrażała sobie, by nie mogła przełknąć jedzenia, które teraz trzymała w ręce.

– To żałobny ryż – wyjaśnił rozpromieniony chłopiec. – Całe życie go zbieram. Co dwa tygodnie kwiaty żałobnego ryżu płaczą. Wtedy trzeba je pocieszyć dźwiękiem szklanego dzwoneczka i kojącymi hymnami o kadzidle i cnotliwych czarnobrodych ojcach. Pocieszałem je w twoim imieniu, Sei! I udało mi się! Własnymi palcami czyściłem je z błota, a ustami wrywałem z wody. Chciałbym, żebyś z tego powodu była ze mnie dumna. Jeżeli uznasz, że nie wykazałem się dostateczną cnotą, poproszę nadzorcę, żeby posłał mnie na pola z ryżem męstwa, lecz przenosiny to długotrwały proces, a ponadto słyszałem, że tamten ryż ma gorzki smak.

Sei szczypie go lekko w brodę i uśmiecha się szeroko, na co on czerwieni się po czubki uszu i zapomina języka w gębie. Sei pochyla się nad nim, delikatnie zsuwa mu kapelusz i całuje go w czoło; jej oddech intensywnie pachnie żałobnym ryżem. W oczach dziecka wzbierają łzy. Chłopiec zaciska powieki, na króciutką – i zarazem najdłuższą – chwilę przytula się do Sei, a potem biegnie do kolegów, żeby się przechwalać i pysznić. Sei wybucha śmiechem.

– Jakaś ty uprzejma... – zauważa Trzecia Szyna. – Nie spodziewałam się po tobie uprzejmości. Nie szukamy tej cechy u naszych wybrańców.

– Nie? A czego szukacie? I do czego ich wybieracie?

Trzecia Szyna się peszy.

– Samotności. Zadawnionego żalu. Znużenia światem. Wytrzymałości. Uzdolnień technicznych. Reszty nie wymienię, bo zepsułabym ci niespodziankę.

– Czy ten chłopiec tu mieszka? Przez cały czas?

– Naturalnie. Gdzie miałby mieszkać? Gdybyś posłała go na pola ryżu męstwa, za rok przyniósłby ci czerwony miecz i błagał cię, żebyś mu go pobłogosławiła. Gdybyś się nie zgodziła, odszukałby ryż intelektu, stał się przezroczyście jak szkło i prosił, byś tchnęła w niego mgłę ducha. Przez całe życie szuka najlepszego ryżu. To bardzo uprzejme z twojej strony, że tak skróciłaś jego wędrówkę.

Inni wieśniacy machają do nich i pokrzykują z wyżej położonych tarasów i wszyscy, jak jeden mąż, wyciągają w jej stronę miedziane chochle pełne wody ze świętych studni.

– Już wystarczy! – odkrzykuje im. – Nie chce mi się pić!

Przez poletka przebiega fala lęku i rozpacz. Jakaś dziewczyna z długimi warkoczami rzuca się z wysoka w dół, spada jednak na troskliwie wysunięty występ, zahacza o niego biodrami i zawisa na nim, pochlipując żałośnie.

Trzecia Szyna milczy, kręci tylko głową, pogrążona w niedoścignym smutku. Prowadzi Sei wśród pól. Zieleń ryżu jest oślepiająco intensywna, przyprawia o migotliwe plamki pod powiekami.

– Przepraszam – mówi Sei do wieśniaków z chochlami na długich rączkach. – Wybaczcie mi. Ugaście moje pragnienie.

Wyciąga ręce po ich wodę, a oni nachylają się ku niej; przerażająca, żarliwa nadzieja odbija się na ich twarzach jak pręgi po uderzeniu. Sei pije, a oni z ulgi osuwają się na kolana. Kiedy zamykają się za nią drzwi wagonu, słyszy początki świętowania – muzykę jak szemrząca woda, bicie bębnow i wysoki, piskliwy głos chłopca śpiewającego psalm. Wie, że niczego więcej nie odmówi. Kiedy pije, prawie ich już nie czuje – nie czuje tych widmowych innych, którzy raczą się winem jak tygrysia krew, gdy ona pije wodę. Są od niej tak daleko.

\* \* \*

Znów następuje chwila jak dywiz w przestrzeni między wagonami. W dole Sei widzi uciekający do tyłu tor – przez dziury, spawy, kratę pod nogami.

– Dlaczego patrzysz w dół? – dopytuje się Trzecia Szyna. – Chcesz mnie ujrzeć jeszcze bardziej naga? Czy nie jestem milsza twoim oczom w tej postaci niż oblepiona brudem i smarem?

– Jesteś piękna. W brudzie, w smarze, w ciele. Dlaczego to takie ważne, żebym uważała



cię za piękną?

– Bo jeżeli ci się nie spodobam, nigdy nas nie pokochasz, a jeśli nas nie pokochasz, nie pomożesz nam. My zaś potrzebujemy twojej pomocy, bo bez niej nigdy nie dotrzemy do celu.

– Przecież już obiecałam, że wam pomogę.

– Jeszcze nie możesz tak powiedzieć! Chciałabym ci wierzyć, Sei, ale jestem niegodziwa i ukrywam przed tobą pewne sprawy, a ty nie powiesz o nas prawdy, dopóki ich wszystkich nie poznasz. Nie poznasz ich zaś dopóty, dopóki nie odwiedzimy ostatniego wagonu. Pospieszmy się, nie masz na to całej nocy.

Pociąga Sei do trzeciego wagonu. Prawie się przy tym potyka o własne nogi, pełna zapachu, jak mała dziewczynka w dniu urodzin. Tu siedzenia są wysadzone jasnymi główkami kapusty, głęboko żyłkowanymi zielenią i fioletem. Ściany są wyłożone srebrną folią, bez śladu patyny, lśniącą jak woda. Zawieszane przy nich w uprzężach kobiety polerują je swoimi niewiarygodnie długimi włosami. Kapusta rośnie na podłodze, siedzeniach, nawet na suficie, pola ciągną się daleko, bardzo daleko, chociaż ściany są w tym wagonie bliżej niż w poprzednim. Są tutaj też powoli zarastające szronem okna, przez które widać miedziane przebłyśki światła miasta.

Idą statecznie, jak królowe przemierzające swoje imperium. Sei szuka Yumiko wśród polerujących ściany kobiet – i rzeczywiście, jest jedną z nich, naturalnie: między jej piersiami zwiesza się wisiołek z nefrytem, nogi trzyma podkulone jak baletnica. Ich oczy prawie się spotykają, kiedy Trzecia Szyna rumieni się wściekłą czernią, wchodzi pomiędzy kochanki i kręci ją swoją olbrzymią głową. Jej małe oczy mają błagalny wyraz i Sei jej ulega, wciąż roztrzęsiona zawrotem wieśniaków z długimi chochlami. Rano i tak spotka Yumiko, która wybaczy jej tę chwilę, to małe uchybienie.

– Czy na świecie potrzeba aż tyle kapusty? – dziwi się, przesuwając palcami po liściach grubych i siwych jak odmrożone ciało.

– Oczywiście, że nie. One nie są do jedzenia.

Trzecia Szyna podnosi liść jednej z główek kapusty i odsłania przyczajony w jej wnętrzu znak pisma, mokry, czarny, pomarszczony i drżący jak nowo narodzony motyl – dygoczące *kanji* oznaczające „obfitość”. *Kanji* cicho mruczy i wyciąga się jak niemowlę w poszukiwaniu matczynego sutka. Sei głaszcze je knykiem; *kanji* kuli się pod jej dotykiem.

– Bo widzisz, one muszą się urodzić – tłumaczy Trzecia Szyna. – Nie biorą się znikąd. Kiedy mała dziewczynka zasiada na krześle z długim pędzlem i czystą *suzuri* w rękach, wydaje się jej, że pisze, lecz tak naprawdę tylko wzywa te nieszczęsne jagnięta, żeby przeniknęły przez nią i jej usługiwały. W tej chwili trwa sezon zapylania. Ledwie nadążamy z podażą, taki jest popyt, ale dzieci i tak z biegiem czasu coraz rzadziej uczą się *kanji*, a coraz częściej *katakany*, angielskiego albo innych cudzoziemskich wynalazków. W innym pociągu jest cmentarz, na którym żółwie zapalają trociczki na grobach słów, których nikt już w waszym świecie się nie uczy i które przez to znalazły się poza zasięgiem wszelkich ust. To

ważne zadanie. Mamy nadzieję, że się z tym zgadzasz, ale jeżeli uznasz, że to głupie, będziemy skłonni przyznać ci rację. Obfitość pełnie po ręce Sei w górę jak gąsienica i układa się w zgięciu łokcia, trzepocząc kreskami.

– Nie ma w tym nic głupiego – odpowiada zadziwiona Sei. – Nie wiedziałam...

– Nie rozgłaszamy tego faktu. Moglibyśmy mieć kłopoty z kłusownikami.

– Czy to znaczy, że są jakieś... połączenia między tym miastem i dziewczynką siedzącą przy biurku w moim świecie? Jakies tunele? Mosty?

Trzecia Szyna prześlizguje się po niej spojrzeniem.

– Nie przybyłaś tu w taki sposób?

– Ja tak, ale *kanji* nie są odpowiednio... wyposażone, żeby pójść tą samą drogą.

– Ile dróg prowadzi do Tokio?

– Nie wiem... Dziesiątki.

Czerwona kobieta wzrusza ramionami i uśmiecha się tajemniczo.

– Do Palimpsestu również. Ale tylko jedna z tych dróg jest dostatecznie szeroka, żeby precyzyjnie się nią człowiek. Znak pisma jest zaś mały, malutki jak myśl. Nie potrzebuje autostrady.

Sei analizuje jej słowa i próbuje strząsnąć obfitość, ale małe *kanji* wczepia się w nią i wydaje ciche bulgotliwe dźwięki, jak przelewający się atrament.

– Łatwo się przywiązują – grucha Trzecia Szyna. – Zagadkowe maluchy.

– Jak długo potrwa ta noc?

– Jeszcze jeden wagon, Sei. Ogromnie mi przykro, że nie możesz zostać dłużej. Może pewnego dnia staniemy ci się wystarczająco bliscy, żebyś zrobiła to co konieczne, żeby z nami zostać.

Sei łapie ją za rękę, twardą i ciepłą.

– A co jest konieczne? Ja nie wiem! Powiedz mi, co mam zrobić!

– Ja też tego nie wiem. – Zawstydzona czerwona kobieta spuszcza głowę. – Jestem za duża, żeby wkroczyć na tę ścieżkę. Muszę tu zostać, nie ma drogi dość szerokiej, żeby mnie unieść. Mam jednak nadzieję, że znajdzie się taka, która uniesie ciebie.

\* \* \*

Gęsta gliniasta gleba pokrywa podłogę czwartego wagonu. Pachnie grzybami. Purchawki eksplodują pod siedzeniami. Sosny kiełkują wszędzie tam, gdzie udało im się zaczepić korzenie, rosną w poprzek, na skos, zagradzają przejście. Wśród nich gnieźdzą się paczki, dziesiątki paczek zapakowanych w szary papier i przewiązanych szpagatem. Powykrzywiane, gruzłowate korzenie rozcapierzają się na ławkach i ścianach, ostrożnie próbują lizać okna. Drzewa mają ciemne, grube, lśniące igły, a z ich gałęzi zwieszają się ogromne złotopomarańczowe latarnie, płonące światłem kule. Jacyś uwieszeni na gałęziach nieznanymi

w surowych czarnych szatach wpatrują się w lampy; mają na twarzach białe krechy, jakby ślady po kredzie. Sei podnosi wzrok – sufit jest tu zbyt wysoki, zbyt odległy, a za szarozielonymi chmurami chyba migoczą gwiazdy.

Na drugim końcu długiego wagonu siedzi lis. Jest rudy i ma czarny nos, jak to lis.

– Znam cię – oznajmia beznamiętnie.

– To chyba niemożliwe – odpowiada Sei.

– Wyobraź sobie książkę na dnie jeziora – mówi lis. Ziewa, drapie ziemię i układa się do snu.

– Ryby ją czytają – szepcze czule Trzecia Szyna. – My ją czytamy.

Sei zaciska powieki, powstrzymując cisnące się nagłe do oczu łzy. Wnętrze wagonu jakby się przechyliło w bok; spokój, jaki odczuwała po wizycie na polach ryżu i kapusty, spływa z niej jak deszcz. Zaniepokojona obfitość drży na jej ręce.

– Nie dam rady... – sapie Sei. – Nie mogę. Nie chcę. Za dużo tego. Mówicie jak we śnie, a w snach nic nie ma znaczenia.

– Mówimy tak, jak mówiła twoja matka. – Zatrokana Trzecia Szyna drapie się po wydłużonym policzku. – Myśleliśmy, że to ci się spodoba.

– Ale się nie spodobało! – krzyczy Sei. Jej obolałe gardło przycina rozpaczliwy krzyk w połowie.

Zakłopotana szkarłatna kobieta zwiesza głowę i otula się kimonem, zasłaniając piersi.

– Nie jesteśmy nieomylni – szepcze.

– Co jest w paczkach? – pyta Sei.

Źle się czuje. Chybotanie wagonu popycha ją w objęcia usadowionej na ławce sosny, która ze szczęścia aż przebiera gałązkami i ją przytula. W ekstazie upuszcza na dłoń Sei kroplę żywicy.

Trzecia Szyna spogląda ze zbolałą miną na sennego lisa.

– Jeżeli ci się nie spodobają, zabierzemy je – mówi. – Obiecuję!

Sei odpycha pomrukującą sosnę i z zapamiętaniem szarpie sznurek na najbliższej paczce. Paczka otwiera się gładko, jak rozpadające się origami. W środku leży czerwona maska, dłuższa niż ludzka twarz, z ostrymi, czarnymi krechami ust i oczu. Jeden z mężczyzn w czerni sięga po nią, nakłada na twarz i wzdycha z rezygnacją, jakby od początku się spodziewał, że do tego dojdzie. Sei z zapartym tchem odwraca głowę, przytula twarz do pnia sosny. Nie chce widzieć Trzeciej Szyny, nie chce oglądać jej twardej, czerwonej, pociągłej twarzy. Tymczasem zalękniona Trzecia Szyna klęka przed nią pokornie, w niemym błaganu.

– Mijają się te pociągi w wielkim pędzie i absolutnej ciszy – mówi. – Przewożą duchy, które trzymają się gałęzi drzew jak pasażerowie uchwyków, zrywają zielony ryż i jedzą go na surowo, a potem osuwają się bez przytomności w ramiona kobiet, które mają całe twarze, od podbródka po czoło, pomalowane na czerwono.

Obfitość pieści odważną kreską policzek Sei.

Sei osuwa się z jękiem w ramiona Trzeciej Szyny, a ta owija ją kimonem i przygarnia delikatnie, tkliwie, z nieskończoną czułością.

# JEDEN

## Królik na księżycu

Sei obudziła się zapłakana w obcym mieszkaniu. Włosy kleiły się jej do twarzy, czepiały ramion. Yumiko jej nie przytuliła – tylko patrzyła, spokojna jak nauczycielka, która czeka, aż niezbyt bystra uczennica przebrnie przez trudniejszy ustęp tekstu.

– Przebudzenie zawsze jest trudne – powiedziała.

Sei uczepiła się jej, wodząc dookoła rozbieganym, dzikim jak u psa wzrokiem.

– Muszę...

– Wrócić? Tak. Wiem o tym. Myślisz, że ze mną jest inaczej?

Sei nie mogła złapać tchu. Cała była obolała, bolały ją stawy, płuca.

– Zabierz mnie tam z powrotem, zabierz mnie do kogoś, kogokolwiek, obojętne... Zabierz mnie do pociągu. Nie mogę ich tak zostawić, jestem im potrzebna, muszę wrócić! – Jęknęła. – Boże, daj mi znów zasnąć!

– Musisz poczekać. „Dno Niebios” otwiera się o zmierzchu. Współczuję ci, naprawdę, ale sama też byłam w takiej sytuacji jak ty w tej chwili i też musiałam czekać. – Yumiko objęła ramieniem nagą talię Sei. – Jest tam pewien tenor, w Domu Tulu. Co noc obdarowuje mnie szafirami. Nakłuwą mi ręce długimi igłami i obwiesza mnie klejnotami, aż nie mogę się ruszać pod ich ciężarem. Kładzie mi opale na powiekach i całuje mnie z takim zapamiętaniem, że zostawia sińce na moich ustach i na całym ciele. Myślisz, że za nim nie tęsknię?

– Jest taki pociąg, pełen lasów i niezwykłych pól...

– Zazdroszczę ci.

– Oni mnie potrzebują!

Yumiko przekrzywiła głowę.

– Powiedzieli ci, po co?

– Nie...

– W takim razie to nic dobrego. Nie spiesz się tak.

Kiedy Yumiko wstała i z szelestem ubrania zakrzętnęła się przy tradycyjnym parzeniu herbaty, Sei uświadomiła sobie, że to musi być jej mieszkanie. Ściany były puste, ze sprzętów Yumiko miała tylko łóżko i stół, nic więcej. Mieszkanie wyglądało tak, jakby jego lokator albo niedawno się wprowadził, albo zamierzał się wkrótce wyprowadzić.

– Mama powiedziała mi kiedyś... – odezwała się Sei półgłosem do odwróconej tyłem Yumiko. – Kiedy byłam mała, powiedziała mi, że sny to takie małe tygrysy, które żyją za naszymi uszami i czekają, aż ludzie zasną, a wtedy wyskakują z ukrycia, wydzierają im dusze i zjadają je na eleganckich kolacjach, na które nie zaprasza się innych kotów.

Yumiko uniosła z zaciekawieniem brew.

– Nie chcę być niegrzeczna, ale czy twoja matka nie była czasem szurnięta? Jakoś nie bardzo się to trzyma kupy jako sensowna teoria podświadomości.

Sei wzruszyła ramionami.

– Wtedy myślałam po prostu, że jest piękna i nieokiełznana, jak dzika gęś. Czasami jak gęś rzucała się na mnie w gniewie i szczypała mnie w palce stóp. A czasami, kiedy przychodziłam do niej w pokoju wyłożonym *tatami*, jej kimono było w strzępach, a ona siedziała na podłodze naga i zakrwawiona, zdarłszy sobie skórę paznokciami. Taka właśnie zakrwawiona opowiedziała mi o tych tygrysach, więc kiedy dziś o tym myślę, to chyba masz rację, chyba rzeczywiście była szalona. Ale wtedy, w dzieciństwie, wierzyłam jej, bo była moją matką, a matki wiedzą wszystko.

Yumiko postawiła na podłodze słabą zieloną herbatę i palcami przeczesła włosy Sei.

– Ale ty nie jesteś, wiesz? Nie jesteś szalona. Wiem to samo, co ty. Jesteśmy inne niż nasze matki. I nie mamy tygrysów, tylko miasto, które na nas czeka i nas kocha, na swój miastowy sposób.

– Może to tam czają się tygrysy; może po prostu lepiej się maskują niż pociągi i tenorzy.

\* \* \*

„Dno Niebios”.

Mosiężna tabliczka nie obwieszczała niczego, czego nie mówiłaby już poprzedniego dnia. Sei stała przed nią nieruchomo.

Yumiko przyglądała kraciatą spódnicej fałszywej uczennicy.

– Gotowa? – spytała z pełnym zapału uśmiechem, który dla Sei był zbyt sztuczny i obłąkańczy, żeby mógł ją pocieszyć.

Sei zacisnęła pięści opuszczonych swobodnie rąk. Cała jej odwaga nagle się ulotniła. Oczami wyobraźni widziała nadchodzącą noc, wiedziała, co się wydarzy w dyskretnym klubowym wnętrzu, widziała wszystkie przyszłe noce.

Tyłu ludzi się w nią wczółga.

Wiedziała, że będzie ich tropić jak lis, będzie szukać tych, których mapy łączą się w szlak, pozwalający jej zachować kurs i raz po raz lądować w pociągu. Będzie ich znajdowała w zakamarkach „Dna Niebios”, w zacisznych gabinetach z wysokimi srebrnymi szafkami, w łazienkach o ścianach oklejonych reklamami piwa Asahi.

Przed oczami stanął jej cały kiczowaty pochód tych postaci:

Mężczyzna ze srebrnym zębem każe jej uklęknąć na wyłożonej czarnymi kafelkami posadzce łazienki. Zobaczyła, jak całuje mapę wyrytą na palcach jego stóp, pomarszczonych kolanach, zmęczonym czlonku.

Kobieta z dwójką dzieci i myszką na lewym udzie wsunie palce w piczkę Sei na parkiecie, na oczach wszystkich. Sei widziała, jak się wiję, nabita na dłoń tamtej, zawstydzona i porzucona.

Będzie też śliczny chłopak z rzadką bródką i kciukiem prawie czarnym od zakorkowanych, wytyczonych bez planu uliczek, tak jakby w jakimś nienazwanym więzieniu strażnicy pobrali od niego odcisk palca. Widziała, jak go dosiada na jednej z długich skórzanych kanap pod klubowymi lampami i jak ociera się o niego, aż on szczytuje – tak gwałtownie, że dostaje czkawki, a jej chce się płakać, taki jest wtedy żalony. Ten chłopak będzie w jej snach gonił pociąg, usiłując go złapać, usiłując złapać ją, lecz zabraknie mu umiejętności, by dokonać jednego lub drugiego.

Wiedziała, że na skórze ich wszystkich będzie szukała miasta ze snów; że będzie próbowała wsiąść do swojego pociągu i wyrzucała po kolei te cielesne bilety, zużyte i wyblakłe. Wiedziała, że odmówi powrotu do Tokio, gdzie trudniej byłoby znajdować takich jak oni i warczeć na nich:

– Weź mnie! No, weź! Na co czekasz?!

Nie będzie chciała pić ani tańczyć, tylko po prostu ścisnąć ich udami, a potem zasnąć kamiennym snem. Będzie naga, odsłonięta, autentyczna, a jej poszukiwania będą szczerze jak misja rycerza bez skazy.

Widziała to wszystko doskonale, jak wytyczoną w lesie ścieżkę; nie wolno dotykać nikogo, kto nie jest nosicielem mapy – Yumiko na pewno się z nią zgodzi, że to byłoby niewłaściwe i ryzykowne; sekret jest wyłączną własnością ich plemienia i nie należy go trwonić bez potrzeby.

Wyobrażała sobie jednak także taką siebie, która jeden jedyny raz, kiedy śniegi stopnieją, zrobi wyjątek dla młodego człowieka o skórze cedrowej barwy, z ogromnym kolczykiem w nosie, jak u byka albo minotaura. Nie będzie to nikt wyjątkowy, ot, zwyczajny gość, który zjawi się w klubie i zostanie – rzecz jasna – odesłany z kwitkiem. Sei jednak wyda się zupełnie obcy, inny od wszystkich, pusty, niezapisany. Idealnie czysty. Nieskalany.

Znała swoje słabości. Wiedziała, że będzie błagać Yumiko: „Jestem słaba. Czasem jednak chodzi o miłość. I o pragnienie”.

Kiedy w tej niezbyt odległej przyszłości obudzi się przy nim ta Sei, która teraz odbijała

się spokojnie w mosiężnej tabliczce, na podeszwie jego stopy rozpleni się siatka ulic, ciemnych, jasnych, krętych, a ona będzie mu zazdrościć, bo od tej pory, gdziekolwiek stąpnie, będzie kroczył po Palimpseście i wszystko będzie dla niego nowe, takie nowe... Wyjdzie od niego bez herbaty i bez pożegnania, nie czekając na jego przebudzenie.

Stała przed wejściem do „Dna Niebios”, a jej pociąg pędził w przyszłość na złamanie karku. Ledwie mogła znieść jego prędkość, nieuniknione, nieuchronne następstwo przystanków i pasażerów, opłatę za bilet, której nigdy nie uiści w całości. Łzy zakłuły ją w oczy. Ta przyszłość czekała na nią za tymi czarnymi, całkiem zwyczajnymi drzwiami, gotowa ją połknąć jednym haustem.

– Tak – powiedziała. – Jestem gotowa.



# Inamorata

Ulica Inamorata kończy się srebrną plażą i olbrzymim sękatym skalnym palcem, wyciągniętym daleko w morze. Połyskliwa woda ciągnie się po horyzont i jeszcze dalej – bezkresna ciemna płaszczyzna z błyszczącymi w świetle księżyca bałwanami. Na piasku piana roztrzaskuje się i zostawia po sobie wygładzone wodą odłamki szkła; wytyczonym tymi okruchami skrajem morza, wilgotnym i lśniącym, przechadzają się pary, trzymając się pod rękę. Plaża jest upstrzona pasiastymi namiotami: czerwono-żółtymi, zielono-białymi, różowo-błękitnymi. Kobiety noszą kostiumy kąpielowe z poszerzoną talią i kapelusze z szerokim rondem, osłaniającym je przed księżycową poświatą. Waltorniści maszerują w tę i z powrotem, wygrywając donośne nokturny.

Chorzy z Palimpsestu przybywają tu, by odzyskać siły, gromadzić morskie szkło na nocnych stolikach i pisać powieści o naturze osamotnionej duszy. Na położonych w głębi lądu bazarach wąsaci mężczyźni sprzedają buteleczki z wodą morską za cenę całych królestw; mnożą się więc fałszywe fiołki. Wiatr jest słodki i orzeźwiający, pachnie mandarynkami, solą i białą szalwią; jego również oszuści pakują do butelek i sprzedają je – puste – imigrantom za cenę, która wystarczyłaby na zakup miejsca w parlamencie.

Co wieczór w okrytych gazą lektykach wynosi się na plażę wszystkich beznadziejnie chorych, żeby mogli zobaczyć wschód księżyca. Klaszczą, gdy biały krąg wznosi się nad wodą. Wiara w uzdrawiającą moc tutejszego wiatru jest tak przemożna, że na plaży wykonuje się operacje chirurgiczne. Narkozę podają wychudzone kobiety o włosach jak wata cukrowa, przykładając usta do ust chorych i tchnąc w ich osłabione płuca opary swoich kryształowych serc.

Od czasu zakończenia wojny, Ermenegilde jest stałą bywalczynią plaży. Budzi politowanie. Nie doczekała się nowego przydziału i została uznana za niezdolną do służby. Od dwunastu lat codziennie krwawi z ran. Jej lektyka jest przybrana niebieskimi dzwonekami – kwiatami weteranów. Jałowa gaza spowija jej twarz niczym długi woal panny młodej. Wszyscy są zgodni, że gdyby nie usta, byłaby prawdziwą wdową pięknnością, ale tych ust nie można nie zauważyć.

W szpitalu polowym, w którym dokonywano amputacji, chirurdzy odjęli jej zuchwę, usunęli zęby i odcięli większość nosa, po czym na ich miejsce niezbyt wprawnie przyszyli

pysk pantery. Wtedy jeszcze taki zabieg był nowinką (dopiero z czasem miał się stać najważniejszym symbolem wojny) i w Palimpseście nie było specjalistów. Przeszczep się nie przyjął, rany nie chciały się goić i po dziś dzień Ermenegilde musi mieć założone szwy, żeby jej złożona z dwóch części twarz się nie rozpadła. Grube węzły są czarne od krwi. I mimo że jej nowe zęby są – zgodnie z założeniem – ostre i niebezpieczne, a wąsami wyczuwa najmniejsze nawet spadki ciśnienia atmosferycznego, cierpi z powodu infekcji i napadów gorączki.

A poza tym – co oczywiste, nadzwyczaj oczywiste – nie mówi. Żadne z nich nie mówi.

Ermenegilde zawsze pierwsza zjawia się wieczorem na plaży. Od dawna pasjonuje się fotografią i pielęgniarce co wieczór pomagają jej rozstawić aparat do dagerotypów, z których odbija potem ogromne portrety okrągłej srebrnej twarzy księżycy, licząc na to, że ta w końcu ją uzdrowi. Bierze głęboki wdech i modli się w duchu, żeby księżyc znieruchomiał do zdjęcia. Wie jednak, jakie to trudne, i nie ma do niego pretensji, że bywa niespokojny. Ona również musiała siadywać nieruchomo przed pamflecistami i historykami medycyny. Po tylu latach dysponuje niezmiernymi pokładami empatii.

\* \* \*

November ostrożnie podtrzymuje lewą rękę prawą. Nie chce o tym myśleć, nie teraz, o tym poranku przed trzema dniami, kiedy obudziła się wśród krwi płamiącej jasne włosy tej biednej dziewczyny, pozbawiona dwóch palców. Palców od błogosławieństwa. To jest prawie zabawne. Rana zniknęła, kikuty zarosły gładko, jakby ktoś po prostu zerwał jej palce jak dojrzałe owoce, ale była krew, wszędzie była krew, która nie miała skąd popłynąć. Długo musiały ją zmywać, szorować wszystko, żeby się jej pozbyć.

Casimira miała rację. November rozjaśniło się w głowie, nie da się już nabrać na gadanie o tym, że „to tylko sen”. Cokolwiek dzieje się tutaj, powtarza się i tam. Szybko się uczy i na swój sposób docenia postępek Casimiry. To jak ściąganie na egzaminie: o ileż łatwiej się go zdaje, kiedy człowiek wypisze sobie na ręce odpowiedzi.

– Mój dom za tobą tęskni – słyszy obok siebie upojny głos Casimiry.

Odwraca się i widzi kobietę o zielonych lokach. Rozpuszczone włosy sięgają jej aż do kolan, kiedy stoi przed nią w szlafroku zasłaniającym całe ciało, zielonym i wydętym. November kładzie sobie dłoń na brzuchu, w miejscu gdzie jej skóra prześwituje spod sukni Aloysiusa.

– Nocami płacze kurzem – mówi dalej zielonowłosa kobieta. – Przewrócił kartki wszystkich kalendarzy na jesień. To potwornie męczące. Jeżeli nie będziesz go odwiedzać, nie zaznam spokoju.

– Skąd wiedziałas, że tu będę?

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, że gdy mucha, pszczoła czy najmniejszy nawet robaczek

jest świadkiem jakiegoś wydarzenia, ja też się o nim dowiaduję? Tak bardzo się starałam, żeby ci to wytłumaczyć. Czy musisz stracić kolejny palec, żeby to do ciebie dotarło?

– Nie! – zapewnia ją pospiesznie November.

– Jeżeli bardzo żałujesz tych palców, mogę ci pomóc je czymś zastąpić. Pod tym względem masz szczęście, że trafiłaś właśnie tutaj. Morze każdemu dobrze robi, a chirurdzy gromadzą się na plaży w poszukiwaniu zajęcia. Woda przyciąga rozpusztników i desperatów. Czy to nie dziwne? – Casimira całuje okaleczoną dłoń November, jak matka, której pocałunek leczy chorobę u dziecka. – Mogłabym ci chyba kupić całą nową łapę, tak sobie myślę... Chociaż one nie są zbyt zręczne. Tygrysią? A może lwią? Albo łapę pumy? Chyba że wolisz same palce, wtedy musiałyby to być jakaś małpa. Cena nie gra roli.

– Nie mogłabym dostać ludzkich palców?

Casimira parska śmiechem.

– Nie bój się, nasi chirurdzy są już naprawdę niezli w swoim fachu. Wojna jest cudowną nauczycielką.

– Skoro do wyboru mam tylko małpę lub jakiegoś kota, to chyba podziękuję.

– Nie umiesz się bawić – prycha Casimira. – Nic a nic.

\* \* \*

Idą plażą, trzymając się pod rękę. Casimira odpędza parasolką zebrzących o pracę chirurgów i podnosi z ziemi morskie szkiełko, żeby November mogła je sobie położyć na nocnej szafce, gdyby takową kupiła. Rozmawiają o powietrzu i wodzie, o tym, jak dobrze zrobiłby tutejszy klimat ojcu November w tym okresie, gdy trzeba go było znosić do małej łazienki na parterze, żeby tam mógł spokojnie wymiotować krwią.

– Jakkolwiek zasmucający jest przypadek twojego ojca, nie istniejemy po to, żeby wszystkim przynosić korzyści – podkreśla wyniośle Casimira.

November nie bardzo ma ochotę o tym dyskutować. Zna swoje miejsce we wszechświecie, zna jego etykietkę i wie, że ani jedno, ani drugie nie pomoże już jej ojcu. Dziś w jego czasce rosną grzyby i tyle.

– Co im się stało? – pyta, zmieniając temat. – Tym ludziom na długich łóżach, albo tej kobiecie z przyszytym zwierzęcym pyskiem?

– Była wojna, mówiłam ci już. I to niedawno, całkiem niedawno. Byłam dzieckiem, kiedy wybuchła.

– Jak się skończyła?

Usta Casimiry wykrzywia koci uśmiech. Spogląda z ukosa na November.

– Wygrałam. Czy to nie oczywiste?

November staje jak wryta. Pasemko wyblakłych kasztanowych włosów wypada z jej koka.

– Jak to? Wszyscy byli przeciwko tobie?

– No, to nie było takie proste, ale tak właśnie się skończyło. – Casimira odwraca się do niej i mimo że jest dość niska, w tej chwili do złudzenia przypomina surową nauczycielką. – Posłuchaj, November, podaj mi spis powodów, dla których można rozpętać wojnę.

November rumieni się, przestraszona. Nie chce na głos deklamować swoich spisów, rzucać ich do morza, w fale przyboju. Nie, kiedy jej ktoś każe. Spisy to nie żołnierze, nie wykonują rozkazów. Są jej prywatną sprawą, należą tylko do niej; Casimira i tak ma cały świat dla siebie, nie może dostać jeszcze ich!

– Pospiesz się – ponagla ją Casimira. – Bo jak nie, to dostaniesz palce orangutana.

– Religia – szepcze November. Żołądek zaciska się jej jak supeł, zawstydzone serce bije nierówno, jakby rozchyliła poły sukni i pokazała się naga władczyni Palimpsestu. – Ziemia. Zemsta. Zadawniona wrogość. Stare sojusze. – Głos jej się łamie i November zaczyna szlochać. Porzuca swój spis na rzecz powietrza, wiatru, morza, traci go z notatników i z głowy. – Zasoby: żywność, paliwo, woda, siła robocza, zaborcze rządy... nie wiem co jeszcze... przepraszam, nie mogę się skupić...

Twarz ją pali. Znowu ma ochotę się rozplakać, ale nie zamierza do tego dopuścić. Nie będzie się tak upokarzać. Jest pewna, że jeszcze nie podała powodu, który Casimira chce usłyszeć.

– Jak ci się wydaje, czy wojna może być narzędziem uprawiania polityki? – pyta Casimira z belferską nutką w głosie.

Obchodzą akurat zatoczkę, w której jezior morskiej wody wyrzuca na piasek lśniące, półprzezroczyste muszle jeżowców.

– Nie wiem... jestem tylko pszczelarką... Możesz wszcząć wojnę z dowolnej przyczyny...

– Dziękuję ci bardzo za pozwolenie, ale interesuje mnie twoja opinia.

– Naturalnie...

Casimira mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Jej ciemne oczy błyszczą rozbawieniem.

– Na przykład, polityki imigracyjnej?

November składa dłonie i prawą zasłania lukę po brakujących palcach lewej, ale nie przyzwyczała się jeszcze do żałosnych kikutów i cofa rękę jak oparzona.

– Nie wiem, Casimiro!

Twarz starszej z kobiet łagodnieje. Casimira przystaje i kładzie dłonie na policzkach November.

– Tak bardzo cię przerażam? Czasem trudno mi pamiętać o tym, że inni żyją samotnie i nie mają miliarda dzieci, którym koniecznie trzeba śpiewać kołysanki. Chodź, napijesz się czegoś; to ci dobrze zrobi. A potem będziemy musiały wracać, bo mój dom grozi zburzeniem stojącej po sąsiedzku pasmanterii, jeśli natychmiast cię nie przyprowadzę.

Kiedy kierują się w stronę lśniącego czarnego molo, przypominającego obwieszoną latarniami bryłę obsydianu, przechodnie – zdrowi i chorzy – schodzą Casimirze z drogi,

żegnają się lub przyklękają z czcią. Jeden albo dwóch lekarzy spluwa na jej widok, ona jednak idzie z dumnie podniesioną głową, dopóki plwocina nie splami rąbka jej stroju kąpielowego. Wtedy niedbałym pstryknięciem palców – takim gestem mogłaby strzepywać drobinę kurzu z kołnierzyka – wskazuje kierunek, z którego nadleciała ślina. Z jej rękawa wypryskują trzy osy i z piskliwym, wściekłym, urażonym wizgiem przychodzą swojej pani w sukurs, broniąc jej ostrymi żądłami ze spizu. Lekarze padają na ziemię, zakrywając głowy rękami.

Na moło Casimira zdejmuje z drucianego stojaka duży drewniany czerpak, zanurza go w morzu i podaje November, która, wciąż roztrzęsiona, rozciera sobie łokcie, ale pije. Woda smakuje mandarynkami, solą i białą szafwią; zupełnie nie przypomina smaku morza, jakiego zna, Pacyfiku o długich, szarych ramionach; jest gęstsza i słodsza. Nocny przypływ roztrząskuje diamentową falę o kamienisty brzeg. Piana pryska aż na srebrne włókniste chmury wokół księżyca.

Czy ja naprawdę uważałam kiedyś, że San Francisco jest piękne? – dziwi się November. Ależ byłam głupia...

\* \* \*

– Będziemy musiały nadłożyć drogi. – Casimira wzdycha. – Jesteś tu nowa, nie wydeptałaś sobie jeszcze żadnej rozsądnej ścieżki przez miasto.

– Przepraszam, próbowałam... ale wiesz... po drugiej stronie są tacy, którzy pilnują, żebyś nie spotykała za dużo ludzi...

– Tutaj też takich nie brakuje, zapewniam cię – prycha Casimira. – I nie wątpię, że próbowałaś, moja droga. Mało kto ma tyle szczęścia, żeby trafiali mu się po kolei sąsiadujący kochankowie. Nikt nie ma do ciebie pretensji.

Szmaragdowy powóz wjeżdża na piasek, rozbryzguje białe granulki i cicho, z troską otwiera drzwi. Wyczerpana November resztkami sił gramoli się do środka. Kładzie głowę na kolanach Casimiry. Za duża urosła, po prostu. A kiedy człowiek wyrośnie ponad przeznaczoną mu miarę, dzieją się straszne rzeczy. Nie da się opłynąć Krainy Czarów, tak jak zrobiła to September. Zwyczajnie się nie da. Jest za duża.

Parę smętnych pszczół spaceruje jej po rękach, ich maleńkie mechaniczne skrzydełka terkoczą cichutko. November uśmiecha się do nich bez przekonania i ostrożnie je głaszcze.

– Mam dla ciebie trzy sekrety, trzy tajemnice, które chcę przed tobą odkryć, November. Jak w bajce. To niezwykle skarby. Kazałam je specjalnie zapakować, ale jeśli chcesz je dostać, musisz być dla mnie miła. Rozumiesz?

November odzyskuje czujność. Trzy podarunki – to jest coś. Wie, jak się zachować, znalazłszy się w opowieści, w której władcza kobieta rozdaje prezenty.

– Tak – mówi i siada prosto.

Casimira głaszcze ją po głowie.

– Grzeczna dziewczynka. Moje pszczołki czegoś od ciebie chcą. Proszę cię, żebyś dała im to, czego pragną. Ja im tego dać nie mogę.

– Przecież jedziemy do twojego domu?

Śmiech Casimiry brzmi jak glissando srebrnych dzwoneczków.

– Narobiłaś ogromnego zamieszania w moich dzielnicach! Wszyscy krzyczą i złością się na ciebie. Jesteś gwiazdą ich gorączkowych majaków. Przypuszczam, że każda matka powinna być przygotowana na to, że nadejdzie dzień, w którym jej dzieci zakochają się i przestaną jej potrzebować, ale to takie bolesne! Nie mam tak sprawnego serca jak one! Jedziemy do fabryki, najdroższa. A potem do domu, gdzie czeka twój prezent, jeśli tylko będziesz grzeczna i posłuszna.

– Wytrwam na tratwie, aż powieje Zielony Wiatr – odpowiada z powagą November. – Moja sukienka to mój żagiel.

– Śliczne. To z Pisma?

– Tak! – przytakuje z zapalem November; zaciśnięte palce, wilgotne oczy. – Hortense Weckweert.

– Cudownie! Jej córka, Lydia, była znakomitą rzeźbiarką.

November rozdziawia usta. Powóz turkocze, a Casimira nie mówi nic więcej.

\* \* \*

Fabryka jest zbitą masą zielono-białych wieżyczek, z których jak z piszczałek kościelnych organów płynie pieśń nowej zmiany. Casimira dziarsko wchodzi przez główną bramę – to miejsce należy do niej, nigdzie indziej jej władza nie jest tak oczywista jak tutaj. W wyłożonej macicą perłową szatni, gdzie trzecia zmiana zostawiła hełmy, przebiera się w strój zwykłej robotnicy: zachodzące na siebie białe i zielone łuski, perłowe krążki lśnią w blasku iglic. Znajduje też podobne ubranie dla November, która w łuskowym uniformie czuje się prawie naga – widać każdą fałdkę i zmarszczkę na jej ciele. Łuski pachną jak zgniecione łądźki mięty.

Idą na górę, mijając olbrzymie kadzie i prasy tak stare, że żyjące w nich korniki zdążyły zapelnąć trzy encyklopedie dziejami swojego imperium. Furkotanie i bzyczenie owadów wypełnia każdy cal powietrza, ale słychać również skrzeczenie wiewiórek i odgłosy wydawane przez parzące się gwałtownie nowiuteńkie króliki. Ogromna maszyna uczy myszy, jak myć wąsiki; kiedy Casimira przechodzi obok nich, zgodnym chórem wykrzykują radosny hymn ku jej chwale. Pszczoły mieszkają jednak wysoko, wysoko na wieżach, Casimira i November wspinają się więc coraz wyżej.

– Fabrykę zbudowała moja babka – mówi Casimira. Mimo ciągnących się bez końca schodów nie jest ani odrobinę zdyszana. – Oczywiście nie matka mojej matki, lecz

przedrostek „pra-” musiałabym w tym wypadku powtórzyć tyle razy, że można by to poczytać za nieuprzejmość. Dla wszystkich spoza rodziny jest legendą nad legendy, wydaje się niemożliwe, że kiedyś naprawdę żyła. Niedorzeczne. A jednak. To moja krew z krwi i kość z kości, i znam jej smutki jak własne ciało.

Schody robią się bardziej strome. November dyszy ciężko, Casimira zaś idzie lekkim krokiem, jakby spacerowała po łące.

– Pewnego razu przyśnił się jej motyl. Kiedy się obudziła, ogarnął ją wielki żal, że nie może go mieć na własność. Przez następne trzysta nocy śniła o rozmaitych insektach – karaluchach z błyszczącymi skrzydełkami, świerszczach, modliszkach, stonogach, żukach, komarach i parecznikach jak perełki. W jej głowie szpaki i kruki trzepotały czarnymi skrzydłami i biegały pręgowce z sinymi paskami na grzbietach, jak pomalowane w barwy wojenne. Piękne wizje dręczyły ją nieustannie, a rodzina nie potrafiła jej uleczyć, choć przenoszono ją na plażę, tam gdzie piłaś morską wodę. Ona również ją piła, lecz nie przyniosło jej to ukojenia. Własnymi rękami wykopała fundamenty pod tę budowlę, paznokciami przymusiła ziemię do swej woli. Podziwiam ją. Ja również mam paznokcie, mam swoją ziemię, a o mojej woli nikomu nie trzeba przypominać. W dniu, w którym pierwsza mucha przysiadła jej na dłoni i rozłożyła skrzydełka, w którym pierwsza ślepa larwa szturchnęła jej policzek... To był dzień bezgranicznej, tajonej satysfakcji dla mojej babki. Dziś ja również znam to uczucie, znam je jak starego druha, jak kochanka, ale czas zaciera wspomnienia. Tędy, proszę.

Pochylają głowy w drzwiach i skracają do olbrzymiej komnaty, położonej tak wysoko, że November dziwi się, że pszczoły ją sobie upodobały. Sala jest cała z wosku w kolorze delikatnego masła, wysoko wysklepiona, jak kopuła katedry. Wszędzie zieją sześciokątne otwory, czarne i rozedrgane, a w powietrzu roi się od pszczół – podeksycytowanych, rozgorączkowanych, wyczekujących; ich liczba przekracza najśmielsze wyobrażenia November. Casimira staje na środku pomieszczenia, zamyka oczy i zaczyna się powoli obracać w miejscu. Szmaragdowe włosy oplatają ją jak wodorosty. Wyciąga ręce, jakby zapraszała November do dostojnego tańca, i wśród miliona czarnobrzuchych pszczół November nieśmiało bierze ją w ramiona.

– Wiesz, dlaczego tak dużo dla ciebie robię? – pyta ostrym tonem Casimira, przyciągając November zbyt mocno, zbyt blisko. – Chyba zgodzisz się ze mną, że dużo zrobiłam, a jeszcze więcej obiecałam?

– T-tak...

November czuje, jak żołądek wywija jej fikołka, i zaczyna dochodzić do wniosku, że Casimiry nikt nigdy nie nauczył słowa „nie”. Jest piękna i straszna, cały świat zagarnia dla siebie i nagle November zdaje sobie sprawę, że również została zagarnięta, a zagarnięty nie spiera się z zagarniającym. Ktoś, kto miał ojca bibliotekarza, z pewnością zna ten grecki mit: kiedy Hades wciągnie człowieka do swojego rydwanu, nie można mu zarzucać, że jest

nieuprzejmy, ponieważ nie pyta delikwenta o zdanie.

– Jesteś moim świadectwem – wyjaśnia Casimira. – Świadectwem wszystkiego, czego dokonałam w służbie miastu; dowodem mojej prawości i cnoty. Kiedy zjawiasz się w moich komnatach, wiem, że miałam rację, że nie jestem demonem, który wdarł się do mojego domu i rozszarpał go jakby... jakby miał lwi pysk. Jestem istotą o skomplikowanej geometrii, generałem groteski, księżną równoległoboków. Nie jestem jednak królową i nigdy nią nie będę. Nieważne, co o mnie mówią. Dopuszczałam się zbrodni, wypuszczałam na świat wszelakie diabelstwa, ale kiedy ty stajesz przede mną w tej granatowej sukni od Aloysiusa, twoja niewinność mówi: „Casimiro, wszystko zostało ci wybaczone, ponieważ ja tu jestem”. Moje pszczoły zawodzą: „Casimiro, wszystko zostało ci wybaczone, ponieważ ona tu jest”.

– Czego teraz ode mnie chcesz, Casimiro? Jest...

Wargi November drżą, a powieki same się zamykają, gdy prawie mdleje. Nie chce tego robić, ale czuje, że musi ofiarować coś w zamian za morską wodę, suknię i tę złocistą komnatę.

– Jest... jest dziewięć... kategorii ludzi... – ciągnie. Z wysiłkiem przetyka ślinę. Porządkuje rzeczowniki, uspokaja serce. – Dziewięć kategorii ludzi, którzy zasługują na rozgrzeszenie: żony, święci, dzieci, cudzołężnicy, dłużnicy, uczniowie, melancholicy, ci, których miłość napotyka przeszkody, oraz ci, którym zdarzają się napady gniewu.

To mój dar dla ciebie, myśli najgłośniejsz jak umie. Zapakowałam go specjalnie, jak prezent: ten spis. Jest tylko dla ciebie.

– Nie ma wśród nich pszczelarzy ani generałów – dodaje. – Możemy szukać pocieszenia tylko u siebie nawzajem. Na końcu długiej podróży nie czeka nas łaska. Powiedz, czego ode mnie chcesz.

Casimira pociąga lekko nosem. Jej oczy w obwódkach twardych łez lśnią jak kryształ.

– Myślałam, że już się domyśliłaś. One cię pragną, chcą cię mieć na własność. Na zawsze. Przez całe życie nie miały królowej, nie produkują nawet mleczka, bo składają się z drucików, szkła i mikroskopijnych silniczków. Do tej pory ja im wystarczałam. Może to ma być moja kara? Z pewnością odczuwam ból, tajony, przenikliwy, ale jestem gotowa spełnić ich prośbę. Matka musi być do tego zdolna.

November kręci głową i parska niewesołym śmiechem.

– Co by to miało oznaczać?

– Dokładnie nie wiem. Nie chcą mi powiedzieć. – Casimira marszczy brwi. – Jestem... zazdrosna. Tak, jestem zazdrosna. Ale to nic.

Strzała pszczelego życia odrywa się od ściany ulla, łukiem zmierza w ich stronę i ląduje przed November, gdzie przybiera postać owadziego golema, jej zalotnika z drugiej nocy, kiedy dostała sukienkę i oglądała pomnik przy Serafinów. Golem kłania się przed nią, a kiedy się prostuje, buczące dłonie ma pełne złocistego płynu. Wyciąga je w błagalnym geście.

– Mówiłaś, że nie mają mleczka pszczelego.



– Ja je dla nich zrobiłam, tak jak robię wszystko inne w tym pałacu przemysłu. Jakże mogłabym zachować się inaczej? Paznokciami przymusiłam ziemię do swej woli. Do kadzi z czerwonej gliny wrzuciłam mnóstwo ich biednych ciałek, wlałam złoty olej smarujący niewidoczne trybiki ich serc, dorzuciłam ich miód, który jest wydzieliną spod odwłoka i ma charakterystyczny aromat sosnowej smoły, i dodałam odrobinę swojej krwi – najlepszą namiastkę królowej, na jaką mogą liczyć. To ich pierwsze mleczko. Są z niego bardzo dumne.

Manekin otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć; z jego gardła dobywa się tylko zdławione bzyczenie. November doskakuje doń jak do płaczącego dziecka, układa go sobie w ramionach i zaczyna uciszać i utulać pszczoły, nucąc po swojemu, tak jak zawsze nuciła swym podopiecznym, kiedy były niespokojne, i choć nie przyniosła im kwiatów, nie ma dla nich wrzosów ani fiołków, bazylii ani pomarańczy, domyśla się, że wystarcza im sama jej obecność. Kiedy dostatecznie dużo pszczół zbierze się w jednym miejscu, stają się czymś więcej niż pszczołami, tak jak rzeczowniki stają się czymś więcej niż rzeczownikami. Nie można temu zapobiec.

Moja sukienka to mój żagiel.

– To, oczywiście, nie jest mój prezent dla ciebie – rzuca zdawkowo Casimira.

November ucisza golema, lekko głaszcze jego rozbzyczaną grzywkę.

– Och... Myślałam, że...

– Ja wiem, królowa to brzmi dumnie, ale w ostatecznym rozrachunku to mizerny dar. Na prezent trzeba sobie zasłużyć. – Casimira wskazuje skamlącego pszczelego homunkulusa. – Wraż mu pięść w serce. Tam znajdziesz swój prezent. Przyniosły ci go z plastra. Manekin rozpadnie się na kawałki i, pozbawiony serca, nigdy więcej nie powstanie, ale ty dostaniesz swój podarunek.

November spogląda na leżącego golema, który uśmiecha się do niej, przepelniony czarnym, brzęczącym zaufaniem. Czuje pod palcami delikatne futerko pszczelich ciał.

– Ale ja nie chcę go skrzywdzić – protestuje.

– To jest Palimpsest, November. Prawdziwy świat. Tu nic nie przychodzi bez bólu i śmierci. – Casimira przykłęka obok niej i ją całuje. Usta ma miękkie i szeroko rozchylone, ale język cofnięty w półskromnym pocałunku. – Wybrałam cię – szepcze. – Tak naprawdę, bardzo niewiele mnie różni od moich pszczół. Wybrałam cię, ponieważ one cię wybrały. Kochają cię, bo ja cię kocham. Jeżeli chcesz zostać ze mną, pić z oceanu i władać pszczołami, musisz mnie słuchać i być grzeczną. Sprowadzenie śmierci nie jest grzechem, jeśli w ten sposób... – Z wysiłkiem przełyka ślinę. – Jeśli w ten sposób tworzy się coś nowego.

November kręci głową. Nie wie, co Casimira ma na myśli, ale to bez znaczenia. Jeśli chce zostać. Jeśli chce zostać. Jeśli chce opłynąć Krainę Czarów. To nic trudnego. Wystarczy, że zabije kilka tysięcy pszczół; pszczół, które z nią tańczyły, broniły jej i spacerowały z nią ulicami jak dżentelmen w konkurach. Tylko tyle. Wtedy będzie mogła zostać – tutaj, w miejscu tak ogromnym, że nigdy z niego nie wyrośnie. Będzie mogła zostać.

Zamyka oczy i kładzie dłoń na piersi golema, który zaczyna płakać – okropne, monotonne, basowe, nieszczęśliwe buczenie. Łzy współczucia napływają jej do oczu. Odwraca głowę i zaciska pięść, którą przebija cieniutki mostek z pszczoł, nie bacząc na gniecione skrzydła i miazdżone odwłoki, na krzyk bólu z rozwartych szeroko ust manekina, i szuka, maca na oślep w zwartej masie, aż w końcu znajduje wilgotne, oślizłe, twarde serce pszczoł.

Wyciąga je pokłutą i opuchniętą ręką: mały złoty obiekt, jajowaty, pokryty mleczkiem pszczelim. Zgarnia mleczko na dłoń i połyka je; smakuje zwyczajnie, jak miód. No, może jest w nim nuta oleju silnikowego albo metalu, ale słaba i ulotna. Nie smakuje jak czerwone lilie ani wrzos. I z pewnością nie wyczuwa się w nim serdecznej patyny, jaką były przyprowadzone wszystkie miody November. To esencja miodu, wydestylowana, tak czysta, że smakuje tylko samą sobą. Nigdy nie miała w ustach czegoś równie pustego.

Manekin w ostatnim rozpaczliwym podrygu łapie ją za kark i pociąga jej głowę w dół, obejmuje ją, składa na jej ustach mężowski pocałunek – i nagle November orientuje się, co się za chwilę wydarzy, i nijak nie może się na to przygotować. Przeszywają ją tysiące żądeł, w każdym miejscu, którego udaje im się dosięgnąć; przenikają ją wszystkie, czuje ich jad – słodki i kwaśny, ostry i tajemny. Sztynnieje cała, gdy pszczoły umierają wokół niej, wypełniwszy swoje przeznaczenie. Odpadają od jej ciała, oddzielają się od golema, inne zajmują ich miejsce, a ona odpycha je gwałtownie i cofa się, zanim cały rój unicestwi się w tym gorączkowym, rozpaczliwym akcie pożądania.

Oczywiście się przewraca. Jest tylko kobietą, a w jej ciele krąży teraz morze jadu i miodu, które wyciekają z porów jej skóry jak złoty pot. Dygocze na podłodze ogromnego ula, jej plecy wyginają się spazmatycznie w łuk, nogi składają się w stawach, jajo wypada z ręki i klekocze o posadzkę. Jad przepelnia ją całą, wylewa się teraz przez usta, miód zmieszany z krwią.

Casimira patrzy beznamiętnie.

\* \* \*

Daleko stamtąd dwóch mężczyzn osuwa się w spazmach – jeden na posadzkę kościoła, drugi na dno łodzi; kobieta przewraca się na podłogę w tramwaju. Miód wypełnia ich usta, przed oczami wybucha im oślepiająca biel, potem czerń i znów biel.

\* \* \*

– Zbudź się, November – mówi chłopiec. – Zbudź się.

November rozchyła powieki, tak jak to robią koty, kiedy nie chcą się w pełni angażować w przebudzenie. Chłopiec uśmiecha się do niej uśmiechem idealnym, wyrazem czystej

technicznej precyzji, jakby od dwunastu lat ćwiczył ten uśmiech w okrągłym lusterku.

– Mam dla ciebie pokój – mówi dom i rumieni się chyba nieco bardziej niż chłopcom wypada.

November otwiera oczy. Chłopiec trzyma w rękach złote jajo, opalizujące jak grzbiet żuka i pokryte wytrawioną głęboko w metalicznej powierzchni siatką ulic przecinających się pod najdziwniejszymi kątami. Chłopiec z trudem powstrzymuje swój zapał, zupełnie jakby to był prezent dla niego, nie dla niej. November przesuwa paznokciem po jednej z biegnących równoleżnikowo ulic i bez najmniejszego wysiłku otwiera jajo, które w środku klei się od pszczelego mleczka.

Wewnątrz znajduje się skrawek papieru, elegancko przycięty i gruby jak płatek fiołka, na którym zamaszystym charakterem pisma (który może należeć tylko do Casimiry) skreślono trzy nazwiska:

*Oleg Sadakow*

*Amaya Sei*

*Ludovico Conti.*

Przypomina sobie dziewczynę o niebieskich włosach, mężczyznę z poplamionymi palcami i mężczyznę z kluczami przy pasku. Nie wie, czy te obrazy zawdzięcza swojej pamięci, czy pszczołom; nie potrafiłaby już ich rozróżnić. Jej umysł przeskakuje sam siebie w poszukiwaniu logiki i sensu.

Pszczoły wylatują z niej napędzane jej wolą. Ich buczenie wśród ciemnych ulic brzmi jak powtarzane szeptem imiona.

# DWA

## Tak

*Rzeczy, które są szpetne: znamiona, niewierność, intruzi w kuchni. Nadmiar światła słonecznego. Szwy. Brakujące zęby. Goście, którzy się zasiedzieli.*

\* \* \*

Miała na imię Clara. November mieszkała u niej przez cztery dni. Piątego dnia znów się kochały – skromne, smętne pożegnanie; po tym wszystkim nieuczciwie byłoby to nazwać czymś więcej. Clara miała zamknięte oczy, kiedy November ją całowała, zawzięcie zamknięte, aż powieki marszczyły się jej z wysiłku.

November zdawała sobie sprawę, że dla większości z nich obcowanie z nią jest trudne do zniesienia, zwłaszcza teraz, z tą oszpeconą twarzą i brakującymi palcami. Nikt inny nie był tak okaleczony, nikt nie musiał ponosić takich kosztów. Przykro było na nią patrzeć. „Nie mogę na ciebie patrzeć”, powiedziała Clara, kiedy już wypłukały jej z włosów krew. November doszła do wniosku, że lepiej odejść, dopóki niebo jest jeszcze porażająco niebieskie, a Clara cicho pochrapuje. Nie chciała znów oglądać grymasu politowania i zawodu na jej miłej buzi. Uciekła, okutawszy twarz kapturem jak trędowata.

Clara była jednak dla niej dobra. Miała niesamowity, filigranowy serwis herbaciany z litego niebieskiego agatu, który jeden z kochanków przywiózł jej z Iranu. Kochanek z dawnych czasów. Clara nalewała jagodowej herbaty do maleńkich filiżanek i nacierała palce November olejkim z witaminą E, chociaż nie było to konieczne. Robiła kanapki z kurczakiem i przynosiła pomarańcze z targu. Po dwóch dniach udawało jej się już nie patrzeć przy jedzeniu na okaleczoną dłoń November. Mówiąc, zniżała głos, jakby mieszkanie mogło je podsłuchać.

– Wiesz, kim jest Casimira? – zapytała ją November szeptem trzeciego dnia, przy

herbacie i lukrowanych piernikach.

Miała gorączkę, w jej umyśle – zdominowanym przez Casimirę i obrazy tamtego domu – wszystkie tłoki pracowały pełną parą. Z trudem przypomniała sobie poranny spis, tak bardzo drażniła ją tętniąca w uszach krew i rozbrzmiewający w nich upiorny sopran.

– Słyszałaś jej imię? No wiesz... tam?

Nie podobało jej się, że zaczyna wyróżniać to obojętne „tam” w głowie, ale nazwa tajemnego miasta raniłaby jej usta jak cienki nóż.

Clara postukała błyszczącymi paznokciami w filiżankę i spuściła wzrok. November już się nauczyła, że nie cierpi o tym rozmawiać. Wołała niemą komunię, porozumienie bez słów, wymianę znaczących spojrzeń ponad rozległą otchłanią.

– To ta od robactwa, prawda? – spytała. Kolczyk w języku nerwowo zaklekotał o zęby.

– Tak.

– Nie znam jej. Słyszałam to imię, ale nigdy jej nie poznałam, jeśli o to pytasz. Nikt jej nie lubi. Wydaje mi się, że ona ma coś wspólnego z tą wojną, o której wszyscy w kółko gadają.

November uniosła brwi, w roztargnieniu pocierając kikuty palców.

– Nic nie wiem! – warknęła Clara. – Wojna się skończyła. Tutaj mamy wystarczająco dużo takiego syfu, tam powinno być inaczej. Przyjemniej. Ładniej.

– Ładniej. Z tym się zgodzę.

– Ty tak mówisz przez te palce... I twarz. – Głos Clary wzniósł się niebezpiecznie, jak wazon, który zaraz spadnie i się roztrzaska.. Zmrużyła szare oczy. – Nam wszystkim tam jest lepiej. Łatwiej. To najpiękniejsze miejsce na świecie: wszędzie kwiaty, perfumy, klejnoty. Byłam kiedyś na balu, na którym wszyscy nosili kościane maski... Czaszki, wszędzie czaszki tańczące walca przy dźwiękach skrzypiec, na których grały dziewczynki bez twarzy. Kandelabry ociekały kryształami... Wszyscy rzucali się je łapać, kiedy skapywały na ziemię! One przynoszą szczęście, wiesz? Ja miałam czaszkę roka, wysadzaną setką kamieni księżycowych... Wiesz, co to jest rok?

– No pewnie: wielki biały ptak, który zjada słońce.

Dzieci bibliotekarzy rzadko napotykają tajemnicę, której nie umiałyby nazwać. Dumna z siebie November uśmiechnęła się półgębkiem.

– A ja nie wiedziałam. Musiałam zapytać mężczyznę z czaszką aligatora. Opowiadając mi o słońcach, rozwiązał wstążki mojej sukni, która zsunęła się na ziemię, a on przycisnął zęby do mojego dzioba, nazywał mnie „corazon” i tak natarczywie mnie całował, że nie mogłam złapać tchu. Tańczyłam naga wśród mężczyzn w wysadzanych klejnotami czaszkach, a oni podnieśli mnie, karmili czekoladkami, poili niebieskim szampanem... – Clara zatraciła się we wspomnieniach. Uniosła ręce do szyi, oczy miała wielkie i błyszczące. Spojrzała na November, szukając u niej potwierdzenia, ale oszpecona twarz gościa sprowadziła ją na ziemię, do stolika z herbatą. – Przykro mi, że dla ciebie to takie straszne – wyszczała. –

Przykro mi, że straciłaś twarz i palce, ale nie musisz psuć tego wszystkiego, co ja mam.

November uśmiechnęła się lekko. Czy ona również pójdzie pewnego dnia na bal i założy kościaną maskę? Czy Casimira ją tam zabierze? Czy będą razem tańczyć pod ociekającym kryształami kandelabrem? Czy każe jej za to zapłacić kciukiem?

– Wiesz, co masz na skórze? – spytała November, rozpaczliwie usiłując zmienić temat. – Jaką część miasta?

– Nie, oczywiście, że nie. Nikt tego nie wie, dopóki łut szczęścia nie sprawi, że trafi w pobliże tego miejsca. Ale jaka jest na to szansa?

– To jej dom, Claro. Casimiry. Nosisz go na brzuchu. To ogromny dom, żywy. Zaprosiła mnie do środka...

– Nie chcę o tym słyszeć! Obracam się w zupełnie innych kręgach niż ona i te kręgi nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

November machnęła przepaszająco ręką – tą, której niczego nie brakowało i na którą łatwiej było patrzeć. Wzięła głęboki wdech. To było najważniejsze pytanie. Jedyne. Spadło między nie jak mały meteoryt i legło na stole, dymiąc i psując przyjemność z herbaty.

– Jak myślisz, jest jakiś sposób na to, żeby przenieść się tam za dnia? Emigrować? Na stałe?

Clara wyszczerzyła zęby w uśmiechu i w jednej chwili powróciła cała jej zwiewna uroda, ukryta do tej pory wśród gniewnych zmarszczek i bruzd. Pochyliła się nad stołem, podniosła rzucony przez November meteoryt i patrzyła, jak lśni.

– Są różne teorie... Wiesz, tak naprawdę, to nikt nie wie na pewno. Nie ma żadnego... podręcznika. Parę razy słyszałam, że ktoś coś takiego pisze, że chce to opublikować jako zwyczajną powieść... Tylko my byśmy wiedzieli, czym jest naprawdę. Przejrzelibyśmy na wylot te wszystkie zmyślane postaci i naiwne zwroty fabularne. Rozpoznałybyśmy elementarz.

– I co się stało?

Clara zachichotała – był to niepoohamowany, osobliwy dźwięk, bardziej niż kobiecy śmiech przypominał paniczny, histeryczny chichot zwierzęcia.

– Jak by ci to powiedzieć... Z dzikim zapalem spalili wszystkie magazyny, w których był przechowywany elementarz. Odbyła się wymiana korespondencji, akcje zmieniły właściciela. Nikt nie chciał tego opublikować, nigdy, za żadne skarby, nie mogło być żadnej wzmianki o mieście... Jest taki Chińczyk. Nosi okulary. I ma siostrę. Właściwie, jak na to spojrzeć tak z dystansu, to jest nawet zabawne, jak jakieś udziwnione *West Side Story*. Ona chciałaby tam wszystkich wpuścić, a on pierwszy podłoży ogień pod książkę, która choćby wspomni o tym mieście.

November napiła się herbaty i na moment oszołomił ją błękit jej smaku. Przypomnił jej się brat Xiaohui, wiecznie przeczesujący Internet i niskonakładowe gazetki, żeby wymazywać z nich nawet najmniejsze wzmianki o mieście.

– Ja go chyba znam – powiedziała.

Clara wzruszyła ramionami.

– To możliwe. Na Zachodnim Wybrzeżu nie ma nas tak znowu strasznie dużo. Nikt nie wie, jak to się zaczęło. Chociaż kiedyś miałam takiego gościa... To był mój czwarty albo piąty. No wiesz, czwarty albo piąty z tatuażem. I on mi opowiedział taką okropną historię. Wylegiwaliśmy się na golasa u niego w domu, dojadaliśmy resztki *pad thai*, piliśmy burbona, kiedy nagle tak dziwnie na mnie spojrzał i powiedział, że podobno w Kambodży, tak mi się wydaje, że powiedział „w Kambodży”, była pewna kobieta, dawno temu, na długo przed wojną...

– Którą wojną?

– Jedną i drugą. Zanim jeszcze dotarli tam biali i w ogóle. Więc była taka kobieta, ciężarna, i ona wpadła do Mekongu. I nagle zewsząd zleciały się gwarki i ją wyciągnęły, ale przy okazji strasznie ją podziobały, tak że najpierw omal się nie utopiła, a potem, przez nie, prawie wykrwawiła się na śmierć! Rzeczny muł dostał się do organizmu, wdała się infekcja, przez wiele tygodni kobieta miała gorączkę. Wszyscy się nad nią modlili, aż pewnego dnia, po bardzo długim czasie, po prostu wstała i zaczęła normalnie chodzić, rozmawiać, gotować i tak dalej. Tylko w głowie jej się poprzestawiało. Od tej pory chodziła od wioski do wioski i namawiała szamanów, żeby robili jej różne paskudne, tajemnicze tatuaże. Nie mogła się powstrzymać, aż w końcu zrobiła się od nich cała czarna, tatuaże zlały się w jedną wielką plamę i wszystkim ulżyło. Urodziła jednak dziecko, dziewczynkę, i nadała jej imię Chanthou, tak to chyba brzmiało, Chanthou... Nikt potem nie chciał już dawać im jeść ani przygarnąć ich pod swój dach, bo dziewczynka też była wytatuowana, nie tak bardzo jak matka, ale bardzo; miała tatuaże nawet na białkach oczu. W dodatku nigdy nie nauczyła się mówić, nawet jak już dorosła, i ludzie uważali, że jest diabłem. Wyrosła na piękną dziewczynę. Mężczyźni z wioski płacili jej, żeby się z nimi pieprzyła, tak że przynajmniej miała za co kupić sobie jedzenie. Jej matka pewnie robiła tak samo, zwłaszcza że przecież w takiej wiosce nie ma za wiele pracy, z której można by żyć. Ale za córkę płacili więcej. Kiedy któryś z mężczyzn się z nią przespał, budził się z jednym z jej tatuaży na ciele, a z kawałka jej ciała ten sam tatuaż znikał i zostawała zwykła czysta skóra. Mężczyźni musieli później ukrywać te tatuaże, dziewczyna jednak była tak śliczna, dobra i cicha, że nie potrafili jej się oprzeć. Kłopot w tym, że taki tatuaż bardzo trudno ukryć.

Clara nerwowo odwróciła wzrok od pocerniałego policzka November i odkaslnęła.

– W końcu wioskowe żony zebrały się, w kupie napadły dziewczynę i tak ją pobiły, że myślały, że umrze. Zostawiły ją na śmierć. I na tym sprawa powinna się zakończyć, prawda? Nikt nie chciał jej pochować, bo uważano ją za wiedźmę i tak dalej, ale ciało i tak zniknęło. Faceci, którzy z nią sypiali, widywali ją później w dżungli, już bez tatuaży, z gładką brązową skórą: stała jakby nigdy nic, bez słowa, a przy niej siedziały dwa tygrysy. Przerażający widok. Prychała na mężczyzn jak kot i zniknęła bez śladu. Pewnego dnia zniknęła także jej matka, a

potem przestano widywać dziewczynę z tygrysami. Kiedy jednak wszystko wróciło do normy, nagle zaczęli znikać mężczyźni, pojedynczo, a potem także kobiety. Nie było komu dbać o inwentarz, czyścić studni, łątać dziur w dachach, a kiedy szamani z innych wiosek przyszli rozeznąć się w sytuacji – zaniepokojeni, czemu nikt z tej wsi nie handluje już ryżem albo krewetkami ani nie przychodzi prosić o żonę – znaleźli puste domy. Rozrzucili po kątach kości i inne magiczne przedmioty, posypali solą i orzekli, że wioska jest przeklęta. Podobno do dziś nikt tam nie mieszka, została po prostu martwa plama w środku dżungli. Taki wielki krąg.

– Brzmi znajomo.

– To fakt. Muszę przyznać, że czasem sama rozglądam się za dziewczyną z tygrysami. Ale głupie, przecież nawet jeśli to wszystko prawda, to wydarzyło się bardzo, bardzo dawno temu.

November wzruszyła ramionami.

– Czyli nie wiesz, jak się tam dostać inną drogą? – zapytała. – Ani jak zostać?

– Nie, nikt tego nie wie. Nikt stąd, ale podejrzewam, że także nikt stamtąd. Ale czy to ważne? Po prostu... ciesz się tym, co masz. Przecież to fajne, mieć tajemnicę, prawda?

Herbata wystygła.

– Widzisz, Claro, problem polega na tym, że ta droga jest już dla mnie zamknięta. Tak mi się wydaje. Z tą twarzą i z taką ręką... Nawet tobie jest ciężko, a przecież mieszkamy już razem od trzech dni.

Clara zawstydzila się i zaczerwieniła. Wydawała się taka młodziutka, złożona ze śniegu i lodu.

– November... – odparła ze złością. – To nie tak. Miasto nie jest tylko dla ładnych ludzi. Ty nie możesz ukryć swojej tożsamości, żal mi cię, ale to jeszcze nie koniec świata.

– Miałam ogromne szczęście, że chociaż na ciebie trafiłam.

– Ach, o to ci chodzi? – Clara jednym gestem zbyła cały kosmos trosk. – Dam ci numer telefonu. Nie przejmuj się. – Nakryła okaleczoną dłoń November swoją. – Z czasem jest coraz łatwiej. Naprawdę.

\* \* \*

Po powrocie od Clary, jej herbaty i szerokich bioder, November nie miała ochoty spotykać się z pszczołami. Wiedziała, że źle robi, zaniedbując je w ten sposób, i że ich zaniepokojenie może zaszkodzić miodowi, ale nie mogła się zmusić, żeby przejść na drugą stronę poletka kwitnącej pszenicy i odwiedzić ule. Siadła w swojej pustej, kanciastej sypialni i spośród stojących w rzędach brązowych książek wyjęła jedną brązową książkę – tę, która miała na okładce nagą dziewczynkę łapiącą wiatr w trzymaną w rękach sukienkę. Otworzyła ją na mocno zaczytanej stronie. Kiedy ojciec w końcu kupił jej tę książkę, żeby nie patrzeć



dłużej, jak miodem i mlekiem maże egzemplarz biblioteczny, często czytała z niej tylko pierwszą stronę i wtulała się w nią jak w ulubiony kocyk.

*Dawno, dawno temu dziewczynka imieniem September okrutnie się znudziła mieszkaniem w domu ojca, gdzie codziennie zmywała te same różowo-żółte filiżanki i garnki po gulaszu, sypiała na tej samej haftowanej poduszce i bawiła się z tym samym małym milusim psiakiem. Ponieważ urodziła się w maju i miała pieprzyk na lewym policzku, a jej stopy były ogromniaste i niezgrabne, Zielony Wiatr zlitował się nad nią i pewnego wieczoru, niedługo po jej urodzinach, przyleciał pod okno jej pokoju. Był ubrany w zielony smoking, zieloną pelerynę stangreta, zielone bryczesy i miał zielone rakiety śnieżne. Nad chmurami, w dzielnicach nędzy, gdzie mieszka Sześć Wiatrów, panuje straszny ziąb.*

*– Wyglądasz mi na zrędliwą i humorzystą panienkę – powiedział. – Co powiesz na to, żeby odfrunąć ze mną, osiąść Lamparta Małych Bryz i udać się nad wielkie morze na granicy Krainy Czarów? Obawiam się wprawdzie, że nie będę mógł tam wejść, gdyż Surowym Wichrom wstęp tam jest wzbroniony, z radością jednak odstawię cię nad brzeg Morza Przekornego i Niebezpiecznego.*

*– Och, tak! – wyszeptała September, która, jak już wspomniano, szczerze nie znosiła różowo-żółtych filiżanek oraz małych milusich psiaków.*

Wierzchem oszpeconej dłoni otarła łzy z oczu. September powiedziała „tak”. To poruszyło November znacznie bardziej niż podobieństwo imion – wtedy, w domu ojca, kiedy, siedząc w olbrzymim fotelu, majtała nogami w powietrzu. September powiedziała „tak” bez wahania, bez obaw, bez chwili zastanowienia, nie myśląc o matce ani ojcu. Zgodziła się ze szczerego serca i w ten sposób trafiła do Krainy Czarów, podczas gdy inne dzieci musiały zostać w Omaha i zmywać.

Na marginesie książki November dawno temu nagryzmoliła drobnym, niepewnym charakterem pisma:

*Słowa, których będę się starała częściej używać: Dlaczego? Kocham cię. Przepraszam. Mogę czekoladkę? Tak. Tak. Tak.*

Sięgnęła po telefon i wybrała numer, który dostała od Clary. Zadzwoił dokładnie dwa razy, zgodnie z planem. Przyjedzie za dwie godziny. „Z miasta to jest kawałek drogi, chyba rozumiesz”. „Ależ oczywiście, rozumiem doskonale”.

\* \* \*

Kiedy przyjechał, zdziwiła się, jak bardzo obojętny jest jej cały ten układ. Był dla niej nikim, zaledwie kanałem dostępu. Drzwiami. Kiedy zamykała oczy, nie umiała sobie przypomnieć jego twarzy, mimo że właśnie całował jej ramiona. Był po prostu drzwiami – wysokimi i szerokimi drzwiami w długim zielonym płaszczu, na widok którego uśmiechała się tak szczerze, z taką radością, że mimo brakujących palców i brzydkiej twarzy wziął ją w ramiona jakby występowali w najprawdziwszym filmie. Z miejsca nabrała do niego sympatii. Dotykała jego twarzy, muskała rzadką ciemną brodę, spoglądała w zielone oczy, jakby lekko zmęczone. To od jazdy, tłumaczyła sobie. Bo przecież snu nam nie brakuje.

Objął ją swoimi ogromnymi ramionami, muskularnymi okowami, w których czuła się bezpieczna. Nigdy nie była z mężczyzną, który byłby od niej o tyle większy. Przy nim czuła się maleńka, jego ciało ją chroniło, jego płaszcz osłaniał przed światem. Chciał go zdjąć, ale mu nie pozwoliła; zachwyił ją szorstki dotyk wełny na skórze jej pełnych piersi. Jej nogi wyglądały tak niepozornie, kiedy objęła go nimi w pasie, jak nogi lalki, ale doszła do wniosku, że nie tego chce. Nie chciała przyjmować go w swoim wnętrzu. Odsunęła się, uklękła przed nim, odgarnęła włosy do tyłu i pochyliła się, żeby wziąć go do ust; rzadko to robiła, bo za tym nie przepadała, ale on miał zielony płaszcz i przyszedł ją zabrać do Krainy Czarów.

Tak, pomyślała. O, tak. Chciała mu podziękować, że nie zwraca uwagi na jej oszpecenie, że zachowuje się tak, jakby niczego jej nie brakowało. Nie miał słodkiego ani słonego smaku, smakował po prostu skórą, był taki czysty, twardy i taki duży, że żuchwa omal nie wyskoczyła jej z zawiasów, kiedy pojękiwał, poruszając się w jej gardle. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że siedzi na aksamitnej kanapie powozu Zielonego Wiatru... A może Casimiry? Kiedy potężny mężczyzna na jej łóżku nabrzmiewał, zbliżając się do swojego pozbawionego słów orgazmu, ona była tysiąc mil stamtąd, w chmurach nad Omaha, gdzie rozchyłała poły płaszcza Zielonego Wiatru i dosiadała go okrakiem, przyjmując jego – z pewnością również zielone – ciało w swoim ciele i kołysząc się w przód i w tył, a on sapał, pojękiwał i wbijał szmaragdowe palce w jej pośladki.

Tymczasem tutaj, w Benicie, przykryła dłonią czarne znamię na nagiej łydce obcego mężczyzny, a on wplótł palce w jej włosy. Jego krzyki niosły się echem po domu jak spis rzeczy, których może pragnąć człowiek: Boże, Boże, Boże.

## Róg Ofiarnej i Sztuczek

Wzdłuż brzegów Albuminy ciągną się stojące na palach czynszówki. Trudno już dziś powiedzieć, jak zostały zbudowane – ich podpory są wątłe jak babie lato i gną się na wietrze, ale domy mimo wszystko stoją, a w zamożniejszych dzielnicach mówi się, że biedota odkryła pewne drzewo (prawdopodobnie odmianę karłowatej brzozy), które marzy o lataniu. Nic więc dziwnego, że nadrzeczne slumsy nazywa się Ptaszarnią.

Z oczywistych powodów produkcja drabin jest w tym rejonie Palimpsestu wielce cenionym rzemiosłem, wręcz świętą profesją; każdy szczebel ma szczególne znaczenie duchowe. Pierwszy nosi nazwę Szczebla Uczciwej Pracy, ostatni Szczebla Soli Niebios. Pomędzy nimi każdy drabiniarz wytycza własną ścieżkę. Kiedy któryś szczebel się złamie, dom czeka nieszczęście; by je odwrócić, trzeba się pozbyć przynajmniej jednego dziecka, oddając je do innego domu. Dzieci takie nazywa się „szczebelkami”. Krążą z kamienicy do kamienicy po całej Ptaszarni, a przeciętna jakość lokalnych wyrobów drabiniarskich sprawia, że prędzej czy później wracają do rodziny.

Kiedy dziewczynki z Ptaszarni trochę podrosną, codziennie rano wychodzą nad Albuminę przywitać nowy dzień. Splatają swoje niesamowicie długie warkocze w sieć, biorą się za ręce, wchodzą do wody i kładą się na plecach. Unoszą się na wodzie, kołysane leniwym nurtem. Na płycznach żyją olbrzymie złote *koi*, które wprost przepadają za smakiem ludzkich włosów. Tym sposobem zaplątują się w sieć, a w południe dziewczęta wyciągają ją na brzeg i patroszą zdobycz kościanymi nożykami, które noszą przyczepione do łydek. Zachwycone *koi* umierają w plątaninie loków, wśród dzikich śmiechów dziewcząt. Ich mięso ma posmak kokosa i ptasiego tłuszczu. Dziewczęta zaś mają do wieczora czas na naukę.

Nhean – stary człowiek z wydatnym brzuchem i głową rozeźlonego tygrysa – mieszka w jednym z nadrzecznych domów. W miejscu, gdzie tygrysie prążki stykają się z ludzką skórą, biegnie czerwono-fioletowa blizna. Z nieszczęsnych *koi* przyrządza żółtawy gulasz, którego słodczy pożądamy wszyscy sąsiedzi. Nhean jednak nie lubi się nim dzielić, mimo że nie dostałby przecież ani jednej ryby, gdyby młode dziewczyny nie obdarowywały nimi starych i schorowanych mieszkańców Ptaszarni, którzy sami nie mogą ich sobie nałapać. Codziennie po południu jada więc sam, szarpiąc mięso psującymi się kłami.

Jest niemy, jak wszyscy z jego rodzaju.

W Ptaszarni nawet najmniejsze dzieci wiedzą, że to właśnie tutaj, w rzeczonym mule, kończą wszyscy weterani, i od małego uczą się, żeby z nimi nie rozmawiać. W trzecim okręgu kobieta z łapami hieny nie przejmuje się obecnością małych rybaczek, które z zapartym tchem patrzą, jak płucze wykonaną z drewna strączyńca przetokę, i zaglądają w miejsce, gdzie dawniej miała krtań. Nhean nigdy by się na to nie zgodził. Jego rodzina mieszka w Palimpseście dłużej, niż drzewa pragną latać, toteż lepiej niż inni rozumie ideę przyzwoitości.

Wymyślił wprawdzie własny język migowy, ale dzieciaki domyślają się tylko znaków oznaczających „matkę”, „południowy wschód” i „spać”. Zresztą, już dawno dałyby mu święty spokój, gdyby nie ten przepyszny gulasz, w którym pływają zielone szalotki i pomarańczowe rybnie ogony.

Nhean jest również drabiniarzem. Szczebłom dzielącym Uczciwą Pracę od Soli Niebios nadaje dziwaczne nazwy: Phirun, Który Uwielbiał Betel; Sovann, Który Nie Lubił Swojej Żony, Ale Nigdy Jej O Tym Nie Powiedział; Veasna, Pijak I Ladaco.

Samnang, Który Ją Kochał. Vibol, Który Ją Kochał. Munny, Który Ją Kochał.

Chanthou, Która Nikogo Nie Kochała.

Nikt nie rozumie tego nazewnictwa, a Nhean-niemowa nie ma go jak objaśnić. To pewnie coś z wojny, tłumaczą sobie ludzie. Imiona ludzi z jego kompanii. Albo plutonu. Albo może imiona tych, których zabił.

Mylą się, ale ponieważ takie tłumaczenie brzmi rozsądnie, Nhean nie wyprowadza ich z błędu.

Od wielu lat celowo wstawia w swoich drabinach dwa słabsze szczebble, które obluźwiają się i łamią wcześniej od innych. Tak powinno być. Tak właśnie się stało w wiosce dawno, dawno temu, w zielonej krainie, której nazwy Nhean już nie pamięta.

Ja, naturalnie, ją pamiętam. Mógłbym mu powiedzieć. Przypuszczam, że nie byłby zachwycony. Zepsujemy mu dzień do reszty? Wystarczy nachylić się do tego wielkiego, kosmatego ucha i szepnąć jedno jedyne słowo, słowo z innego świata, sprowadzające wszystkie koszarne wspomnienia, które z płaczem wyparł.

Nie mogę tego zrobić. Jest taki stary. To już dziś nie ma znaczenia.

\* \* \*

W głębi serca, które wciąż jest całością, Nhean żywi tajoną nadzieję, że doczeka dnia, w którym pęknie wystarczająco dużo szczebbli, żeby jakieś dziecko trafiło do jego domu. Mógłby je pokochać i nauczyć gotować gulasz, a nocami, kiedy zaśnie otulać ogonem.

Na razie nic takiego się nie wydarzyło.

Oslabione szczebble nazywają się Chanthou, Która Nikogo Nie Kochała, i Mealea, Która Wpadła Do Rzeki.

\* \* \*

– Pamiętasz, kiedy matka pierwszy raz dała nam kawior? – pyta Ludmiła. – Ja pamiętam, jaki był czerwony. Ikra pękała mi na języku i cały ten złocisty rybi olej spływał do gardła. Był przepyszny, taki słony... jakby to nie były jajeczka, tylko małe banieczki pełne łososiowych łez.

Oleg marszczy brwi.

– To było przed moim urodzeniem. Nie mogło mnie przy tym być.

– Och... – Jej piękne czoło marszczy się. – No tak, naturalnie. Czasem zapominam.

– Wiem. – Spieniona rzeka przepływa obok nich i Oleg ma wrażenie, że widzi w niej otwierające się oczy, ciemne rybie ślepie. – Pamiętam, jak opowiadałaś mi historię o krainie umarłych – mówi dalej, chcąc pocieszyć Ludmiłę. – Powtórzyłem ją matce, a ona na miesiąc zabrała mi wszystkie książki. Pamiętam też, jak oświadczyłem się tej dziewczynie, Polce. Szepnęłaś mi wtedy do ucha, że ona nie ma żółtego płaszcza przeciwdeszczowego i że to się musi źle skończyć

Ludmiła przekrzywia głowę.

– I co, nie miałam racji?

Wciąż ma drobinki śniegu we włosach. Oleg zaczyna podejrzewać, że ten śnieg nigdy się nie stopi.

– Dopłyniemy dzisiaj? – pyta. – Tam, dokąd zmierzamy?

– Chyba tak. Mam nadzieję, że nie masz lęku wysokości.

Ludmiła długo milczy. Oleg gładzi ją po kolanie, delikatnie, cnotliwie.

– Gra w „Czy pamiętasz?” jest taka dziwna... – Miła wzdycha. – I taka przyjemna. Jedyna możliwa odpowiedź brzmi „tak”, bo „nie” od razu przerywa zabawę. Pamiętasz, jak odeszłam? Od tej dziewczyny z Brooklynu i od ciebie?

– Tak. Przepraszam. Mówiłem już, że jest mi przykro.

– Nigdy cię nie interesowało, dokąd wtedy poszłam? Nie przyszło ci do głowy, że istnieje jakiś książe cholery?

– Nie umarłaś na cholere – wytyka jej Oleg.

– No to książe topielców. Z niebieskim parasolem. Może mnie pocałował. Może miał zimne usta.

Oleg wazy jej słowa. Coś takiego nie przyszło mu wcześniej do głowy, ale teraz ta perspektywa niezbyt go niepokoi. Umarli trzymają się w swoim gronie, a poza tym nigdy się nie spodziewał, że dowie się o wszystkich romansach siostry.

– A tak było? – pyta.

Miła wzrusza ramionami.

– Nie.

– Tęsknię za tobą – chrypi Oleg przez ściśnięte gardło. – Brakuje mi twojego sposobu mówienia o różnych rzeczach. Bez ciebie świat przewraca mi się do góry nogami.

Ludmiła potrząsa głową, jakby chciała oczyścić ją ze śmiecia, opróżnić ze wszystkiego, co zakłóca spokojny przepływ wody.

– To dla mnie... trudne – mówi.

– Mnie też nie jest łatwo! To miejsce jest obłąkane, piękne, ale... nienormalne. Mimo to musiałem tu wrócić! Ty jesteś tutaj, nie w domu. W domu zrobiło się bez ciebie zimno, sypiam na podłodze, bo nie mogę znieść myśli o sypianiu w naszym łóżku. Hester... Ty jej chyba nie znasz, taka z krótkimi włosami, jak u chłopaka... To ona nie chciała tu wracać. Przynosi mi czasem sok pomarańczowy i zimne hamburgery, kiedy nie mam siły wyjść i czegoś sobie kupić. Wiem, jak to brzmi, jak fatalnie, ale ja się dobrze czuję. I nie przeszkadza mi, że teraz to ja do ciebie przychodzę, zupełnie mi nie przeszkadza. Tak jakbym był teraz twoim duchem. Mogę ci być wierny, tak jak ty mnie. Naprawdę mogę.

– Rzeczywiście, wierność jest ważna. To jedno z kryteriów wyboru.

– Że co?

– Dziwne... – mruczy pod nosem Miła. – Wioska księżycopijców została zniszczona, a te rozchwierutane chatynki na patykach przetrwały. Jak to możliwe? Ostrzał był przecież niewiarygodny: kanonada z osich dział, złote chmury, a potem jasnozielone rakiety ryjkowców, które wgryzały się w fundamenty. Płakałam. Pamiętam, jak płakałam. Od początku chodziło o wierność; zawsze to rozumiałam. To dlatego wybuchła wojna. To dzięki niej tak wiele się nauczyłam. – Spogląda na Olega. Po pięknych, wyrazistych kościach policzkowych płyną łzy. – Wiem, że jesteś mi wierny. Dlatego sprowadziłam cię na swoją łódź i trwam przy tobie. Kiedy wojna przemówiła bombami jak żuki, powiedziała, że wierność należy nagradzać wiernością. To trudniejsze niż się wydaje. – Przekrzywia głowę, jakby z powagą rozważała jakiś wyjątkowo złożony problem. Nagle przestaje płakać. – Zastanawiam się, jak długo to ciągnąć – dodaje rozmarzonym tonem. – Jest mi miło, kiedy mnie obejmujesz, kiedy w zimowy wieczór nazywasz mnie Miłą; lubię się do ciebie uśmiechać i widzieć twój uśmiech w odpowiedzi. Lubię to.

– O czym ty mówisz, Miła?

– Jeszcze trochę? Troszeczkę? Tak, chyba jeszcze przez jakiś czas pozostanę twoją siostrą.

Oleg mocniej zaciska palce na złamanym, bezużytecznym wiosle.

– Źle to jednak rozegrałam – mówi dalej Ludmiła. – Znudziło mnie powtarzanie stale tych samych słów i przemilczanie innych, znudziło mnie noszenie masek. Trudno mieć do mnie o to pretensje, taka już moja natura i muszę za to zapłacić wysoką cenę. Nie jestem twoją siostrą, Olezka. Być może nie powinnam była ubierać się w taki sposób, żebyś tak właśnie pomyślał, ale, prawdę mówiąc, wcale nie jestem sympatyczna.

– Proszę cię, Miła, nie mów tak. Nie mogę tego słuchać.

– Ale to okrucieństwo, utrzymywać cię w złudnym przeświadczeniu, że ona tu jest! Nie wiedziałam, że nie zauważysz różnicy. Zabawa jest nic niewarta, kiedy ty nawet nie podejrzewasz, że się bawimy. Okrucieństwem było pokazanie Hester dłoni umarłych, kiedy nie było przy niej nikogo, kto osuszyłby jej łzy. Dostałam nauczkę, więcej tak nie zrobię. Uczę się.

– Nie chcę tego słuchać. Dopiero co tu przybyłem. Daj mi położyć głowę na twoich kolanach i opowiedz mi o parkach umarłych.

– Martwię się o ciebie, Oleżka. Wydaje mi się, że źle z tobą. A ja cię kocham i chcę, żebyś był zdrowy.

– Nie... – jęczy Oleg.

Miła ściska rączkę parasolki. Ośnieżone włosy opadają jej na ramiona.

– Spójrz na mnie, Oleżka! I posłuchaj. Jestem... czymś innym. Takich jak ja nazywa się *pecia*. Jestem... maszyną, w pewnym sensie. Zbudowaną ze śniegu, srebra i ości rzecznych ryb. Pokrywa mnie patyna kopuła. Składam się z twoich wspomnień z dzieciństwa, z Nowogrodu i Połchowa, z dziewczynki w czerwonej sukience, z surowych zim. Zostałam stworzona specjalnie dla ciebie. Jest takie miejsce, w którym powstają takie istoty jak ja. Nie ma we mnie prawdziwych kości ani krwi, są jednak rzeczy białe i czerwone, takie jak kości i krew być powinny.

– To jakiś absurd. Jesteś prawdziwa. Mogę cię dotknąć.

– Tak, jestem prawdziwa. Jestem żywa i ciepła i dlatego nie mogę być Ludmiłą. Ale... – Miła opiera parasolkę o reling; lisy cicho pochrupują. Skrada się do Olega, włosy wloką się za nią po dnie łodzi. – Ale ją pamiętam. Pamiętam to, co ty z niej zapamiętałeś. Znam historię księżnej cholery i mogę ci ją opowiadać tak często, jak zechcesz. Pamiętam dziewczynę z Brooklynu, którą upatrzyłeś sobie na żonę. Pamiętam przynieszone przez nią kwiaty pomarańczy; ich zapach w naszym domu przyprawiał o mdłości. Skonstruowano mnie w taki sposób, żebym pamiętała. Cała składam się z pamiętania.

– Kto cię zbudował? – Oleg siedzi odrętwiały, jedną rękę zwiesił w mleczną wodę, gardło ma zaciśnięte jak pięść.

Ludmiła uśmiecha się i obejmuje rękami kolana.

– Palimpsest. Myślałeś, że cię nie kocha? Że się nad tobą nie lituje? Myślałeś, że ja cię nie kocham? Jestem w równym stopniu Ludmiłą i tym miastem. Pamiętam, jak miałaś czternaście lat i płakałaś rozdzierająco w moich ramionach, kiedy naśmiewała się z ciebie ta dziewczynka z krótkimi kasztanowymi włosami. Pamiętam powozy na mojej skórze i wojnę w moich trzewiach. Mogę jednak uśmiechać się do ciebie ustami Miły, opowiadać ci jej historie, nawet pachnieć jak ona, żeby wynagrodzić ci rzeczy, do których tęsknisz i krzyczysz po nocach.

Olegowi pocą się dłonie. Nie chce znać odpowiedzi. Nie pyta, nakazuje sobie, i próbuje zacisnąć krtań wokół tych słów. Pytanie jest jednak zamkiem szukającym klucza, którym jest

ona, i Oleg nie może się powstrzymać od zadania go, mimo że ma smak Wołchowa – mulisty, gloniasty, zimny, a on nie chce, nie chce wiedzieć, nie chce myśleć ani być, tylko zagrzebać się w niej, w tym czymś, co jest do niej ludzaco podobne i w zupełności mu wystarczy. Pytanie jednak wyrywa mu się wbrew woli, a on może tylko patrzeć na nie bezradnie – jakie jest brzydkie i żalosne, jakie wstydlive, jak bardzo typowe dla niego:

– Jeżeli ty tutaj, w Palimpseście, nie jesteś moją Miłą, tylko jakimś robotem czy czym tam chcesz, to dlaczego ona przestała do mnie przychodzić w prawdziwym świecie? – szepcze.

Kiedy Miła na niego spogląda, Oleg widzi, jak bardzo jest do niego podobna: taka sama pociągła twarz, ładniejsza – dzięki wyrazistym kościom jarzmowym, pełniejszym wargom, długim włosom i delikatniejszej linii szczęki – ale taka sama jak jego własna, jak twarz jego matki, zazdrośnie strzeżony rodzinny sekret, wyrażająca współczucie i smutek, miłość i bezradność... i bezgraniczną pogardę. Ma ochotę ją zdrapać, zedrzyć paznokciami, żeby ten elegancko ubrany, kłamliwy stwór umarł i została tylko jego Miła, żeby do niego wróciła, jego ukochana, tylko jego, i będzie wszystko pamiętała, i przeprosi, że porzuciła go jak psa, i będą szczęśliwi, i to wszystko się skończy.

Łapie ją za twarz – swoją własną twarz – i obraca ku sobie, wbijając paznokcie w policzek. Pojawia się krew, prawdziwa i czerwona, czerwona jak sny, a Miła w niczym nie przypomina maszyny. Oleg nie chce jej słuchać, nie chce usłyszeć tego, co ona wie, ale jest tak blisko, i naprawdę pachnie jak Miła, martwa, przemoczona Miła zaplątana w jego pościel. Całuje ją. Jej usta otwierają się pod dotykiem, chłodne i uległe. Nie chce przyznać, że tego właśnie pragnął. Mocniej wbija paznokcie, a ona wcale nie krzyczy. Smakuje jak świeża farba i nagle robi mu się niedobrze, chce wymiotować, woli umrzeć na rzece niż patrzeć na ten twór udający jego siostrę. Odpycha ją.

– Odejdź – syczy. – Zostaw mnie.

– A więc do tego służę, tak? Mam rozumieć, że po to mnie stworzono? Żebym krwawiła i pozwalała się całować? Czy w ten sposób chciałbyś wziąć w usta całe to miasto, pocałować je i wykrwawić?

– Odejdź, Miła! Nie prosiłem, żeby cię stworzono! To nie moja wina!

– Nikt nie prosi, żeby go stworzono. Ja się po prostu przydarzyłam. Wszyscy się przydarzamy. Spójrz na moją rękę. To nie jest ręka, to kręta ulica, która wybiega w twoją stronę i prosi, żebyś ją kochał i podziwiał, żebyś po niej spacerował, zamiast ją wykrwawiać. Jeśli chcesz, możesz mnie całować, ale nie w ten sposób, bardzo cię proszę. Jestem taka zmęczona, znużona wykrwawianiem się dla ciebie i dla innych, dla wszystkich szaleńców, którzy chcą się we mnie wedrzeć.

Oleg kuli się i cofa przed nią. Toczy wokół dzikim wzrokiem, przyciska pięści do kolan, aż w końcu zaczyna, powoli, uderzać głową w burtę łodzi. To go uspokaja. Ignoruje pulsujące w nim wrażenia innych, których dłonie dotykały kobiet, kapusty, muszli ślimaków. I tak są



słabe, ledwie wyczuwalne. Do tej pory tylko raz, może dwa umyślnie rozbił sobie głowę; nie chciał naruszać świętości tego aktu, bał się, że oswojony straci swoją moc. *Bam, bam, bam.* Tak jakby ta nieszczęsna, poobijana głowa miała zmieścić się w dziurce od klucza w zamku, którym jest cały świat, popchnąć zapadki, nadać ich układowi pozór symetrii i ładu, jakąś poprawność, równość. *Bam, bam, bam.* Nawet nie boli, nie tak naprawdę. Uderzenia są rytmiczne, jak bicie serca. Jego serce samo sobie nie poradzi, potrzebuje tego, żeby nie zgubić rytmu.

\* \* \*

Ludmiła patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Obciąga przód sukienki, zatroskana i niepewna. Oleg chyba nie zamierza przestać. Ubrała się dla niego w śnieg i w gwiazdy, a on nie chce przestać. Chciałaby go dotknąć. Ma do tego prawo, pamięta, że kiedyś tego chciała, i wie, że teraz też chce. Dostała idealnej synchronizacji, ona i jej model znaleźli się w tej samej fazie. Czuje, jak jej części składowe śpiewają radosne hymny z tego powodu, ale Oleg nie przestaje. Nie zamierza przestać.

Miła odwraca się powoli na pięcie i skacze do rzeki. Zostawia go. Jej tiurniura unosi się i podskakuje na powierzchni jak płetwa grzbietowa olbrzymiej ryby, kiedy zaczyna płynąć do brzegu.

# TRZY

## Teraz. Teraz

Hester prawie codziennie odwiedzała Olega. Zawsze wyglądała ładniej, kiedy na dworze było zimno. Miała rumieńce i pełno śniegu we włosach, który z trudem się topił w chłodnym mieszkaniu. Przynosiła mu buteleczkę soku pomarańczowego, który nie wiadomo dlaczego zapamiętał jako słodki, pachnący słońcem, szaleństwem, zielenią i hiszpańskimi miastami, chociaż w rzeczywistości był rzadki i kwaskowy. Hester marzła po drodze i jedzenie marzło razem z nią. Zszarzałe hamburgery oblewał kleisty keczup, hot-dogi z kiszoną kapustą przymarzały na brzegach – ale Oleg zawsze pochłaniał je bez słowa. Ich stan mu nie przeszkadzał.

Pewnego dnia Hester zastała go całego roztrzęsionego z pustym wiaderkiem po farbie w rękach. Wcześniej napełnił je wodą z hydrantu na dole, przy bojlerze, wciągnął po schodach na górę i z głuchym chlupnięciem opróżnił na łóżko, a potem gapił się na nie, aż woda zaczęła zamarzać (od tygodnia nie płacił już za ogrzewanie), ale Ludmiła nie przyszła, nie było tej, której pragnął, nie było jego siostry w obcisłej, za małej czerwonej sukience, nie przytuliła go, nie poczekała, aż wszystkie niezwiązane z nią wspomnienia się ulotnią i zostanie tylko ona.

Tylko Hester się zjawiała.

– O, kurwa... – rzuciła lakonicznie.

Oleg zwinął się w kłębek na podłodze.

Ale Hester wiedziała, o co chodzi, rozumiała go, pojmowała wszystkie jego zachowania. Nie wiedziała skąd, ale po prostu go znała. Usiadła przy nim i opowiedziała mu o pewnej nocy, kiedy obudziła się na cmentarzu, z bambusowej łądygi wyciągnęły się ku niej szare palce, a jej nozdrza wypełnił zapach śmierci. Nie rozumiał, czemu tak bardzo ją to zasmuciło, ale słuchał. Umiał słuchać, przyjmować. Wiedziała, że muszą być inni, lecz nigdy nie próbowała ich szukać. Nie zniosłaby drugi raz tej woni. Za to od czasu do czasu ktoś z nich ją

znajdował – i nienawidziła ich za to, za ten ich zapach, za piękno miasta, o którym jej opowiadali, podczas gdy ona wiedziała, że wcale nie jest piękne, tylko zimne, ponure i przeżarte przez robactwo, które nieustannie próbuje ją dopaść. Nie umiała dostrzec lśniącego cudu, który oni widzieli, i obrzucała ich wyzwiskami.

– Co widziałaś po mnie? – zapytał Oleg.

Zadrżała i łza skapnęła z jej podbródka na moką podłogę.

– Nic... – wyszczała. – Nie zniosłabym tego. Wzięłam pigułki, osiem na raz. Chciałam mieć pewność, że nie będę śnić. Połknęłam tyle, żeby na pewno nie przejść; żeby to coś mnie nie dotknęło. I to zostało we wnętrzu swojego drzewa.

\* \* \*

Tak najczęściej kończyły się próby rozmowy, które Oleg rzadko podejmował. Zwykle zostawiała sok i jedzenie obok jego leżącego ciała, wychodziła i zamykała za sobą drzwi. Dorobił jej klucz – w pewien wyjątkowo piękny dzień, kiedy wyszło słońce, a ona przyniosła mu zupełną krabową z odległego (i z całą pewnością mitycznego) baru. Spodobało mu się to mosiężne cudeńko. Klucz był ciepły w jej dłoni. Jednakże nie wszystkie dni były takie przyjemne. Najczęściej przez bite dziewięć godzin wpatrywał się tępo w łóżko i prosił Mię, żeby przyszła. Zaraz przyjdzie, myślał. Teraz. Teraz. Ale nie przychodziła. Nigdy nie przychodziła.

Przysypiał przy każdej okazji, aż w końcu jego ciało tak znużyło się snem, że kiedy w ogóle udawało mu się zasnąć, miał wrażenie, że leży przysypany popiołem. Marzył o tabletkach Hester, ale wiedział, że zabrałyby mu sny, a do tego nie mógł dopuścić. Swoich leków nie brał od tygodni. Nie pomogło: Ludmiła wciąż nie materializowała się w nogach łóżka.

Wzywał ją we śnie i na jawie, pływał tą makabryczną łódeczką w tę i z powrotem po śmietankowej rzece i wołał ją po imieniu. Tam również się nie pojawiła. Stracił ją na zawsze, w sposób bardziej ostateczny niż w dniu, kiedy się utopiła. Dziewczęta z warkoczami splecionymi w sieć przerywały łowienie ryb, żeby mu się przyglądać, kiedy wykrzykiwał jej imię, zdierał sobie gardło, aż w końcu tracił głos i mógł tylko szeptać je gwiazdom.

Kości biodrowe zaczęły mu przeszkadzać – nie mógł już sypiać na brzuchu, bo zapierały się o podłogę jak dwa ostre kolce i podtrzymywały go w górze. Nie zastanawiając się wiele, obracał się na grzbiet i znów mamrotał jej imię jak jakiś koan. Łopatki sterczały mu z pleców niczym skrzydła, więc leżenie na wznak też bolało, ale jednak mniej. Hester przynosiła maść, którą smarowała mu rany, a on jej nie rozumiał. Nie pojmował, dlaczego ona tak się nim przejmuje.

– To cię boli – powiedziała w końcu z udręczoną miną. – Miasto cię krzywdzi, tak jak mnie. Nie tylko mnie, ale dla innych jest po prostu niemiłe, a dla mnie i dla ciebie okrutne:

dla mnie od środka, dla ciebie od zewnątrz.

– Ja tylko chcę, żeby Miła tam była, kiedy wracam. Gdziekolwiek. Zrobiłem jej coś złego, wystraszyłem ją, tak jak cmentarz wystraszył ciebie, i teraz ona nie chce wrócić. Ale ja chcę, chcę...

Hester zapłakała razem z nim i dojadła po nim obiad. Nie było jej potem przez dwa dni i Oleg pomału zaczynał się zastanawiać, co zrobi, jeśli ona już nie wróci, bo uznała, że jednak nie jest jego bratnią duszą. Pewnie umrze z głodu. A wtedy Miła na pewno się zjawi, prawda? Będzie musiała po niego przyjść. Pomoże mu się spakować na drogę do kraju umarłych.

Tymczasem Hester wróciła, dla ochrony przed zimmem zakutana w dwa szaliki, i na szarzejącej podłodze obok niego położyła duży, opasy wizytownik. Wizytówki sterczały z niego we wszystkie strony jak kolce na jeżozwierz.

– Mówiłam ci, że stale ktoś próbuje mnie znaleźć – wyjaśniła. – Dawniej bardzo często się to zdarzało. Kluby nocne, przystanki autobusowe, sklepy spożywcze... Po prostu podchodzili i łapali mnie za rękę, tak jakby mieli do tego prawo. Plułam na nich, zwłaszcza kiedy siadali przede mną tacy spasieni i zakochani i zaczęli mi opowiadać o cudownościach, które tam widzieli. Ale zachowałam je wszystkie, dosłownie wszystkie.

Telefony, mnóstwo telefonów. I adresy. W miarę uporządkowane.

Spojrzał na nią pytająco. Jak wybrać?

– Dobrze, już dobrze... – zachnęła się. – Chłopak czy dziewczyna?

Zaśmiał się głucho.

– W moim stanie... chyba musi mi wystarczyć chłopak.

Zmarszczyła nos, ale Oleg nie umiałby powiedzieć, czy zniesmaczył ją jego wybór, czy sam fakt, że się na to zdecydował. Tak czy inaczej, w porze kolacji zjawił się chłopak – a właściwie mężczyzna, mól książkowy, z okalającą zuchwą rzadką bródką, w długim płaszczu z postawionym kołnierzem. Zaczął całować Hester. Nie protestowała, ale kiedy jego ręka zbłądziła na jej pierś, ugryzła go, i to mocno, i popchnęła do czekającego w przemoczonej sypialni Olega. Potknął się na progu. Hester stanęła w drzwiach. Drżała na całym ciele, rozcierała palce i zaciskała usta z całej siły, tak że nawet duch by się nie przecisnął.

Molowi książkowemu nie przeszkadzała ani chudość Olega, ani spowodowane niedożywieniem i nadmiarem snu osłabienie, które sprawiło, że biernie dawał się całować i rozłożyć sobie nogi. Przybysz miał w sobie odrobinę delikatności, widoczną zwłaszcza w zarysie ust, jak przyczepiony do wargi kawałek cukierka, kasek słodczy. Spojrzał na Olega wyrozumiale, ze współczuciem, i przytulił go do siebie.

– Wiem – szepnął mu do ucha. – Wiem.

W otepiałym, wyczerpanym ciele Olega pojawiły się ogień i ból, nawet odrobina pożądania, gdy nagle poczuł, jak intruz go wypełnia, i zapłakał nad sobą, nad tym, jak bardzo tego pragnął – tego żywego bytu w sobie, jasnego, ruchliwego i tętniącego krwią bytu, który nagle znalazł się tam, gdzie wcześniej bywały tylko sen i Miła. Mól książkowy trzymał go za

biodra delikatnie, lecz stanowczo, nie robiąc mu krzywdy, i szybko doszedł, jakby zdawał sobie sprawę, że Oleg mógłby więcej nie wytrzymać. W ostatniej chwili wykrzyknął czyjeś imię i Oleg życzył mu powodzenia z jego właścicielem, gdziekolwiek się znajdą.

Hester patrzyła, płakała i tuliła wizytownik do piersi.

## Róg Dezabilu i Bulwaru Kolejności

Do herbaciarni można wejść tylko na czworakach. Ci, którzy o tym nie wiedzą, są tak pyszni, że nawet się do niej nie zbliżą. Z boku są drzwi, dostatecznie wysokie na ramiona i schyloną pokornie głowę. Dach jest kryty strzechą z paznokci pustelników, którzy każdej zimy przysyłają czarne skrzyneczki pełne przezroczystych obcinków. Paznokcie nie mogą być pożółkłe, bo wtedy prawdziwy koneser od razu by poznał, że w środku podaje się podłą herbatę, parzoną przez osoby wątpliwego talentu i podejrzanej konduity.

Po wejściu stajesz twarzą w twarz z ciemnością; kiedy klęczysz, nie widzisz zbyt wiele światła. Mrok rozprasza się, gdy twoje słabe oczy się z nim oswajają, i zaczynasz rozróżniać ściany. Są złote jak ludzka skóra. Albo jak wnętrze ciała świętego. Dla twoich pokutujących kolan znajdują się poduszki. Obraz na ścianie – nakreślony szybkimi, pewnym ruchami pędzla, charakterystycznymi dla pewnej szkoły malarstwa – przedstawia miasto, w którym domy są prawie tak samo wysokie i strzeliste jak w Palimpseście. Nie jest to jednak Palimpsest, i ty o tym wiesz. To tylko landszaft, jak góra wśród kwiatów. Jakiś czas temu modne było malowanie wyobrażonych miast, miejsc zapamiętanych lub wymodlonych, bez wyróżniania lepszych i gorszych wizji.

Mężczyzna i kobieta odprawia ceremonię, która dla ciebie – niedouczzonego cudzoziemca – będzie całkowicie niezrozumiała. Rosalie wyciągnie z fałd sukni szczypce z macicy perłowej i z pieca – precudnego i filigranowego, którego ziejący czerwienią otwór jest jedynym źródłem światła w herbaciarni – wyjmie nowe filiżanki. Scamander sięgnie po zanurzone w lodzie szczypce z czarnej macicy perłowej i z lodówki – precudnej i filigranowej, której ziejące błękitem wnętrze jest wszystkim, co w tej chwili widzisz – wyjmie krążki zamrożonej herbaty: zawieszono w zielonkawym lodzie herbaciane liście. Będzie wkładał krążki do żarzących się jeszcze filiżanek, które zaczną stygnąć od topiącej się i nagrzewającej cieczy; unosząca się znad nich para będzie rzadka i słodka jak duch dawno ściętej trzciny cukrowej. Podtrzymają ci głowę, kiedy będziesz pił – tak jak rodzice dziecku, które dopiero uczy się pić – a kiedy się nasycisz, roztrzaskają filiżanki o ścianę i będą oplakiwać ich śmierć. Ich czysty i przenikliwy lament przeszyje cię do głębi.

Nauczyłem ich tego, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze młodzi. Mam nadzieję, że podobają ci się nasze obyczaje.

Scamander i Rosalie przeżyli całe życie w służbie tego rytuału; wierzą – całkowicie i bez zastrzeżeń – w symetryczną odpowiedniość ścianek filiżanki powstającej na kole garncarskim i krawędzi zamrażanego krążka herbaty. Jedno i drugie jest dla nich pełne treści. W okresie najwyższego nasilenia swojej wiary napisali nawet monografię na ten temat. Ich herbaciarnia mieści się w małym parku w kształcie trapezu, rozciągającym się pomiędzy Bulwarem Kolejności i ulicą Dezabilu. W parku pod modrzewiem (który w dniach rozpustnej młodości doznał pomieszania zmysłów i dziś na wiosnę rodzi kasztany) znajduje się siedem białych kamieni ułożonych w miłej dla oka, estetycznej konfiguracji. Chcąc tam trafić, należy przeciąć tory kolejowe (w tej okolicy wyjątkowo mocno natłuszczone i gładkie) i wskoczyć do parku, nie dając się zgnieść mechanicznym i napędzanym siłą mięśni pojazdom.

Zdaniem Rosalie i jej męża ta okoliczność również ma kolosalne znaczenie, gdyż łaskę zawsze zyskuje się na krótko, w zgiełku i chaosie.

\* \* \*

Ludovico nie wie, że powinien paść na czworaki, ale dla niego jest to i tak naturalny tryb poruszania się, jak dla kicającego królika. W środku – zgodnie z przewidywaniami – jest ciemno. Podnosi wzrok, ogarnia spojrzeniem zatłoczone wnętrze i widzi to, za czym tak długo tęsknił: blondynkę w zielonym szalu, siedzącą spokojnie, po turecku, jak indyjska bogini. Trzyma za rękę inną kobietę, która ma wściekłą grzywę czarnych loków i spojrzenie lwa poruszającego nerwowo ogonem.

\* \* \*

Zachowałem to specjalnie dla niego i dla nas: on ma cierpieć, a my patrzeć. Nie mogłem go dłużej przed nią chronić. Być może jestem zbyt pochopny, ale wiem, że mi wybaczysz.

\* \* \*

To Lucia, oczywiście, że Lucia, któżby inny? Dlaczego miałyby nie dostąpić tej łaski, nie dostać tej szansy? Gdyby choć napomknął Scamandrowi o tym zbiegu okoliczności, ten zrobiłby mu wykład o krążkach lodu, o tym, że postępując od środka ku brzegom, stają się coraz cieńsze. Rejon, w którym lód styka się z powietrzem, wprost skrzy się od nieograniczonych możliwości. Śmiertelnicy nie powinni go zamieszkiwać.

– Lucia... – szepcze Ludovico do żony. – Och, Lucia, jesteś. Jesteś tutaj.

Lucia mruży oczy i spina się do skoku, jakby chciała się rzucić do ucieczki, sufit jest tu jednak zbyt niski i skok byłby czymś niewybaczalnie nieuprzejmym.

Siedząca obok niej blondynka, która nie może być nikim innym jak Paolą, chrząka

przepraszająco i Lucia kiwa Ludovicowi głową jakby dopiero została mu przedstawiona; nic nieznaczące cmoknięcie w policzek, chłód w obejściu – ale cała drży. Kiedy przykładła usta do wciąż gorącej filiżanki, jej pysk chimery błaga bezgłośnie: „Odejdź, proszę. Zostaw mnie z tym wszystkim”.

Ale Ludo nie dba o protokół, jest zbyt pełny łez i nadziei. Wydaje z siebie głośny krzyk i wszyscy w sali nieruchomieją, krzywią się, odsłaniają ostre zęby w drapieżnych grymasach.

– Lucia! – ryczy Ludo. – Gdzie byłaś? O co ci chodzi?

Jej oczy są ogromne, jakby płynne, jak u dziecka przyłapanego na szkodzie.

– To należy do mnie – szepcze zażenowana jego obecnością i tupetem, które stawiają ją w złym świetle. – Nie możesz tego mieć. Proszę, odejdź.

Ludovico nic nie rozumie. Zbliża się do niej na kolanach, pokornie, wstydliwie, jak pokutnik. Błaga, by mógł znowu wnikać w swojego surowego, potwornego bożka.

– Nie chciałam cię tutaj – syczy Lucia w odpowiedzi.

Paola parska cicho. Dobrze zna Lucię, zbyt dobrze. Zachowuje się tak, jakby kontrolowała sytuację, ale jakim prawem? Co ona o nich wie? Ludo już jej nienawidzi i znajduje jej miejsce w systematyce za węgorzami i myszami, wśród owadów. Jest bezduszną, żarłoczną kobietą-mrówką.

– Gdyby nie ty, w ogóle by tu nie trafił, najdroższa – zauważa półgłosem Paola. – Nie złość się tak na niego. Jeżeli naprawdę go tu nie chciałaś, trzeba było zamknąć przed nim sypialnię jak meczet. Ja tak właśnie zrobiłam. Myślałam, że i ty uczynisz podobnie.

Lucia przewraca oczami.

– Byłam pewna, że się nie domyśli. Po pierwszej nocy nikt się nie domyśla, a szansa, że trafi na kogoś z naszych, była znikoma. Przecież on nigdy nie wychodzi z domu.

– Czego się nie domyśle? – Ludo czuje na sobie spojrzenie mnóstwa par oczu, ale nie potrafi się odsunąć od żony.

– Prawdy o tym miejscu, Ludo. – Lucia patrzy na niego z politowaniem. – O Palimpseście. O tym, jak się tu dostać. Jak tu zamieszkać.

Wybuchła zamieszanie, wszyscy klienci zaczynają się przepychać do maleńkiego wyjścia. Kłębą się aksamitne kapelusze i migają złote podeszwy butów, gdy ich właściciele wciskają się jedni przed drugich, żeby jak najszybciej wydostać się z herbaciarni. Nie podoba im się ta scena, nie chcą dalej słuchać, nie chcą wiedzieć.

– Lucia... – odzywa się Ludovico, gdy sala pustoszeje. Dla niego to jest bardzo proste. – Wróć do domu, proszę. Tak bardzo mi ciebie brakuje.

Kładzie mu rękę na głowie w starym, znajomym geście, w którym zachowała się jeszcze resztką dawnej czułości, ale jej dłoń jest zimna. Tak jak jej głos.

– To nie moja sprawa. Trafił tutaj, a to bardzo daleko od miejsca, do którego ja bym go przeniosła. Kto to był, Ludo? Kto pozwolił ci się wczłogać w głąb swojego ciała, tak jak teraz czołgasz się przede mną? Zorientowałeś się w ogóle, że tak właśnie to działa?



Patrzy na niego z niechęcią. Włosy ma upięte wysoko, podtrzymywane cienkimi piórami z brązu.

– Nerezza. A później jeszcze Anoud. Ale to nic nie znaczy, to był dla mnie tylko sposób, żeby cię odszukać. Ona tak powiedziała. Jedyne sposoby.

Lucia zanosi się pogardliwym śmiechem.

– Imponujące. Nerezza jest jak sfinks, taka skryta. Taka zamknięta. Czy to właśnie ci się w niej spodobało?

– Tu nie chodzi o podobać się.

– Ależ chodzi, przecież wiem. Byłam twoją żoną przez... ile, osiem lat? Straciłam rachubę.

– A jakie to ma teraz znaczenie? Zostawiłaś mnie. Odeszłaś tak daleko, że dalej już się nie da. Jak możesz być zazdrosna?

Lucia spogląda na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Rób, co chcesz – mówi.

– Chcę, żebyś wzięła mnie za rękę, wyszła stąd i żebyśmy razem wrócili do domu. Nie musimy sobie tego utrudniać. Nie będę ci tego wypominał, nigdy. Obiecuję. Wszystko będzie jak dawniej. Będziesz się wylegiwać na kanapie koloru orzechów hikory, a ja będę całować twoje łopatki. Zapomnimy o wszystkim.

Paola stanowczy gestem kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Daruj sobie – mówi. – To koniec.

– Za kogo ty się uważasz, do diabła?! – wścieka się Ludo. Scamander kuli się w kącie sali, Rosalie w histerycznym bezruchu kurczowo ściska szczypce.

– Kim jesteś, żeby tak do nas mówić? – ciągnie Ludovico. – Nie masz prawa!

Uderza dłonią w podłogę. Wie, że to źle, nerwy go ponoszą, zachowuje się jak dziecko, ale nie umie się powstrzymać.

– Należę do niej – odpowiada spokojnie Paola. Jej spojrzenie go przenika, ocenia i się wycofuje. Z pewnością uznała, że jest niegodny uwagi, mało ważny, jak zwierzątko. – Żyje ze mną w prawdziwym świecie, w mieszkanku z widokiem na rzekę. Mamy pelargonie i kota. Należymy do siebie nawzajem, a już niedługo, kiedy znajdziemy ostatniego członka naszego *quarto*, będziemy mogły zamieszkać tu na zawsze. A ty zawsze będziesz tylko gościem.

– Poznałam kogoś, Ludo. – Lucia wzdycha. – Dawno temu. – Stara się być miła, lecz z trudem skrywa wzdarcę. Zasłania się nią jak tarczą. Ludovico widzi, że to dla niej trudna chwila. – Mężczyznę z dziwnym znamieniem. Teraz już wiesz, o czym mówię; sam takie masz. Przykro mi. Seks z nim wydawał mi się całkiem nieszkodliwy. To się stało poza naszym domem, było takie odrealnione. To ty mnie tego nauczyłeś: jeśli coś dzieje się poza nami dwojgiem, nie jest prawdziwe. Uwierzyłam w to... Tak mi się wydaje. W Ostii w to wierzyłam. Do czasu, aż go spotkałam. To nie było nic złego, naprawdę. Ty byłeś taki zajęty nową książką, tą od tego Japończyka... Nie potrzebowałaś mnie. A dla mnie posiadanie

czegoś, czym nie muszę się z tobą dzielić, było takie cudowne, takie słodkie. Przygniatałeś mnie, pod tobą robiłam się taka cienka i wąła, że nie zostawało mi nic własnego. – Patrzy na swoją pustą filiżankę. – To wszystko tutaj jest tak piękne i zarazem tak okropne, o wiele prawdziwsze... Na pewno prawdziwsze od ciebie. Od tego, co o nas powiedziałaś. To moje miejsce, nie twoje. Nie twoje, słyszysz? Ty masz cały tamten świat, ten należy do mnie. – Mówi coraz bardziej podniesionym, spanikowanym głosem, jakby się bała, że Ludo chce jej coś ukraść. – Masz swojego Izydora, swój klej, braci w Umbrii, a ja nie miałam nic, tylko ciebie i te głupie ściany. Żyłam w tobie, Ludo, i byłam samotna. Nie jesteś dla mnie dostatecznie duży.

– Ja... Wydawało mi się, że nawzajem zawieramy się w sobie. Że byłaś szczęśliwa, tak naprawdę szczęśliwa.

– Nie, Ludo, to ty byłeś szczęśliwy. A teraz proszę cię, posłuchaj mnie. – Pochyliła się w jego stronę, aż jej piersi musnęły jego ramię. – Wynoś się stąd.

– Nie! Nie zostawię cię! Poradzę sobie równie dobrze jak ty, przeczolgam się przez cały Rzym, przepełnę jak robak i znajdę wszystkie potajemne wejścia.

– Nie możesz za mną pójść. Zapomniałeś? Nie jestem człowiekiem, lecz potworem. Chimera. – Wypluła pomiędzy nich to ich własne, prywatne słowo, i Ludo aż odskoczył, uderzony jego grudą. – A ty jesteś tylko człowiekiem. Nie masz wstępu tam, gdzie chadzają potwory.

– Pierwszy znajdę swoje *quarto*. Uprzedzę cię. Odbiorę ci to miejsce.

Lucia wybucha śmiechem – głośnym, okrutnym, szyderczym śmiechem, który Ludo rzadko u niej słyszał. Blondynka w zieleni wstaje, pociągając ją za sobą.

– Jesteś głupcem, Ludo – syczy Lucia. – Lepiej po prostu załóż czapeczkę z dzwoneczkami i zacznij się ślinić ku ucieście lepszych od ciebie. Nie uda ci się. Oni stoczyli o to wojnę, Ludo. Ludzie umierali tutaj i w prawdziwym świecie. Naprawdę umierali. Krwawili, a takie bestie jak ja pożerały ich serca. To była śmierć, najprawdziwsza śmierć, nie taniec szkieletów na pergaminie. Cena, jaką trzeba za to wszystko zapłacić, za herbatę, którą wypiałam, za wyścigi, które oglądałam, za plasterki kasztana, które będę jadła, i wino, które wypiję... Ta cena przetrąciłaby ci grzbiet. Niewiele brakowało, żebym ja pod nią pękła. Nie, Ludo. Gnij w prawdziwym świecie. Tam żyją święci, w blasku słońca, pod gołym niebem. Ich świętość coś tam znaczy. Nie chcę cię tutaj.

Ludo wyciąga ręce, łapie ją za stopy, jest żaloszny, wie, że jest żaloszny, lecz mimo to nie potrafi się powstrzymać.

– Kocham cię! Kocham cię, przestań, proszę. Po prostu chodź ze mną, nie musimy wracać do domu, zostanę tu z tobą, znowu będziemy całym swoim światem.

Jest zdruzgotany, czuje się fatalnie, płacze, obcałowuje jej kolana.

– Zwróć mi osiem lat dygotania z zimna w jaskini, którą dla mnie urządziłeś. Zwróć sukienkę, którą nosiłam w Ostii, i papierośnicę z bazyliuszkiem. Zwróć wszystko to, co było

we mnie, zanim zostało wyparte przez to, co jest w tobie. Zwróć dziewczynę, która nigdy w życiu nie słyszała o chimerze, nie czytała twojej głupiej encyklopedii, nie musiała słuchać, jak ktoś nazywa ją zwierzęciem. Wtedy wrócę do domu.

Paola wierzchem dłoni gładzi ją po policzku i pociąga za sobą jak lalkę, odrywając od Ludovica. Ludo nie chwyta Lucii za nogę, chociaż odczuwa taką pokusę; zna jej kostki i wie, że są jego na zawsze, na wieki. Lucia mija go na czworakach, targana gwałtownym szlochem, jakby próbowała wyrzucić z siebie coś, co utkwilo głęboko w jej ciele, i obie znikają za małąkami drzwiami. Ludo z rozdziawionymi ustami osuwa się na podłogę. Serce ma sinoczarne, gardło spękane jak stara książka.

\* \* \*

Rosalie wyjmuje z pieca świecącą w półmroku filiżankę. Scamander poklepuje ją z czułością po ręce; nagromadzone przez dziesięciolecia pęcherze i brud zostawiły ślady na jego palcach. Widzą samych siebie w Lucii, w Ludovicu; wspominają czasy, gdy spłodzenie dziecka było ciężką próbą, brakowało pieniędzy, herbata była za słaba, a filiżanki zbyt cienkie, żeby odgradzić ich od pustego, sterylnego powietrza. Rosalie tuli Ludovica, a Scamander topi herbatę i podsuwa ją pod spierzchnięte wargi nieszczęsnego intrologatora, który odruchowo zaczyna pić.

– Najważniejsze to wiedzieć, jak zamieszać herbatę w filizance, mój synu – mówi łagodnym tonem Scamander. – Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, cztery razy, ni mniej, ni więcej. Oto sekret.

\* \* \*

Ludo wyczołguje się z herbaciarni. Trawa jest zimna i wilgotna, mróz ściał sztywne czubki źdźbeł, które pod jego niezdarnymi dłońmi skwierczą jak ptasie pióra. Wstaje na nogi pod pomieszanym modrzewiem, wśród zgielku pojazdów, który niewiele się różni od zgielku z rzymskich ulic. Powozy i pojazdy mechaniczne są bardziej ozdobne, bardziej błyszczące, bardziej fantazyjne, ale ich jazgot i pokrzykiwania kierowców brzmią znajomo i niosą pocieszenie. Jego zdaniem w każdym mieście uczestnictwo w ruchu ulicznym jest sprawdzianem męstwa i wyzwaniem rzuconym śmierci.

Spuszcza wzrok i widzi, że na ręce usiadła mu pszczoła: przycupnęła na jednej z wyraźnie rysujących się żył, na węzlastej drodze biegnącej w górę ręki i nikałej pod ubraniem. Zawsze obnosił się ze swoją krwią – zbyt czerwoną, zbyt blisko pod skórą. Krew to kłopot. Tak się zamartwiał swoją flegmatyczną tkanką, a ta ciemna, czerwona, bryzgająca krew zawsze go prześladowała.

Zamiast odfrunąć, pszczoła zaciera niecierpliwie odnóża, jakby poirytowana brakiem

pyłku na tym sangwinicznym kwiatku. Dołącza do niej druga, potem trzecia. Ludovicowi przechodzi przez myśl, żeby spanikować, ale przecież Izydor na wszystkich freskach i ikonach też występuje z pszczołami. Jeżeli święty mógł znieść ich obecność, Ludo też sobie poradzi. Oczywiście różnica jest taka, że pszczoły Izydora były metaforą, duchową manifestacją jego nieprzeciętnego intelektu, a te pszczoły są prawdziwe i całkiem zwyczajne. No, tyle tylko, że wyglądają, jakby się szeptem naradzały.

Jest ich już pięć. Nie zwracając uwagi na modrzew, cały czas trzepoczą skrzydełkami, poruszone jakimś nieokreślonym uczuciem. Kiedy Ludo odwraca dłoń do góry nogami, pospiesznie gromadzą się w dolince u nasady kciuka. Przybywa ich w szybkim tempie, tworzą ciemną okrywą przesywaną złocistymi blaskami, jakby od środka rozsadaną przez złote pioruny. Ich buczenie przechodzi w zgrzytliwy pisk. Ludo go zna, zna ten dźwięk, bo ona go znała, tamta kobieta ze śladem po użądleniu na policzku, i teraz już wie, kim ona jest, bo smakował jej potrawy i tańczył z nią, chociaż znajdują się daleko od siebie. Zamyka oczy i pozwala obsiadać się pszczołom, modląc się do swojego świętego, patrona, ostatniego ducha opiekuńczego.

– Niech mnie żądla, Izydorze – szepcze. W modlitwie. W błaganiu. – Twe małe pracowite miłośnice cnoty. Niech poznają mój smak, smak człowieka bez cnoty, i poniosą mnie w dal, bym stał się miodem w ustach króla noszącego diadem, którego nigdy nie będę chciał zobaczyć.

# CZTERY

## Czyny Westy

Przez lata Ludovico setki razy powtarzał sobie, że przychodzenie na Forum, żeby spokojnie o czymś pomyśleć, jest głupim pomysłem. Turyści mogą sobie na to pozwolić, ponieważ wyobrażają sobie, że w ten sposób przydają wagi i wspaniałości swoim rozmyślaniom. Człowiek, który mieszka w tym mieście od małego, powinien być odporny na taką dziecinadę, a Ludo dobiegał czterdziestki i miał w sercu odcisnięty absolutnie bezbłędny plan historyczny Rzymu, na którym komory serca dokładnie odpowiadały epoce nieokiełznanych żądz, trucicieli i barwników z mięczaków. Forum – do tego stopnia zdeptane przez nużących, pełnych najlepszej intencji intruzów, że nie zachowała się w nim nawet jedna drobina oryginału, bo wszystko wyparły komórki ich znudzonych ciał, spętanych czasem i mrużących oczy w tysiącleciach słońca – nie powinno go było pociągać. Ale on je lubił. Nie mógł na to nic poradzić. Ruiny kołysły jego duszę naukowca. Lubił sobie wyobrażać westalki w ich wielkiej, okrągłej świątyni, która zawsze bardziej kojarzyła mu się z młynem solnym – doglądające ognia i spisujące dzienniki skazane na wieczne zapomnienie, pamiętniki cichych, dziewiczych żywotów rozwijających się jak nić ze szpulki i wypełnionych kontemplacją bogini, o której nie opowiadano żadnych historii.

Lubił sobie wyobrażać, że podczas długich lat odosobnienia spisywały w swoim gronie tajną „Encyklopedię czynów Westy”, czyli historie do opowiadania przy domowym ognisku, w których Westa była piękną i potężną istotą. Gdziekolwiek przeszła, z jej włosów sypały się bursztyny. Po rycersku – zbrojna w kratę z kominka zamiast tarczy i czarny pogrzebacz w miejsce miecza – stawiała czoło demonom codzienności, niewiernym żonom, zimowym wiatrom, nieuczciwym handlarzom, którzy chcą ją oszukać, i wielogłowym potworom, mordercom dzieci – śpiączce, głodowi, służbie w wojsku. Walczyła ze śmiercią miłości.

Lubił myśleć o tym, że dziewictwo kapłanek miało zagwarantować trwałość miasta. Kiedy siadywał w cieniu byronowskich cyprysów, miał wrażenie, że musiało w tym być

jakieś ziarno prawdy; że dopóki w mieście, które Westa sobie upodobała, żyła choć jedna nieskalana dusza, piekło nie miało do niego przystępu.

Tego dnia, kiedy siedzieli na usypanym z gruzu pagórku na uboczu Forum, przyszło mu do głowy, że Nerezza mogłaby być westalką. Całkowicie nieprzenikniona, mogłaby zawrzeć w sobie cały Rzym – czerwone cegły, tuf, akwedukty i katakumby, wszystko zamknięte w jej łonie, bezpieczne na zawsze, bo żaden Got ani Gal nie wdarłby się do jej wnętrza.

– Wcale mnie nie pożądliły. – Westchnął. – Ani jedna.

– Nie dziwi mnie to. Owady są tam naprawdę niezwykle.

Nerezza zmrużyła oczy przed palącym beczelnie słońcem, którego płynny blask spływał jak przelewające się wino na potrzaskane bazy i kapitele kolumn.

Ludo odkaszlnął.

– *Etymologiae* utrzymuje, że pszczoły są cnotliwe, ponieważ wszyscy je kochają i ich pożądają, a to za sprawą miodu, który zachowuje tak samo słodki smak w ustach żebraków i królów. Myślisz, że to ma sens? Że jakąś istotę można uznać za cnotliwą tylko dlatego, że jest kochana i pożądana? Że sam fakt bycia kochanym i upragnionym, zakładający całkowitą bierność kochanego i upragnionego, jest równy świadomemu aktowi pobożności lub męczeństwa? Że dzięki niemu łaska spływa na cały gatunek?

– Myślę, że w każdej encyklopedii jest masa kłamstw i zmyśleń, Ludo.

Ludo zamknął oczy. Słońce było oślepiające. Pod powiekami falował mu różowy półmrok.

– W takim razie, co oznacza to, że jakiś człowiek jest przez te cnotliwe pszczoły poszukiwany? Że tęsknią za nim stworzenia, których istotę określa fakt, iż same są pożądane?

– Nie wiem.

– Chciałem, żeby mnie pożądliły. Czuję się jak w kościele pełnym wiernych; czuję na sobie ich wstrętne, zwierzęce odnóża. Chciałem, żeby przykryły mnie ich dusze, aż moja własna zostanie przez nie zgnieciona i umrze, jak czarownica. Dlaczego tam tak silnie to odczuwam? Dlaczego tam chcę utonąć w innych ludziach? Tutaj nigdy mi się to nie zdarza.

– Każdy reaguje inaczej, dlatego nie mogę ci niczego wytłumaczyć, Ludo. Cieszę się, że spotkałeś Lucię, że miasto ci ją... oddało. Bo chyba nie wierzysz, że przypadkiem napatoczyłeś się na nią przy niedzielnej herbatce. Nie jestem jednak obdarzona łaską, nie mogę nic dodać do opisującej je encyklopedii. Mnie nikt nie szuka. Nie jestem cnotliwa.

Ja cię szukam, chciał odpowiedzieć. Nie jesteś moją żoną, ale jesteś moim Wergiliuszem, prowadzisz mnie przez kolejne kręgi czyśćca. Jak mógłbym nie kochać ciała, które tak bardzo zbliża mnie do Boga?

Jednakże w obliczu jej niewzruszonego spokoju, zmarszczonych brwi i pytających spojrzeń nie potrafił pociągnąć jej za sobą w głąb Dantego.

– Ludo... – wyszeptwała. – Jeśli chcesz być szczęśliwy, odpuść sobie.

– Zanim trafiłem do tej herbaciarni, byłem gotowy przez pięćdziesiąt lat drzeć ziemię

pazurami, jeśli po drugiej stronie miałbym znaleźć Lucię, nawet starą, łysą, zmęczoną i chodzącą o lasce. I może nadal tam na mnie czeka, ze swoim artretyzmem i moim rozgrzeszeniem. Ale jeśli nawet miałbym jej już nigdy nie spotkać, muszę tam wrócić. Muszę wracać do Palimpsestu. Muszę próbować. To świat bez swojej *Etymologiae*. Bez etymologii. Bez źródła. Udam się tam i wymażę jego mapą mapę Rzymu, którą noszę w sercu. Wynajmę mały pokój, taki kantorek, i zacznę w długich kolumnach spisywać wszystko, co wiedzą mieszkańcy. Będę pisał, rozumiesz? Poza tym będę także oprawiał książki, jak zwykle; będzie tam papier, biały jak świeża śmietana, i będą najlepsze, najwymyślniejsze kleje, sporządzone z ciał wszelkich możliwych bestii, ale ja będę oprawiał tylko to, co sam napisałem. I może za pięćdziesiąt lat pewna łysiejąca, umęczona, wsparta na lasce starowina, przechodząc koło mojego kantorka, zada sobie pytanie, co to za dziwak szuka na wystawie swoich okularów, i będziemy mieli sobie bardzo dużo do opowiedzenia. Będziemy pić kawę. Specjalnie dla niej będę trzymał wolne krzesło. Potrafię to. Umiem wiernie czekać. Umiem służyć. Umiem przechować miasto, nietknięte, w swoich wnętrznościach.

Nerezza obserwowała go ponurym wzrokiem, z odrobiną politowania, pogardy i zazdrości w oczach. Nie rozumiał jej, ale mieszkańcy lądu nie są w stanie pojąć natury węgorki, pozwalał więc tylko, by jej niewidzialne ciało, czarne jak sznur, otaczało go i oplatało, wysuszone i trzeszczące.

– Jak możesz o tym mówić w taki sposób, jakby wszystko już było załatwione? Jakbyś planował sobie spokojnie całe życie w Palimpseście? Ależ z ciebie samolubny chłopiec, Ludovico! Pożyczono ci zabawkę, a ty uznałeś, że jest twoja na zawsze! Gdyby w tamtą noc Lucia ci odepchnęła, nigdy byś się o niczym nie dowiedział. – Twarde, kruche łyzy drgnęły w jej oczach. – Czy ty w ogóle coś z tego pojmujesz? Radosław nie żyje. Jeżeli nasze domysły są słuszne, jeśli to, co powiedział ci Agostino, jest prawdą, i faktycznie odkryliśmy drogę, nigdy nie będę mogła tam zostać. Nigdy, rozumiesz? I nie zamierzam patrzeć, jak ty się wesole włóczysz po mojej krainie tylko dlatego, że twoja żona uznała, że łatwiej będzie dać ci się zerznąć.

Ludovico przygryzł wargę. „Moja kraina”, powtórzył w myślach. „Moja, nie twoja”. Biorąc pod uwagę, jak często to słyszał, równie dobrze mogliby rozpiąć nad miastem transparent z takim właśnie napisem.

– Rycerz nie powinien chyba oczekiwać, że napotkane w puszczy potwory będą mu zawsze uprzejmie wskazywały drogę.

Nerezza zmrużyła ciemne oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, a wszyscy pozostali to potwory?

Wstała i zaczęła się oddalać wśród ruin, dając mu się gonić, szukać, tropić na krętej ścieżce do domu. Zgubiła go jednak wśród wąskich uliczek i kiedy w końcu trafił pod jej dom, nie zastał jej tam. Sprytna pszczołka. Poszukiwana. Agostino wpuścił go i poczęstował

kawą, od której Ludo z przyjemnością grzał sobie ręce; nie mógł znieść myśli o herbacie, nie po tamtych cudownych filiżankach i lodowych krążkach. Po tej stronie świata herbata była zbyt zwyczajna, za gorzka, za słaba.

– Nie wróćą do rana – powiedział Agostino, pocierając nasadę olbrzymiego nosa. – Anoud i Nerezza. Musiałeś ją zdenerwować.

– To możliwe. – Ludo westchnął. – Ostatnio zdarza mi się to częściej, niżbym chciał.

Siedzieli na długim, twardym szezlongu Nerezzy.

– Jak ją znalazłeś? – zapytał w końcu Ludovico.

Bardzo się starał nie zdradzić z przesadnym zapalem. Nie był przecież zazdrosny o tę kobietę-węgorza. W każdym razie nie bardzo. Nie da się takiego uczucia wyciągnąć na światło dzienne. Nerezzy – westalki o przerażającym spojrzeniu – nikt nie mógł posiadać na własność.

– To ona mnie znalazła. – Agostino wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak jej się to udało. Mieszkałem wtedy w Madrycie, nasza firma ma tam oddział. Byłem handlowcem. – Zaśmiał się, przelotnie, ze smutkiem, zdziwiony własną przeszłością. – Produkowaliśmy ołówki. Wiecznie śmierdziałem grafitem. Któregoś dnia rano zadzwonił telefon i jakaś kobieta powiedziała mi, bardzo rzeczowym tonem, że mam natychmiast jechać do Rzymu. Powiedziała, że mnie zna, kocha, potrzebuje; słuchając jej, miałem wrażenie, że sięga ku mnie po łączy telefonicznym, żeby mnie jednocześnie pocałować i udusić. Ten głos... Nie umiałem mu odmówić. Taka już jest. Jej się nie odmawia. Potem okazało się, że mamy wiele wspólnych tematów do rozmowy. To ona przedstawiła mi Lucię. – Agostino, podenerwowany, mówił coraz szybciej. – Już razem odszukaliśmy Anoud, ściągnęliśmy ją z Rabatu. Pracowała w tłoczni oliwy, wyobrażasz sobie? Jej skóra błyszczała, jakby oliwa na stałe w nią wsiąkła, nawet kiedy ją całowaliśmy i całowaliśmy. A Radosław... – Gardło mu się ścisnęło, chrypliwy głos załamał się i ucichł. Zakrył dłonią oczy.

Ludo objął młodszego mężczyznę, z którego piersi wyrwał się potężny, wstrząsający całym ciałem szloch. Po długiej chwili Agostino odwrócił się do Ludovica i pocałował go – delikatnie, z wahaniem – w szyję, i drugi raz, w ucho. Ludo zeszywniał i wstrzymał oddech. Nie do końca był zaskoczony, zdawał sobie sprawę, że jego żona na pewno nie była pruderyjna i miała tyle samo mężczyzn co kobiet – ale jednak nie był nią, nie był Lucią, węzowo-lwią chimera o długich, obojętnych zębach. Nie miał odrębnych ciał dla każdego kochanka. Nie patrzył na mężczyzn w taki sam sposób jak na kobiety. Ale spróbował. Spróbował znaleźć Agostinowi miejsce w menażerii swoich nowych kochanków. Byk, pomyślał, wążąc tę myśl w sercu. Ewangelista, oracz, mieszkaniec labiryntu. Czy mógł kogoś takiego zawrzeć w sobie? A jeśli jego ciało odmówi takiego odwrócenia tradycyjnego porządku, to czy Agostino poczuje się urażony? Czy będzie zły? Jak sobie z tym radzą kobiety? Jak sobie poradziła Lucia? Jak mieszczą tak wiele różnych ciał w swoim?

Okazało się jednak, że nie ma takiej potrzeby. Agostino ujął jego twarz w dłonie,



pocałunek był szorstki, nieporadny, niechlujny, niedopasowany, ale Ludo złapał się na tym, że wplata palce w krótkie włosy Agostina, jego język ma słodki smak, a on – mimo wszystko – twardnieje, przymuszając byka do służby. Zmagali się z ubraniami jak nieporadni kochankowie, lecz Ludo się bał, wciąż bał się dotknąć sztywnego, nieuchronnie naprężonego penisa, który podniósł się na spotkanie jego członka i nie dawał o sobie zapomnieć. Kiedy jednak Agostino legł pod nim, a lzy po Radosławie obeschły mu na policzkach, Ludovico dostrzegł znamię – czarne, wytrawione głęboko na biodrze – i dał mu się porwać, tak jak wcześniej dał się porwać poprzednim trzem wijącym się ciałom dzikich bestii. Zahaczył palcami o kościste biodra Agostina i zamknął oczy, odcinając się od światła i świata. Prześliznął się miękkim brzuchem po twardości Agostina, który jęknął głośno, wydał dźwięk, którego Ludovicowi odmawiała i Lucia, i Nerezza. Chcąc ułatwić sobie wejście, splunął, nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Agostino – właściwie jeszcze dzieciak, ledwie gotowy na to, co miało się wydarzyć – skrzywił się i go wpuścił, a Ludo stwierdził, że wcale nie czuje się aż tak dziwnie i obco jak się spodziewał, poruszając się we wnętrzu tego wysokiego, niezgrabnego chłopaka, którego krzyki do złudzenia przypominały porykiwanie ogromnego byka.

Część IV

**Charon**

## W drodze na zachód, 9:23

Entuzjaści kolejnictwa odkryli, że po torach Palimpsestu kursuje co najmniej jeden pociąg, którego nie ujęto w żadnym rozkładzie jazdy – głównie dlatego, że nie zatrzymywał się na żadnych stacjach. Zasięgnięto rady astrologów i geologów, którzy w tych rejonach są właściwie jednym i tym samym. Astrolog patrzy w górę i bada kształty na niebie; w tym celu buduje ogromne wieże, żeby znaleźć się jak najbliżej ukochanego żywiołu. Geolog zaś to astrolog, któremu raz, dosłownie raz, zdarzyło się spojrzeć w dół. Z wielkiej wysokości swojej wieży widzi odcisnięte na powierzchni ziemi ogromne formy, wydłużone wielokąty wytyczone granicami pól, korytami rzek, zarysami miasteczek przy młynach, liniami brzegu morskiego i miejskich murów i dostrzega w nich odbicie niebiańskiej mozaiki. Wśród tych piaszczystych konstelacji Palimpsest jest raptem ozdóbką; są tak rozległe i złożone, że przez całe życie geolog zdoła naszkicować zaledwie maleńki skrawek łądu, na którym stoi jego wieża. Żywot geologa jest długi i samotny, niewielu czuje do niego prawdziwe powołanie.

Rozległy system komunikacyjny niezbyt interesuje geologów, ponieważ tworzy niewielką i tylko na wpół organiczną Konstelację Użyteczności. Niemniej jednak pewna słynna uczona zgodziła się zwrócić swój omszały *oikeioskop* na kolejową społeczność, by odkryć pochodzenie tego jednego upartego, nieugiętego pociągu, który wymykał się wszelkim próbom okiełznania.

Stworzenie obejmującej nawet tak niewielki teren mapy wymaga niezwykle skomplikowanych obliczeń, toteż pani geolog potrzebowała całego roku na zgromadzenie wyników, a potem jeszcze rok zwlekała z ich opracowaniem i przedstawieniem (ze względu na koniunkcję wpływu niekorzystnych prądów oceanicznych i wysokich rocznych opadów śniegu, zwiastującą porażkę w prezentacji wielkich odkryć). W końcu jednak zwołała swoich kolegów po fachu oraz wszystkich zainteresowanych do ogromnej hali Kolofonu i oznajmiła, że pociąg z godziny trzeciej siedemnaście, kursujący na linii Dekretowej w kierunku północnym, wdał się w niefortunny romans z pociągiem z dwunastej dwadzieścia dwie, jadącym na wschód po Arkuszowej. Owocem ich związku był ów tajemniczy pociąg, który – jak każde dziecko, którego rodzice już się nie kochają – chadza swoimi drogami, robi, co mu się podoba, i niewiele można na to poradzić.

\* \* \*

Sei nie bardzo wie, jak się zachować. Czuje się tak, jakby oberwała w głowę kijem oplecionym kwiatami. Nie powinna się chyba uśmiechać, bo nie ma w tym nic śmiesznego, ale nie może się powstrzymać. Jej własna głowa wydaje się jej obrzmiała i pijana, kiedy próbuje nią potrząsnąć.

W pociągu jest królik. Ma srebrny tłuczek, stoi w ogromniastej beczce wypełnionej ryżem i ma bardzo stanowczą minę.

Tak naprawdę wcale nie jest królikiem. Ale nie jest też człowiekiem w kostiumie królika. Przypomina raczej bardzo smutnego mężczyznę, któremu ktoś, kto niezbyt znał się na rzeczy, poprzyczepiał różne kawałki królika. Grzywa rozczochranych czarnych włosów opada na długie klapnięte uszy, szare i puchate, o skórce jak pokruszone perły. Mężczyzna ma także długie obwisłe wąsy czuciowe, siwe jak włosy starca, oraz, jak domyśla się Sei, ogon – chociaż gdyby miała go zacząć u niego szukać, z pewnością wybuchnęłyby niekontrolowanym śmiechem, a on sprawia wrażenie bardzo poważnego królika.

Jest ubrany w chłopską czarną yukatę w chryzantemy. Nie wygląda w niej najlepiej, ponieważ jest brudna i bardzo powycierana.

Obfitość na jej ręce przeciąga się i ziewa. Trzecia Szyna uśmiecha się pod nosem i obserwuje Sei, ciekawa jej reakcji. Prawdę mówiąc, Sei zaczyna to wszystko odbierać jak jeden wielki sprawdzian. Nie może wszystkiego i wszystkich pokochać całym sercem, a widzi, jak wielką sprawia im przykrość, kiedy marszczy nos, odkasłuje czy robi znudzoną minę. Chcą spijać jej reakcje jak piwo, a to wprowadza napięcie.

Ale w pociągu jest królik. Długie siedzenia w nowym wagonie są jasne i wysypane tłuczniem, pokryte nim jak pąklami. Z wysokiego sufitu (jest tak wysoki, że ma własne chmury, ale przynajmniej tym razem go widać: twardy, srebrny strop wyziera spoza chmur i mgiełki) zwieszają się srebrne latarnie. Wokół nich krążą żałobne rybitwy, wyrzaskując treny. Uchwyty na ręce są tu z szorstkiej, zielonej plecionki z sitowia.

Królik w ogóle na nią nie patrzy. Ze znużonym westchnieniem podnosi tłuczek nad głowę i ciężko uderza nim w wilgotny ryż, który bryzga aż na buty Sei.

– Ja cię znam! – wykrzykuje Sei. – Jesteś Usagi!

I nie ma na myśli swojej matki, lecz prawdziwego królika, królika z księżycy, pędzącego przez świat w pociągu, w którym mieści się cały księżycowy krajobraz. Znowu chce jej się śmiać.

– Wszyscy mnie znają. Dlatego jadę odwiedzić kuzynów znad morza, którzy zaparzą mi bardzo drogą herbatę i nie będą zadawali głupich pytań: skąd biorę ryż na księżycu i dlaczego nie znajdę sobie uczciwej pracy, na przykład jako monter kabłówek, i kto by chciał jeść słodczyce przyrządzone przez królika. Mimo że przecież ten królik robi wszystko bardzo starannie, własnymi rękami, jeśli można tak powiedzieć.

Królik podnosi prawą rękę, zakończoną zasuszoną, zbyt dużą szarą łapą; nabrzmiała sinofioletowa blizna wije się w miejscu, gdzie sierść przechodzi w ludzką skórę.

– Moja matka miała na imię Usagi – tłumaczy speszona Sei. – Kiedy byłam mała, myślałam, że ma jeszcze drugie życie: robi *mochi*, kiedy tego nie widzę, i nie chce się ze mną podzielić.

– Faktycznie, miała drugie życie – rzuca z roztargnieniem królik. Wygląda młodo, zbyt młodo, żeby długo siedzieć w tym króliczym interesie. – Wszyscy ludzie imieniem Usagi należą do mojego cechu. Tłuczki najczęściej trzymamy w schowku na szczotki. Przypuszczam, że gdybyś wróciła do swojego domu w Tokio i zajrzała do trzymany pod podłogą kuchni pojemników na śmieci, znalazłabyś kilkanaście złoto-czarnych skrzynek ze słodyczami, których twoja matka nie zdążyła dostarczyć na czas. Przykro mi to mówić, ale nie była najlepszym pracownikiem. Była niesolidna.

– Była... nieszczęśliwa. Smutek leżał w jej naturze. Była smutna w taki sam sposób, w jaki koń jest silny, a ptak umie latać. *Mochi* chyba jej nie pomagały.

– Dlaczego miałyby pomagać? Mnie nie pomagają. Ale każdy musi mieć jakieś powołanie.

Sei przygryza wargę i spogląda w dół, na swoje stopy, w dziwnie dziecięcym odruchu, ale przy tym człowieku-króliku nie potrafi zachować się inaczej.

– Czy ty... widziałeś moją matkę? Po tym, jak przestała dla ciebie pracować?

Królik patrzy na nią z niedowierzaniem, a potem spogląda bezradnie na Trzecią Szyję, szukając u niej pomocy. Kobieta o czerwonej twarzy wzrusza ramionami. Obfitość przepraszająco potrząsa kreskami.

– Niewłaściwy pociąg. – Królik parska śmiechem. – Coś mi się wydaje, że powinnaś porozmawiać z moimi dalszymi krewniakami.

– A kim oni są?

– Mój księżyc nie jest jedynym ciałem niebieskim, drogie dziecko. Mój kuzyn kret mieszka na Trytonie. Phobos ma swojego lisa. Na Ganimedesie żyje cała rodzina żółwi. Niedaleko ode mnie, na słońcu, koń przeżuwa owies. Nie jest zbyt rozmowny, ale kiedy go szczotkujesz, wydaje ci się czasem, że w głębi serca słyszysz taki niski dudniący zaśpiew, jakby chór zakonnicy śpiewał coś w chmurze kadzidlanego dymu. W wagonie stajennym jest zresztą więcej koni. To liczna rodzina: niebieskie araby z Wegi, dwugłowe appaloosy z Syriusza, gniadosze z Arktura... Ty jednak powinnaś odszukać makaki z Charona, które skracają sobie długi bieg ich planety po orbicie, przesiadując w gorących źródłach i domkach z lodu. Nie wyrabiają słodyczy, biedactwa, ale za to wykuwają dusze. Może tam ją znajdziesz, rozklepaną na papkę.

Sei się krzywi, ale próbuje to zamaskować uśmiechem. Zakłopotana podaje królikowi szufelkę cukru.

– Ten pociąg tam jedzie?

– Nie, oczywiście, że nie. Ależ ty masz dziwne pomysły. Nie słyszałaś, co powiedziałem? Jedziemy nad morze. Można powiedzieć, że to taki zjazd rodzinny.

Sei nie wie, co zrobić, żeby przejść dalej, wyminąć królika. Chciałaby go przytulić, pogłaskać po uszach i okaleczonych rękach, zapytać, jak to się stało, że jest taki nieszczęśliwy. Czuje jednak, że wprawiałaby go tym w zakłopotanie, a tego by nie chciała.

– Ja nie mam na imię Usagi, ale chętnie ci pomogę – mówi.

– Możesz nam pomóc tylko w jeden sposób, Sei.

– Jaki? Powiedz.

– Nie mam uprawnień do udzielenia ci tej informacji. – Głos królika brzmi dziwnie mechanicznie, jak nagrany komunikat w telefonie. – Ale jeśli chcesz, możesz zająć miejsce matki.

Podaje jej tłuczek, który jest zdumiewająco lekki, nieważki jak piórko. Sei wchodzi do beczki z ryżem, jakby ta zawierała przeznaczone do podeptania winogrona; on staje za jej plecami i pomaga jej przyjąć właściwą postawę. Sei przypomina sobie ludzi z ekskluzywnych tokijskich klubów golfowych, których znudzeni instruktorzy w ten sam sposób ustawiają do uderzenia. Obfitość kuli się i wstrzymuje oddech; boi się, że spadnie i zostanie wbita tłuczkiem w ryżowy przysmak. Sei bierze zamach. Królik pospiesznie koryguje jej uchwyt na trzonku, zanim Sei z okrzykiem radości opuszcza narzędzie. Grudy lepkiego ryżu bryzgają od wewnątrz na ściany beczki.

Królik z księżycą całuje ją w skroń, słodko, czule, jak wuj dumny ze swojej krwi.

Trzecia Szyna przygląda się Sei, która z triumfalnym zapalem miażdży słodzony ryż na papkę. Nic nie mówi, ale oczy ma pełne czerwonych, lepkich łez.

# JEDEN

## Osiem tysięcy drzwi

Sei trzymała książkę Sato Kenjiego przed sobą jak lampę, która ma jej oświetlić drogę. Zglądała do niej często, jak do przewodnika, i szła wytyczonym przez nią tropem.

A oto, gdzie zaprowadziła ją książka: stała na głównym peronie, z książką przyciśniętą do piersi. Była ubrana na czarno, w najlepsze z możliwych podobieństw eleganckiego kostiumu; marynarka nadawała pozór stateczności srebrno-czarnej bluzce z tamtej pierwszej podróży z Kenjim na południe. Sei wystawiła twarz na wiatr hulający nad pustymi torami.

\* \* \*

Mówiono mi o istniejącym w Tokio tajnym stowarzyszeniu, które wymaga od swoich członków, by bez przerwy, w systemie zmianowym, obserwowali wybrane perony kolejowe. Łatwo jest ulec złudzeniu, że mężczyźni w czarnych garniturach, czekający obok nas na pociąg, podlegają tym samym rygorom i harmonogramom co my – spieszą się na umówione spotkania, uczestniczą w zebraniach i mają swoich nadzorców, którzy nie tolerują nieobecności. Wygląda jednak na to, że niektórzy z nich są raczej wartownikami, u których obojętny wyraz twarzy jest starannie pielęgnowaną maską o podtekście religijnym.

Członkowie stowarzyszenia uważają, że każdy peron jest węzłem, skrzyżowaniem, łącznikiem wielu miast, które poza tym się ze sobą nie stykają. Wierzą, że u zarania dziejów pierwsi bogowie stanęli nie na świetlistym moście, lecz na wysoko wyniesionym i smaganym wichrami peronie kolejowym. Stamtąd wbili w dno oceanu wysadzaną klejnotami włócznię i stworzyli wszystkie łądy i góry.

Członkowie stowarzyszenia uważają, że ów pierwotny peron nadal istnieje – choć przetrwał nie wysoko w niebiosach, lecz w jakimś zakamarku Japonii – i w swoim gronie tworzą coraz to nowe teorie na jego temat. Dlatego pełnią straż na prawie wszystkich

dworcach na Wyspach Japońskich, gotowi powiadomić swoich braci o przybyciu Pociągu o Ośmiu Tysiącach Drzwi, ciągniętego przez lokomotywę wykutą z tej boskiej włóczni, która przeleżała tysiące lat w morzu, zanim wydobyli ją pobożni mnisi – tak w każdym razie mówi teoria mająca największą liczbę zwolenników, gdyż frakcja mniejszościowa utrzymuje, że to Kolejom Japońskim tak bardzo zależało na odnalezieniu mitycznego oręża, że same sfinansowały poszukiwania.

Tak czy inaczej, Pociąg o Ośmiu Tysiącach Drzwi ma przemierzać cały znany świat: w jednej chwili zatrzymuje się w Londynie, w następnej w Ułan Bator, potem w Tokio, Montrealu, Sao Paulo i tak dalej. Wystarczy nasłuchiwać komunikatów wydawanych przez obsługę pociągu, żeby wsiąść lub wysiąść na dowolnym peronie na świecie. Każdy nowicjusz w czarnym garniturze pragnie dać się porwać temu pociągowi. Za taki bilet oddałby duszę.

Ja również pełniłem z nimi straż. To bardzo sympatyczni dżentelmeni, może tylko trochę uparci. Z przykrością donoszę, że na mojej warcie przejechały tylko dwa pociągi: lokalny osobowy i ekspres do Asakusy. Oba o czasie.

\* \* \*

Kenji nie twierdziłby, że coś jest możliwe, gdyby to nie była prawda. A skoro taki pociąg naprawdę istnieje, na pewno ją tam zabierze. Bez cienia wątpliwości. Wierzyła w niego. Wierzyła w Kenjiego. Musiała być jakaś inna droga.

Jestem taka zmęczona, pomyślała.

– Jestem taka zmęczona. – Tak brzmiały słowa najczęściej wypowiedane przez jej matkę.  
– Dlaczego ciągle jestem zmęczona?

– Bo musisz walczyć z tymi wszystkimi tygrysami – odpowiadała wtedy Sei. – A potem jeszcze nurkujesz na dno jeziora, żeby czytać mi książkę.

– No proszę, jaką mam bystrą córeczkę!

Usagi sypiała na podłodze, jak kot, z włosami rozsypanymi na twarzy i paznokciami obgryzionymi do krwi. A Sei czekała, zawsze czekała, najciszej i najcierpliwiej jak potrafiła, aż mama się obudzi, uśmiechnie do niej, zaparzy herbatę i poda łakocie.

Teraz jednak sama była zmęczona. Może nawet tak bardzo, jak kiedyś jej matka. Nogi miała obolałe, usta spuchnięte od pocałunków i rzygać jej się chciało od namolnych ludzi, którzy obłazili ją ze wszystkich stron, jakby była statkiem, który zabierze ich w bezpieczne miejsce. Nie mogła jednak przestać. Jakże to tak? Jak miałyby wrócić do domu, gdzie nie było takiego miejsca jak „Dno Niebios”, nie było łatwego przejścia, szybkiej ścieżki? Ten pociąg jej potrzebował. Musiała wytrzymać to tempo, może nawet przyspieszyć. Musiała mieć więcej, coraz więcej, biec dwa razy szybciej tylko po to, żeby ustać w miejscu. Miała wrażenie, że pociąg czai się obok niej nawet w świetle dnia, ukryty wśród chmur i świątyń, cichy i cierpliwy w oczekiwaniu, aż ona się obudzi, uśmiechnie do niego, zaparzy herbatę i



podą łakocie.

Nie chciała być dla niego Usagi-matką. Nie chciała go zawieść.

Stała, dygocząc, na peronie.

Obok niej – zachowując uprzejmy dystans – stał mężczyzna w czarnym garniturze, z neseserem w ręce. Stał nieruchomo, jak skamieniały, jego profil rozcinał wiatr chłostający peron shinkansena... Dlaczego znajdowali się tak wysoko? W naturze pociągu leży latanie pod ziemią, w katakumbach miast. To gliniany ptak, jego żywiołem jest ziemia. Sęk w tym, że shinkansen kocha powietrze, maści wróblom w głowach i jest tak biały, że wiatr, kiedy go dotyka, z pewnością czuje się brudny. Wysokie napowietrzne perony to inny świat, cząstka kosmosu pozbawionego fundamentów.

Mężczyzna zerknął na nią – kątem oka i wyprostował sztywno rękę, z dłonią ułożoną poziomo na wysokości biodra. Powinna chyba była zrozumieć ten sygnał, ale nie miała pojęcia, o co chodzi.

Usagi szepnęła jej kiedyś do ucha – raz, nawet dwa razy – że mężczyźni w czarnych garniturach są sługami kamiego pajaków, który ma nie osiem nóg, lecz osiem tysięcy. Nie śpią zwyczajnie, w łóżkach, tylko w pustych witrynach sklepowych, gdzie ciasno upchnięci wiszą na stelażach, a wieszaki sterczą im z kołnierzyków.

– Nie zbliżaj się do nich – mówiła drżącym głosem matka. – Mogą zabrać cię od mamy, która zostanie wtedy sama, zdana na łaskę i niełaskę tego świata.

W to akurat Sei wierzyła bez zastrzeżeń, ponieważ jej ojciec pracował w mieście i często nie wracał na noc do domu i łatwo było go sobie wyobrazić, jak wisi nocą w sklepie niczym wystawiona na sprzedaż bluza.

Była przerażona, mając odezwać się do tego obcego człowieka – który nie był bezpiecznym obcym z „Dna Niebios”, z wysokim kieliszkiem wódki w ręce, przyjaznym uśmiechem na twarzy i czarnym, przypominającym mapę znamieniem gdzieś na skórze.

– Przyjedzie? – spytała szeptem. – Jest lepszy sposób? Naprawdę może mnie zabrać do dowolnego miasta? Zupełnie dowolnego?

Mężczyzna w garniturze zdziwił się i trochę wystraszył. Zakłopotana Sei odebrała to jak policzek. Był zwykłym człowiekiem. Kenji jednak czasem zmyślał, a ona musiała być głupiutka, że mu uwierzyła. To, że niektóre rzeczy były prawdziwe tam, nie oznaczało, że są prawdziwe także tutaj. Mężczyzna rozluźnił mięśnie szczęki i odparł:

– Z moich wyliczeń wynika, że pojawi się dzisiaj, o czwartej dziesiątej, na linii południowej. – Mówił w taki sposób, jakby nie był do mówienia przyzwyczajony. – Ale w przeszłości zdarzało mi się już mylić.

Sei odetchnęła z ulgą i obciągnęła bluzkę na ramionach, jak teatralną kurtynę, uśmiechając się znacząco i odsłaniając znamię: rysowało się między piersiami jakby oblała się wodą śmierci, próbując się jej napić. Ten gest odsłaniający skórę stał się dla niej równie łatwy i naturalny jak rozmowa – a nawet łatwiejszy, bo więcej wyrażał. Uśmiechnęła się –

pięknie, z zapalem i pewnością siebie.

Mężczyzna gapił się na nią tępo, na przemian otwierając i zamykając usta. Grdyka chodziła mu pocieszenie w dół i w górę. W końcu, przerażony, zakrył usta ręką.

– Co się pani stało? Potrzebuje pani lekarza?

Sei zamrugnęła ze zdziwienia i roześmiała się. Dużo czasu upłynęło od chwili, gdy ktoś, kto zobaczył jej znamię, nie próbował od razu wziąć jej w ramiona; od chwili, gdy mowa była niezbędną, wręcz przyjemną. Trudno było się pogodzić z myślą, że kod, do którego przywykła, nie jest ważny w każdej zapadłej dziurze. Istnieje wystarczająco dużo tajemnic, żeby każdy miał własną, pomyślała. Poprawiła bluzkę, kryjąc znamię, i czekała w milczeniu, jak czujna strażniczka.

Mężczyzna nie zbliżał się do niej; nie chciał oddychać jej powietrzem ani ryzykować kontaktu fizycznego. Widziała, jak się zgarbił, gdy pociąg o czwartej dziesiąt przyjechał i wypuł mu pod nogi tłum rozkrzyczonej dzieciarni, a potem, skruszony, przyjął go w swoich progach, z zakłopotaniem otwierając przed nim drzwi i zmierzając do Nary i nigdzie więcej.

\* \* \*

Wracała. Zawsze wracała. Do mosiężnej tabliczki, parkietu i długich smukłych kieliszków. Do „Dna Niebios”, które było ciemne i puste. To jest teraz mój pokój z *tatami*, rozmyślała w ten leniwy błękitny wieczór, kiedy wydawało się, że persymony rodzą wyłącznie czarne pięści. Zamykam się. Opowiadam szczerym twarzom historie, które tylko dla mnie mają sens, ale oni mi wierzą. Och, Usagi, jednak ubijam ryż. Mimo wszystko.

Przytknęła sobie dwa palce do mostka, ale nie szukała znamienia. Dla niej te drzwi były zawsze otwarte, nie musiała już okazywać przepustki. W tym kostiumie nie przyciągnie tylu co zwykle, ale to właściwie bez znaczenia. Kogoś na pewno znajdzie, dwie, trzy osoby. Musiała mieć więcej niż inni, żeby trwać w pociągu i szybko, bardzo szybko mknąć przez miasto. Jeśli będzie musiała, weźmie ich za ręce i pociągnie za sobą; zdzierży nawet starych, obcych i kalekich. Już tak robiła.

Yumiko ostatnio często się spóźniała: docierała do klubu po północy i mechanicznie popijała drinki, których barwy przebiegały całe widzialne spektrum, od czerwieni do ultrafioletu. Sei powinna się uporać z pierwszym kochankiem, zanim przyjdzie Yumiko – rozczarowana, zdesperowana, w szkolnym mundurku. Jak lustro w niebieskiej spódnicy. A Sei nie miała już siły patrzeć w lustro.

A jednak Yumiko wcale się nie spóźniła, nie tym razem – siedziała przy barze i wlewała w siebie kolejne czarki sake. Zachwiała się na obcasach, kiedy wstała i z ulgą objęła Sei. Wtuliły się nawzajem w swoje chude żebra. Żadna nie chciała puścić.

– Mam propozycję – szepnęła jej do ucha Yumiko. Jej oddech zalatywał zepsutą śliwką. – Dzisiaj nikogo nie będzie. Nikogo nowego, tylko ty i ja. Przedstawię cię rodzicom. Zjemy

makaron. Będzie normalnie.

– Jestem w ciąży – powiedziała Sei.

## Róg Sto Dwudziestej Pierwszej i Hagiograficznej

Zamożni mieszkańcy Palimpsestu wysyłają dzieci do prywatnej szkoły imienia Świętego Fulka, której cegły, marmury i długi spadzisty dach z wiejską strzechą z dzikiej trawy i fiołkowych liści mieszczą się między dwiema niedziałającymi fontannami. Pełznący po omacku morszczyń i pachnące maki zagarnęły dziewięć suchych paszcz hydry i królewskie rogi spiżowego byka. Dzikie koty śpią w splotach węzowego cielska hydry i krętym wnętrzu rozdziawionego byczego pyska. Hydra i byk są ulubieńcami uczniów, wiele lekcji poświęcono im samym i ich symbolice, mimo że nauczyciele zdają sobie sprawę, że tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności planiści miejscy ulokowali szkołę właśnie tutaj, a nie, powiedzmy, między złotym lwem i srebrnym jeleniem. Przynajmniej dzieciaki mają zajęcie.

Bogacze pilnie strzegą wielkiej tajemnicy: ta urocza instytucja jest ich dzieciom potrzebna, wręcz niezbędna, w takim samym stopniu jak woda i mleko. Chociaż woleliby, żeby tak nie było. Spotykają się w Prawym Kościele, okutani w futra, i modlą żarliwie w intencji zamknięcia szkoły. Widzą, jak twarze dzieci imigrantów i biedoty nabierają wyrazistych rysów, słuchają ich wyzywających pokrzykiwań, patrzą, jak nicponie pluskają się w rzece, i żółć wzbiera w ich sercach. Święty Fulk to błogosławieństwo nad błogosławieństwem, lekarstwo niezrównane, lecz proces kształtowania dziecka jest długi, żmudny i surowy jak wszystko w Palimpseście. Bogacze tęsknią do swoich maleństw.

Od czego się zaczyna? Jakie skarby wolno gromadzić, aby uniknąć tej wrodzonej choroby? Ile silosów jęczmienia, ile winnic, ile koni o miękkich bokach, ile domów z ostro zarysowanymi kwiatonami, które wyszły spod ręki Weckweet, można posiadać, zanim ta łagodna przypadłość ogarnie łona i nasienie tych, którzy kochają selskiny i klejnoty? Księgowi z ulicy Sarsaparilli byli karmieni czekoladą i słowiczymi wątróbkami i palili jedwabście delikatny tytoń, żadnemu jednak nie udało się ustalić punktu, w którym równowaga zostaje zachwiana, określić miejsca po przecinku, za którym czyha zagłada.

Gdybyśmy mieli przepustki, moglibyśmy zajrzeć za ciężkie drzwi z drewna gruszy i zobaczyć, jak wyglądają lekcje u Świętego Fulka. Przypuśćmy, że je mamy; pozwólmy sobie na ten kosztowny luksus, jakim jest przepustka do szkoły. Właśnie zaczynają się wieczorne kursy, dzieci siedzą grzecznie w rzędkach, z ułożonymi przed sobą rękami. Tylko nauczyciel

jeszcze nie przyszedł, leń patentowany! „Dlaczego siedzą tak nieruchomo?”, pytasz. Dlaczego nie rzucają w siebie nawzajem gumkami ani nie żartują o giełdzie, jak to zwykle ma w zwyczaju rozpuszczone potomstwo finansowych elit?

Dlatego że nie są jeszcze skończone.

Mali arystokraci, którzy rodzą się w Palimpseście, noszą w sobie przerażającą pustkę. Odbierają bodźce, reagują na nie, uczą się chodzić i siedzieć cicho, ale nie mówią, nie biegają, nie bawią się; nie mają również twarzy, włosów ani genitaliów. Dlatego szeptem nazywa się ich braurionami. Słowo to, zaczerpnięte z języka, którego nazwą zamożni nie zwracają sobie głowy, oznacza „niedźwiadki”. Dawno temu wierzono, że małe niedźwiedzie rodzą się bezkształtne i nijakie i dopiero matka, liżąc je, nadaje im właściwą postać.

Brauriony są jak lalki, miękkie, plastyczne, ale niedokończone, nierzeczywiste. W dniu, w którym wysoko postawiona kobieta wydaje dziecko na świat, zawinięta w lwią skórę i upierścieniona rubinami, modli się w duchu, by jej majątek okazał się zbyt skromny, by spowodować urodzenie brauriona. Nasłuchuje pierwszego krzyku potomka, a kiedy ten się nie rozlega, wie, że Święty Fulk przygarnie to dziecko i wszystkich jego późniejszych braci i siostry. Gdy wstanie z połogu, zacznie rozdawać swoje suknie jedna po drugiej, będzie się pozbywać domów i kochanków, w nadziei ponownego dostąpienia łaski.

Nie szlochaj, pani! Święty Fulk daje przynajmniej nadzieję! Kiedy podrzucasz na progu szkoły wysadzany klejnotami koszyk, istota, którą oddajesz im pod opiekę, nie jest sierotą. Nie całkiem.

Dzieci słyszą, odbierają sygnały ze świata – co wielce ułatwia prowadzenie lekcji. Przez piętnaście lat uczniowie są spokojni, zrównoważeni, nieruchomi. Trzeba ich myć i dożylnie odżywiać (opieka nad nimi wymaga ostrożności i delikatności), ale rosną jak wszystkie dzieci. Naucza się je tak, jakby mogły recytować wiersze, dodawać i z zapalem dyskutować o bieżących problemach. Ich niezdarne stopy uczą się tańczyć. Okrutne maszyny nadają właściwą posturę ich miękkim kręgosłupom.

Kiedy dzieci mają piętnaście lat, są gotowe.

Rytuał, który się wówczas odbywa, jest trzymany w największej tajemnicy – tak przynajmniej wyobrażają sobie możni Palimpsestu. Sympatyczny niedźwiadek siada w ciemnym pokoju, do którego wchodzi drugie dziecko, prawdziwe, nie starsze od niego, z błyskiem w oku i wrednym żartem na wargach. Dla jego wygody do pokoju dostarcza się mnóstwo wody w ogromnych pucharach, ono zaś powoli i z wielką gorliwością zaczyna lizać brauriona, tak jak mogłyby to czynić dawne niedźwiedzice, zanim niedźwiedzia społeczność uznała tę technikę za bezcelową. Wylizuje każdy cal jego skóry, bez litości i bez wytchnienia, chociaż z czasem zmęczone usta i język zaczynają boleć, a cały proces trwa pięć dni i nocy. Dziecko jest jednak silne i niezmordowane.

Z bezkształtnej bryły wyłania się w pełni ukształtowany człowiek – z orlim nosem lub pieprzykiem na lewym policzku, rudymi włosami lub skórą koloru kawy, zwinnymi dłońmi

lub pełnymi piersiami, dumnie wyprostowany, z szerokim czołem i pięknymi łukami brwi. Piątego dnia po braurionie nie ma już śladu, a zamiast niego w pokoju siedzi jedyna w swoim rodzaju istota, zahartowana latami przymusowego milczenia i obcowania z wyrafinowanymi duszami u Świętego Fulka. Zna łacinę, arytmetykę, poczet królów i historię Kościoła. Umie również pisać wiersze i zachowuje niezwykle wspomnienia z lat uwięzienia we własnym ciele. Ma miły głos, łagodną naturę i niezwykle talent do tańca.

Braurion nie wraca już do rodziców. Nie może. Nie ma twarzy ani imienia, dopóki nie zostanie skończony, a wtedy określenie kto z której rodziny pochodzi byłoby zadaniem tak żmudnym, że nikt nie chce się go podjąć. I w ten oto sposób niedźwiadek – a teraz już pełnoprawny niedźwiedź – wyrusza w świat i sam próbuje znaleźć sobie w nim miejsce. Niezwykle często zdarza się, że bierze ślub z dzieckiem, które go wylizało. To bardzo trwała więź.

Skąd jednak biorą się te dzieci, ci chłopcy i te dziewczęta, które przez pięć dni i nocy usługują braurionowi? I jak dają się do tego namówić?

Sprowadza się je z Ptaszarni, rzecz jasna, skąd by indziej? W najuboższych okolicach ludzie od Świętego Fulka wyszukują dzieci wyjątkowe, bystre, ale niechciane, które rodzą się wszędzie, w całym Palimpseście, bez względu na to, czy w domu jada się akurat gulasz z gęsi czy z kota. Nauczyciele sprowadzają do szkoły całe zastępy dzieciaków, po jednym dla każdego ze swoich nieszczęsnych podopiecznych. Do chwili ukończenia piętnastu lat dzieci te żyją skoszarowane w sympatycznych domkach, wśród wieńców gaulterii. Uczy się je tak samo łaciny, rachunków i historii Kościoła, a nawet więcej, ponieważ są lotne, niesforne i – przez kontrast do tamtych uczniów, których milczenie potrafi doprowadzić człowieka do obłędu – ukochane przez nauczycieli. Piszą eseje o naturze hydry i byka i z radością o nich rozprawiają. Są rozpieszczane i karmione słodyczami. One również nie wracają do rodziców.

Zdarza się, że po latach dama w lwim futrze natknie się na prześliczną młodą kobietę idącą pod rękę z piekielnie dociekliwym młodym mężczyzną; może nawet zauważy, że ani na chwilę nie tracą ze sobą kontaktu, cały czas dotykają się i muskają przelotnie, nawet kiedy ona wybiera na targu pomarańcze, a on obmacuje pigwy. Może zada sobie pytanie: „Czy to moje dziecko?”. Nigdy się jednak tego nie dowie.

Dzięki temu żaden ród nie rządzi Palimpsestem zbyt długo.

\* \* \*

Poza Casimirą. Jak zwykle.

\* \* \*

W pysku byka śpi kot. Przerzucił łapy przez kółko wbite w rozszerzone nozdrza spizowej

bestii. Ziewa, kiedy November drapie go za uchem. Palce wciąż mrowią ją od pszczelich wydzielin. Zastanawia się, czy kiedyś się do tego przyzwyczai, oswoi się z wrażeniem posiadania miliona rąk, które może po wszystko wyciągnąć. Zamiera bez ruchu i wsłuchuje się w siebie, ale pszczoły są wciąż pijane szczęściem i nie mają jej nic ciekawego do powiedzenia. Na Sarsaparilli dziewczyna tańczy kazaczoka, żeby zarobić parę groszy. W bramie księgarni przy skrzyżowaniu Złorzecznej i Dziewiątej jakiś staruszek zmarł z przepicia. Żadnych interesujących nowin. Niż użytecznego. Przypomina sobie nazwiska: Oleg Sadakow, Amaya Sei, Ludovico Conti. Szepcze je, jakby odmawiała różaniec. Niemal wie, co powinna zrobić.

Unosi rękę. Jej skóra jest jedną wielką opuchlizną, poznaczoną śladami żądał i węzłastymi pasmami stwardniałej skóry w miejscach, gdzie jad wezbrał w żyłach. Uśmiecha się jednak. Te rany są jak mapa znajomego świata, który opłynęła, kierując się bólem i potrzebą serca; jak echo czarnego rysunku na twarzy. Już nigdy nie będzie czysta, zawsze będzie się krzywić z bólu, ale radość pszczoł z Palimpsestu wrze w jej sercu.

Fulk przygląda się jej z fasady swojego gmachu: wysoka figura z polerowanego mahoni z twarzą nadjedzoną przez insekty przedstawia ascetycznego świętego we władczej pozie, z różdżką w jednej i smyczkiem od wiolonczeli w drugiej ręce. U jego stóp małe niedźwiadki przysiadły na zadach i kołysząc się w przód i w tył, przyglądają mu się z niedźwiadkową trwogą i podziwem.

Ulica znajduje się w sercu miasta, ale jest pusta. November widzi tylko długie głębokie wąwozy tworzone przez ściany budynków i ciągnące się w górę, wysoko, tak że nie widać księżycy. Wydaje się, że niebo przegrało bezgłośnie walkę z miastem i skapitulowało przed betonem i marmurami. Ale oto i on, już się zbliża; wiedziała, że po nią przyjedzie: powóz ślizga się po gładkich szynach, zielono obute stopy pewnym krokiem kierują się w jej stronę, ręka wsuwa się w jej rękę. Cieszy ją znajomy ciężar dłoni Casimiry – oswojony i delikatny, jakby zanurzała się w ciepłej wodzie.

– Masz ochotę wejść do środka? – proponuje Casimira. – Hojnie łożę na utrzymanie Świętego Fulka, z pewnością będziemy mile widziane. Nowi absolwenci pewnie właśnie jedzą ostatni posiłek.

– Ty też skończyłaś tę szkołę?

Casimira uśmiecha się tym swoim zagadkowym uśmiechem.

– Nie żartuj. Ale... – Zawiesza głos, zamyśla się. – Aloysius ją skończył, wiesz?

– Dlaczego w takim razie tyle na nią płacisz?

– Nieprzerwany dopływ nieprzeciętnie uzdolnionych, wręcz genialnych obywateli, niespełnanych więzami klasowymi i rodzinnymi, jest w oczywisty sposób korzystny dla miasta. Każde ich nowe pokolenie zmienia świat. Za coś takiego warto płacić.

Przechodzą pod znaczącym spojrzeniem świętego Fulka i trafiają do olbrzymiej jadalni, gdzie stoły są nakryte czarnymi obrusami, od których ostro odcina się biel pustych talerzy. Na

widok Casimiry wykładowcy wstają i wygładzają zmarszczki na oficjalnych przepysznym strojach, które w oczach November zlewają się w jedną wielką plamę długich pól, wysokich butów, gorsetów, epoletów i szykownych peleryn. Kobiety mają we włosach pióra kuropatw, mężczyźni – kruków. Dają uczniom znać, żeby i oni wstali. Brauriony są jeszcze niezdarne i trochę się wstydzą swoich nowych twarzy, ale wstają jak jeden mąż i oklaskują Casimirę, swoją mecenaszkę, swoją panią.

Casimira – nie jest wcale zachwycona, nie potrzebuje ich aplauzu – prowadzi November do długiej ławki, jakiej można by się spodziewać po klasztornym refektarzu. Młody mężczyzna odsuwa się i je przepuszcza; na jego piękną twarz wypływa rumieniec. Mocno ściska ramię olśniewającej młodej kobiety, która spokojnie taksuje wzrokiem nowych gości i nic a nic się nie rumieni.

– Casimiro... – zagaduje November. Zniża głos, żeby nikt jej podsłuchał, ale dzieci już rozmawiają, śmieją się i przerzucają dowcipami z brodą, które dla nich są całkiem nowe i świeże. – Kiedy znów poczuję się normalnie? Na razie nie mogę się pozbyć wrażenia, że lada chwila wpadnę w przepastną otchłań, a moja krew śpiewa donośnie, tak głośno, jakby nadchodził koniec świata. Tyle głosów, tyle pszczoł... Znam imiona ich wszystkich! Jak to możliwe?

Casimira spogląda na nią, szczerze rozradowana. Na jej twarzy maluje się zaskoczenie, siostrzany szacunek i ulga, że w obliczu jej rodaków November nie waha się jej dotknąć: przytula policzek do policzka Casimiry i całuje ją szorstko, jak tylko może pocałować królowa królową. Wokół nich dzieci szczerzą zęby w uśmiechach i gapią się bez skrepowania. Jeszcze się nie nauczyły, że nie wypada się gapić.

– Nigdy, moje biedactwo – mówi Casimira, kiedy się rozdzielają. Ma oczy pełne łez. – Jesteś teraz taka jak ja. Tylko ty jedna. To się już nie zmieni. Będiesz też znała imiona ich dzieci, a także imiona każdego, kogo dotkną albo kogo użądla; same nie zdążą ci wszystkiego powiedzieć, o wszystkim donieść, sprawić, żebyś była z nich dumna. Bądź ostrożna, bo są delikatne w sposób, w jaki ty i ja delikatne być nie możemy. Masz im królować. To nie byle jakie zadanie. – Ściska rękę November. – Ale teraz ty masz mnie, a ja ciebie. Nigdy już nie będziemy samotne.

Rozlega się donośny dźwięk dzwonu i zostaje podana kolacja: na każdym talerzu ląduje małe pieczony czyż, w całości, z łebkiem i z dzióbkiem, z którego sypią się okruchy chleba i kawałki fig. Nauczyciele i uczniowie sięgają po leżące obok talerzy ogromne czarne serwetki. Casimira robi to samo i z chytrym uśmiechem, tak jak oni, narzuca sobie serwetkę na głowę, a potem wszyscy jednym gestem biorą ptaszki z talerzy i w całości pakuje je do ust. November z niedowierzaniem patrzy na dwustu biesiadników w czarnych woalkach. Wyglądają jak wiedźmy, modlące się z pochylonymi głowami do światów rozpostartych pod ich stopami.

Kolacja wlecze się niemiłosiernie. Nie ma więcej dań, ale November cały czas słyszy



chrupanie ptasich kostek. Nie chce nikomu przynieść wstydu: zakłada woal, łapie czyża za dziób i trzema palcami – tylko tyle jej zostało do błogosławieństw – wkłada go do ust. W pierwszej chwili czuje słodycz: błyszcząca skórka, mięso i glazura, która smakuje jak brandy zmieszana z winem śliwkowym. Jednakże, kiedy zaczyna przeżuwać (powoli i metodycznie, bo czyż wypełnia jej usta w całości), czuje, że pękające organy wewnętrzne są gorzkie, smakują żółcią, rozpaczą i utraconą miłością. Kości drżą, pękają z trzaskiem, ranią wnętrze ust i do tej mieszaniny dołącza smak krwi, słonej jak łzy ronione nad zniszczonym ciałem. Krew łączy się ze szpikiem – i znów pojawia się słodka nuta, słodka jak sama November, która zwycięsko wychodzi ze wszystkich prób i pozostaje sobą.

Teraz rozumie, po co ten czarny woal. Żaden bóg nie powinien widzieć, jak kobieta pożera samą siebie.

W końcu przetyka, podnosi woalkę i ociera krew z warg. Gdzieś w mieście troje wstrząśniętych ludzi łapie się za okrwawione usta. Jadalnia jest pusta, wszyscy zniknęli, została tylko Casimira.

– Gotowa, żeby wrócić do domu? – pyta.

Tak, November jest gotowa.

\* \* \*

Kiedy przyjeżdżają, dom chowa się za kolumną, ubrany najpiękniej jak tylko November potrafi sobie to u chłopca wyobrazić – turkusowy jedwab, szeroki biały kołnierzyk, pantofle z różowego aksamitu, sprzączka paska z kości słoniowej, włosy elegancko zaczesane i wypomadowane. Wyszukował się specjalnie dla nich, ale teraz się zawstydził. November przyklęka i wyciąga do niego ręce. Pszczoły w niej tańczą: „Matko, o, matko i żono, zostań z nami, to jest twój dom!”.

Kurczowo trzyma się swojej jaźni; jest w tej chwili taka rozciągnięta... Powinna zrobić spis wszystkich rzeczy, którymi jest, a które nie są nią. W głębi serca pozostaje jednak sobą, November, dzieckiem bibliotekarza i kobiety, która zamiast małej rybki złowiła rekina. Uśmiecha się do chłopca zachęcająco.

Moja sukienka to mój żagiel, przypomina sobie.

Chłopiec pędzi do niej i rzuca się jej na szyję. Casimira przygląda się im jak zadowolona z siebie kokoszka.

– Na pewno już się domyśliłaś, że urodziłam się taka sama, jak dzieci od Świętego Fulka. Nie mogło być inaczej, gdyż nasza rodzina dysponuje większym bogactwem, niż cały Palimpsest byłby sobie w stanie wyobrazić. Przez długi czas adopcja świetnie nam służyła, ale mnie matka nie potrafiła oddać. Bracia i siostry od Fulka nie są odosobnieni w swych talentach. Ich opowieści o tym, jak weszłam w posiadanie mojego domu, są niedorzeczne. W wieku ośmiu lat byłam pusta jak niezapisana karta i matka musiała podnieść moją rękę do

kołatki na drzwiach, gdyż nawet tego nie potrafiłam zrobić z własnej woli. Przez tydzień stałam tu, w tym westybulu, nieruchoma i niema, nie jadłam ani się nie poruszałam; nieukształtowane brauriony naprawdę są aż tak głupie. W końcu dom przewyciężył nieśmiałość i zaopiekował się mną najlepiej jak umiał. Nauczył mnie wszystkich języków, jakie dom może znać, całej matematyki niezbędnej do wybudowania go, tańców tańczonych na jego parkietach i poezji recytowanej w jego salonach. Otrzymałam rzetelne wykształcenie. Nie wiem, jak na to wpadł, ale pewnego dnia zaczął mnie lizać i nadał mi kształt, wykazując się małym języczkiem i wielką cierpliwością.

– Rozmawiałem z innymi domami – wyznaje nieśmiało chłopiec i wtula twarz w rękę Casimiry. – One wiedziały, gdzie się podziewają bogate dzieci, a Święty Fulk, to znaczy szkoła, sam budynek, też wie, jak je przebudzić.

Casimira głaszcze go jak ulubionego kota.

– Przebudziłam się pod jego językiem i od tamtej pory jesteśmy nierozłączni. To się podobno często zdarza. Tak oto tylko ja jedna z mojej rodziny jednocześnie urodziłam się jako Casimira i jako Casimira żyję; mogłam zająć należne mi miejsce w sercu fabryki i przychylić ucha całemu temu drobiazgowi, który wychodzi z moich kadzi i spod pras. Śmiem twierdzić, że jestem lepsza od wszystkich poprzednich Casimir, ponieważ edukował mnie dom, co nauczyło mnie myśleć w tak nieszablonowy sposób, że dziś potrafię tolerować w swoim sercu nawet niezwykle mrówcze sny.

November zatacza krąg na lśniącym cedrowym parkiecie.

– Jestem ci wdzięczna za tę tajemnicę i za... za pszczoły. Nie rozumiem jednak, po co mi to wszystko opowiadasz.

Casimira przytula swój dom, a on wczepia palce w jej długie zielone włosy. Kiedy znów się odzywa, jej głos brzmi ostro i chrapliwie. November już się nauczyła, co to oznacza: wielka pani nie chce, żeby November wiedziała, jak wiele jej słowa dla niej znaczą.

– Żebyś mnie lepiej poznała, najdroższa. Żebyś wiedziała, że możesz być tu ze mną szczęśliwa. Żebyś mogła żyć. Żebyś mogła mieć w moim domu dziecko, którego nikt ci nie odbierze. Żeby i na mnie, i na ciebie spłynęła łaska. Żebyś została tu, aż się zestarzejesz i razem zamkniemy powieki, wsłuchane w sny wszystkich naszych pszczoł, szcurów i szpaków. Nie masz nic do stracenia.

– Twoja miłość to straszna rzecz. Cięży. Żądli. Rani.

Wzruszenie ramion.

– Jestem Casimira.

– Nie wiem, czy jej podołam.

– Nie wybrałabym cię, gdybyś mogła nie podołać. Nabierzesz siły. Nabawisz się odcisków.

Dom podkrada się do niej. Po jego niebieskich oczach poznaje, że zebrał się na odwagę.

– Będę lizał twoje dzieci, aż ożyją – mówi. – Obiecuję.

Jego miłość, miłość małej istotki zaklętej w dużej – tak, to potrafi znieść. Przytula go i kołysze, czuje dotyk drobnego ciała, które nie jest do końca ciałem, ale nie jest też gipsem. Jego serce – czymkolwiek jest – łomocze w uniesieniu.

– Jest tu mężczyzna – szepcze w końcu chłopiec, bez entuzjazmu, jakby wołał o tym nie mówić, tylko spędzić jak najwięcej czasu z nowo odkrytą, cudowną zabawką. – Czeka na ciebie.

November się wzdryga i posyła Casimirze zaniepokojone spojrzenie. Obecne w jej głowie pszczoły umysły jej nie ostrzegły.

– Chyba chciały ci zrobić niespodziankę! – Casimira parska śmiechem. – Takie już są. Chłopiec marszczy brwi.

– Ten człowiek nie może tu wejść, pani. Nie wolno mu. Pszczoły zaprowadziły go najdalej jak mogły, ale potem... utknął. Na tyłach, od strony Lotkowej.

Wszyscy troje ruszają w głąb rozległego parteru; serce November tłucze się o żebra, jakby chciało przy tej okazji wykroić dla siebie nową komorę. November zamyka oczy i usiłuje wyczuć obecność intruza, tak jak już to wielokrotnie robiła, ale pszczoły zagłuszają jego istnienie błaganiem, żeby była z nich dumna. A ona jest z nich dumna, bardzo dumna; bicie jej serca je uspokaja, bzyczą coraz bardziej sennie, zadowolone.

Jest gotowa. Spełniły jej prośbę. Zasłużyła na tajemnicę, do której tęsknią Clara, Xiaohui, jej bezimienny brat i obcy mężczyzna w zielonym płaszczu. Nie musiała zgadywać, nie wyczytała tego w książce, lecz wytrzymała moc jadowitej miłości. Czy powie Clarze? Czy otworzy się przed tą nieszczęśliwą rudowłosą dziewczyną jak przed przyjaciółką? Jak przed kochanką? A przed Xiaohui?

Nie, nic im nie powie. Dobrze wie, że tego nie zrobi. Ponieważ to jest święte miejsce i jest mu coś winna. Jest mu winna duszę. Musi je chronić.

Może powinna mieć wyrzuty sumienia z powodu tej niechlubnej motywacji, ale wcale ich nie czuje.

Na tyłach domu, widoczny z ogromnego okna, rzeczywiście czeka mężczyzna. Nie może nawet podejść bliżej: wygląda na to, że biegnąca za domem Casimiry szeroka aleja wytycza granicę dostępnego mu terytorium. Napiera na nią, próbuje się przebić, ale nie poznał dziewczyny imieniem Clara z kolczykiem w języku i bursztynowy cień go odpycha. Ma około czterdziestu lat, rzednące kręcone włosy i długi, szpiczasty nos, na którym tkwią staroświeckie okulary. Ubranie ma całkiem zwyczajne i trochę wymięte, oczy pocziwe i łzawe.

November otwiera okno na oścież.

– Nie możesz! – krzyczy dom.

Ma rację: złota mgiełka nie chce jej wypuścić, stawia opór, delikatnie, jakby z zakłopotaniem, ale stanowczo. November zamyka oczy. Pszczoły wygrywają triumfalną nutę na milionie rozków. Zgaduje imię i woła:

– Ludovico!

Mężczyzna nieruchomieje, wybałusza oczy i patrzy na nią, na jej sukienkę, na zniszczoną, upstrzoną pęcherzami i lekko rozjarzoną skórę, nasyconą jadem i miodem. Na jego twarzy odmalowuje się niepewny grymas rozpoznania. November stoi w oknie, pewna siebie, i uśmiecha się, że aż boli; bąble na jej twarzy napinają się i pękają.

– Ludovico – powtarza spokojniej, ale odważnie. W jej głosie słychać basowy pomruk ula. – Nazywam się November Aguilar. Mieszkam w Benicii, w Kalifornii. Musisz mnie odszukać.

– Jak to? – dziwi się mężczyzna. – Przecież jesteś tutaj.

– Zamknij oczy i przypomnij sobie, Ludovico. Przypomnij sobie mnie. Salonik u żaby. Ślad po użądleniu na moim policzku... Wiem, teraz mam ich na twarzy znacznie więcej. Pamiętasz? Byłam tam w tę pierwszą noc, razem z tobą. Trzymałam cię za rękę.

Ludovico zakrywa usta dłonią.

– Czuję to... Na Boga, te pszczoły... poczułem, kiedy cię tak urządziły...

– Przykro mi. Ja też czułam obecność ludzi w kościele. To ma nam chyba ułatwić znajdowanie się nawzajem. Ale niezbyt pomaga.

– Nie. – Ludovico wygląda, jakby coś przeliczał, ważył w myślach. – Kalifornia, powiadasz?

– Tak! Musisz mnie odszukać w prawdziwym świecie. Znajdź mnie!

– Wiem! To znaczy... wiem, jak to działa.

November jest zdziwiona. To zabolalo. Myślała, że to jej słodka tajemnica.

– Zapamiętaj to – mówi. – Nie zapomnij o tym, kiedy się obudzisz, cokolwiek by się działo. A teraz powiedz mi, gdzie cię znajdę. Powiedz, gdzie mieszkasz.

Ludovico kręci głową, osaczony przez jej pszczoły, które, zadowolone z siebie, leniwie krążą mu nad głową, tworząc wokół niej czarno-złotą aureolę.

– Włochy. Mieszkam we Włoszech, w Rzymie.

– W porządku. Jutro do ciebie zadzwonię. Daj mi swój numer telefonu.

Podaje jej numer, jękając się, a November powtarza go półgłosem tak długo, aż jest pewna, że go zapamięta.

– Jeszcze jedno – mówi. – To ważna sprawa, proszę, pamiętaj i o tym. – November przekrzywia głowę, wsłuchując się w poplątane doniesienia pszczół. Musimy też znaleźć tamtych. Kiedy znów się tu zjawisz, znajdź mężczyznę. Nazywa się Oleg Sadakow i chowa się przed pszczołami, ale... jest gdzieś nad rzeką, pod czarnym mostem z kamiennymi kogucikami. Pszczoły pomogą ci tam trafić; to daleko, a my jesteśmy nowi i nie mamy wstępu w wiele rejonów miasta. Dlatego nie możesz wejść do mnie do domu, chyba że spotkasz taką rudą dziewczynę, Clare. Albo znajdziesz Olegę. Ja odszukam Amayę Sei.

– Tę z niebieskimi włosami? – upewnia się Ludovico. Mówi powoli, jakby spod wody.

– Tak. Jest w pociągu, ale to wiem już od jakiegoś czasu. Poznałam go zapachu.

– Ja też!

– Powiedz mi, gdzie cię znajdę. Powiedz, gdzie mam pójść.

Ludo długo milczy, tylko na nią patrzy. November przechodzi przez myśl, że może jest taki sam jak Clara, może wcale nie chce tu wracać, nie chce więcej niż już ma.

– Pszczoły cię znalazły – mówi w końcu Ludovico. – Nie jestem pewien, co to znaczy, ale może to, że jesteś cnotliwa.

November wybucha śmiechem. Jej ciało promienieje, nagle przepelnia ją absolutna pewność własnych racji.

– Istnieje taki spis, Ludovico, spis rzeczy niezbędnych do szczęścia. My jesteśmy tym spisem. Ludovico Conti. Oleg Sadakow. Amaya Sei. November Aguilar.

Ludo próbuje przejść przez ulicę, zbliżyć się do domu, ale bursztynowe cienie go odpychają.

– Karakalla – mówi w końcu. – Spotkajmy się w Karakalli. Będę pamiętał.

# DWA

## Branża czystości ludzkiej

November zbudziła się roześmiana. Próbowwała zakryć usta dłonią, ale śmiech nic sobie z tego nie robił. Ręka wciąż ją bolała, ślady po użądleniach nadal miały złocisty odcień, tylko opuchlizna trochę zesza. Przyszło jej do głowy, że kiedy wszystko się wygoi, jej skóra na zawsze zmieni kolor. Nie wzięła z szafki książki w brązowej okładce, chociaż wyciągnęła po nią rękę. Odetchnęła głęboko. Książka poczeka. Poczeka.

Jestem niecierpliwym i wybuchowym dzieckiem, pomyślała. Dokładnie takim, jakie lubi Zielony Wiatr.

Sięgnęła po telefon, żeby wybrać wypalony w pamięci numer, zanim zdąży wyblaknąć. Zanim go zapomni. Jej serce znów należało tylko do niej, pszczoły zniknęły, choć czuła w sobie ich obecność; miały się na wszystkie strony. Brakowało ich jej. Splątane brązowe włosy opadały jej na twarz. Pościel była zeszmaczonym kłębowiskiem zagięć i zmarszczek, w którym leżało jej zeszmaczone ciało – bez dwóch palców, z twarzą jak z sennego koszmaru, pokryte obrzmiałymi czerwonymi pręgami (z pewnością zostaną po nich blizny), których jednak nie czuła pod dotykiem i nie była w stanie się nimi przejąć. Nie chciała nawet ryzykować śniadania, dopóki tego nie załatwi, nie zajmie się tą niecierpiącą zwłoki sprawą; bała się, że potem mogłoby jej zabraknąć zapachu, żeby porozmawiać ze smutnym mężczyzną o włosach jak słońce zza chmur, od którego dzieliło ją pięć tysięcy mil kabla.

W słuchawce rozległ się sygnał dzwoniącego telefonu, obcy, europejski, a potem męski głos – zmęczony i bełkotliwy z niewyspania:

– *Ciao?*

– Ludovico, to ja! To ja!

Znów wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

– *Chi e questo?*

– To ja, Ludovico. November. November Aguilar. Pamiętasz?

W jego głosie natychmiast zabrzmiało napięcie, strach, panika:

– *Oh, Christo, Christo, non parlo Inglese! Sono un tal sciocco!*

O mój Boże, pomyślała November. Tam jest łatwo, oczywiście. Ci wszyscy ludzie z różnych miast muszą się jakoś porozumieć, więc tam jakoś to załatwiono, ale tutaj...

– Ludovico? – powiedziała, przeciągając sylaby, przekonana, że i tak zda się to na nic. – Powiedziałaś „Karakalla”. Karakalla. Teraz tylko powiedz kiedy. Podaj dzień. Poniedziałek. Wtorek. Środa. Czwartek. Piątek. Sobota. Niedziela. Wybierz któryś.

Zapadła długa cisza. November wydało się, że czuje, jak Ludovico próbuje – tak jak ona – precyzyjnie się kablem po dnie Atlantyku, wśród kościstych, świecących ryb głębinowych.

– *Domenica* – wymknął się w końcu w eter jego udręczony głos. – *Domenica*. Niedziela. *Mezzogiorno*. *Mi dispiace*. Przepraszam. Niedziela. Karakalla.

\* \* \*

Samolot okazał się równie łatwy w obsłudze jak tratwa. November włożyła zieloną sukienkę, chociaż nie była pewna, czy robi to przez wzgląd na odległą Casimirę, czy bliski Zielony Wiatr ściśnięty w zamrzniętych miastach ponad chmurami. Przez maleńkie jak iluminator okrętu podwodnego okno nie widziała slumsów Sześciu Wiatrów, cirrusowych wieżyc rozpalanych zachodami słońca, ani pawilonów z błękitnego lodu, ale (po tym, co już wiedziała) dopuszczała możliwość, że naprawdę gdzieś tam są: niewidoczne, pulsujące życiem, zgiełkliwe. A małe zefirki i bryzy przypominają pszczoły w olbrzymim perłowym ulu. Weckweet przecież tam była. Na pewno. Casimira o niej słyszała.

Ojciec November miał rację. Wyciągnął kartę z katalogu i – choć szansa była jedna na milion – nie pomylił się. Wszystko na świecie ma swoje miejsce. Nawet ona.

Rankiem otworzyła wszystkie ule, ale pszczoły nie wyleciały na zewnątrz – siedziały, ospałe, w swoich tętniących basowym buczeniem pałacach. Wyjdą, kiedy zechcą; nie są jej własnością. Jej pszczoły czekały na nią, a ona leciała im na spotkanie najszybciej jak mogła.

Oczywiście ludzie się na nią gapili. Stewardesa uważała, żeby jej przypadkiem nie dotknąć. Pytano ją również, czy to nie jest zaraźliwe; mało brakowało, żeby się przy tym roześmiała, tak zabawny wydał się jej ten pomysł. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnim czasie wyglądała wprost demonicznie: ciało całe w ranach po żądłach, brak dwóch palców, twarz obrzmiała jak czarna maska. Włożyła kaptur i uśmiechała się przepaszająco do dzieci, które zazdrośnie od niej odpędzano. „Nie bójcie się”, chciała powiedzieć. „To nie jest zaraźliwe, a na pewno nie w taki sposób, jak myślicie”.

Ale zamilczała.

\* \* \*

Karakalla była łaźnią – dawno temu, bo dziś została z niej dostojna ruina, zawalone łuki, zapadnięte schody i grzybkowate kopczyki gruzu. Znajdowała się na obrzeżach Rzymu, miasta, którego November nigdy przedtem nie widziała, przesyconego światłem, które wydawało się wręcz namacalne, jak ciało. Cały Rzym przybrał kolor tego słonecznego blasku, stał się na wpół złoty, jakby to złoto cichaczem pobierało lekcje od gruzów, i krok po kroku zagarniała miasto dla siebie. Wszystko było tu stare, bardzo stare, dziesięć razy burzone, odbudowywane i przemianowywane. Kiedy na tabliczce dla turystów wyczytała, że zimny i elegancki marmur na Bazylikę Świętego Piotra zaczerpnięto ze starego Forum, nie wiadomo dlaczego zrobiło jej się smutno, że gdy dzień wcześniej oglądała gigantyczny kościół, nic nie wiedziała o jego pochodzeniu. Miasta zbudowane z innych miast – jedne powstające na gruzach drugich, burzone, karczowane i ponownie zabudowywane, niezdradzające ani krzty swojej przeszłości. Palimpsesty. Rękopisy na pergaminie, wydrapywane i zapisywane na nowo, raz za razem. November uśmiechała się pod nosem, spacerując po brukowanych ulicach.

Taka już natura niedzieli, że nie spieszy się z nadejściem, w końcu jednak namierzyła November, wywęszyła ją swoim precyzyjnym noskiem i znalazła siedzącą na trawie w Karakalli. Serce November pędziło jak oszalałe, goniąc w piętkę.

Kiedys w tych ścianach biegle rury, w których przelewała się gorąca woda, pomyślała. A teraz tak tu sucho. Godna emerytura po wycofaniu się z branży czystości ludzkiej.

Podobała jej się myśl, że siedzi w miejscu, które w przeszłości było zalane wodą. Wydawało się przez to takie spokojne. Wieczne. Mogła tu znaleźć oczyszczenie, wśród traw i kamieni, które zmiażdżyłyby i starły na proch wszystkie nieczystości, a ją zostawiły nietkniętą.

Długo musiała czekać na Ludovica, tak to przynajmniej odczuwała. Gdy w końcu wyszedł zza załomu zawalonego muru, wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednio: zgarbiona postura nieustępliwego czytelnika, nieśmiały krok. Miała wrażenie, że widzieli się już z tysiąc razy; pamiętała na jego ustach muśnięcia ust tamtej kobiety, czuła na jego skórze dotyk łap i pazurów w kościele, słyszała – jego uszami – pokrzykiwania na wyścigach. Chciała wyciągnąć do niego ręce. Gorąco tego pragnęła.

Lecz on tylko wytrzeszczył oczy i gapił się na nią. Wiedziała, że tak będzie. Tam wyglądała inaczej, w pięknej sukni i aureoli z pszczół. Tam emanowała blaskiem, światłem pszczelego jadu w żyłach, a tu była zwyczajną kobietą po trzydziestce z fatalnie ufarbowanymi włosami i obgryzionymi paznokciami, w zielonej zimowej sukience, bez dwóch palców, w dodatku wciąż opuchniętą od użądleń, które na całym ciele odcisnęły się jak przedwczesne zmarszczki albo blizny po oparzeniach. I ta twarz... Jakby miasto wymierzyło jej policzek. Próbowwała udąć, że nie widzi, jak na nią patrzy, i uśmiechnąć się, ale wiedziała, jak wygląda, i zdawała sobie sprawę, że mimo starannego planowania może mieć problem z przekonaniem go, żeby jej dotknął.



– Cześć – powiedział z koślawym, sękatym, chropowatym akcentem.

Natychmiast się zorientowała, że przez cały tydzień ćwiczył to powitanie przed lustrem.

Usiadł obok niej. Kiedy słońce prześwietlało jego rzadkie włosy, wyglądał jak święty ze złotym dyskiem nad głową: poważna twarz, łagodne oczy, ściągnięte policzki.

Nic nie mówili. Nie mogli mówić, nie mieli wspólnego języka. Powietrze pomiędzy ich ustami gęstniało i skwierczało z napięcia, ale nie mieli ostrza, którym mogliby je przeszyć. Siedzieli więc wśród ceglanych wież, w starym, zrujnowanym mieście, patrząc na siebie nawzajem i milcząc. November doszła do wniosku, że to niedorzeczne: przebyła taki szmat drogi, a nie miała do zaoferowania nic prócz swoich ran.

Aż nagle Ludovico pochylił się lekko i poszukał ustami jej ust, a kiedy je znalazł, już nie puścił. Złapał ją za rękę – tę okaleczoną, na którą Clara nie chciała patrzeć – i pocałował z wilczą żądzą, wgrzył się w jej wargi z jękiem i z taką siłą, że poczuła się tak, jakby wykradał jej całe powietrze z płuc.

Czułeś to wszystko, pomyślała. Czułeś, kiedy mi to robili. To dlatego ci to nie przeszkadza?

On jednak chwycił ją już mocno w pasie. Oboje zapłakali – woda znów popłynęła w wyschniętej na wiór łaźni – a on bez końca powtarzał jej imię; w jego ustach przybierało najdziwniejsze kształty, chociaż pozostało jej imieniem. Ssał jej piersi jak dziecko, ona zaś ugryzła go w bark, lekko, po kociemu, i też wyszeptała jego imię. To były jedyne słowa, jakie znali, jedyne słowa na świecie. Uniósł ją i oparł o ścianę starego *caldarium*, nieporadnie, gdyż nieustępliwy czytelnik nie jest dryblasem. Skrzywiła się; nie była gotowa, ale nie przejmowała się tym i on też się nie przejął. To był dziewiczy ból – zbyt dużo, zbyt szybko, lecz i to jej nie przeszkadzało. Zadarła głowę do nieba. Słońce opłukało ją do czysta, obmyło potężnymi, starymi dłońmi. Ciało Ludovica wskoczyło w głąb jej ciała, napało na jej wnętrze jak na membranę bębna, którą mógłby rozedrzeć i zmusić do uwolnienia obcych pieśni. November wybuchnęła śmiechem.

Istnieje spis rzeczy niezbędnych do szczęścia.

Ludovico wrzasnął jak obłąkany wróbel, kiedy doszedł, jakby się rozpękał i zniknął, zostawiając po sobie tylko pióra, które powoli przenikały w głąb jej kości.

## Róg Kausii i Skostnialej

Podobnie jak nad brzegami innych sławnych rzek, także nad Albuminą mieści się małe smętne muzeum żeglarskie – w tej okolicy, gdzie płycizny przechodzą w mokradła, a ludzie, którzy zamiast wielkich i wspaniałych statków mają małe, urocze łódeczki, przeznaczone nie do łowienia ryb, lecz do pływania pod drogocennymi szkarłatnymi żaglami i wystawiania na wiatr złotoskórych dziewcząt, kotwiczą swoje łodzie na czas zimy. Poza przebogatą kolekcją ciekawostek historycznych i materiałów uzupełniających, w ubogich, osiadających murach muzeum odkryto, skatalogowano i opisano co najmniej szesnaście nowych odmian kurzu.

Nie trafiają tu żadne wystawy objazdowe. Nieliczne szklane gabloty i ciężkie metalowe stelaże pamiętają czasy, gdy Oduvaldo, aktualny kustosz, nie sprawował jeszcze swojego urzędu, i pozostaną na swoich miejscach, gdy on przekaże klucze córce, Maud, która już w pierwszych słowach, bełkotliwych i rozchichotanych, skarciła i skutecznie uciszyła matkę. Długie i niepokojące dzieje białej rzeki zostały w muzeum schwywane, uwięzione w pudełkach i pomniejszone; nauczono je siadać, podawać łapę i wykonywać inne sztuczki ku uciesze kilkorga gości, których muzeum rokrocznie z dumą przyjmuje w swoich progach.

Na północnej ścianie wisi fotografia... Zaraz, jak to możliwe? A jednak. To naprawdę jest fotografia, czarno-biała, wprost niewiarygodnie wyblakła, w dodatku przed stu albo dwustu laty zalana herbatą. Ołowiana ramka jest obwieszona wędkarskimi ciężarkami: to poprzedni kustosz próbował ją odświętnie przyozdobić. Zdjęcie przedstawia widziany z lotu ptaka (Ale jakim cudem? Jak uzyskać taki punkt widzenia w świecie, który nie zna samolotów? Jak sfotografować coś takiego?) spłaszczony okrąg na rozległej, błotnistej równinie porośniętej powykrecanymi tamaryszkami i gigantycznymi, przedpotopowymi paprociami. Tę sawannę okalają wysokie, zębate góry, spoza których słabo świeci słońce. Krąg jest olbrzymi. Nic w nim nie rośnie, widać natomiast przecinające go słabo zarysowane linie... Ach, to z pewnością zmarszczki, delikatna harmonijka akordeonu, który jakiś nieczuły prostak porzucił w tym miejscu! Ale nie, łatwowierność też ma swoje granice. Te wątle linie to po prostu granice, na których jeden rodzaj blocka przechodzi w drugi. Co nie zmienia faktu, że coś przypominają: linie na mapie, znamiona na skórze... Rozbiegają się ze środka równiny jak szprychy koła, a sam jej środek jest czarną otchłanią, jak dziura przekopana w ziemi na wylot. Pochylające się nad nią tamaryszki zagłądają w nicość.

Podpis pod zdjęciem (dawniej wypisany ręcznie, później schludnie wydrukowany, pełen ożywionych inicjałów i innych zbędnych dodatków) głosi:

*Równina Palimpsestu Widziana z Wielkiej i Nieokreślonej Wysokości.*

Nie ma daty – bo jej być nie może. To bez wątplenia podróbka, i to nawet niezbyt sprytna, ponieważ fotografia jest jednak stosunkowo nową sztuką. Z kilkorga dorocznych gości co najmniej czworo złości się i zarzuca Oduwaldowi, że próbuje z nich zrobić durniów, on zaś siedzi spokojnie w swoim obszernym filcowym fotelu, krzyżuje cętkowane nogi muła i z zadowoleniem pyka z długiej fajki. Nie zna się na archeofotografii i w ogóle się nią nie interesuje. Zdjęcie było w muzeum już kiedy jego dziadek był dzieckiem. To mu wystarcza.

W gablotach spoczywają na wyblakłym aksamicie różne eksponaty: prymitywna igła do tatuażu, monety o nieokreślonym wieku i nieco azjatyckim wyglądzie, tabliczka z nazwą ulicy z jakiejś dawniej miejscowej osady, na której wypisane dużymi literami słowo „Thoa” wciąż jest wyraźnie widoczne, chociaż mocno wyblakło i kolorem upodobniło się do drewna tabliczki. Muzeum ma również pokazną kolekcję kotwic, których nie brakuje na zwarzonych płycznach Albuminy. Jest w nim także duże, kolorowe malowidło ścienne przedstawiające wielką bitwę morską na Mieliznach Kausii: zielone galeony Casimiry eksplodują z oleistą rozrzutnością, zasypując żalodne, wyrzucone na brzeg drewniane fregaty obrońców gwałtownym deszczem lśniących pajaków. Obraz ma wściekle jaskrawe kolory, zgodne z prawidłami szkoły malarskiej, która dawno wyszła z mody, ale ta jarmarczność tylko przydaje mu wagi. Przed nim, na obleczonym w przetarty aksamit postumencie, leżą ułożone w elegancką gwiazdę trzy kule z muszkietów i pięć zasuszonych pajaków z wywleczonymi i stopionymi wnętrzościami.

Oduwaldo jest zadowolony z życia. Odsłużył swoje w wojsku i czuje, że ma prawo do zadowolenia. Maud opatrzyła wszystkie swoje zabawki i srebrną zastawę stołową małymi, ręcznie wypisanymi karteczkami, dzięki czemu jest także spokojny o swoje dziedzictwo. Nie ma żadnych tajemnic – jeśli nie liczyć kawałeczków czekolady, które przemyca do wszystkich muzealnych szuflad, żeby po lunchu, kawie i fajce wsunąć do ust czarną tafelkę, zamknąć oczy i poczuć, jak czekolada roztapia mu się na języku, gdy słońce z nieubłaganą czułością wypala kolory z jego eksponatów.

\* \* \*

Oleg kuli się w cieniu rzucanym przez – jak się domyśla choć nie interesuje go to na tyle, żeby się upewnić – Most Kausii. Rozzłoszczone kamienne kogutki podśmiewają się z niego szyderczo, nawet drobna mżawka zaczyna się nim interesować. Oleg nie spodobał się starcowi, a gdy dotknął jednego z muszkietowych pocisków, wredny stary potwór bez słowa

wyrzucił go za drzwi i wepchnął prosto w śmietankową płyciznę przy brzegu rzeki. Chciałby jeszcze raz obejrzeć tamto zdjęcie. Knykciami wyciera deszczówkę z oczu i spod przymkniętych powiek patrzy na rzekę, miasteczka na drugim brzegu i latarnie na łodziach rybaków, którzy mimo późnej pory wciąż liczą na złowienie jakichś koi.

Nieszczęśliwy w jednym mieście, nieszczęśliwy w drugim. Przykuca, opiera się plecami o wdzięczny łuk przęsła i stawia kołnierz. Widział filmy, w których mężczyźni wyglądali tak samo: stawiali kołnierze płaszczy dla ochrony przed deszczem, cierpieli przez kobiety, byli piękni w swojej szorstkiej, naszpikowanej papierosami rozpaczy. Zdaje sobie sprawę, że nawet jeśli kiedyś był piękny, w tej chwili z pewnością nie jest. Stał się duchem, co okazało się znacznie mniej przyjemne niż sobie wyobrażał. Ludmiła była zawsze taka spokojna, a kraina umarłych z jej opowieści wydawała się schludna i rozsądna, pełna rzeczy i pojęć, które powinny znajdować się w każdym kraju. Różnica była tylko taka, że zamieszkiwali ją tacy ludzie jak jego siostra, niezłomnie lojalni, z przenikliwymi, nigdy niemrugającymi oczami.

On jednak nie umie znaleźć Ludmiły, choć spotkał mnóstwo niesamowitych stworzeń. W dodatku w krainie umarłych – czy gdzie tam wylądował – pada deszcz, a staruszkowie wyrzucają go na kopach ze swoich nędznych kanciap.

Ryba wyskakuje z białego spienionego nurtu; pomarańczowy ogon z impetem uderza o powierzchnię rzeki. Oleg marszczy brwi. Nie znajdzie jej. Ona nie chce dać się znaleźć. Jej rzeka jest głęboka, a ona jest świetną pływaczką. Przynajmniej powinna być, minęło już sporo czasu.

– Przepraszam! – wykrzykuje w stronę rzeki. – Wróć!

Ona jednak nie wraca, a on już wie (od kiedy rozjaśniło mu się w głowie po tym małym, wstydliwym rytuale), że nie wraca, ponieważ on na to nie zasługuje. Tu, w tym nowym miejscu, nie okazał się godny tej Ludmiły. Nic nie szkodzi, że ją pocałował; nie była jego siostrą, nie tak naprawdę, a zresztą duchy i tak nie wiedzą co to moralność. Gorzej, że ją skrzywdził. Czymkolwiek był ten czerwony płyn do złudzenia przypominający krew, nie powinien był go przelewać. Człowiek, który ma moc zadawania duchom krwawiących ran, powinien uważać. Bardzo uważać.

Na dźwięk kroków odwraca się gwałtownie, spodziewając się – jak to w wielkim mieście – jakiegoś bandziora z nożem albo szczerbatego świra. Tymczasem widzi tylko smutnego faceta w okularach, przemoczonego do suchej nitki, w obwisłym od wody niebieskim swetrze. Na górze, po gładkich szynach oddala się powóz. Oleg jest zbity z tropu.

– Oleg Sadakow? – pyta tamten.

– Tak, a bo co?

– Nazywam się Ludovico Conti. Znalazłem cię.

– Nie chcę, żeby mnie ktoś znajdował! – warczy w odpowiedzi Oleg, ale intruz wydaje mu się dziwnie znajomy; jego widok jest naturalny jak widok własnej dłoni.

– Nie pamiętasz? – pyta Ludovico, zniżając głos, który jakby się rozproszył wśród chmur.

– Żabiogłowa kobieta. Atrament. Dziewczyna o niebieskich włosach. Wiem, że mnie trudniej zapamiętać, ale...

Oleg mruga ze zdumienia. Jego umysł usilnie stara się wziąć w garść, ogarnąć i zrozumieć to, co mu zaprezentowano.

– Przysłała mnie ta ze śladem po użądleniu. Nazywa się November i... i ma dojścia. Do wszystkiego, tak to przynajmniej wygląda... Ale mniejsza z tym. Mam ci powiedzieć, jak nas znaleźć w prawdziwym świecie, czy raczej w tym drugim świecie, bo nie wydaje mi się, żeby któryś był bardziej, a któryś mniej prawdziwy. Już tak nie myślę... Pewnie nie przepadasz za literaturą średniowieczną, co?

Oleg kręci głową.

– No tak... Jest taka księga, encyklopedia, nazywa się *Etymologiae*. Opisane są w niej różne nieprawdopodobne stwory, naprawdę nieprawdopodobne, takie jak gryfy i feniksy, ale też zwyczajne mrówki, żółwie czy miasta w chrześcijańskim świecie. No i mnie się wydaje, że z nimi jest podobnie, z Palimpsestem i prawdziwym światem: niemożliwa bestia siedzi tuż obok oposa. Mniej więcej.

– Po co mam was znaleźć?

Ludovico spogląda na niego spod rzęs, jakby się bał powiedzieć na głos to, co wie.

– Wygląda na to, że w taki właśnie sposób można się tu przedostać. Na stałe. Emigrować. Rozumiesz? Ludzie, z którymi tu trafiliśmy... Jeżeli znajdziemy ich na jawie, będziemy mogli przenieść się tutaj na dobre. Na zawsze.

Oleg zatacza się w tył. Jedna noga ślizga mu się w beżowej mazi, niewiarygodnie jedwabistym gęstym mule mlecznej rzeki, i Oleg z impetem siada w bloku. Nawet tego nie zauważa. W ogóle go to nie interesuje.

– Nie – szepcze. – Ja nie chcę się tu przenosić na stałe. Co innego ludzie, którzy mają dojścia i zielone powozy, ale ja? Ja pracuję w restauracjach i mieszkam pod mostem. Skrzywdziłem ją. Już nie wróci. Za to może w prawdziwym świecie... Tak, on na pewno jest bardziej prawdziwy, musi być, po prostu musi... Może tam do mnie wróci, wybaczy mi i wszystko będzie jak dawniej.

– O kim mówisz?

– O mojej siostrze, Ludmile. Tylko że... Tutaj ona wcale nie jest moją siostrą. Przypomina ją, ale nią nie jest. Jest... Powiedziała, zdaje się, że jest *pecia*.

Ludovico parska śmiechem, niewymuszonym i nerwowym. Nagle robi mu się ciepło, zaczyna się poruszać po znajomym terenie. Czarne wilgotne kamienie wibrują od jego śmiechu. Kogutki patrzą na niego i stroszą pióra.

– *Pecia*? Ale przecież to znaczy... Tak się robiło w dawnych czasach, kiedy powstawała ta księga, o której wspominałem. Zamiast zlecać kopiowanie opasłych tomów w całości, dzielili je na kawałki i dawali do kopiowania nowicjuszom. Oryginał był wzorem, kopie nazywano *pecia*. Dlatego wiem co masz na myśli. Rozumiem. Ona jest kopią. Ktoś zrobił dla

ciebie kopię.

– A ja byłem dla niej nieuprzejmy, więc mnie porzuciła. Skoczyła do rzeki. Nie wiem, jak ją odszukać, a bez niej to miejsce mnie nie interesuje. Będziecie musieli poradzić sobie beze mnie.

Ludovico przekrzywia głowę i badawczo przygląda się Olegowi, który jest wyzywająco samokrytyczny. Z pewnością wie, że wygląda makabrycznie. Szyderczy uśmiech, mający maskować rozpacz, upodabnia jego twarz do pyska małego gargulca.

– W takim razie może poszukamy jej razem, ty i ja? – proponuje bez ogródek, całkiem zwyczajnie, jakby zapraszał Olega na obiad. – Rzeka jest ogromna, ale jeśli do niej wskoczyła, może uda nam się ją znaleźć. Tylko musimy być niezłomni. Godni.

Wyciąga rękę, zbyt dużą i niezdarną. Oleg długo się waha, nim postanawia ją uścisnąć.

– Obyś nie miał nic przeciwko temu, żeby ukraść łódź – dodaje Ludovico.

Wychodzą na deszcz. Brodząc w płytkiej, wzburzonej, gruzłowatej toni odcumowują letnią łódź spacerową, której dziób i rufę – wydłużone i zakrzywione ku górze – zdobią drewniane rysie łby. Daszek nad pokładem jest w blasku słońca prawdopodobnie niebieski, lecz w tej chwili ocieka ohydną czernią, a jego rąbek z lśniącego stał się szary i smętny. Poruszają się cicho. Nikt ich nie widzi. Ludovico odważnie wypycha łódź na środek szybkiego nurtu. Oleg opiera się ciężko o podłużną skrzynię pełną wędek i dziecięcych strojów kąpielowych z falbankami.

Księżyc wygląda niepewnie zza chmur i zaraz znów się chowa, rumieniąc się gwałtownie.

– Jesteśmy w Rzymie, Oleg. Via Manin Daniele 50. Znajdź nas. Proszę cię, przybądź i znajdź nas.

# TRZY

## Dziewczyna wśród cierni

Hester zniknęła. Trzy dni temu. Płakała. Oleg pamiętał jej płacz jakby zza parawanu.

– Mam dość – powiedziała. – Nie zniosę tego. Myliłam się, nie jestem dobrym człowiekiem, nie mogę cię oglądać... – Wczepiła się w ścianę, jakby ta mogła odwzajemnić jej uścisk. – Nie z nimi. Nie mogę na to patrzeć. To wstrętne. Potworne.

I odeszła. Raz czy drugi przyszło mu do głowy, że mogła sobie zrobić krzywdę – miała takie zaczerwienione oczy, kiedy wychodziła, takie znużone i udęczone, ale on nie miał w sobie dość krwi, żeby się tym zaniepokoić. Za krótko się znali. Nie była księżną cholery. Nie była jego rodaczką. Nie może być prawdziwej miłości między dwojgiem obcych.

Od tamtej pory, pozbawiony Hester i jej płochliwej opieki, dwa razy wyszedł do sklepu, potykając się na obolałych nogach, które już zapomniały, że są nogami. Sok z prawdziwych pomarańczy był tak jasny, że palił go w gardło. Spróbował chleba, skubnął mięsa, ale nie mógł ich przełknąć. Był w stanie zjeść co najwyżej zimną, tłustawą zupę z baru, który wcale nie był taki znowu mityczny, i popić wodą.

Jego łóżko wyschło albo zamarzło – nie miało to znaczenia, bo i tak spał na nim jak kłoda, jak zabity, niemy, blady.

Czwartego dnia przyszła. Usiadła na łóżku, ubrana w skąpą kurteczkę z obszytym futrem kapturem. Miała ogromne sińce pod oczami, wargi zupełnie bez koloru i ślady wymiocin lub śliny na policzkach. Podkuliła nogi, podciągnęła kolana pod brodę i patrzyła na niego pustym wzrokiem.

Nie była to jednak jego Ludmiła, lecz Hester. Miała opuchnięty język i mówiła niewyraźnie.

– Dlaczego przyszłaś? – spytał lękliwie, podciągając koc pod brodę.

– Nie chciałam.

– No to odejdz. Ja też cię tu nie chcę.

– Zauważyłam.

Patrzyli na siebie w milczeniu, jak dwoje dzikich zwierząt w dżungli – spoglądających sobie w oczy i niemogących zdecydować, które bardziej się boi.

– Dobrze się czujesz? – wyszeptał w końcu Oleg cichym, łamiącym się głosem.

Zmrużyła oczy i przełknęła ślinę.

– Nie najlepiej.

– To tak jak ja.

Uśmiechnęła się lubieżnie, złowieszczo.

– Myślę, że moglibyśmy zostać kochankami, ale wiesz, takimi z prawdziwego zdarzenia, którzy parzą sobie nawzajem kawę i czytają te same książki. Tak wiele nas łączy... Oboje umieramy z rozpaczy, zamordowani przez całe miasto. – Wśliznęła się do niego do łóżka, okrywając kocem zziębnięte ramiona, i objęła go za szyję. – Pamiętasz, co mi opowiadałeś? – zapytała szeptem, dziwnie przeciągając głoski. – O krainie umarłych? Ja też mam dla ciebie opowieść. Dawno, dawno temu pewna dziewczyna połknęła na raz wszystkie swoje tabletki, ponieważ chciała przestać śnić, a anioł, o którym myślała, że ją uratuje, okazał się skończonym gnojem. Podoba ci się moja historia? Bo mnie tak. Dobrze się kończy. – Pocałowała go w policzek; już zawsze miał czuć ślad po jej pocałunku. Zniżyła głos. – Jak sądzisz, czy gdyby Kolumb, stanąwszy na dziobie swojego statku, spojrzął na Nowy Świat i zobaczył wszystko, co się z nim stanie: choroby, śmierć, zdrady, krew, wszystkie te draństwa, to myślisz, że nazwałby go rajem? Czy raczej uciekłby do domu, aż by się za nim kurzyło? Bo ja chcę tylko wrócić do domu.

W półmroku sypialni jej oczy były ogromne jak dwa zamki otwierające się aż na Atlantyk, a nawet jeszcze dalej, aż do słonego morza umarłych i rozsianych na nim mrocznych wysp.

Odwróciła się gwałtownie i zwymiotowała na zimną posadzkę. Położył jej rękę na plecach i odgarnął włosy, kiedy wstrząsały nią kolejne spazmy żalu i samotności; nie mógł ich powstrzymać. Jej ciało dygotało mu w rękach, chciało żyć, zdecydowane pozbyć się wszystkiego, co nie jest życiem. Szlochając, zgięła się wpół i oparła o wezglowie. Przez jej kręgosłup przepłynęło coś, co zbliżyło ich bardziej niż wcześniej jego nasienie, połączyła ich wspólnota cierpienia przekraczającego ludzkie granice. Oleg uświadomił sobie, że to właśnie zapamięta ze znajomości z Hester; długo po tym, jak zapomni, co czuł, poruszając się w niej, będzie pamiętał, jak podtrzymywał jej włosy, kiedy wyrzygiwała sobie serce na podłogę jego sypialni.

Wyszła, zanim się obudził. Zdawał sobie sprawę, że więcej jej nie zobaczy. Nikt nie lubi świadków własnej słabości.

\* \* \*



Tego ranka wmusił w siebie jajko. Triumfował. Po drugim soku z pomarańczy, podpierając się parasolem jak laską, zdołał przejść do następnej przecznicy, żeby sprawdzić stan swojego konta w banku. Poczł się tak, jakby znów patrzył w oczy Hester, ciemne i głębokie; musiał się oprzeć o czyste, szklane drzwi banku, żeby nie stracić równowagi.

Nikt mu nie pomoże. Stracił wszystkich najbliższych. Ludmiła na dobre od niego odeszła, nieodwracalnie. Zamarznięte łóżko przypominało o zbyt wielu utraconych kobietach. Została tylko ta Ludmiła w Palimpseście, ciepła i żywa. Dar. Znajdzie ją tam, wystarczy, że pójdzie wzdłuż rzeki... Ale nie w takim tempie, nie może zbierać pojedynczych, przypadkowych nocy jak zbyt rzadko niszanych na nitkę koralików. To za wolno.

Jeżeli nie zapłaci czynszu, wystarczy mu pieniędzy na bilet do Rzymu.

A jeżeli kupi bilet do Rzymu, może nie będzie musiał się więcej przejmować opłacaniem czynszu. Uczciwy układ.

Tyle tylko, że w tej chwili nie miał siły nawet pojechać na lotnisko. W płucach coś mu grzechotało, jakby przy każdym oddechu odrywał się od nich kawałek szkła. Tak długo spał, i tak rozpaczliwie, że czuł się jak ta dziewczynka z bajki, dziewczynka wśród cierni, która spała tak długo, że zdusiła w sobie cały sen i obudziła się w zamku pełnym duchów. Żadna część jego ciała nie sprawiała wrażenia całkowicie przebudzonej.

Wypłacił wszystkie pieniądze i zamknął się w pokoju ze swoją kolekcją zamków i kluczy. Ułożył gotówkę w zgrabny stos na wiekowym zamku kancelarii prawnej, z odbitym w mosiądzu symbolem wagi, i nie spuszczał jej z oka: chciał mieć pewność, że mu nie ucieknie. Pokój intensywnie pachniał metalem; ten zapach kojarzył mu się z ukojeniem, siłą, odpornością. Zupełnie do niego nie pasował. Stosik pieniędzy nie był duży, ale chyba powinien wystarczyć.

W czasach, gdy do krain sennych był wchód dwojaki, bramą z kości słoniowej i bramą rogową, kładziono zmarłym monety na powiekach, żeby mieli czym opłacić przejazd na drugi brzeg szerokiej, czarnej rzeki, oddzielającej świat żywych od pracowni kapelusznich i fabryk amunicji. Oleg zastanawiał się kiedyś, jak przekładano wartość pieniędzy między dwoma światami. Księgi o tym milczały. Jak one się przenosiły, te trupie monety? Jak mogły zniknąć tutaj i pojawiać się tam? Czy musiały przebyć długą drogę wśród gór i wąwozów? Czy miały z tym kłopot? Czy były tym umęczone? Czy niektóre z nich kapitulowały i nie docierały na miejsce?

## Róg Ospalej i Rozleniwionej

Wojna skończyła się dwanaście lat temu, w dniu pierwszego przesilenia zimowego. Zima w Palimpseście jest długa, lato jeszcze dłuższe, a specjaliści układający kalendarze to ludzie mądrzy i onieśmielający. Zima dzieli się na cztery okresy: pierwszy przymrozek, zima gałęzi, zima śniegu i zima błota. Pierwsze przesilenie, w czasie pierwszego przymrozku, kiedy zbiera się jeszcze spóźnione, rozleniwione owoce, a w diamentowych kuflach warzy cydr, to uroczysty dzień: Święto Białego Lisa, Dzień Świeżego Szronu, Festiwal Zamiecionego Paleniska. Jego nazwę wielokrotnie wymazywano i zapisywano na nowo, jak wszystko w Palimpseście.

W dniu podpisania traktatu pokojowego czerwone liście były skute lodem i srebrem. To było tutaj, dokładnie tu, gdzie teraz stoisz. Nie jest to żadne szczególne miejsce, a tego wydarzenia nie upamiętnia żaden posąg ani tabliczka z opisem dla zwiedzających. W dole, poniżej poziomu ulicy, rzeka łomocze o urwisko. Na górze stoi cicha piekarnia, w której wdowa imieniem Klaudia płacze nad ciastem i wypieka kruche lukrowane ciasteczka ze łzami i owocami ostrokrzewu. Nadal warzy zimowy cydr, w zwyczajnych, pozbawionych ozdób kuflach.

Casimira przywdziała w tym dniu żałobną czerwień, a przy podpisywaniu traktatu po jej twarzy spływały łzy, których nikt się nie spodziewał. Cumujące w porcie na dole statki miały czerwone żagle i czerwone bandery. Niepokonana generał Ululiro, z cętkowaną i niemiłosiernie błyszczącą głową żarłacza błękitnego, stała obok schylonej nad dokumentem zielonowłosej Casimiry. Reprezentowała armię. Podpisała traktat w imieniu wojsk parlamentu.

Casimira była taka młoda, nieprzyzwoicie młoda, miała najwyżej dwadzieścia lat – a mimo to złamała włócznie Ululiro, zakończyła wojnę, spełniła swoje jedyne niezrealizowane pragnienie. Zatriumfowała.

Nie bądź na nią zła, Ululiro, córko szlachetnego latarnika, która za młodu z takim zapalem tańczyłaś wokół ognistych gazowych kul! Prawda jest taka, że Casimira pragnęła zwycięstwa bardziej niż ty nim gardziłaś, a ja mam figlarną naturę i spełniam tylko najżarliwsze pragnienia.

Ścięte mrozem liście opadały jeden po drugim na podwyższenie, roztrzaskując się na nim

bezgłośnie. Nie było orkiestry dętej, nikt się nie odzywał; większość obecnych nie mogła mówić.

Przy okazji podpisywania traktatu nie zapomniano o rozsianych po całym mieście stu tysiącach weteranów, okaleczonych i nieodwoalnie niemych. Jak to jednak zwykle bywa, przewidziane dla nich święte miejsca skurczyły się z czasem do kawałka pustej plaży, a z przywilejów zostało tylko uprzejme skinienie głowy, kiedy ktoś mijał ich na ulicy. W mozolnie rozpisanych paragrafach znajdują się także zapisy określające obszar kwarantanny – i to jest właśnie to miejsce, ten drewniany krąg, wyniesiony nieco ponad poziom gruntu, gdzie przed laty królowa wszelkich owadów i rekin stali ramię w ramię i patrzyli na opadające liście.

\* \* \*

Dziś mało kto chce o tym rozmawiać, ale jest to również punkt, przez który w przeszłości przybywali do miasta imigranci. Stali mieszkańcy. Kiedy znów zaczną przybywać? Czy w ogóle zaczną? A jeśli tak, to gdzie się pojawiają? Przez lata budzili się właśnie tutaj, nadzy i zakrwawieni. Drogi prowadzące do miasta były bowiem żmudne i niebezpieczne, a przebycie ich należało opłacić żalem i determinacją.

Klaudia ma dla nich ciastka, gdyby naprawdę mieli wrócić. Walczyła w ich obronie; straciła na wojnie oko i jedną nogę, od kolana w dół. Drugą nogę ma muskularną, gruzłowatą i owłosioną – to niedźwiedzia łapa, którą zasłania rozmięczonym przez starość fartuchem. Codziennie rano studzi na parapecie ociekające czerwonym sokiem ciasta i ciasteczka i wpatruje się w podwyższenie. Jest cicha i spokojna w swoim przeświadczeniu, że żaden wysiłek nie idzie na marne. Casimira zapowiedziała, że wróca.

\* \* \*

Ludovico prowadzi łódź przez mroki wieczoru. Jest jasno i chłodno, deszcz ustał, gwiazdy błyszczą jak otwarte białe usta na niebie. Spogląda na młodego mężczyznę, skulonego obok ławki i wpatzonego w bulgoczący mleczny nurt rzeki. Chce mu powiedzieć: „Moja żona Lucia też tu jest. Nie jej kopia, tylko ona sama, oryginał. Nie chce mnie, ale ja nie mogę przestać jej gonić, tak jakbym był królikiem i nie mógł się zatrzymać, bo wtedy pęknie mi serce. Rozumiem, co próbujesz zrobić. Na twardej kanapie u Nerezzy śpi kobieta, która też cię zrozumie, chociaż nie możesz z nią porozmawiać. Jest jak koziorożec, który – bystry, przebiegły i silny – przemierza najwyższe, najbardziej strzeliste szczyty gór. Sierść ma jak blask księżyca, a jeśli go spłoszysz, zeskoczy wprost na ziemię i z wdziękiem wyląduje na rogach, cały i zdrowy. Nigdy więcej na ciebie nie spojrzy”.

Nie, poprawia się w myślach. Jest zwyczajną, ludzką kobietą. Jest pustelniczką, która

przykuła się sama do siebie jak do skały. Kiedy na nią patrzyłem, mimo tych wszystkich jej sińców nie mogłem sobie przypomnieć imienia żony.

Okazuje się jednak, że te słowa nie chcą mu przejść przez gardło, nie potrafi ich powiedzieć młodemu mężczyźnie o twarzy aż nabrzmiałej z bólu, tak jak nie potrafił powiedzieć November, że przypomina mu koziorożca lub pustelniczkę. Dlatego, milcząc (co wcale nie jest trudne), płynie na południe. O każdej pełnej godzinie klęka przy Olegu i szepcze mu do ucha:

– Via Manin Daniele 50.

Oleg zaczyna kiwać głową na te słowa. Ludovico uznaje to za swój triumf. Kiedy mijają wysokie urwiska, nawet nie próbuje zgadywać, co się tu w przeszłości wydarzyło – w porcie lub na samych urwiskach. Okolica ma taki miły, bukoliczny urok.

My jednak wiemy – i doceniamy – co takiego zdarzyło się w tym miejscu, że dziś ci dwaj mogą tędy przepłynąć.

\* \* \*

Śluzę numer 19, za którą Albumina nurkuje ku środkowi miasta, najczęściej obsługuje stary, znudzony żeglarz, który dłubie sobie fiszbinem w zębach i potajemnie układa szanty o pięknie łądu, oraniu ziemi i pieczeniu chleba. Operatorzy śluzy mają dla siebie małą sterownię, kantorek, w którym trzymają bazylię w doniczce (dla zapachu) i białego kota (dla towarzystwa); możliwe, że bazylia i kot są wspólne dla wszystkich operatorów, ale nie ma co do tego pewności. Pulpit śluzy – wypolerowany do połysku blok wiśniowego drewna z mosiężnymi okuciami – cały lśni. Dzisiaj jednak nie obsługuje jej stary, brodaty żeglarz żujący liście bazylii, lecz kobieta z głową rekina, której towarzyszą bezimienni mężczyźni, wykonujący wyznaczone przez nią bezimienne zadania. Za ich plecami stoi kobieta z włosami jak skóra węgorza. Wpatruje się w swoje buty. Zrobiła to, co uważała za słuszne. Nie powinniśmy mieć do niej pretensji.

\* \* \*

Ludo pociąga za gruby czerwony sznur, żeby zawiadomić obsługę śluzy o swoim przybyciu, i przeciągły basowy dźwięk rogu wibruje mu w zębach. Oleg zerka za burzę, mrużąc oczy w gęstym deszczu. Śmietanka Albuminy wycieka ze śluzy i ich mała łódeczka obniża się powoli do poziomu sterowni.

– Dziękuję – mówi Oleg. Deszcz trochę go obmył i orzeźwił, wyostrzył mu zmysły. – Ona nie jest twoją siostrą. Wiem, że nie musisz tego robić. – Patrzy na swoje ręce. – Nie jest również moją siostrą, zdaję sobie z tego sprawę... Naprawdę. Ale nawet jej kopia jest lepsza od świata, w którym w ogóle jej nie ma.

– Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę wiem, co masz na myśli, bracie. – Ludo uśmiecha się słabo. Woda ścieka z jego włosów, okularów, z daszku nad pokładem.

– To na pewno pomoże? Że pojedę do Rzymu?

– Tak sądzę.

Oleg marszczy brwi, patrząc na obniżający się poziom rzeki.

– A jeśli ktoś odmówi, jeśli jedna osoba uzna, że to miejsce nie jest żadnym rajem podanym na srebrnej tacy, to nikt nie będzie mógł przejść, tak? Jeżeli ktoś co noc łyka pigułki, żeby nie śnić, trojgu innym ludziom przepada przez niego bilet wstępu. Tracą wszystko, czego pragnęły.

– Nikt nie odmawia, Oleg.

– Masz pojęcie, co to może zrobić z człowiekiem? Świadomość, że nie pozwala trojgu innym spełnić przenikających ich do szpiku kości marzeń?

Oleg zakrywa usta i kręci głową, ale Ludo nie uczestniczy w jego prywatnym objawieniu, nie ma prawa rozumieć, o co mu chodzi.

Grzmi drugi róg i potężne, poszczerbione mury śluzy wznoszą się nad nimi, marmur i kwarc, wiekowe jak bursztyn. Dryfują w stronę sterowni i nadchodzi taka chwila, króciutka, w której Ludovicowi wydaje się, że za intensywnie zieloną bazylią mignął jakiś cień – cień spłaszczonego ciemnego łba miotającego się za szybą. Ale to nic takiego, na pewno nic, czym powinien się przejąć. Nic mu się tu nie może stać.

Dziób łodzi eksploduje deszczem odłamków.

Ludo i Oleg zataczają się od impetu wybuchu, który strzaskał okno sterowni. W deszczu widać otoczoną sługami kobietę z głową rekina: oślizła szara skóra łuszczy się na rybim łbie, zęby są pożółkłe ze starości i zaniedbania, pozbawione źrenic ślepie wyczerpane i dzikie. Jest ubrana w brunatne łachmany – przeżarte przez mole strzępy generalskiego munduru. Celowała do Ludovica i Olega z kretyńskiego staroświeckiego garłacza z błyszczącą, dzwonowato rozszerzoną lufą. Jeden z jej muskularnych pomagierów właśnie go przeładowuje.

Za nią stoi Nerezza.

Ludo wybałusza z niedowierzaniem oczy. Nie rozumie, co się dzieje.

Nerezza nie chce na niego patrzeć, nie odrywa wzroku od kobiety-rekina, a kiedy coś mamrocze, deszcz tratuje jej słowa – Ludo jednak czyta z ruchu warg: „Nie zasługujesz”.

Dwóch mięśniaków, brodząc w wodzie, przyciąga łódź w pobliże sterowni, gdzie cumują ją do niedużego pomostu. Wywlekają Ludovica i Olega na ląd. Kobieta z głową rekina milczy. Patrzy na drzwi zrobione z wyrzuconego przez morze sfatygowanego drewna i z satysfakcją kiwa głową.

– Jak możesz mi to robić, Nerezzo? Chcesz zobaczyć, jak spuszcza z nas krew? Cieszysz się, że będę drugim Radosławem?

Pięść trafia Ludovica prosto w szczękę.

– Nie odzywaj się do niej! – warczy jeden z mężczyzn.

Ludo długo nie może skupić wzroku, a kiedy w końcu mu się to udaje, widzi szeroką twarz, siną z wściekłości, z pasemkiem piegów na nosie. Drugi z mężczyzn nie ma ucha.

– Jeśli koniecznie chcesz coś powiedzieć, zwracaj się do Ululiro – powarkuje Piegus. – Tylko z szacunkiem, kurwa!

– Co się dzieje? – pyta Oleg. Jest roztrzęsiony, nic nie pojmując, przenosi bezradnie wzrok z Nerezzy na Ululiro i Ludovica. – Co oni robią?

– To Dwornicy – wyjaśnia ze złością Ludo. – Czyściciele ulic. Poderzną nam gardła na progu drzwi, ponieważ jesteśmy imigrantami. Oleg porusza bezgłośnie zuchwą.

– Ładne określenie na mafię – mówi w końcu.

Ludo chrząka z aprobatą.

– Dla nich to rodzaj magii, która ma nam uniemożliwić wstęp do miasta. A może nie? Może po prostu świetnie się przy tym bawią?

Bezuchego nie interesują takie subtelności. Rzuca Olega na podłogę, uderza jego czołem o futrynę i zadziera mu głowę do góry, odsłaniając gardło. Piegus wyciąga długi, zakrzywiony nóż i spogląda pytająco na Ululiro, która jednak stoi nieruchomo i obserwuje Ludovica. I milczy.

Jest taka sama jak tamci w kościele, uświadamia sobie Ludo. Weteranka. Walczyła na wojnie. I przegrała, sądząc po tym, jak wygląda. No, niezupełnie... Dla niej wojna wcale się nie skończyła. Trwa tu i teraz.

– Nosisz mundur... – zagają Ludovico, świadom, że jego życie zawisło pomiędzy nimi jak muślinowa zasłona. – Byłaś żołnierzem?

Ululiro kiwa głową.

– I to nie byle jakim. Byłaś generałem. Wręcz... generałem generałów. Generalissimusem.

Ululiro kiwa głową.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że to nie ma żadnego znaczenia: jeśli nie my, to będzie ktoś inny. Przybywamy. Pewnego dnia na drogach zaroi się od takich jak my i będziesz musiała patrzeć, jak z ulgą i zachwytem padamy na kolana; jak starzejemy się, płodzimy dzieci, wieszamy szynki w oknach sklepów, regulujemy zegarki wedle serc naszych żon i pijamy kawę w słoneczne popołudnia.

– Generale! – chrypi Piegus. – Za pozwoleniem, najpierw jemu poderzną gardło, żeby zamknąć mu ten ohydny ryj.

Ululiro ani drgnie. Ludo mówi dalej:

– Przybywamy. Świat się zmienia. Nawet jeśli wszystkie drzwi w Palimpseście spłyną czerwienią, ktoś się w końcu przedostanie. – Parska śmiechem. – Wiesz, co to jest palimpsest, Ululiro? To pergamin, który po zapisaniu został wyskrobany do czysta, żeby można było coś na nim napisać drugi raz. Nie słyszysz nas? Nie słyszysz, jak skrobiemy?

– Ludo... – jęczy Oleg.

Pod przyłożonym do jego skóry ostrzem noża wzbiera kropla krwi, ale Ludo nie słyszy. Przypomina sobie okaleczoną dłoń November, bez palców – to była cena, jaką zapłaciła za bezpieczne przejście.

– Generale, skoro ktoś to być musi, to czemu nie ja? Czemu nie my? Czemu nie ktoś, kto jest gotów się do was upodobnić? Stracić coś, co kocha, dla dobra przyjaciół i tego miasta? – Ludo wystawia język, na którym rozpryskują się krople deszczu. – Weź go. Odbierz mi głos. Niech to będzie moje myto za przejazd. Weź mój język, to umilknę jak ty. Jak oni wszyscy. Stanę się pomnikiem, i to lepszym niż inne, ponieważ będę świadkiem waszego cierpienia. Ludzie będą na mnie patrzeć, nastawiać mi zegarek, pić moją kawę i mówić: „Ululiro jednak wyszarpnęła wrogom zwycięstwo. Mogła wybrać. Wybrała pierwszego i nazaczyła go jako swojego”. Wszyscy się dowiedzą, że w ostatniej bitwie zatriumfowałaś, dając radość wszystkim milczącym. – Stoi tak blisko Ululiro, że czuje jej gryzące, rybnie tchnienie, pieniające się wśród ostrych żółtych zębów. – Pomaluj drzwi moją krwią, generale. Będę milczał na wieki w twoim imieniu. Imigrant. Weteran. I wszystko się skończy.

Grdyka Ululiro poruszyła się gwałtownie pod odrażającą blizną znaczącą połączenie rekiniego łba z ludzkim ciałem. Rozpaczliwie pragnęła coś powiedzieć – ale nie mogła. Nerezza dotknęła jej łokcia. Ululiro odtrąciła ją, złapała Ludovica za rękę i pociągnęła do drzwi, rzucając przy tym łbem na boki, jakby płynęła w głębokim oceanie. Piegus i Bezuchy, cali zjeżeni ze strachu i miłości, usunęli się jej z drogi, zabierając ze sobą Olega.

Ululiro wyrwała Piegusowi nóż i chwyciła Ludovica za gardło. Uniosła ostrze i z bezgłośnym skowytym chlasnęła go po języku.

# CZTERY

## Królestwo Niebieskie

Nerezza usiadła między November i Ludovikiem. Jej twarz składała się z zaczerwienionej skóry i łez. Ludovico był wstrząśnięty tym widokiem. Spojrzał na November, szukając w niej oparcia.

– Nie chcę! – wysyczała Nerezza płynnym, eleganckim angielskim.

– Nie musisz – odparła półgłosem November. – Ale ja cię proszę.

– Dlaczego mam ci to ułatwiać? – warknęła Nerezza do Ludovica po włosku. – Co? Mnie nie jest łatwo!

Agostino zabrał Anoud do siebie i zostawił ich samych, żeby mogli porozmawiać, ale z początku zachwyił się November, przez chwilę przerzucali się nawet zapamiętanymi lub pokazywanymi na migi skrawkami rozmówek angielsko-włoskich – do czasu, gdy Ludo poczuł nagły przypływ zawiści, chociaż nie umiałby stwierdzić, komu bardziej zazdrości. Z nim nikt nie chciał pożartować, nikt się o niego nie zatroszczył. Kiedy jednak w końcu Nerezza wróciła do domu i zorientowała się w sytuacji, osunęła się na ziemię jak marionetka, której ktoś nagle poprzecinał podtrzymujące ją stalowe linki i cisnął nią o ścianę.

– Wyrzuć ją stamtąd – błagała w kółko. – Wyrzuć. Jeżeli my nie możemy mieć naszego Radzia, on nie dostanie jej. Nie może jej dostać!

November podeszła i wzięła ją w ramiona. Ludo widział, że jest to dla niej gest niemal tak samo obcy jak dla Nerezzy, ale kiedy ją utuliła, ukołysała i zaśpiewała jej cicho, Nerezza jakoś to zniosła. Zniosła i nie zaprotestowała, chociaż kurczowo zaciskała zęby i nimi zgrzytała. Rozmawiały po angielsku, więc nic nie rozumiał, a kiedy poprosił swoją dziewczynę-węgorza o tłumaczenie, znów zalała się łzami.

Patrzyła na nowo przybyłą czarnymi, błyszczącymi oczami. W ostrym świetle mieszkania November prezentowała się jeszcze mniej efektownie niż w ruinach łaźni: jej blizny wydawały się głębsze, rana dłoni niemożliwa do ukrycia, znamię na twarzy... Jak ona musiała



cierpieć, nie mogąc się ukryć tak jak oni! Była strzępem kobiety – i dlatego działała na niego kojąco, jak wyłożone białymi kamieniami Forum.

Nerezza zaczęła kiwać głową. Przypuszczał, że na widok November zrozumiała, że Amerykance nie było łatwo, ani trochę, i na jej ciele dostrzegła wypisany krwią, atramentem i bliznami własny ból. Widział, jak November bierze głęboki wdech, jak trzęsą jej się ręce. Cokolwiek mówiła, musiało to być dla niej skomplikowane, bolesne i napawało ją lękiem. Tak bardzo chciał wyciągnąć rękę i dotknąć jej twarzy... Czy wtedy ona, zwinny koziorożec, odskoczyłaby od niego, spadła na rogi, poderwała się i odbiegła na łąki, których nie mógł tknąć?

Nerezza zwróciła się w jego stronę, nie patrząc mu w oczy.

– Posłuchaj, co mi powiedziała, Ludo. Może ty coś z tego zrozumiesz. Życzę powodzenia. „Oto ludzie, którzy mogą wejść do Królestwa Niebieskiego: nieutuleni w żalu, kochankowie, naukowcy ogarnięci pewną szczególną obsesją. Dzikie bestie. Kobiety, które stały się jak mężczyźni, oraz mężczyźni, którzy stali się jak kobiety. Autorzy książek z długimi tytułami. Rycerze, ale tylko ci, którym nie udało się dotknąć Graala. Pracowite kobiety. Ty, ja, chłopiec imieniem Oleg, i dziewczyna o niebieskich włosach”.

Nerezza, znów zapłakana, odwróciła się do November i zaczęła mówić coś pospiesznie i ze złością, z czego Ludo zrozumiał tylko powtarzające się imię Radosława, jakby za wszelką cenę chciała dopisać go do tej listy. Właściwie prawie jej nie słuchał: patrzył na November, na jej wilgotne, przepełnione nadzieją oczy. Bała się, że nie zrozumie, że uzna jej słowa za nieważne, ale on wszystko rozumiał, bo od dziecka kochał świętego Izydora, encyklopedystę, człowieka, którego intelekt zawierał się w długich, precyzyjnych, promienistych kolumnach tekstu, świetlistych spisach, które złożone razem oplatały świat.

Nerezza spoglądała to na jedno, to na drugie, bezradna i wściekła.

– Przyjedzie jeszcze jedna – wysyczała po włosku. – Słyszałam, jak rozmawiały przez telefon. Nienawidzę was obojga i przeklinam was, o ile moje klątwy mają w ogóle jakąś wagę. Wpakowałeś się w to na oślep, beztrosko, niefrasobliwie i w parę tygodni osiągnąłeś coś, co mnie nigdy, przenigdy nie będzie dane. Rozumiesz? Radosław nie żyje! Żadne z nas nie będzie mogło się tam przenieść. Już nigdy! A szukaliśmy się przez całe lata. Straciliśmy wszystko: mężów, żony, pracę, dzieci. Jesteś jak synalek bogacza, który nic w życiu sam nie osiągnął i nagle wszystko dostaje za darmo. Przyjęłam cię pod swój dach, a ty zasrałeś mi dom. Nienawidzę cię. Nienawidzę!

Mówiła miarowym, wściekłym głosem, nie zacinała się, nie szlochała. Za jej uszami widział błękitne przebłytki węgorzowego ciała.

– Nerezzo? – odezwała się November. – Nerezzo. Nerezzo. – Pocałowała jej zaczerwienione czoło. – Przepraszam – wyszeptwała. – Przepraszam – powtarzała bez końca.

Całowała usta Nerezzy, jej żuchwę, ucho, szyję, jakby chciała scalać z niej wszystko co twarde i przykre. Gdyby Ludo nie poczuł wcześniej obecności pszczoł w jej ciele, gdyby

nie słyszał, jak śpiewają, nie byłby w stanie pojąć, skąd November, pokieraszowana i zdesperowana, czerpie odwagę niezbędną do uciszenia dzikiego, zwierzęcego wrzasku Nerezzы.

Nerezza nie zamierzała dać się całować. Siedziała sztywno, oziębła, spięta, nieprzystępna, ze wzrokiem utkwionym w Ludovica, pełnym złości i gorzkiej pogardy. Aż w pewnej chwili oczy jej zabłyśły, uśmiechnęła się i objęła November, cały czas patrząc tylko na Ludovica; przyjęła ofiarowane jej ciepło i światło i zareagowała na nie z udawaną żarliwością – a Ludo aż się wzdrygnął. Co takiego zrodziło się w tym mrocznym sercu?

Nerezza nadal tkwiła wczepiona w pszczelarkę, kiedy ta obciągnęła swoją zieloną suknię do pasa, odsłaniając piersi i podtrzymując je rękami, jakby składała je w ofierze. Jak święta Agata. Spojrzała Ludovicowi w oczy ponad rozdygotanym ciałem Nerezzы; nie był pewien, czy ten dygot jest szczery, czy również udawany. Nerezza szeptała po włosku, zbyt zawstydzona, żeby dać się zrozumieć. Ludo wiedział, że November jej nie słyszy, i przysięgł sobie, że wszystko jej przetłumaczy, kiedy spotkają się na drugim brzegu nocy.

– A ja, November? – pytała Nerezza. – Czy należę do ludzi, którzy wejdą do Królestwa Niebieskiego? Powiedz mi. Powiedz.

\* \* \*

Zostawił je. Nie chciał patrzeć. Nie chciał widzieć.

Poznał November, wiedział już, że jest jego Izydorem, jego Izydora, i wiedział, że opowie jej o wszystkim, co wie, o wszystkim, co nosi wyryte w szpiku kości – gdy to wszystko się skończy i będą mogli rozmawiać, i pić wino jak krew, przez całą gwiazdzistą noc, aż do świtu.

Część V  
**Zielony Wiatr**

## W drodze na zachód, 11:09

Daleko na zachodnich rubieżach Palimpsestu jest takie miejsce, w którym tory popadły w ruinę – dzikie, słoneczne, kosmate zieloną pszenicą i złośliwymi pnączami malin. Niektórzy przypuszczają, że to korzenie drzewka oliwnego rozsadziły tory. Inni obarczają winą pasące się w pobliżu owce, które tak długo ogryzały szyny, aż te popękały, i upierają się, żeby pociągnąć do odpowiedzialności ich właściciela. Nikt nie zgłosił się na ochotnika, by rozstrząsać ten spór, toteż samotna i nawiedzana przez ćmy stacyjka Owsiane Plewy powoli i łagodnie osunęła się w zapomnienie. Nawet w ekscytujących pierwszych dniach działania systemu komunikacyjnego była rzadko odwiedzana, toteż mało kto przejął się jej stratą – może poza grupką entuzjastów sielankowego stylu architektonicznego, którego przykładem jest budynek stacji. Okna w kształcie pączków róży były niegdyś powodem do umiarkowanej dumy.

Pociągi nie od razu wykryły lukę w torach. Miały inne sprawy na głowie, pora roku nie była najlepsza do podróży w kierunku zachodnim, Mszał trzeci rok z rzędu wszedł w ruję wcześniej niż się spodziewano... Życiem pociągów stale targają niezwykle prądy chtoniczne. Dopiero ostatnio niektóre z nich zaczęły się kręcić w okolicy Owsianych Plew i węszyć w poszukiwaniu nowin o oknach w kształcie pączków róży, czarnopyskich owcach, zawiadowcach, którzy zaniedbali się i rozpiłi. Zdarzało się, że któryś z nich podjeżdżał blisko wyrwy w torach, zaraz jednak cofał się, spanikowany, i wracał na wschód, w kojące objęcia miasta.

W najwyższych kręgach pasażerów-wyczynowców szerzy się obawa, że pewnego dnia któryś z pociągów odważy się przeskoczyć przerwę w torowisku przy Owsianych Plewach i raz na zawsze ucieknie z Palimpsestu, popędzi przez góry, pola, pastwiska, kto wie, dokąd? Inni jednak natrzęsają się z ich lęków i niedorzecznych wyobrażeń. Pociągi są szczęśliwe, kochane, zadbane, dobrze karmione i mają doskonałe warunki do rozmnażania. I tak debata trwa, a tory niszczeją. Pszenica opiera się wiatrom w Owsianych Plewach, a gwiazdy patrzą, jak pienią się maliny.

\* \* \*

Następny wagon jest pusty. *Tatami* ciągną się w dal, pachnące i zielone, z czarnymi i złotymi wstążkami. Sei nawet nie próbuje ich liczyć. Na ścianie wisi podłużny plan dworca przypominający malowidło *ukiyo-e*. Pomieszczenie trzęsie się jak wnętrze wagonu, ale nigdzie nie ma ławek ani poręczy. Zna to miejsce, chociaż wolałaby go nie znać.

– Nie... – jęczy. – Nie chcę tu być.

– To twój dom – mówi Trzecia Szyna.

Obfitość skrobie ją zachęcająco w szyję.

– Nie podoba mi się tu. Nie chcę tu być, już powiedziałam. Chodźmy do następnego wagonu. Królik mówił, że macie tu gdzieś konie.

Trzecia Szyna kręci głową i wychodzi na środek pokoju. Sei wie, co się za chwilę stanie. Nie zniesie tego. Nie zniesie!

– Dlaczego?! – krzyczy do odwróconej plecami Trzeciej Szyny. – Czemu to ma służyć?!

Trzecia Szyna odwraca się i siada w ogromnym pokoju. Pozbawione pasa kimono rozlewa się wokół niej kałużą, gdy zaczesuje długie włosy w dwie gładkie płaszczyzny. Zza pazuchy wyjmuje wielką księgę, ciężką i spuchniętą od wody, ze sterczącymi spomiędzy kartek jak zakładki kawałkami wodorostów i źdźbłami trawy. Kładzie ją sobie na kolanach i otwiera. Woda z jeziora chlapie na wszystkie strony. Trzecia Szyna kiwa palcem na Sei, przyjaźnie, jakby próbowała wywabić kota spod łóżka.

– Nie... – pojękuje Sei, ale idzie w jej stronę. Nigdy nie umiała się jej przeciwstawić.

– Wyobraź sobie książkę na dnie jeziora – mówi Trzecia Szyna.

– Zakazałam ci tak mówić. Nie podoba mi się to.

– Przyniosłam ci ją. To było bardzo głębokie jezioro, wysoko, na dachu świata. Częściowo zamrożone. Musiałam wstrzymać oddech na bardzo, bardzo długo.

– Kłamiesz! Nie było żadnej książki. Moja matka była obłąkana. Mówiła takie rzeczy, bo była chora.

Mimo to Sei cal po calu zbliża się do Trzeciej Szyny. Wpatruje się w skórę pomiędzy jej piersiami, białą i gładką. Otwarta księga ma niebieskie kartki. Trzecia Szyna przygarnia Sei w ramiona, sadza ją sobie na biodrze i długim palcem wskazuje miejsce na stronie, żeby Sei sama przeczytała.

– To znaczy, że nie będę niczego przed tobą ukrywać, ani w jednej ręce, ani w drugiej. Oto wszystko, co spoczywa na dnie wszystkich jezior.

Sei rozciera zaciśnięte gardło. Chciałaby uciec, ale znów jest rybką Sei, ma dwanaście lat, niebieską skórę i inne rybki nie chcą się z nią bawić. Nie zna zawartych w księdze rybich radości, ale bardzo, bardzo chce je poznać.

Zerka do księgi. Tylko rzucę okiem, postanawia. Na tym koniec. To nieprzyzwoite. Zawstydzę ją i każę przestać.

Czyta:

*Naprawdę urodziłam się na dworcu kolejowym. Poród trwał krótko, szybko przyszedłam na świat. Zawsze byłam szybka. Pochopna. Matka zabrała mnie do domu, gdzie dorastałam – dziewczynka z głową pełną książek i pękiem pędzli do kaligrafii w rączkach. Miałam tyle snów, ile niektóre dzieci mają piegów. Moje siostry naśmiewały się z mojego imienia.*

*Wyszedłam za twojego ojca przy pierwszej nadarzającej się okazji. Często mnie zostawiał. Byłam taka samotna, miałam wtedy tylko książki, sny i pędzle. Dużo spałam, ale to nie były prawdziwe sny: najpierw świat czerniał, mijalo trochę czasu, i znów się rozjaśniał. Głowa tak mnie bolała, jakbym nosiła w niej następne dziecko, które rozpycha się i próbuje wyjść. Ściany zaciskały się wokół mnie, były tak blisko, cały dom był jak knebel w ustach, nie mogłam złapać tchu, ale nie mogłam też odejść – twój ojciec mógł w każdej chwili wrócić, a byłam pewna, że gdyby mnie nie zastał, więcej by się nie pojawił.*

*Nie wiesz, że kiedy byłaś malutka, odeszłam. Nie odstawiłam cię jeszcze wtedy od piersi. Udałam się na wieś, gdzie zapakowali mnie do bardzo białego łóżka, włożyli mi patyk w zęby i przepuścili przeze mnie niebieski łuk prądu elektrycznego. Zapamiętałam, że był niebieski, bo przypominał światło na dnie jeziora. Wchłonęłam ten błękit w siebie, zmagazynowałam w całości, nie chciałam uронić ani odrobiny. Zatrzymałam go w sobie, jakbym była do tego stworzona, jakbym była trzecią szyną, wokół której są ułożone wszystkie tory kolejowe na świecie. Moim zadaniem było przenieść błyskawicę, wytrzymać palący biały żar. Jestem pewna, że im zaimponowałam. Wiedzieli, że mogą mi powierzyć ten błękit, więc wlewali go we mnie coraz więcej i więcej, żebym go dla nich przechowała. Wiem, że zobaczyłaś go we mnie, kiedy wróciłam do domu. Widziałaś, jak płonę. Światło skwierczało mi w cebulkach włosów.*

Sei unosi głowę. Jej bezbronne łyzy są gorące jak krew. Trzecia Szyna krwawi, obficie, krwią gorącą jak łyzy. Skóra pomiędzy jej piersiami jest rozdarta, krew zbiera się na i tak już mokrej księdze, plami rąbek kimona.

– Przestań, proszę. Proszę. Proszę.

Trzecia Szyna kładzie dłoń na zakrywającej jej twarz masce, zdejmuje ją – i pod spodem jest Usagi, oczywiście, Usagi-matka o smutnych oczach, ściągniętej, steranej życiem twarzy i drżących ustach.

– Dno Niebios, moja mała Sei, jest wyłożone srebrnymi torami kolejowymi. W nich trzecia szyna jest z litej macicy perłowej. Pociągi przewożą duchy, które trzymają się gałęzi drzew jak pasażerowie uchwytów, zrywają zielony ryż i jedzą go na surowo.

– Ale to nie jest niebo. Wcale nie.

– Nie jest, ale wystarczy. Tobie wystarczy. To wszystko jest dla ciebie.

– Ale po co? Czego ode mnie chcecie?

– Chcemy latać. Chcemy porzucić tory, wędrować swobodnie, paść się i skowytać u stóp gór. Chcemy uciec ze świata naszych rodziców, którzy udają, że nie wiedzą o naszym istnieniu, naszych podróżach i pragnieniach, choć sami przecież żyją, podróżują i pragną. Ty nie chcesz uciec od matki?

Sei wpatruje się w krew na jej kolanach. Nie słucha.

– Przesiedziałam z tobą wiele godzin, było dużo krwi – mówi. – Tak długo to trwało. Tak długo.

– Umieranie musi potrwać. Nawet kiedy śmierć jest szybka, trwa długo. Trudno mi było cię zostawić... Pewnie to właśnie chciałybyś teraz usłyszeć? Że nie chciałam zostawiać swojego dziecka? Ale prawda jest taka, że umieranie trwa długo. Serce musi przestać bić, oddech musi ustać, muszą umrzeć wszystkie te drobiazgi, o których nawet nie wiesz, że utrzymują cię przy życiu, wszystkie książki, sny i pędzle. A potem trzeba przejść długą drogę po ciemku, przez góry. Są tam sosny. I są latarnie: widzisz przed sobą i za sobą długi ciąg latarni wijący się po stoku góry, z przodu i z tyłu.

– Nie jesteś moją matką. Wiem, że nią nie jesteś.

– Ale w niczym jej nie ustępuję. Mogę być twoją matką, a ty moją. To będzie taka zabawa. Pamiętam twoją matkę. Skonstruowano mnie w taki sposób, żebym pamiętała. Cała składałam się z pamiętania.

Sei spogląda w oczy, które mogłyby należeć do Usagi. Odbija się w nich jej twarz – smutna, zagubiona, z tygryсами czającymi się za uszami. Kładzie dłoń na piersi matki, dotyka krwawej miazgi i rany nad sercem.

– Połóż się pode mną – mówi, przypomniawszy sobie swoją babkę pod łzawnikami, matkę pod ziemią i samą siebie z dala od słońca. – Będę cię strzec.

Pod jej dotykiem rana na piersi matki znika bez śladu, jakby skóra w tym miejscu nigdy nawet o niej nie śniła.

Sei osuwa się w ramiona ducha w czerwonej masce. Trzecia Szyna obejmuje ją mocno i kołysze czule, z miłością, jak światło. Obfitość wciska się między jej rękę i wciąż jeszcze płaski brzuch i już po chwili rozlega się atramentowe chrapanie.

– Niedużo już zostało nam pociągu do obejrzenia – mówi Trzecia Szyna. – Zanim wejdziemy do kabiny maszynisty, żeby złożyć mu wyrazy szacunku, powiedz mi, Sei, moja rybko, moje dziecko, czy ktoś będzie cię szukał?

W jej czerwonym głosie niespodziewanie pojawia się łagodnie oskarżycielki ton.

– Nie, skądże. Nikt mnie tu nie zna.

– My cię znamy.

– To co innego. Nikogo takiego nie będzie, obiecuję.

– A jednak ona tu przyszła. – Trzecia Szyna całuje Sei w bark i wydyma blade wargi. – Powiedz, co mamy robić. Rozkazuj. Każ nam otworzyć przed nią drzwi, albo każ je zamknąć

szczelnie jak zaciśnięte wargi i zostawić ją z rozdziawionymi ustami na peronie. Prowadź nas. Powiedz, co jest słuszne.

Kiedy Sei próbuje... Jest jej coraz trudniej, ale kiedy próbuje wyczuć obecność tamtych, których wrażenia unoszą się tuż pod powierzchnią jej zmysłów – pod językiem, pod palcami, pod stopami – czuje tylko zapach stacji kolejowej, naoliwionych szyn, podziemnych tuneli.

– Wpuśćcie ją – mówi i zasypia u matki na kolanach.



# JEDEN

## Życzenia na drzewach

– To koniec – powiedziała Sei, składając ręce na kolanach.

Siedziały w restauracji wciśniętej między dwóch Buddów, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem słońca.

– Co to znaczy? – Yumiko siorbnęła zupy grzybowej. – Nie tobie pierwszej się to zdarzyło. Usuń ciążę.

– To znaczy... – Sei udaje, że jej nie słyszała, i bierze głęboki wdech. – To znaczy, że w „Dnie Niebios” nie ma już chyba nikogo, z kim bym nie była. Nie jestem... taka jak ty. Kiedy tam trafiam, zawsze ląduję w moim pociągu, wśród podróżujących nim pasażerów. Pędzą podziemnymi tunelami pod miastem... Musiałabym połykać Kioto po kawałku z prędkością początkującej dziwki, żeby za nimi nadążyć. A ja jestem zmęczona i w dodatku nikt mi już nie został. Czas, żebym wróciła do domu. Odwiedzę grób matki. Sprawdzę, czy mam jeszcze pracę. Zastanowię się, co z dzieckiem. Znajdę pozostałych, jeśli gdzieś tam są.

Yumiko zmarszczyła brwi.

– Aborcja to najlepsze wyjście.

– Nie wykluczam jej.

– Nie rozumiesz. – Yumiko pokręciła głową. – Powiedziałam przecież, że nie jesteś pierwsza. Ryzyko zawodowe, prawda? Zdarza się, i to dość często. Mnie też się zdarzyło. Dwa lata temu urodziłam syna.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Ojciec wyrzucił mnie z domu. Pochodzę z małego miasteczka, gdzie dziewczyny nie zachodzą w ciążę. No, chyba że akurat zajdą. Ja od lat jeździłam regularnie do dużego miasta, więc odesłał mnie tam z powrotem, żebym sypiała sobie z demonami i zapłała się na śmierć. – Yumiko zasalutowała Sei kieliszkiem złotego wina. – Nie wiedziałam, jak to będzie. Postanowiłam urodzić, ponieważ uległam urokowi wypaczonej idei świętości macierzyństwa,

a poza tym byłam taka młoda, że wyobrażałam sobie, że będzie to przypominało posiadanie lalki. Urodziłam syna w kanciapie na tyłach „Dna Niebios”, wśród brudnych kieliszków i ścierek. Był cały pokryty ulicami, długie czarne linie biegły po jego skórze od czubka głowy aż po stopy, ale to nie była mapa Palimpsestu, tylko jakiegoś innego miejsca. Nowego miasta. Nigdy nie słyszałam takich nazw ulic, jakie miał na sobie, a poza tym wyglądały inaczej: były długie i proste, tworzyły regularną siatkę. To było zupełnie inne miasto. Odwrócił tę swoją dziecienną główkę, spojrzał na mnie i bardzo wyraźnie powiedział: „Chcę wrócić”. Krzyczałam przez tydzień. Był we mnie przez cały ten czas, śnił, podróżował, uczył się, a teraz nie mogłam znieść jego wzroku.

– Co się z nim stało?

– Właściciel i jego żona go adoptowali. Chwała Bogu. Zabroniłam im go przyprowadzać do klubu, kazałam kształcić na księdza. Mam nadzieję, że umrze jako prawiczek. – Trzęsącą się ręką podniosła kieliszek do ust. Pociągnęła solidny łyk wina. – Rozumiesz? To nie ty się rozmnażasz. Nie ty masz dziecko. To Palimpsest. Dlatego aborcja jest najlepszym rozwiązaniem.

Sei z wysiłkiem przełknęła ślinę. Zabrakło jej słów. Nie umiała sobie wyobrazić ani synka Yumiko, ani swojego dziecka.

– Poza tym nie chcę, żebyś wyjechała – ciągnęła Yumiko. – Nie powiem, że cię Kocham, obie chyba jesteśmy ponad to, ale dobrze jest mieć przyjaciółkę, która wie to, co ja. Spokojną. Taką, która nie wątpi, że istnieją większe cuda niż to miasto. Czy to nie kojące, wiedzieć to, co my wiemy, i dzielić tę wiedzę?

– Naturalnie, że tak.

– No to zostań. Jeszcze, chociaż parę dni. Pomódl się za matkę. W Kioto jest tyle świątyń i kapliczek, że nie wystarczyłoby ci życia, żeby je wszystkie zliczyć. Któraś z nich na pewno będzie w sam raz.

Sei podrapała się po policzku i zagapiła na tętniącą życiem ulicę. Rzeczywiście, ta świadomość działała na nią uspokajająco, ale zarazem sprawiała, że rozmiar, jasność i wspaniałość Kioto bledły i rozmywały się; nie rozróżniała pojedynczych twarzy na ulicy – tylko dlatego, że nie były podłużne ani czerwone.

– Kiedy miałam czternaście lat, moja matka się zabiła – powiedziała z wahaniem. – Dźgnęła się w pierś kuchennym nożem, a potem przeczołgała do pokoju wyłożonego *tatami*, żeby tam umrzeć. I tam ją znalazłam po powrocie ze szkoły. Masz pojęcie, jak długo umiera się od takiej rany? Godzinami. Ani wtedy, ani dzisiaj nie umiałabym tych godzin zliczyć.

– Sei...

– Nawet nie zadzwoniłam po lekarza. Chciałabym móc powiedzieć, że to ona mi zabroniła, ale to nieprawda. Po prostu patrzyła na mnie i czekała na śmierć. Nie wyjęła noża z rany, w ogóle się nie poruszyła, a kiedy już się odzywała, mówiła o tygrysach. Trzymałam ją tak przez długie godziny, czekając, aż umrze, i powtarzałam tylko: „Odejdź już, odejdź,

proszę”. Którą świątynię mi polecasz, Yumiko, żeby mnie z tego rozgrzeszyła? Który bóg mi wybaczy?

– Nie wiem. Ale wiem, że nie jesteś swoją matką, cokolwiek myślisz.

– Wygaduję głupstwa i chcę porzucić swoje dziecko.

Yumiko wzięła Sei za rękę i splótła palce z jej palcami, cały czas kręcąc głową.

– Zostań, proszę. Zostań. Po prostu zostań.

Popołudniowe słońce igrało we włosach Sei, które mieniły się w nim czarno i turkusowo, jak światło na dnie jeziora. Jak światło w ukrytych miejscach.

\* \* \*

Dwie kobiety stanęły w obszernym pawilonie z białego tłucznia, z wysokimi pomarańczowymi kolumnami; jedna miała niebieskie włosy, druga niebieską spódnicę. Trzymając się za ręce, odszukały ciężkie dzwony z brązu, wiszące w rzędzie na grubych czerwonych sznurach. Klaskały w ręce i biły w dzwony za duszę Amai Usagi. Dawaly monety bogom i w zacienionych wnękach kontemplowały posągi o martwych oczach. Przywiązywały do drzew wstążeczki z życzeniami. Nie mówiły sobie nawzajem, o co proszą. Nie musiały.

Wypiły srebrne sake i zasnęły, wtulone w siebie, bez pocałunków i bez pożegnania.

## Róg Siedemdziesiątej Siódmej i Zasadzki

Znajdujące się przy ulicy Zasadzki ZOO świeci pustkami. Zwierzęta zniknęły. Zostały klatki, w których zdomowiły się gołębie, zadowolone z obfitości spasionych, leniwych jaszczurek i much czarnych jak jeżyny. Zostały również kioski, których markizy już straciły radosny złoty kolor. Dawniej sprzedawano w nich mrożone zielone jabłka i fiolki z kryształowym miodem, ale dziś są puste. Rozsypane pestki dawno zdążyły zakiełkować i wyrosnąć tak wysoko, że kioski zmieniły się w małe zagajniki; gdyby dzieci nadal się tu zapuszczały, znalazłyby w nich jabłka – zielone, zimne i słodkie.

Nocą księżyc przemyka po ścieżkach jak gnane wiatrem wykorzenie krzewinki. Gwiazdy przysiadają na ławkach, palą fajki z kolb kukurydzy i skamieniałymi łupinkami fistaszków rzucają w duchy żyraf.

Nie został żaden gwarek, który mógłby ci opowiedzieć, co tu się stało.

Za to ja chętnie opowiem. Wydaje mi się, że się zaprzyjaźniliśmy – ty i ja. Tak to czuję. Casimira, moja ukochana, walczyła taką bronią, jaką miała pod ręką: insektami, szkodnikami, gryzoniami. Były jej armatami i kawalerią. Ach, gdzie te czasy, gdy króliki Casimiry były większe od koni! Kiedy wielkie jak słonie kruki szybowały pod niebem, rzucając gigantyczne cienie na całe dzielnice! Czy żył kiedyś generał, który mógłby się z nią równać, istota większej śmiałości i odwagi? Jak mógłbym jej nie kochać? Jak mógłbym się jej nie oddać?

Jej nieprzyjaciele nie mogli się z nią równać, zwłaszcza że szeregi jej wojska wydawały się nieskończone, jak to zwykle bywa z armią pszczół i mrówek. Doszli do wniosku – to znaczy, Ululiro doszła do wniosku – że muszą się do niej upodobnić, jeśli chcą wydrzeć miasto z jej zielonych rąk.

Dlatego odgradzili kordonem ZOO przy Zasadzki, skonfiskowali wszystkie zwierzęta i przenieśli je do budynku, który wygląda jak pałac, lecz nim nie jest. Tam poupychali je, przerażone, w kojcach i zagrodach: koty z kotami, ryby z rybami, podobne z podobnymi. Sama Ululiro też poddała się operacji, żeby dowieść swojej lojalności. Kochałem ją wtedy, w tamtej chwili naprawdę ją kochałem, ale moje serce było już stracone. Płakała, kiedy zaczęli kroić ją i rekina. Jej krew do dziś widnieje na framudze drzwi tego pałacu, który nie jest pałacem, niemożliwa do usunięcia jak kamień.

W ten sposób wojsko wroga upodobniło się do armii Casimiry: nieprzeliczone szeregi

żołnierzy, silniejsze ramiona w miejsce słabych ludzkich, mocniejsze zęby, groźniejsze łby. A ponieważ nieszczęśni wstydzili się tego, na co się zgodzili – stając się tym, kim się stali, odrzucili swoje człowieczeństwo – chirurgowie wycięli im głośnie, żeby nie mogli opowiedzieć o tym, co z nimi zrobiono ani do czego byli gotowi się posunąć w służbie wojny. Może już wtedy zdawali sobie sprawę, jak niegodną stała się ich sprawa, ale trudno mi mieć pewność: dziś o tym nie mówią.

Wiem, że płaczesz nad nimi. Ja też płaczę. Tak jak oplakuję tych odważnych, szlachetnych poddanych Casimiry, którzy w najgłębszej tajemnicy przeszli tę samą procedurę, żeby wkraść się w łaski wroga i lepiej walczyć; wszystkich tych, którzy dla jej dobra przyjęli nogi mułów, łapy niedźwiedzi i głowy żab.

\* \* \*

Stacja Zasadzki stała się miejscem ponurym i zapuszczonym, odkąd zabrakło ZOO, które przyciągało zamożnych i roześmianych. Zgiełk niezbyt odległej Troposfery z trudem przenika w tę smętną okolicę. Peron jest pusty, a po słupach łązą pająki. November prawie, prawie rozumie ich klekotanie (ich język trochę przypomina język pszczoł), ale jednak wymyka się jej sens ich prywatnych ośmiowersowych peanów na cześć Casimiry.

Stoi na peronie. Nie ma pojęcia, kiedy ma się spodziewać pociągu, ale wie, że to właśnie na ten pociąg czeka i że dziewczyna o niebieskich włosach jest niedaleko. I wierzy, wierzy głęboko, że wibrujący w niej złocisty, płynny hymn przywabi pociąg jak przynęta rybę.

Proszę, błaga w duchu. Proszę.

Jakby w odpowiedzi na jej błagania przyjeżdża pociąg. Drzwi się otwierają. Jest zaskoczona. Pociąg jest długi, srebrzysty, nowy, jasny i błyszczący jak strzała wystrzelona z księżycy.

Chcesz dosiąść Lamparta Małych Bryz? – pyta w duchu samą siebie i wskakuje do wagonu, zanim jej żołądek zdąży odpowiedzieć.

\* \* \*

Wagon jest wyłożony jedwabiem, czerwonym jedwabiem. Kobiety w lśniących podłużnych maskach koloru krwi i grubych, wielowarstwowych kimonach stoją przy stolikach, przy których podają herbatę. Herbata jest czerwona, toną w niej bryłki czegoś czarnego. Przy stolikach siedzą zgarbieni ludzie. Kobiety w maskach sprawiają wrażenie zaborczych i zazdrosnych o swoich podopiecznych. Patrzą na nią lodowato. Niczym jej nie częstują.

Powoli idzie po gładkiej podłodze. Kiedy mijają kobiety z imbrykami w rękach, wszystkie jednocześnie odwracają za nią głowy i odprowadzają ją spojrzeniem pełnym chłodnej

pogardy. Pachną metalem i pestkami wiśni.

– Wynoś się – syczy jedna z nich. – Nie dostaniesz jej.

November przyspiesza kroku i biegiem wpada w łącznik między wagonami. Serce bije jej coraz szybciej.

Gdzie jesteś, Amayo Sei?

Następny wagon jest bardzo przestronny i wypełniony tarasowymi poletkami ryżowymi, które w prawdziwym słońcu piętczą się aż pod samo prawdziwe niebo. Na skrajach tarasów ludzie w czerwonych kapeluszach ze złotym brzeżkiem stoją w równiuteńkich rzędach i patrzą na nią ze zbolałym, niechętnym wyrazem twarzy. Rusza przed siebie, odprowadzana ich wzrokiem, ale wagon jest bardzo długi i czeka ją daleka droga.

– Chce mi się pić! – woła.

– Nie masz tu czego szukać! – odkrzykuje chłopczyk w podzwaniającym kapeluszu. – Żalobny ryż usycha, bo twoja stopa stanęła tu, gdzie nikt cię nie chce!

– Ona mnie chce! – krzyczy w odpowiedzi November. – Amayo Sei! Znajdę ją!

– Ona jest nasza! Robimy to wszystko dla niej! Nie odbierzesz jej nam!

Wieśniacy w drugim wagonie strzelają do niej z łuków. Łuki są zrobione z ryżowych korzeni, a zamiast strzał mają długie miedziane chochle. November znów puszcza się biegiem, musi biec w tym prześlicznym krajobrazie, ale chochle i tak trafiają ją i nabijają jej sińce, aż przerażone pszczoły w niej piszczą ze strachu. Zamykając za sobą drzwi wagonu, słyszy łomoczący w nie grad miedzianych pocisków. Kuli się przy każdym uderzeniu.

Kiedy przechodzi przez wagon kapusty, rośliny rozступują się przed nią. Jedna się otwiera. W środku coś jest, jedno słowo wydrukowane czarną czcionką, drżącą jak skóra, którą przechodzi dreszcz: „intruz”. Słowo syczy na nią ze złością, atrament pryska na jej i tak już czarny policzek.

Przechodzi przez wagon sosen, gdzie mężczyźni w czarnych płaszczach krzywią się i plują na nią z góry. Kiedy ich mija, próbują łapać ją za ubranie, piersi, włosy. Ślinią się.

– Nie chcemy cię!

To jest twoje królestwo, Amayo Sei? – dziwi się w duchu November. To jest twój ul?

Wchodzi do wagonu białego tłucznia i wiszącego sitowia. Zastaje w nim człowieka-królika, weterana, jak się domyśla, uzbrojonego w potężny młot i zajętego rozgniataniem ryżu w beczce. Próbuje się obok niego przemknąć, ale on zagraża jej drogę zasuszoną łapą.

– Proszę, przepuść mnie. Szukam Amayi Sei.

– Wiem, dziecko – odpowiada spokojnie królik.

November dziwi się po raz drugi: weterani nie mówią.

– W takim razie nie zatrzymuj mnie. Jeśli tak bardzo jej pragniecie, pozwólcie mi ją znaleźć. Tylko wtedy dostaniecie ją na zawsze.

– O tym również wiem.

– W takim razie nie rozumiem. – Dotyka jego długiego szarego ucha. Królik spokojnie

znosi dotyk jej zranionej dłoni. – Byłeś na wojnie?

– Cóż za interesujące pytanie... Można by powiedzieć, że nie, i można by powiedzieć, że tak. Można by również powiedzieć, że po dziś dzień jestem uwikłany w wojenne potyczki.

– Ale ty mówisz.

– Nie byłem na wojnie, przecież powiedziałem. W tym okresie *mochi* bardzo potrzebowało opieki. Nie mogłem go zostawić.

– To dlaczego masz takie uszy i łapy?

Królik posyła jej smętne, rozgorycone spojrzenie.

– Bo tego właśnie oczekiwała – wyjaśnia. – Ryżu i królika z tłuczkiem. Chciałem wyglądać jak należy. Dla niej. Dla Amai Sei. Są jeszcze na świecie chirurdzy i ten pociąg kilku złapał, kiedy nie uważali. Tak jak i mnie złapał, porwał z peronu w pewien środowy poranek, gdy kawa była gęsta, a ja nieostrożny. I tak jak złapał królika bojowego, jeszcze osiodłanego, pod koniec wojny, kiedy ten schylił się i w ciemności szukał smakowitych kąsków. Nawet nie zdążyłem uprzedzić szefa, że nie przyjdę do pracy; nie powiedziałem żonie ani synowi, że wyjeżdżam. Byłem cukiernikiem, wiesz? Lubię sobie wyobrazać, że po moim zniknięciu miasto skwaśniało, ale to chyba nieprawda.

– W jakim sensie, cukierniku, nadal toczysz wojnę? Ja nie jestem wojowniczką, nie przyszedłam tu walczyć z tobą.

Królik pochyła się i szturcha nosem jej nos. Nosek ma miękki, należycie króliczy.

– Czy ty nadal nie rozumiesz, o co oni walczyli? Kiedyś przejście do Palimpsestu przez most albo tunel nie nastroczało żadnego problemu. Mogłaś wpaść do rzeki. Mogłaś się wykrwawić i przeniknąć przez skórę ziemi. Mogłaś przekopać się z Chin do miasta. Przybyszów jednak było zbyt wielu, stale zmieniały się nazwy ulic, zjawiali się dzicy, pazerni ludzie, zasobni w pieniądze i uzbrojeni w lśniące włócznie, którzy znali takie słowa jak „imperium”. Zostali zabici, ale przy okazji zginęła połowa mieszkańców. To było dawno, przed wiekami. Potem wszystkie wejścia zamknięto. Zamaskowano. Zabarykadowano. I zapanował pokój, który trwał bardzo, bardzo długo. Aż pewnego dnia narodziła się dziewczynka imieniem Casimira. Nie powinna była zostać przy rodzinie, bo była braurionem. Należało nadać jej nowe imię i posłać ją w świat, żeby targowała się z ludwisarzami lub handlarzami sałatą. Zamiast tego dorastała w domu, który pokochał ją tak samo, jak my kochamy Amayę Sei. Kiedy miała trzynaście lat, czuła się taka samotna, że udała się na barykady i zaczęła je drzeć paznokciami. „Tak nie można!” wołała. „Nie możemy zamykać wszystkich drzwi!”. Powstrzymali ją, naturalnie, ale ona jest uparta. Oczyma wyobraźni widziała miasto otwarte, miasto pełne świata, nowych ludzi, którzy by ją pokochali, i nowych słońc na niebie. Władala miliardem istot. Masz pojęcie, do czego jest zdolna samotna, przerażona i przeświadczona o swojej słuszności trzynastolatka? A ona tak bardzo tego pragnęła... Chciała powrotu imigrantów i w końcu – za pomocą traktatu i pióra, pod okiem rekiniego generała – otworzyła jedną, jedyną drogę. A potem czekała dwadzieścia lat, zanim

ktoś na nią wkroczył. Wszystko, co zrobiliśmy i co nam zrobiono, wydarzyło się z powodu jednej samotnej dziewczynki. Niektórzy z nas twierdzili, że powinniśmy cieszyć się z łaski, która na nas spłynęła: jedno z nas nie jest już samotne. Wierzyliśmy w to, dopóki nie zjawiała się Amaya Sei.

– Jesteśmy pierwsi? Przez cały ten czas to właśnie my najbardziej się zbliżyliśmy?

Królik uśmiecha się znacząco i wyciera ryżową pastę z tłuczka.

– Casimira chciała mieć wybór, rzecz jasna. Chciała osobiście wybierać swoje triumfy.

November jakoś przetyka te słowa. Jedna jej cząstka pęka z dumy – Została wybrana! Okazała się godna! – ale druga jest wściekła.

– Jeżeli chcecie Sei, możecie ją mieć. Casimira może sobie wybierać do woli, ale nie może opuścić Palimpsestu; nie ma pojęcia, jak żyjemy poza miastem, jak walczymy i cierpimy. Jakich wyborów dokonujemy. Ja już wybrałam. Nie dostaniecie Sei beze mnie.

– Wiem.

– Więc daj mi przejść.

– November Aguilar, pomóż mi ubić ryż na ucztę na jej cześć. Zamachnij się tłuczkiem, to cię przepuszczę. Przyjąłem te uszy i te łapy i teraz spóźniam się z wyrabianiem słodczy. Wszystko z miłości do niej.

November bardzo uroczyście kiwa głową i wchodzi do beczki. Bierze zamach znad głowy i z impetem opuszcza tłuczek w kleistą białą masę. Jest ciężki, tak ciężki, że z trudem go podnosi, ale uderza raz za razem, aż mięśnie zaczynają ją palić, łyzy płyną jej po twarzy i osuwa się do tyłu w łapy królika z księżycą, który wylizuje ją do czysta i śpiewa jej ludowe przyspiewki świetlików zamieszkujących Morze Spokoju.

\* \* \*

W obszernym, pustym pokoju wyłożonym matami z trawy siedzi kobieta o niebieskich włosach. Jest ubrana w długie kimono, spod którego wychynęła jej lśniąca nagość. Na twarzy ma podłużną czerwoną maskę.

– Amaya Sei?

– Zgadza się. – Jej głos jest przytłumiony, jakby była lekko wstawiona.

– Jestem November.

– Wiem. Pociąg uprzedził mnie, że przyjdiesz.

– Co ci się stało?

– Przede wszystkim wypiałam morze wina ryżowego, żeby nic mi się nie śniło, ale to nie podziałało. A poza tym... boję się.

– Czego?

– Tego, co jest w następnym wagonie. Chyba wiem, co to będzie. Tak myślę. Czytałam książkę, w której opisano moją przyszłość, ale i tak się boję. W dodatku jestem zmęczona. To



trudne... sypiać z tyloma ludźmi. Jakbyś zabierała pasażerów. Stajesz się cięższa. I odsłonięta. No i jeszcze to dziecko... – Sei z roztargnieniem dotyka brzucha.

– Co jest w tamtym wagonie?

Sei odchrząkuje i recytuje spod maski, jak aktorka w tragedii: – „Kiedy nowemu maszyniście przydziela się pierwszy pociąg, wprowadza się go do lokomotywy w lodowatą zimową noc, kiedy pociąg stoi i nikt nie kręci się po pustych wagonach. W ciasnej kabinie zbierają się wszyscy starsi maszyniści. Kaza młodemu kandydatowi położyć ręce na pulpicie sterowniczym, smarują mu je lepkiem olejem silnikowym, a następnie wyrrywają kilka przewodów z pulpitu i obwiązują mu nimi palce. Wtedy zdradzają tajemne imię pociągu, którego maszyniście nikomu nie wolno powtórzyć. Nacinają mu również środkowy palec lewej dłoni i mieszają jego krew z olejem, który następnie wraca do obiegu w silniku. W ten sposób pociąg staje się wybranką maszynisty”.

– Ach, tak... Rozumiem.

– Czuję, że ten pociąg jest nowy i samotny, jest jak... dziecko. Przypuszczam, że rodzice porzucili go, gdy ich drogi się rozeszły, i on od tamtej pory... szuka mnie. Nie dokładnie mnie, ale kogoś takiego jak ja. Matki. Maszynisty. To trwa już bardzo długo.

– Sei, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Nie wiem, czy zmieszczę dość mężczyzn w swoim ciele i dość kobiet w swoich ustach, żeby wiecznie podróżować tym pociągiem. Trzeba ich tak wielu... Łono już mnie boli, a poza tym obawiam się, że... przestanę być sobą, kiedy stanę się maszynistą. Boję się, że zapomnę, jak mam na imię, a moje ciało rozpęknie się, wypłynie na tory i zmieni w metal, w drut. To znaczy, że i moje dziecko będzie się składać z metalu, drutu i plastiku i nigdy nie będzie miało ani własnego imienia, ani oczu, które mogłoby otworzyć.

– Czy nie tego właśnie chcesz? Być maszynistą?

– Tak... – przytakuje Sei łamiącym się głosem. – Ale chcę także być Sei. November wciąga powietrze głęboko do płuc; jest rzadkie i trawiastosłodkie.

– Musisz mi powiedzieć, gdzie jesteś. W prawdziwym świecie. Powiedz mi, gdzie jesteś.

Cisza trwa długo. November widzi, jak spod maski skapują łzy.

– Kioto. Jestem w Kioto.

– Mogłabyś przylecieć do Rzymu? Jak myślisz? Mogłabyś?

Sei kręci głową.

– Nie mam pieniędzy. Od tygodni nie byłam w pracy. Nie dam rady.

– Dobrze, Sei, nic nie szkodzi. My do ciebie przyjedziemy. Powiedz tylko, gdzie cię można znaleźć. W Kioto. Musisz mi to powiedzieć teraz, bo tam, po drugiej stronie, nie znam japońskiego i będzie nam trudniej.

– Ale jacy „my”?

– Mężczyzna z kluczami. Mężczyzna w okularach. I ja, ze śladem po uządleniu. Byliśmy z tobą w saloniku kobiety-żaby. Najpierw razem weszliśmy w ciemność, a teraz robimy to

ponownie, żeby cię odnaleźć. Jeżeli ty nie możesz do nas przyjść, my przyjdziemy po ciebie i cię zabierzemy. Wyprowadzimy cię na słońce. Obiecuję.

Znowu robi się cicho. Sei zaczyna się trząść.

– Jest taka świątynia... – mówi w końcu. – Ma pomarańczowe bramy, mnóstwo bram. Pod miastem. Fushimi Inari, tak się nazywa. Spotkajmy się w pawilonie. Będę tam codziennie o zachodzie słońca, dopóki nie przyjdiesz.

Sei wyjmuje zza pazuchy olbrzymią, nasiąkniętą wodą księgę. Otwiera ją w miejscu założonym pasmem wodorostów i zaczyna czytać. Wszystkie strony księgi są puste.

# DWA

## Rzeczy, które są łaski pełne

Mężczyzna z Nowego Jorku przyjechał we wtorek. Nerezza zamknęła się w sypialni, trzasnąwszy drzwiami; nie chciała na niego patrzeć. Był taki chudy, że November mogłaby bez trudu objąć palcami jego nadgarstek. Miał naturalne rumieńce i błyszczące oczy i kiedyś musiał być przystojny. Przyjęli go z Ludovikiem w drzwiach i zapadła długa, paskudna cisza, kiedy November myślała o tym, że cokolwiek powie do Olega Sadakowa, Ludo nic z jej słów nie zrozumie. Nie chciała mu tego robić, nie chciała go skazywać na rolę autsajdera, nie po tym, jak obudził się spokojny, promienny – i pozbawiony języka, w zakrwawionej pościeli, bez śladu mięśnia w ustach, jakby nigdy go tam nie było. Nerezza długo na niego patrzyła, a on wytrzymał jej spojrzenie bez zmrużenia oka. November nie chciała wiedzieć, co wyrażało ich milczenie.

Skoro jednak Ludo nie mógł mówić, ona również się nie odezwie. Jej ręce, twarz, całe jej ciało znało ból straty i zamierzała oszczędzić Ludovicowi swojego cierpienia. Zamiast tego objęła ich obu i przez chwilę stali tak nieruchomo, każde z pochyloną głową i rękami luźno zarzuconymi na talie sąsiadów. Ludo przygryzł wargę. Z szorstką czułością pocałował November w czubek głowy, którą złożyła na ramieniu Olega.

Rzeczy, które są pełne łaski, myśli November. Maria. Orchidee. Morze, kiedy jest spokojne. Mróz, ruiny, dziewictwo. My. My. My jesteśmy jej tak pełni, że aż lśnimy.

Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, co robi, tak nieuchronny był ten ruch. Zaprowadziła ich przed długą, twardą kanapę, gdzie obaj opadli na nią, wyczerpani i przepelnieni żądzą. Oleg całował ją lekko, niepewnie, z wahaniem. Ludo ją objął i pogłaskał po karku; jego pożądanie już na nią napierało. Pocałowała Olega natarczywie, jakby mogła tchnąć w niego modlitwy, i z jego ust wyrwał się krzyk rozpoznania i spazmatycznej radości. Wyszeptał jej imię. Jego szczęście – z odnalezienia jej i z sakramentalnej czci, z jaką wymawiał jej imię – było trudne do zniesienia.

Chciała być tą odważną, tą śmiałą, chociaż nie była w tym za dobra. Nie radziła sobie z paskami, z ułożeniem ciała, próbując otworzyć się dla nich obu jednocześnie. Olega wzięła do ust – jego członek był cienki, twardy i gorący jak reszta jego ciała. Kiedy Ludo wszedł w nią od tyłu, zamknęła oczy, kołysząc się w przód i w tył, pomiędzy nimi, z nimi, na nich i wokół nich. Przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby to uznać za wstrętne, brudne, zdzirowate. Tak: zdzira. Podobało jej się to słowo, brzmiało jakby ktoś nim rzucił. Dla niej jednak było to coś głębokiego, taki zamknięty obwód. Nie musiała tego widzieć, żeby wiedzieć, że Ludo i Oleg złapali się za ręce ponad jej ciałem. Tak jak wiedziała, że będą jeszcze mieli czas dla siebie w małych pokoikach tego domu, wszyscy będą mieli czas dla siebie przed Japonią i czekającą ich tam nieskończoną procesją pomarańczowych bram.

Oleg znów wykrzyczał jej imię, Ludo wyjęczał jego okaleczoną, bezjęzykową, złożoną z samych samogłosek wersję, i to ich parzenie się, to potrojenie stało się orgią nadawania nazw, pierwotną, atawistyczną, jakby byli mieszkańcami raj, na których gwiazdy, chleb i sól czekają, żeby je ponazywali, ponadawali im etykiety i umieścili je na właściwych miejscach.

## Signe-de-Renvoi

W środku Palimpsestu zieje dziura.

W środku Palimpsestu – czyli w środku mnie. Z pewnością już się domyśliliście, kto mówił. Kto zawsze mówi.

Dziura mi nie przeszkadza. Jest jak ciemiaczko, w którym schodzą się kości czaszki, chociaż nie bardzo do siebie pasują, nie do końca – a zarazem pasują wystarczająco. Albumina wpływa do niej, a po drugiej stronie świata jest kamień, który płacze białymi łzami. Rzeka jest na tyle gęsta, a zielsko na tyle krnąbrne, że wokół dziury dawno powstała regularna delta rzeczna, a w niej miasto, właściwie miasteczko, ukryte, tajemne miejsce w wielkim mieście o wielu nazwach.

Moi chłopcy są już blisko. Bramy ich zwęszyły. Pozwoliłem im trochę oszukać: odgarnąłem cienie jak zasłonę, żeby mogli się spotkać wcześniej niż powinni, zanim spotkają dziewczynę z brzegiem rzeki na policzku. Tak bardzo chciałem ich zobaczyć razem, jak postaci na scenie w teatrze; nie mogłem się doczekać czwartego aktu. Wybaczysz mi? Nawet ja pragnę rozgrzeszenia. Nawet ja.

\* \* \*

Jest tu mały port, w którym cumują łódki. Wszystkie istoty niebędące rybami potrzebują łodzi. Ja również nie jestem rybą. Tuzinem oczu patrzę, jak przywiązują łódkę do pomostu i wychodzą na porośniętą wysoką trawą łąd delty. Jesteście na miejscu, chłopcy. Od tej pory wszystko będzie dobrze, obiecuję. Zaopiekuję się wami. Zawsze się przecież opiekowałem, nieprawdaż?

\* \* \*

Ludovico pomaga Olegowi wygramolić się na plażę. Obserwują ich mężczyźni i kobiety o długich cudacznym włosach zaplecionych w warkocze, które sterczą im w górę i na boki jak druty. Mają gładkie twarze i usiane gwiazdami ubrania. Nie poruszają się, tylko patrzą. Przy plaży stoją domki z okrągłymi oknami i szerokimi trawnikami, zebrane w skupiska, jak

grzyby. W ogródkach rosną truskawki i długie, grube ogórki. Miłe miejsce. Światło gwiazd migocze na kominach buchających szalwiovym dymem. Albumina z łoskotem znika w otworze zięjącym w ziemi kawałek dalej. Na skraju jej śnieżnobiałego wodospadu kręcą się trzy nieduże młyńskie koła.

Oleg podchodzi do pierwszego z brzegu mężczyzny, który jest niski, wąsaty, zaokrąglony i wygląda dość sympatycznie. Z kieszeni zwisa mu zapomniany łańcuszek od zegarka.

– Gdzie jest Ludmiła?

Wąsy życzliwego jegomościa zwisają.

– Pomyślmy... Co byś wolał? Mogę udać, że nie mam zielonego pojęcia, przywitać was w Signe-de-Renvoi, poczęstować hojną porcją botwiny i smażonych *koi* i nalać wam wina, po którym uwierzycie w Boga. Spędzimy miło wieczór, a potem ruszycie w dalszą drogę, dokądkolwiek prowadzi. Mogę również powiedzieć, że jest w tamtym domu i od tygodni cię oplakuje, a wtedy ty pobiegiesz tam, zanim skończę mówić, i nikt nie dostanie botwiny...

Oleg już biegnie, odprowadzany śmiechem wąsacza. Ludo próbuje mu dotrzymać kroku, ale Oleg wcale go tam nie chce – ona jest jego siostrą i drzwi małego domku zatrząskują się (z nader satysfakcjonującym hukiem) tuż przed twarzą zaskoczonego Ludovica.

Ludmiła siedzi na obszernym zielonym fotelu i rzeczywiście płacze. W pokoju w głębi domu gotuje się woda na herbatę, a botwina skwierczy na patelni obok złocistego, mięciutkiego *koi*. Ludmiła podnosi na Olega spojrzenie zaczerwienionych oczu.

– Powiedz, dlaczego? – prosi cicho Oleg.

– Co dlaczego? – Ludmiła pociąga nosem i wyciera go rękawem.

– Dlaczego cię stworzyli? Dlaczego do mnie przysłaś?

– Czego ty chcesz, Oleg? Ciągłe sprawiasz kłopoty. To przez ciebie musieliśmy tu zamieszkać, przez ciebie musieliśmy wykroić sobie kawałek ziemi z rwącej rzeki i trzech źdźbeł trawy. To wyczerpujące, takie wieczne zgadywanie. Uciekłam, bo chciałeś mieć coś, za czym mógłbyś gonić. Nie wróciłam, bo uznałeś, że nie zasługujesz na mój powrót. Płacę tylko dlatego, że myślałam, że tego właśnie byś chciał. – Ludmiła uśmiecha się promiennie, na jej twarzy maluje się usłużna radość. – Mogę się również ucieszyć na twój widok, albo złać cię i kazać ci się płaszczyć, albo wychłostać cię jak konia, żebyś miał swoją pokutę. Powiedz tylko, czego chcesz? Powiedz, proszę cię.

– Przestań, Miła!

– Przysłałam do ciebie, Oleg, ja, całe miasto w jednym ciele, przysłałam, bo byłeś taki samotny i tak bardzo za nią tęskniłeś. Chciałam, żebyś mnie pokochał, mnie – dziewczynę z Nowogrodu i miasto w jednym, połączone, nierozdzielne, owoc naszego zespolenia. Chciałam, żebyś był szczęśliwy. Z materii twojego jestestwa stworzyłam ręce, nogi, piersi i włosy. Staralam się jak mogłam.

– Dlaczego właśnie ja?

Ludmiła przekrzywia głowę jak ptak.

– A kto powiedział, że tylko ty? Jestem *pecia*, jednym rękopisem w wielu częściach i wielu kopiach. I jestem Palimpsestem, wieloma fragmentami połączonymi w jeden rękopis. Robię to dla każdego, kto płacze, tęskni i pragnie. Nie mogę odwrócić się plecami do pragnień. Wzywają mnie, jakby były jednorożcem, a ja dziewczicą. Chociaż tyle mogę zrobić. Tak trudno się tu dostać... Pragnęłam cię. Pragnęłam twojej siostry. Dla mnie to było łatwe.

– Chciałem odzyskać moją prawdziwą siostrę, w prawdziwym świecie, taką jak zawsze, w czerwonej sukience i z mokrymi włosami.

Ludmiła wstaje i podchodzi do Olega. Ujmuje jego twarz w dłonie. Ma takie ogromne oczy, łagodne i smutne, i całuje go jak kochanka, jak dobra kobieta kokietująca zagubioną duszę.

– Oleg... – szepcze. – Mój ty biedaku. Mój nieszczęsny chłopcze. W tamtym świecie nie ma żadnej Ludmiły. Nigdy nie było. Malutka Miła zmarła przed twoim urodzeniem i nigdy nie opuściła miast umarłych. Zatrudniła się tam w pracowni kapeluszniczej, ma kotka, a ty łykasz pigułki, żeby odpędzić halucynacje, ale one nie zawsze działają, więc Ludmiła pojawia się i znika. Mieszkając w mieście zwanym Nowym Jorkiem, widziałeś i słyszałeś wiele rzeczy, które nie istnieją. To właśnie nazywają obłędem.

Oleg opiera się o nią i szlocha, bezgłośnie i bez łez. Ona pachnie zupełnie jak jego Miła, mokrym sitowiem i wysokimi chmurami, a on nie chce tego słuchać – nie chciał słuchać wtedy, na łodzi, i nie chce teraz. Wtula twarz w jej piersi, na oślep szukając pociechy. Wie, że to wszystko prawda, lecz nie potrafi przekonać swojego serca, żeby stawiło jej czoło.

– Wszystkie tu przybywamy, Oleg, my, *pecie*, kiedy nie jesteśmy potrzebne gdzie indziej. Sadzimy truskawki i hodujemy kozy. Pieczemy świąteczne ciasta, pobieramy się, tańczymy tańce, których nikt inny nie zna. Jesteśmy *peciami*; razem tworzymy długą księgę cudowności. Ale ja chcę być Ludmiłą. Wszystkie chcemy być tym, do czego zostałyśmy stworzone. Taką mamy naturę. Puszczono nas w ruch, nie możemy się zatrzymać i chcemy odegrać wyznaczoną nam rolę. Chcemy kochać zapłakanych nieszczęśników, którzy przypadkiem napatoczą się na nas, na to miasto, na ciało Palimpsestu, które składa się z ulic, alej, urwisk, rzeki i bardzo głębokiej dziury w ziemi. W moich ramionach mówisz miastu tyle rzeczy, zwierzasz się z tyłu tajemnic, a ono przygarnia je jak wtulonych w nie kochanków. Nie mogę odwdzińczyć ci się inaczej niż dzieląc się swoimi sekretami.

– Przepraszam, że cię skrzywdziłem.

– Nie skrzywdziłeś mnie. Chyba, że tego właśnie chcesz. Wystarczy jedno twoje słowo, żeby na moim brzuchu rozkwitły sińce, a z policzków pociekła krew. Albo, jeśli wolisz, będę cię całować i opowiadać o księciu topielców, szykownym jegomościu w niebieskich butach; będziemy razem jeść ryby i sadzić rabarbar w blasku księżyca.

Oleg całuje jej mostek, szyję, policzki, powieki. Chciałby wybrać coś jaśniejszego, bardziej błyszczącego, coś, czemu lekarze by przyklasnęli, co nazwaliby „postępem”. Ona jednak jest tak blisko, pachnie jak rzeka, a on nie jest lekarzem.

– Bądź nią, bądź moją Miłą. Zapomnij. Zapomnij, że kiedykolwiek byłaś *pecia*, zapomnij o wszystkim, co jest w tobie Palimpsestem, i bądź moją siostrą, dziewczynką z Nowogrodu, martwą dziewczynką, która mnie kocha. I ja też niech zapomnę. Kiedy znów się spotkamy, nie chcę pamiętać, że nie jesteś prawdziwa. Chcę zapomnieć, co mi powiedziałaś – że ona nigdy nie istniała. Pozwól mi już zawsze wierzyć, że jesteś moja i nigdy mnie nie opuszczałaś. Niech zapomnę wszystko inne. Nie może być prawdziwej miłości między dwojgiem obcych. Bądź Ludmiłą.

*Pecia* zamyka oczy, łzy drżą na jej rzęsach. Kiedy się uśmiecha, cały pokój drży, tak smutny jest ten uśmiech. Oleg całuje ją w usta, a ona odwzajemnia pocałunek, zachłannie, tak jak umarli są zachłanni na ciepło, krew i żywych, oddychających kochanków. Kładzie mu dłoń na krzyżu, przyciska go do siebie i pociąga na zielony fotel. Na jej języku Oleg czuje smak Wołchowa, toczącego między nimi swe mętne, słodkie i głębokie wody.



# TRZY

## Dom bez słów

Przez pół dnia Oleg pomagał November podjąć decyzję, czy walizka na pewno będzie niezbędna. W końcu uznali, że przezorny zawsze ubezpieczony, i każde spakowało ubranie na zmianę i szczoteczkę do zębów. Była inna niż się spodziewał, nie przypominała tamtej istoty z Palimpsestu, kipiącej złotą elektrycznością, którą czuł tuż poza granicami swojego ciała. Wyglądała fatalnie, zresztą on pewnie też; wszyscy troje drogo zapłacili za przedostanie się na drugi brzeg płynącej przed nimi rzeki, po dwie monety – być może po to, żeby ta czwarta, ta Japonka, której jeszcze nie poznali, mogła przepłynąć za darmo, bezboleśnie, nie oglądając przewoźnika.

Ludo dał mu prezent: kluczyk, który niczego nie otwierał, ale był prześliczny, maleńki, wyczelowany, srebrny i stary. Oleg nosił go teraz na szyi i czuł, że kluczyk do niego pasuje, że powinien jakoś dać się wsunąć pomiędzy jego kości i go otworzyć.

We Włoszech nie spotkał Ludmiły. Za dużo wody dzieli Włochy od Stanów, tłumaczył sobie. Na pewno się bała. Łatwiej mu było wyobrazić sobie, że Ludmiła opiekuje się jego domem w Nowym Jorku, niż choć przez chwilę przyznać, że kobieta, która była i zarazem nie była Ludmiłą, mogła mieć rację. Jeszcze trochę i nie będzie to miało żadnego znaczenia, pomyślał.

Żarłocznie pochłaniał jedzenie: jajka, chleb, pomidory, dziesięć odmian sera, bekon, pieczone kurczaki. Nie umiał się porozumieć z gospodynią – surową kobietą z twarzą jak maska. Miała na imię Nerezza i była wtedy tam, przy służbie. Patrzyła bez słowa, jak tamci przyłożyli mu nóż do gardła. Doskonale знаła angielski, ale nie chciała z nim rozmawiać, a kiedy na nią spoglądał, wzruszała ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Zrobiłam to, co zrobiłam. Mieszkaj u mnie, jedz moje pokarmy; nie skrzywdzisz mnie bardziej niż już zostałam skrzywdzona”.

Ich dni składały się na razie głównie ze skradzionych pocałunków, śmiechu i długich

okresów wzajemnego oplatania się ciałami. November rzadko z nim rozmawiała, ponieważ nie mogła rozmawiać z Ludo i bariera komunikacyjna w sposób całkiem naturalny się rozszerzyła, a z czasem przestała właściwie być barierą i stała się domem bez słów, w którym wszyscy troje znaleźli schronienie. Kiedy było po wszystkim, Oleg zawsze przynosił November herbatę. Chciał to robić, potrzebował tego, musiał jej służyć, być jej *pecią*, przekonać ją, że to, co dla nich zrobiła – sprowadziła ich tutaj, tracąc przy tym tak wiele – opłaciło się.

Ludo zabierał go na spacer po ruinach i chociaż nie mógł mówić, ich pocałunki były swobodne i szczere wśród cyprysów, dębów i winorośli, a światło... Światło w tych miejscach było nieprawdopodobnym światłem poddasza niebios. Ach, jakie lampy im przyświecały, jakie lampy i jaki śmiech.

## Signe-de-Renvoi

Z rynku Signe-de-Renvoi rozciąga się widok na wodospad, którym Albumina nurkuje w głąb ziemi. Okalają go figowce i drzewka granatów, dzięki czemu powietrze zawsze jest tu rześkie i słodkie. Na rynku odbywają się tańce; gdy spódnice wirują pod wysoko, wysoko zawieszonym księżycem, nie ma widoku, który mógłby się równać z migającą pod nimi niebieską koronką. Piękna, łagodna kobieta w stosownym wieku pilnuje, żeby w kieliszkach nie brakowało szampana warzonego z gruszek i przemrożonych winogron. Ma tak długie włosy, że dwa razy oplata ciało warkoczami, które wystarczają jej za cały przyodziewek. Ma również zaprzyjaźnionego zwierzaka – starego, dostojnego tygrysa, który dawno już stracił pazury i zęby. Jest reliktem dawnych, prawdziwych tygrysów, pamiątką minionej ery, w której wielkie koty znały się na arytmetyce, układały heksametry daktyliczne i z dworu snów władały dżunglą.

Kobieta nie pamięta swojego imienia. Sprowadziłem ją tutaj dawno temu, a kiedy umarła, sporządziłem jej kopię, po niej drugą i trzecią. Za życia nie umiała mówić, nie uznałem więc za stosowne obdarzać mową jej kopii, dlatego porozumiewamy się wyłącznie niemym językiem kochanków. Czasem myślę sobie, że to w jej imieniu i na jej cześć wojna odebrała mowę co drugiemu z moich poddanych – lecz to na pewno tylko moje wyobrażenia.

A tygrys nadal żyje. Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję się z nim blisko związany, jak ze starym druhem. Obaj jesteśmy długowieczni, my, stare koty. My z dworu snów.

Nie wiem, dlaczego to wszystko zrobiłem. Nie zawsze wiem, dlaczego zachowuję się tak, a nie inaczej. Ktoś to w ogóle wie?

Nie umiem się z nią rozstać.

Jest tu dzisiaj, tańczy nago; rozwiązała warkocz, które wirują wokół niej jak czarne węże. Oglądam ją z ciała sympatycznego mężczyzny z łańcuszkiem od zegarka kieszonkowego, widzę ją jego ojcowskimi oczyma, przez pryzmat jego wieku i mądrości. Tańczę z nią za pośrednictwem jego stóp i szepczę do jej perfekcyjnego ucha imię, które ja znam, a które ona zgubiła jak kolczyk:

„Chanthou, Chanthou najdroższa. Moja żono”.

\* \* \*

Ludovico ogląda wioskowe tańce. Chciałby się przyłączyć, ale wydaje mu się, że byłoby to nie w porządku. Stoi przy pomoście i czeka na Olega z sobie tylko właściwą cierpliwością.

Czyli niezbyt wielką, upomina się w duchu. Ale dla Olega się postaram.

– A dla mnie nie? – słyszy głos ponad trawami.

Spodziewał się go, był przygotowany na jego dźwięk, wyobraził sobie jego ciężar na rzece i doszedł do wniosku, że go wytrzyma.

Obok niego stoi Lucia w żółtej sukience, sukience z epoki Ostii i kanapy w kolorze orzechów hikorowych. Jej skóra ma płowy jak u lwa odcień, jej włosy tworzą burzę rozpuszczonych ciemnych loków. Ludo się nie odzywa. Nie może. Kikut języka wciąż go boli.

Nie jesteś Lucią, myśli. Nie drocz się ze mną, proszę. Nie jesteś nią.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Lucia, zupełnie jakby przemówił na głos. – Ona by tu nie przyszła. Woli bardziej... modne okolice.

Podchodzi i przytula się do niego z naturalnym wdziękiem dawno poślubionej kobiety i nawet jeśli nie jest prawdziwa, to ich pocałunek – długi i głęboki – już taki jest. Ludo czerpie z niego ogromną przyjemność.

– Nie jestem Kalipso, jeśli o tym myślisz – mówi ona.

Ludo śmieje się, chociaż wcale nie jest mu do śmiechu; głos mu się łamie, dźwięczy jak rozbity talerz. Nawet teraz Lucia jest kopią doskonałą, kiedy podsuwa mu to klasyczne odniesienie jak prezent, jak usprawiedliwienie.

– Nie zamierzam oferować ci nieśmiertelności i miłości aż do burzliwego zgonu biegunów magnetycznych w zamian za twoje człowieczeństwo. Taki wybór nie istnieje. Jestem uczciwym miastem, z tym się chyba musisz zgodzić.

Ludo kiwa głową i bierze ją za rękę. Idą brzegiem rzeki.

– Chcę dać ci to, czego potrzebujesz, Ludo. To dla mnie ważne, ponieważ spodziewam się, że wkrótce się zaprzyjaźnimy i nasza przyjaźń przetrwa bardzo długo. Oddałeś za mnie swój głos, jak syrena z baśni. Przyznaję, zauroczyłeś mnie. Uwiodłeś. A teraz jesteś tak blisko... Jakby to była Wigilia. Nie czujesz tego?

Ludo bezradnie kiwa głową; nic więcej zrobić nie może. Milczą. Lucia puszcza kaczki na wzburzonej mlecznej rzece – jeden kamień, drugi. W końcu prostuje się, wspina na palce i spogląda mu w oczy. Jest taka młoda, ma takie gładkie czoło, bez jednej gniewnej zmarszczki.

– Jesteś gotowy? – pyta mocnym, stanowczym głosem. – Kocham cię. Kocham cię od dziewięciu lat i wiedziałam, że to było dziewięć, a nie osiem, ale powiedziałam osiem, żeby ci zrobić przykrość. Tamto lato w Ostii było esencją tego, czym jesteśmy; było świetliste, ciepłe i miało kolor orzechów hikory. To, co zrobiłam, było szaleństwem, było obłędem, ale w żaden sposób nas nie dotknęło, nie przeniknęło przez ściany do naszego legowiska. Tam

zawsze należałam tylko do ciebie i byłam z tym szczęśliwa. Jestem twoją bestią, a ty moim świętym. Wybaczam ci, bo tak postępują szlachetne bestie, a ja taką właśnie jestem. Bestie potrafią także zapominać. Nie umieją tylko odczuwać smutku świętych. – Całuje go. Jej piersi są ciepłe i miękkie, kiedy się do niego przytula. – Kocham cię, jestem twoją żoną i wybaczam ci wszystkie grzechy tego świata, wszystkie grzechy, które wymyśliliśmy tylko po to, żeby popełnić je w naszej jaskini. Kocham cię. – Światło w jej oczach zmienia odcień, staje się ciemniejsze i mądrzejsze niż u dawnej Lucii, stare i bezkresne. – Kocham cię, Ludovico. W świecie bez końca. Kocham cię.

Zostawia go i rusza pod górę lekko nachylonym brzegiem, wraca do świateł i tańców. Idzie boso, niosąc sandały w ręce, tak jak wtedy, gdy ostatni raz widział ją w tej sukience. Blask pochodni kładzie się na jej włosach, jak rozgrzeszenie.

# CZTERY

## Łaska Westy

– Nigdy ci nie wybaczę – powiedziała Nerezza, ściskając nadgarstek jednej ręki drugą z taką siłą, że paznokcie zostawiały czerwone półksiężycy na skórze.

Wyszli na kawę, bo nie mogła dłużej wysiedzieć w domu.

Ludo próbował się do niej uśmiechnąć – do swojej dziewczyny-węgorza, zagubionej w mętnej wodzie, kręcącej się po ciemku w kółko.

– Od wielu dni muszę słuchać, jak wasza trójka pieprzy się i śmieje – burknęła Nerezza. – Rzygać mi się chce.

Ludo nie wiedział, co odpowiedzieć.

Dlaczego nie zabrał ich do siebie?

Bo jego dom to dom Lucii, a poza tym miło jest być wśród ludzi, z którymi dzieli się tajemnice: Agostino, Anoud. Nawet Nerezza.

Wyjął notes i długopis i napisał – równym, eleganckim charakterem pisma:

„Czy to dlatego wydałaś nas Ululiro i jej ludziom? Chciałaś się nas pozbyć?”

Nerezza wzruszyła ramionami. Nie odwróciła wzroku; nie zawstydzila się.

– Dlaczego ty miałbyś być inny? Dlaczego miałbyś cieszyć się wolnością, kiedy reszta z nas jest przykuta do ziemi? Zrobiłam to, co zrobiłam. To moja decyzja i ja za nią zapłacę. A ty przeżyłeś.

Dotknął jej ręki, a kiedy nie cofnęła się przed nim, pomyślał, że może jeszcze nie jest dla niego całkiem stracona.

„Jak widzisz, wcale nie jest to dla mnie takie łatwe”.

– Widzę – przyznała niechętnie. – Ale ci nie wybaczam. A ty nie powinieneś wybaczać mnie.

„Chcę ci dać to, czego potrzebujesz. To dla mnie ważne”.

– Nie masz zielonego pojęcia, czego potrzebuję, Ludo. Jak śmiesz?

Ścisnął jej dłoń, podniósł do ust i pocałował. Trzymał ją mocno, tak jakby za jej pośrednictwem – na nic więcej liczyć nie mógł – był w stanie przytulić całą Nerezzę. W końcu puścił ją i zaczął pisać jak szalony:

„Mówiłem ci kiedyś, po co chodzę na Forum? Oglądam tam świątynię Westy. Mieszkały w niej, w absolutnym odosobnieniu, westalki, nie tylko dziewice – choć to było bardzo ważne – ale nade wszystko strażniczki testamentów i dokumentów historycznych. Ubierały się na biało, obnosiły ze swoją czystością jak z tarczą. Były córkami Westy, opiekunki ogniska domowego. Dopóki pozostawały nietknięte, miastu nic nie groziło. Było bezpieczne. Na wieki. I może gdyby wytrwały w swojej czystości... Czasem jednak zdarzało im się złamać przysięgę, ponieważ były młode i nie mogły sobie wybrać klasztoru. A za złamanie ślubów karano je surowo, nawet śmiercią. Ale może gdyby wytrwały, Rzym nie popadłby u Westy w niełaskę i nie osunął się w mrok. A tak, bogini ogniska domowego odwróciła się od rzymian, zabrała im światło i ciepło. Rozumiesz?”

Oczy Nerezzy były pełne łez, ale pozostały niewzruszone i twarde, twardsze od wszystkiego, co Ludo mógł im przeciwstawić; były wyraziste i ciemne, jak odbicie w kryształach. Pokręciła głową.

„Westalki nie mogły normalnie żyć w mieście” – pisał dalej. „Nie mogły pić wina w czasie świąt, chadzać z kochankami w ciemne zaułki, jadać makreli na targu. A zarazem gdy ich zabrakło, miasto ogarnął mrok i ziąb, jakby zapadło się w czarną dziurę. Ponieważ były nietykalne, żyło w ich ciałach, a one chroniły je jak matka dziecko. Jak bogini”.

Nerezza rozplakała się na dobre – bezdźwięcznie, ale gwałtownie, ze złością, bez przebaczenia. Nie puściła jego ręki, a on całował ją i całował, aż w końcu, powoli, z takim uśmiechem, jakby dawno temu połączył ich jakiś prywatny żart, okrągłymi ustami scałował wszystkie łyzy z jej policzków.

\* \* \*

Zostawił ją w kawiarni, osuszywszy jej twarz i przywróciwszy jej węgorzową, elektryzującą skórę. Wsiadł do taksówki i wśród ruin pognął na lotnisko – przez zalany światłem Rzym, miasto zbudowane na swoim własnym grobie, powstające samo z siebie, wielokrotnie, w świecie bez końca.

**Verso**

Cherubiny o młodych oczach



# JEDEN

## Koń bez skóry

Amaya Sei siedzi w przestronnym, otwartym pawilonie świątyni Fushimi Inari. Trzyma ręce na brzuchu i po raz setny próbuje podjąć decyzję. Za jej plecami otwiera się tysiąc ognisć pomarańczowych bram *torii*; wiją się po stoku góry jak tunel w głąb płomienia. W ich narożnikach niewiarygodnie ogromne pająki (są jasnozielone i choć w tym miejscu ten fakt nic nie znaczy, i tak wywołuje u niej uśmiech) rozpinają sieci barwy deszczu. Sei ma olbrzymie sińce pod oczami. Czuje się chora, bolą ją wszystkie stawy, całe ciało. Jestem *kami* silników, myśli. Przybyłam tu, żeby wchłonać do brzucha wiatr moich kochanków i płonąć.

\* \* \*

Czeka tak ósmy dzień. Kamienne lisy – słyszała, że są ich na całej górze trzydzieści trzy tysiące, liczba precyzyjna, a mimo to nieskończona, i nieskończona jest różnorodność lisich pysków – patrzą już na nią ze znajomą przychylnością, jak domowy pies, który polubił częstego gościa. Wieczór jest rzeński, prawie wszystkie liście już zbrązowiały, zwiotczałe persymony spadają i rozmazują się na kamieniach. Na widnokregu rysuje się delikatny złoty pas, nad którym rozciąga się błękit, wszechświat błękitu, jak światło na dnie jeziora.

\* \* \*

Ale dziś w końcu przybywają: przechodzą we troje przez przystrojoną bramę świątyni, trzymając się za ręce.

Są tacy piękni, myśli Sei. I tacy silni. Jakże wysoką cenę musiałam zapłacić za ich spokojną podróż. Warto było, dobrze, że nie musieli cierpieć tak jak ja.

Kobieta wygląda jakby dawno temu doznała poważnych oparzeń, ale od tamtej pory rany

się zagoiły i jej skóra lśni. Nosi rękawiczki dla ochrony przed zimnem. Jeden z mężczyzn jest wysoki, niemłody, garbi się i nosi okulary. Drugi, młodszy i chudy jak szczapa, ma smutną twarz. Rozpoznają ją od razu, od pierwszego rzutu oka, a ona wybiega im na spotkanie, pędzi jak wiatr, rzuca im się w ramiona i całuje mężczyznę w okularach jakby przez całe życie o niczym innym nie marzyła. On nie wysuwa języka w pocałunku; ona go nie szuka. Następna jest ta kobieta (jej usta mają smak cukierków, które uwielbiała matka Sei), a potem młody mężczyzna, który obejmuje ją w pasie i podnosi z ziemi.

– Chodźcie – mówi Sei.

Mówi po japońsku, ale i tak ją rozumieją. Prowadzi ich tunelem z bram, do góry, przez tysiąc *torii*, w kryształowo niebieską noc, do nieskończonej licznych lisów, zielonych pajaków i ognistych kolumn. Nie wie, dlaczego to robi, ale wyprzedza ich i zaczyna biec, a kiedy jej stopy łomoczą o ziemię, czuje w brzuchu pierwszy drżący ruch.

Ojej, myśli. Moje ty biedactwo. Przepraszam. Będziesz straszliwą ceną. Ale to chyba nie będzie bolało, po prostu... Wyobraź sobie książkę na dnie jeziora. Ryby ją czytają. Książka jest twoja, tylko twoja, i pełna cudów...

Nagle przepelnia ją zgroza i radość, światło ich pocałunków, trzepotanie dziecka w łonie, światło pierwszych gwiazd i...

\* \* \*

I mknie pociągiem na linii Wyklejka, nieprzewidywalnym pociągiem-dzieckiem, najpierw tunelami, a potem wyjeżdża do góry, do miasta, na napowietrzne tory, i pławi się w pachnącym sasafrasem powietrzu. Nacina sobie rękę krawędzią metalowego krążka i śmieje się cicho, patrząc, jak spod pulpitu wypływa olej silnikowy. Przyciska do niego dłoń. Okrzyk rozkoszy, który wyrywa się z jej ust i z trzewi pociągu, roztrzaskuje klosze trzech kolejnych latarni, które mijają w pędzie. Sei zapada się w ramiona Trzeciej Szyny. Ma wrażenie, że jej nogi wnikają w obwody drukowane i łączą się z nimi, jej włosy powiewają nad ciałem lokomotywy, ręce trzyma ciasno przyciśnięte do boków, a na twarzy – twarzy pociągu, nowego pociągu – czuje opływający ją wiatr.

Powiedzą później, że przy Owsianych Plewach widzieli, jak pociąg pofrunął. Widzieli, jak bez najmniejszego wahania przesadził wyrwę w torach, wyskoczył w powietrze, jakby całe życie czekał na ten skok, i przepadł w wysokiej trawie. Czarnopyskie owce rozbiegły się we wszystkie strony, a maliny nie posiadały się z radości, gdy pociąg, który jest Sei, która jest pociągiem, pędził jak światło w stronę gór i dalej.

Powiedzą, że jego gwizdek przypominał wspólny śpiew matki i dziecka.

# DWA

## Nieszczęśliwa Wieża

Sei jest taka młoda... November całuje ją tak, jakby miała nigdy nie dostać drugiej szansy. *Torii* ciągną się w noc niczym jedna brama zwielokrotniona echem w nieskończoność, jakby się jąkały; posągi lisów szczerzą zęby ze swoich piedestałów. Kiedy Sei zaczyna biec i znika w półmroku, November widzi – jest tego pewna, mogłaby przysiąc – jak lisy jeden po drugim zwracają ku nim kamienne łby (małe uszka przylegają gładko do granitowych czaszek) i kłaniają im się nisko.

Bierze Ludovica za rękę i też zaczyna biec, w górę, w górę, w górę, a pająki wokół niej – ach, że też nie może ich usłyszeć! – powtarzają jej imię jak różaniec i...

\* \* \*

I Casimira – jej śmiech brzmi jak fanfara – zagarnia ją w powietrze i stawia na podłodze rozległego czerwonego pokoju, pełnego brązowych notatników, pras drukarskich i chodzących po ścianach pszczoł. November zagląda do jednego notatnika, drugiego... Są puste.

– Nie zwróciłaś uwagi na nazwy ulic, najdroższa? – Casimira cała promienieje. – Dostateczna liczba rzeczowników tworzy czasownik. Stworzyliśmy czasownik, który jest nami.

Dom ciągnie November za rękę i przytyka ją do swoich chłopcęcych ust. Wstrzymuje oddech, wysuwa różowy język i delikatnie ją liże.

November rozgląda się za Ludovikiem, ale nigdzie go nie widzi. Pszczoły startują z czubków jej palców i lecą do miasta, żeby tam go szukać w jej imieniu, a ona uśmiecha się w ramionach Casimiry, ciasnych, silnych i niewątpliwych jak zwycięstwo. Znajdą go.

\* \* \*

W przyszłości pszczoły w Palimpseście w ogóle się zmieniają. Ich użądlenie będzie dowodem łaski ponad wszelkie wyobrażenie. Na ich skrzydełkach zostanie wydrukowana – nieskończenie małymi literami – encyklopedia Palimpsestu, spisana w wysokim pokoju w domu, który ćwiczy uśmiechy przed lustrem; w wysokim pokoju, który dom trzymał dla nich wszystkich i który jest legowiskiem, ale nie jaskinią. W encyklopedii znajdą się niekończące się spisy cudów tego miasta, a w tych spisach będą zawarte nieprzeliczone opowieści. Kto zostanie użądłony, pozna je wszystkie i zapłaci nad tą wiedzą.

# TRZY

## Trójka Kamienic

Mrok opada tak szybko, że zapiera Olegowi dech w piersi. Kiedy tamci zaczynają biec, on boi się, że zostanie sam, a nie może zostać sam, więc w płynących ze świątyni oparach kadzideł zmusza swoje chude, osłabione nogi, żeby poniosły go w ich stronę, za nimi, w cień, w błękit, w pyski tych wszystkich lisów, które mają jego twarz, uśmiechają się do niego, jakby mówiąc:

– Ona na ciebie czeka. Czeka, Oleżka.

Pierś pali go żywym ogniem, jakby płonąca włócznia przeszła mu serce, i...

\* \* \*

I naga Ludmiła siedzi na szerokim, suchym łóżku, na którym piętrzą się kołdry w niebieskie i srebrne gwiazdy. Jego siostra. Rozkłada ręce, oczy jej błyszczą, mówi do niego po rosyjsku, a on ją rozumie, zapada się w nią, całuje jej śmiech i śmieją się razem. Kiedy się w niej znajdzie, zobaczy w świetle latarki śnieg padający nad brzegiem rzeki, która nigdy nie zabiła żadnego dziecka i zawsze była tylko pasemkiem srebrnego blasku w ciemności.

W przyszłości zamki Palimpsestu będą się zakochiwać. Odrzucają przeznaczone dla nich klucze i każą ich właścicielom podążyć z biegiem Albuminy do miejsca, w którym znajdą olbrzymią barkę z zadaszeniem z brązowego jedwabiu, na której chudy młodzieniec z żoną o włosach koloru chleba wyrabiają klucze z najbardziej niezwykłych materiałów: fiszbinów i suszonego mułu rzecznoego, sodalitu, berylu i ptasich kości, królewskich koron i więziennych krat, gałęzi leszczyny, wierzbowych witek, złota, srebra, szkła.

I żaden zamek nie zadowoli się czymś gorszym niż jego wymarzony, ukochany klucz.

# CZTERY

## Archipelag

Nie zostawiaj mnie! myśli Ludovico, gdy November zaczyna biec za Sei. Ale nie, na pewno go nie zostawi. Jest przecież jego Izydorem i poprowadzi go przez świat. Łapie go za rękę i razem biegną jak dzieci, na które czeka wspaniała zabawa i cały dzień, żeby się nią cieszyć. Kiedy November się śmieje, Ludo boi się przez chwilę, że dźwięk jej śmiechu mógłby go roztrzaskać, jest taki wysoki i słodki, taki nietykalny. Jeszcze chwila i będzie mogła do niego przemówić, jeszcze chwila i zwróci się do niego, a on zrozumie każdą sylabę jej etymologii i...

\* \* \*

I budzi się na drewnianym podwyższeniu, na ogromnym kole z dębowego drewna, podniesionym nieco nad poziom ulicy. Wytrzeszcza oczy i rozgląda się w pustym powietrzu wczesnego poranka. Wszyscy jeszcze śpią, pracują tylko piekarze i listonosze. Stara kobieta stoi w drzwiach swojego domu. Zamiast prawej nogi ma potężną, sękatą niedźwiedzią łapę. W rękach trzyma blachę z parującym lukrowanym ciastem. Łzy napływają jej do oczu i toczą się po pulchnych policzkach. Wypuszcza ciasto z rąk. Rozdziawia usta.

Klaudia wraca do środka, porywa z parapetu drugie ciasto i wybiega do niego. Nareszcie, nareszcie, po tylu latach! Casimira jej obiecała – i oto przybył!

Ludo przelyka jej ciasto, pije jej herbatę.

Wojna się skończyła.

\* \* \*

Staruszka krząta się wokół niego, jej sierść ociera się o jego nogę, a Ludovico je i patrzy

na północ, gdzie w głębi długiej ulicy stoi dom z wysokimi zielonymi wieżyczkami.

To bardzo stosowne, myśli, że zjawilem się właśnie tutaj, w dawnym miejscu. Spośród nich wszystkich to ja jestem tradycjonalistą.

Pszczoła przysiada mu na kolanie. Stara kobieta-niedźwiedzica uśmiecha się do niego szeroko i dyga leciutko. Pojawia się druga pszczoła, i trzecia.

November.

Ludo pozwala wywabić się pszczołom na ulicę, na której pierwsze tego dnia pojazdy hamują i zakręcają z piskiem, i idzie na spotkanie swojej ukochanej, swojego koziorożca, który zeskoczył z wielkiej, wielkiej wysokości i bezpiecznie wylądował na rogach.

## Róg Zanikającej i Niewysłowionej

Przedmieścia Palimpsestu rozpościerają się od granic miasta jak wachlarz. Najpierw domy, jednakowo czerwone, stojące w przypominających żyły rządach, rozgałęziających się na uliczki, podwórka i ślepe zaułki. Są tam parki zarośnięte trawą, która pachnie pomarańczami, i strumyki, w których kwitną czarne i niebieskie pływające róże. Dzieci wydrapują na chodnikach rysunki przedstawiające dziewczynki z nogami antylop i chłopców o wróblích skrzydłach i przeskakują z jednych na drugie. Śmiech tryska im z ust i zmienia się w jesienne liście, lądujące leniwie na szerokich trawnikach. Na wschodzie słońce lśni ponurą czerwienią. Szkarłatne cienie kładą się na buziach dzieci.

Parki znajdują się również pomiędzy domami, rzecz jasna. Przedmieście tworzy dzieci z eteru, a dzieci potrzebują przestrzeni. Karuzele z kości i futra precyzyjnie odwzorowują umięśnione ciała koni, żyraf i leniwców trójpalczastych, żeby wpoić dzieciom skłonność do dosiadanania takich właśnie zwierząt, gdy dorosną i będą musiały jeździć wierzchem. A tam, o, tam, dziewczynka z fioletowymi wstążkami we włosach tłumaczy bratu, że matki nie będzie wieczorem w domu, więc mogliby się wymknąć do miasta i potańczyć z kobietami o głowach białych lisów. Co za szelma!

W końcu domy przechodzą w pola amarantu, szpinaku, jagód. Na łąkach pasą się kosmate krowy, beczą obwieszane dzwoneczkami kozy. Palimpsest jest stale głodny. Co rano mleko białe jak rzeka tryska do setki i więcej skopków, masło wychodzi z niego żółte i śmietankowe, chleb rośnie gruby i mocny jak serce. Są też sady, a w nich brzoskwinie, śliwki, wiśnie i jabłka jak rubiny. Są stawy pełne ryb o czarnych, niezgłębionych ślepiach. Farmy ciągną się dalej niż domy, daleko, hen, daleko.

Jednakże i one gdzieś się kończą, jak wyciągnięte ramiona, i roztapiają w pustej krainie, jeszcze nieskolonizowanej przez miasto, niezaludnionej, niepoznanej. Puste łąki ciągną się po horyzont, jasne i ciemne, gęste i miękkie.

\* \* \*

Wojna się skończyła.

Taka była jej końcówka. Opowiedziałem wam wszystko, co musicie wiedzieć o



wyłamaniu drzwi. Znajdźcie mnie, znajdźcie w czarnych, tajemnych miejscach. Jestem tutaj. Czekam. Chcę tylko tego, co wszystkie inne miasta: chcę rozkwitać.

Przybywajcie. Przybywajcie.

Spójrzcie na moje rozpostarte pola, na moje bezgraniczne granice. Jestem dostatecznie rozległy, żeby was pomieścić.

Zrywa się wiatr – gorący, niosący pył, pachnący solą. Kilometry nagiej skóry okrywa gęsia skórka.

## Podziękowania

Ta książka jest winna podziękowania wielu ludziom, ale ponieważ – jak to książka – jest z natury rozrzutna, nie ona sama, lecz jej autor musi spłacać jej długi. Dlatego to mnie przyszło uregulować rachunek.

Dziękuję Ekaterinie Sedii, która kiedyś poprosiła mnie o napisanie opowieści o mieście.

Christopherowi Barzakowi, nieocenionemu przyjacielowi i pomocnikowi.

Juliet Ulman, mojej łaskawej redaktorce.

Członkom Blue Heaven Writers Workshop, w szczególności Paolo Bacigalupiemu i Darylowi Gregory'emu.

S.J. Tucker, której muzyka nieustannie objaśnia mi to, co piszę.

Wszystkim, którzy mnie wspierali – w sieci i poza nią; którzy wpuścili mnie do swoich serc i domów, podtrzymywali mnie na duchu, parzyli mi herbatę, słuchali moich bzdur (i je czytali). Wszyscy tworzymy Palimpsest – niezwykle, cudowne miasto, które powstaje tylko wówczas, gdy jesteśmy razem.

Na koniec – i na zawsze – dziękuję Dmitrijowi Zagidulinowi, który nie lubi, kiedy nazywa się go muzą.

## O Autorce

Catherynne M. Valente, urodzona w 1979 roku na północno-zachodnim wybrzeżu USA, jest autorką cyklu *Opowieści sieroty* oraz trzech innych powieści i pięciu tomików poezji. Obecnie mieszka na południu Maine ze swoim partnerem i dwoma psami.